

„Ten wyjątkowy kryminal zaczyna się pozornie klasyczną sceną.
Jest morderca. Jest potencjalna ofiara – drobna starsza kobieta.
Ale morderca nie wie, że kobieta ma za sobą czterdzieści lat
nieustannego treningu w zabiłaniu...” „New York Times”

BECKY

„Najlepsza agentka FBI
od czasów Clarice Starling
i jedna z najlepszych
powieści gatunku od czasów
MILCENIA OWIEC.” „Publishers Weekly”

MASTERMAN



DROGA 66



Prolog

12 sierpnia 2011, godzina 10.00

Na drodze do Golder Ranch, na samym środku mostu, stała furgonetka z pracującym silnikiem. W furgonetce siedział Gerald Peasil i przyglądał się swojej nowej dziewczynie. Wystawił łokieć przez otwarte okienko, oparł twarz na przedramieniu. Łaskotanie włosów na skórze, po których przesuwiał wargi w tę i z powrotem, lekko go podniecało. I kręcił go słono-kwaśny zapach własnego ciała. Nie spieszyło mu się do prezentacji. Rozkoszował się oczekiwaniem na spotkanie: to był nieodłączny element zabawy.

Drobna kobieta grzebała między kamieniami w wyschniętym korycie rzeki poniżej mostu, zbyt zajęta, żeby go zauważyć. Nie miała wszystkich zalet, które obiecywało zdjęcie. Owszem, spod płóciennego kapelusza khaki wymykały się kosmyki siwych włosów i opierała się na lasce, ilekroć pochylała się, by obejrzeć kamień, ale jej ciało było tak proste, że mogłaby niemal uchodzić za seksowną.

Myśl o seksownej babci odrobinę przerażała Geralda, ale co tam. Prawdopodobnie minęły całe wieki, od kiedy zaliczyła ostatnie bzykanko i na pewno ucieszy ją zainteresowanie młodszego mężczyzny. Wolną ręką Gerald poprawił ptaka przez cienkie, nylonowe szorty gimnastyczne i pomyślał o matce. Mama ścisnęła go tam naprawdę mocno, żeby go zniechęcić do masturbacji, aż urósł dość duży, żeby trzasnąć ją w pierś jej ukochaną patelnią z Amwaya. Tata uznał to nawet za zabawne i powiedział mu tylko, żeby nie wyżywał się na słabszych. Ale od tamtej pory każdy, kto próbowałby zabronić Geraldowi brandzlowania, sam się prosił o wybite zęby.

Gerald podjechał do końca mostu, skręcił w lewo i zjechał kawałeczek w dół stromej pochyłości, kończącej się na skraju suchego pasa piachu, który w tych stronach nazywano plażą. Plaża łagodnym stokiem schodziła do koryta rzeki. Gerald zatrzymał się i rozejrzał na obie strony po szerokiej połąci piasku barwy mokrego betonu.

Od kilku dni tę pustynię bombardowały letnie ulewy, więc na piasku, zwykle suchym, widniały wilgotne strumyczki; ziemia była już nasiąknięta deszczem. Jeszcze jedna burza jak ta ostatniej nocy, szczególnie w górach Catalina, skąd wypływała rzeka, i koryto wypełni się wodą, popłynie.

Ale dziś dało się chodzić środkiem koryta, tak jak robiła to ta kobieta. Poszukiwania zaprowadziły ją pod most i zniknęła Geraldowi z oczu. Nie martwił się; ona też go nie widziała, dzięki czemu miał mnóstwo czasu na zaplanowanie kolejnego ruchu, i kolejnego, i kolejnego.

Wrzucił bieg i zjechał gruntową drogą prowadzącą na skraj plaży. Zatrzymał się, zanim ubita ziemia zmieniła się w grząski, rzeczny piasek i manewrując ostrożnie, zawrócił samochód tak, by skierować jego przód z powrotem pod górę. Dzięki temu tył furgonetki otwierał się prosto na plażę, ułatwiając ładowanie, a gdyby przytrafiło się niespodziewane towarzystwo, można było szybko się stąd wynieść. Nie przejmował się, czy kobieta słyszała silnik. Trakt wyjeżdżony wzdłuż rzeki oznaczał, że czasami pojawiały się tu samochody, więc i ten raczej jej nie zaniepokoił. Poza tym pewnie była przygłucha. Rozbawiony tą myślą Gerald cicho prychnął przez nos.

Zaciągnął ręczny hamulec i wysiadł. Upewnił się, że niebieska zasłonka prysznicowa jest porządnie rozłożona na podłodze furgonetki i że paski do krępowania są pod ręką. Podniósł

kombinerki, które wypadły ze schowka w ścianie. Każda rzecz miała swoje miejsce. Kiedy już wszystko uporządkował, z małej skrzynki wyjął rolkę taśmy hydraulicznej, oddał piętnastocentymetrowy kawałek i lekko przykleił na froncie swojej koszulki bez rękawów, by mieć go pod ręką, kiedy będzie potrzebny. W końcu przymknął drzwiczki bez trzaskania.

Zatrzymał się jeszcze raz, by rozejrzeć się po nadrzecznych wzgórzach. Raptem kilka prefabrykowanych domów na jednym ze zboczy. Świetna miejscówka, jak na zamówienie. Tym razem nie będzie musiał się spieszyć z pakowaniem jej do furgonetki. Pogłaskał foliowy kwadracik przyczepiony do sznurka zawieszony na szyi i schował go pod koszulkę.

Jego gumowe klapki poślizgnęły się na drobnym żwirku pokrywającym stok, ale odzyskał równowagę. Założył tłusty kosmyk włosów za ucho i jeszcze raz poprawił ciuchy, by wyglądać w miarę przyzwoicie, kiedy będzie podchodził do swojej dziewczyny.

Kobieta nie zwracała na niego uwagi. Podnosiła kamień za kamieniem dłońmi w wielkich, ogrodowych rękawicach, oglądała je, niektóre wyrzucała, a niektóre chowała do wyblakłego, oliwkowego plecaka leżącego na większym głazie. To był dobry znak, że go ignorowała. Jeśli na niego nie patrzyły, wiedział, że trochę się boją. A strach zawsze dobrze wróżył.

Na jego oczach schyliła się i jedną ręką podniosła kamień, który wyglądał na dobre dwa kilo. Obróciła go parę razy, podrzucając w dłoni. Może jednak nie była taka stara?

Ale kiedy podszedł bliżej i zobaczył te oczy, wiedział, że to kobieta, której szuka; była dojrzała jak trzeba. Jej twarz nie była pomarszczona, z wyjątkiem paru fałdek spowodowanych pustynną suszą; linia żuchwy lekko zwiotczała. Gerald gwałtownie wciągnął powietrze, myśląc, jak to będzie, kiedy przejedzie nosem po tej żuchwie. Niewielki dekolt widoczny ponad guzikami koszuli był obsypany piegami. Była tak chuda i krucha, że zastanawiał się, czy nie połamię jej się biodra, kiedy rozłoży nogi. Fantazjowanie o pękających kościach znów go podnieciło. Kobieta zdjęła kapelusz i wytarła nim twarz. Włosy, które na pierwszy rzut oka z mostu wydawały się szpakowate, w pełnym świetle przedpołudnia zaśniły bielą.

Odbicie słońca w jej włosach przypomniało Geraldowi, jak cholernie jest gorąco. Przynajmniej ze czterdzieści stopni, może więcej. I bardziej wilgotno niż zwykle. Niemal czuło się parę buchającą z mokrego piasku. Geralda zaswedziała głowa; podrapał się po skądle i wydłubując brud spod paznokci, ostrożnie ruszył po twardniejącym mule koryta.

Kropla potu pociekła mu po wewnętrznej stronie uda. Ona też się pociła, trójkąt skóry widoczny w dekolcie dżinsowej koszuli błyszczał od wilgoci. Dziesięć stopni mniej, a byłoby o wiele przyjemniej. Większość jego kolegów po fachu robiła swoje w nocy, ale kiedy człowiek specjalizuje się w starszych kobitkach, trzeba korzystać z każdej nadarzającej się okazji. Wszystkie starsze panie były rannymi ptaszkami i kładły się spać z kurami.

Jego myśli na chwilę powędrowały daleko, do innych miejsc i innych kobiet. Kiedy wróciły, Gerald stwierdził zaskoczony, że kobieta na niego patrzy. Żadnego „cześć”, żadnego przyjaznego machania ręką – po prostu obserwowała go, nawet nie mrugając. W lewej dłoni trzymała kamień. Była tak nieruchoma, że aż ciarki przebiegły mu po plecach; nagle zapragnął się wycofać, zrezygnować. Ale przypomniał sobie, że tym razem w grę wchodzi coś więcej niż tylko satysfakcja.

Nagle wróciło wspomnienie dnia, kiedy jeden łobuz na szkolnym boisku zaczął się naśmiewać z jego nazwiska. Nazywali go Peasil Weasel, łasica. Gerald rozplakał się wtedy. A potem ojciec powiedział: „Ty naprawdę jesteś podstępny jak łasica”, ze zdumieniem, jakby właśnie odkrył, że nie jest ojcem własnego dziecka.

Tata miał rację, Gerald poczuł się o wiele lepiej, kiedy przyniósł do szkoły cegłę. Na boisku bez ostrzeżenia walnął tego łobuza w ucho ostrą krawędzią. Chłopak upadł, a Gerald

rzucił się na niego i tłukł go cegłą po twarzy raz za razem, masakrując kości i tkanki, dopóki ktoś go nie odciągnął. Wtedy dowiedział się, jak przyjemnie jest łamać kości.

Ten chłopak nie umarł. Długo leżał w szpitalu. Gerald miał trochę kłopotów, ale co mieli zrobić, wsadzić ośmiolatka do więzienia? Miesiąc później chłopak przyszedł do domu Geralda z ojcem; wciąż był odrutowany i pocerowany po rekonstrukcji twarzy. Mężczyzna chciał, by ojciec Geralda zobaczył, co Gerald zrobił z jego synem.

Pan Peasil wyraził szczerzy żal. Ale kiedy zamknął już drzwi, zwrócił się do Geralda i powiedział:

– Dzieciak jest wielki. Wygląda jak Frankenstein. – I uśmiechnął się. Gerald ujrzał w tym uśmiechu podziw i szacunek. I miłość.

Peasil Weasel nie pamiętał już, kiedy ostatnio płakał, i teraz nie zamierzał się wycofać tylko dlatego, że staruszka dziwnie na niego popatrzyła. A poza tym miał robotę do wykonania. Od tamtego dnia z podwórkowym łobuzem nauczył się zaprzyjaźniać z ludźmi. I o niebo udoskonalił technikę.

– Dzieńdoberek – powiedział. Ochota pociągnięcia się za jaja była nieznośna, ale wiedział, że to może podziałać zniechęcająco na początku znajomości.

– Dzień dobry. – Jej dźwięczne, starcze wibrato sprawiło, że mu stanął. Miała dziwny głos, nie piskliwy i z przydechem, jak większość staruszek, ale niemal tak niski i silny jak głos mężczyzny. Zerknęła na wzwód wypychający mu szorty. Jej głowa drgnęła bezwiednie, całe ciało jakby wzdrgnęło się lekko. Może od dawna nie widziała stójki. Może była podniecona.

– Wszystko u pani w porządku? – spytał Gerald. Zaczął nonszalancko wyginać w piasku brzeg gumowej podeszwy klapka, bujając stopą, by pokazać, że jest zrelaksowany. Chciał uspić jej czujność, dopóki nie podejdzie bliżej.

Spojrzała ukradkiem na prawo i na lewo od niego, przebiegła wzrokiem drzewa mesquite na brzegu rzeki, niemal jakby modliła się do nich o pomoc. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, kaszlnęła i w końcu zdołała wychrypieć:

– Wszystko dobrze. – Jej laska wierciła się nerwowo w piachu.

– Strasznie dziś gorąco, samo południe – ciągnął Gerald. – Może się pani odwodnić, zanim się pani obejrzy, a w pobliżu nikogo nie ma. – Mówiąc to, zbliżył się o krok, nie wprost, ale lekko na prawo, jak kojot okrążający ofiarę, by znaleźć najlepszy punkt do ataku.

Kobieta nie zaprzeczyła, że jest sama.

– Mam wodę w plecaku. – Wskazała plecak leżący nieopodal, po czym odwróciła głowę, by spojrzeć na most wznoszący się za nią, na samotne auto, które przejechało górą i oddalało się szybko. Zabawne, że większość z nich nie krzyczała o pomoc, jakby wołały zginąć, niż narobić sobie wstydu, gdyby się okazało, że się myliły. Nagle znów spojrzała na niego, jakby wystraszona, że spuściła go z oczu na zbyt długą chwilę. – Chciałabym wrócić do zbierania kamieni. Za pozwoleniem.

– O co chodzi z tymi kamieniami? – spytał Gerald, kręcąc głową i znów robiąc krok, tym razem trochę na lewo.

– Lubię kamienie.

– Jest pani... jak to się nazywa...

– Geologiem? – dokończyła kobieta. Znów stała absolutnie nieruchomo. Można było niemal wyobrazić sobie jej język, znieruchomiały w ustach po wypowiedzeniu ostatniej zgłoski.

Krok bliżej, lekko na prawo.

– Tak, geologiem – odparł.

– Nie... proszę mi dać spo... – Urwała w pół słowa, jakby wiedziała, że błaganie Geralda, by sobie poszedł, urealni to, co właśnie się działo. Jakby bała się spojrzeć w oczy własnej

bezbronności.

– No cóż, to fajnie. – Geraldowi nie najlepiej szły towarzyskie pogaduszki. Ale kiedy tak sobie gawędzili, wciąż podsuwał się bliżej, to w prawo, to w lewo, jak strumyki na piasku, żeby nie przestraszyła się i nie zaczęła wiać. Czasem nawet przez te całkiem dojrzałe musiał się nabiegać, a dziś było za gorąco na gonitwę.

Ta jednak, stojąca twardo na ziemi, czujna, a jednak niezdecydowana, z laską zaciśniętą w garści, pozwoliła mu podejść na jakieś trzy kroki. Ten jej spokój sprawił, że Gerald znów się zawahał. Ale nagle przypomniał sobie, że podobno strach czasem paraliżował ludzi. Ona właśnie tak wyglądała. Może po prostu uda się ją wziąć pod pachę jak tekturową figurę i zanieść do furgonetki. Gerald znów prychnął, rozbawiony. Później, kiedy będzie już unieruchomiona, będzie musiał jej powiedzieć ten żarcik.

Dłoń trzymająca kamień nagle zmieniła pozycję, poprawiła chwyt.

– To chyba ciężkie – powiedział Gerald. – Pomogę pani.

– Nie. – Przeciągnęła to słowo, przez co zabrzmiało jak „błagam”.

Był już dość blisko. Szybki jak koszar senny, zamknął dystans i wytrącił jej kamień z dłoni, żeby nie mogła mu go upuścić na stopę. Cofnął się parę kroków, by ocenić efekt.

Nie zareagowała; była tak nieruchoma, jakby sama była z kamienia. Pomyślał, że nie będzie miał żadnej frajdy, jeśli ona się nie przestraszy. Była jakaś opóźniona umysłowo, czy co? Gerald oblizwał wargi. Nigdy wcześniej nie miał nienormalnej. Może potrzebny był bardziej oczywisty sygnał. Pociągnął za sznurek na szyi, by wyjąć na wierzch przyczepiony do niego pakiecik z prezerwatywą. Nie żeby potrzebował prezerwatywy, bo przecież nikt nie znajdzie żadnych śladów; to miało je tylko przekonać, że nie zamierza im zrobić krzywdy. Kobieta przyjrzała się paczuszce leżącej teraz na jego koszulce.

Może teraz zrozumiała.

Jej źrenice rozszerzyły się.

– Dlaczego? – spytała i na jej twarzy pojawił się lęk, który miał pozostać już na stałe.

Gerald tylko stęknął z wysiłku, wykonując ostateczny wypad do przodu. Chwycił ją za nadgarstek i wykręcił ręce za plecy. Drugą dłonią oddarł taśmę hydrauliczną z koszulki i zalepił kobiecie usta.

Staruszka nieskutecznie machnęła na niego laską, tak naprawdę tylko kijem od szczotki, jaki można kupić w Home Depot, tak lekkim, jakby był z drzewa balsa. Kiedy wykonała zamach do tyłu i trafiła go w biodro, ledwie to poczuł. Wiedział, że pokonanie piętnastu metrów do furgonetki to najbardziej niebezpieczny moment. Gdyby teraz przejechał samochód i jego pasażer spojrzęły tu przypadkiem, zobaczyłyby szamotaninę. Ale ona była drobna i słabsza, niż mu się wydawało, kiedy widział ją podnoszącą kamień. Mogła co najwyżej zapierać się nogami, co też robiła z wielkim zapałem. Gerald uderzył ją z tyłu, pod kolanami, własnym kolaniem, żeby ją podciąć. Dzięki temu reszta drogi poszła szybciej.

Jeszcze jeden ostry kopniak kolaniem w bok i dała się wpakować do furgonetki, mnąc pod sobą zasłonkę od prysznic. Widział, że dostrzegła zaschniętą krew pod spodem. Taśma na ustach nie pozwoliła jej krzyknąć, kiedy skuliła się pod tylną ścianką. To dało Geraldowi chwilę na zamknięcie drzwiczek furgonetki; teraz jeszcze tylko musiał ją związać przed drogą do swojego domu koło San Manuel, jakieś czterdzieści pięć minut jazdy na północ.

Teraz, kiedy siedzieli już bezpiecznie w furgonetce – kobieta tak przerażona i zszokowana, że nie wpadła nawet na to, że ma wolne ręce i może odkleić taśmę z twarzy – Gerald przyjrzał jej się na spokojnie. Płócienny kapelusz został na plaży i kosmyki siwych włosów, które zauważył już wcześniej, spływały gęstymi, białymi falami niemal do ramion. Przez chwilę jedynym dźwiękiem w samochodzie był jej hałaśliwy oddech. Jakimś cudem

utrzymała swój kij i celowała nim w Geralda, nie wiedząc, że jest równie groźny jak pałeczka do chińszczyzny. Gerald wyciągnął rękę, wnętrzem dłoni do góry, i spojrzał jej w oczy.

– Oddaj mi laskę. No już, skarbie. Oddaj laskę. Nie zrobię ci krzywdy. Chciałem tylko schować się przed słońcem. Pogadać o kamieniach. – Gerald prychnął śmiechem, chwycił kij i nagle z sykiem wciągnął powietrze. Ostre ukłucie w dłoń kazało mu puścić laskę. Spojrzał zaskoczony na cięcie biegnące od nasady palca wskazującego aż do nadgarstka. Na jego oczach z rany zaczęła się sączyć krew. Skąd to się wzięło? Dla jego krwi nie było miejsca w scenariuszu tego, co miało się rozegrać w furgonetce. Z trudem umieścił krew w kontekście i nagle zorientował się, że to, co trzyma kobieta, to nie jest zwykła tyczka. Była to tyczka z ostrzem umocowanym na końcu: trójkątnym ostrzem z ostrą jak brzytwa krawędzią i spiczastym końcem.

Zobaczył krew, zanim poczuł ból, a zaraz po bólu przyszyła wściekłość, kiedy kobieta do połowy zerwała taśmę z ust i tę odsłoniętą połowę wykrzywił grymas.

Kobieta myślała. Przez tę wywalczoną chwilę, kiedy patrzyła, jak ból dociera do jego świadomości, jak jego mózg usiłuje ogarnąć absurdalny atak ofiary, którą jeszcze dwie minuty temu paraliżował strach, jak w jego oczach rozpała się wściekłość poprzedzająca kontratak, myślała.

Zaschnięta krew na podłodze furgonetki dowodziła, że nie była jego pierwszą. Gdzieś były ukryte ciała. Miała niepowtarzalną okazję potwierdzić to bez oglądania się na proceduralne ograniczenia przesłuchania w obecności adwokata. Ale on był silniejszy, niż sądziła w pierwszej chwili, i minęło już sporo czasu, od kiedy ostatnio poruszała się w taki sposób. Była trochę słabsza, miała trochę wolniejszy czas reakcji, a ciasne wnętrze furgonetki ograniczyło jej możliwości bardziej, niż to przewidywała. Nie powinna była dać się wciągnąć do samochodu: na tym polegał jej błąd.

Być może sprawy zaszły już za daleko, ale teraz nie było czasu się nad tym zastanawiać. W tej chwili czuła, jak czterdziestoletni trening odruchów włącza w jej ciele tryb walki albo...

Walki. Nie było dokąd uciekać.

31 lipca 2011, godzina 8.45

Czasami żalowałam, że byłam w życiu aż tyloma kobietami.

Było ich tak wiele: córka, siostra, glina, równa babka, kilka rodzajów dziwek, porzucona kochanka, idealna żona, bohaterka, zabójczyni. Powiem prawdę o nich wszystkich, o ile jestem w stanie mówić prawdę. Dochowywanie tajemnic wymaga takich samych umiejętności, jak mówienie kłamstw. Jedno i drugie staje się nawykiem, niemal nałogiem, który trudno przełamać nawet wśród najbliższych, wśród ludzi spoza Biura. Jest takie powiedzenie: nigdy nie ufaj kobiecie, która mówi, ile ma lat. Jeśli zdradziła ten sekret, zdradzi i twój.

Ja mam pięćdziesiąt dziewięć. Kiedy wstąpiłam do FBI, było bardzo niewiele agentek i Biuro to wykorzystywało. Naturalna blondynka, niecałe metr sześćdziesiąt, z ciałem dojrzewającej cheerleaderki przydaje się w wielu śledztwach, więc skwapliwie pominęli dla mnie kryterium wzrostu. Przez sporą część kariery pracowałam jako tajniaczka, grając głównie przynętę dla handlarzy żywym towarem i seksualnych drapieżników, przekraczających granice stanowe czy międzynarodowe.

Pracowałam tak przez dziewięć lat. Zwykle wystarczą cztery, żeby agent się wypalił czy stracił rodzinę. Ja nie wyszłam za mąż, nie miałam dzieci i mogłabym to robić jeszcze dłużej, gdyby nie wypadek, który wymagał usztywnienia na stałe paru kręgow. Mogło być gorzej: dobrze, że nie widzieliście, co się stało z koniem.

Operacja pozbawiła mnie sprawności wymaganej w tej pracy. Problematyczne stały się skoki z dachu na dach, unikanie pchnięć nożem, taniec erotyczny. Mogłam pójść na rentę, ale nie wyobrażałam sobie życia poza Biurem, więc drugą część kariery spędziłam w wydziale dochodzeniowym. A potem przeszłam na emeryturę.

Nie, to nie jest cała prawda. Pod koniec miałam drobne trudności z podejmowaniem decyzji. A dokładniej, niecałe sześć lat temu, już po tym, jak straciłam niedoświadczoną agentkę w akcji, zabiłam nieuzbrojonego przestępcę pod Turnerville w Georgii. W przeciwieństwie do tego, co widzicie w filmach, agenci FBI rzadko używają siły tak, by zabić. Bo to przynosi wstyd Biuru. Przypomnijcie sobie Waco czy Ruby Ridge^[1]. Co do samych agentów, nie ufa się im już tak bez reszty i obrona przestępcy może wykorzystać to w sądzie przeciwko nim, przedstawić ich jako drani, którzy podrzucają dowody albo naginają fakty, by pasowały do sprawy.

Było śledztwo przeprowadzone przez nasz wydział spraw wewnętrznych, Biuro Odpowiedzialności Osobistej, które oczyściło mnie, orzekając, że było to samobójstwo popełnione ręką stróża prawa. Proces cywilny, wytoczony przez krewnych tego zastrzelonego człowieka, potrwał dłużej i był bardziej kosztowny. To kolejna rzecz, której nie widuje się w filmach: że seryjny morderca ma dużą, kochającą rodzinę, a w niej kulawą siostrę, która uczy dzieci specjalnej troski i która zeznaje, że jej popieprzony brat był najmilszym człowiekiem na świecie.

Rodzina oskarżyła mnie, że go zastrzeliłam, bo się bałam, że nie zostanie skazany. Przegrali, ale wszystkim został po tym fatalny posmak w ustach. W tym momencie moja kariera dobiegła końca; zostałam przeniesiona do Oddziału Terenowego w Tucson, które rzekomo miało być uroczym miejscem, ale mnie dziwnie przypominało Syberię, tyle że gorącą. Nienawidziłam swojego przełożonego i wytrzymałam niecałe siedemnaście miesięcy, po których zdecydowałam

się przejść na emeryturę, na co wszyscy od początku mieli nadzieję.

No, teraz to jest cała prawda. Prawie.

Przez jakiś czas starałam się być szczęśliwą emerytką. Wstąpiłam do klubu czytelniczego, ale pozostałe członkinie zaczęły mnie ignorować, kiedy się zorientowały, że w życiu nie przeczytałam żadnej książki. Spróbowałam jogi za radą terapeuty, który powiedział, że to mi pomoże „kontrolować gniew”, ale zostałam wywalona z zajęć przez instruktorkę, która nie pozwoliła mi się napić wody w wilgotnej sali o temperaturze czterdziestu stopni. I to ja nie kontroluję gniewu? *Namaste* ci w dupę.

Co drugi dzień chodziłam na siłownię, żeby przynajmniej utrzymać kondycję, która zawsze była całkiem niezła i absolutnie niezbędna w mojej pracy. Musiałam być elastyczna, mieć możliwość improwizacji. Przeszłam szkolenie dla służb specjalnych pod okiem komandosa z Navy Seals, niejakiego Baxtera. To jego imię. Nazwiska nie pamiętam. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy, a Baxter był bardzo mądry jak na wyszkolonego zabójcę. Ilekroć wyobrażam sobie Baxtera z Navy Seals, widzę go, jak rzuca chamskie dowcipy o używaniu dekoltu jako broni. Baxter już nie żyje.

Jak się tak nad tym zastanowić, to chyba znam więcej martwych ludzi niż żywych, zupełnie jak ten dzieciak z filmu.

Ale wracając do mojej emerytury, wciąż czułam się, jakbym była tajniczką udającą Mocno Dojrzałą Kobietę z Południowego Zachodu. Gdy ktoś mnie pytał, czym się zajmowałam zawodowo, mówiłam, że ścigałam naruszenia praw autorskich. To zawsze ucinało rozmowę, bo każdy w jakimś momencie życia skopiował sobie chociaż jeden film.

Wciąż mam dar do znikania w dowolnym otoczeniu, do wtapiania się w tło i cieszę się, że wciąż mi się to udaje, choć dla kobiet w moim wieku to chyba najgorszy koszmar.

Oto, kim jestem. Właśnie to ukrywam przed sąsiadami, przed ukochanym mężem, poślubionym niemal dwa lata temu, i czasem przed samą sobą. Nikt nie lubi kobiety, która umie zabić gołymi rękami.

Więc, jak powiedziałam, emeryckie życie wychodziło mi bokiem, z wyjątkiem wykładów o buddyzmie na uniwersytecie, na które zapisałam się również za radą terapeuty. Tam poznałam Profesora. I niedługo potem przestałam odwiedzać terapeutę.

Wzajemna fascynacja była niemal natychmiastowa. Podczas pierwszego wykładu patrzyłam, jak pełen pasji doktor Carlo DiForenza chodzi w tę i z powrotem przed audytorium i wyklada niczym uwięziony tygrys, który zjadł dalajlamę. W połowie wywodu na temat cyklicznej natury karmy jedna z dziewcząt, ubrana w bluzkę, która wyciskała ją przez dekolt niczym pastę do zębów, złożyła przedramiona aż do łokci jak jakaś pensjonarka i powiedziała:

– Ach, czyli „dokądkolwiek zmierzasz, jesteś tam, gdzie jesteś”. – Profesor przestał chodzić i wyjrzał przez okno, mrugając. Nawet nie spojrzał na autorkę wypowiedzi. Tygrys, któremu przeszkodziło brzęczenie komara.

– Wbrew temu, co twierdzą naklejki na zderzakach – wycodziłam – to nie do końca prawda.

Carlo wreszcie odwrócił się w stronę słuchaczy i zlokalizował mnie wzrokiem. Jego uśmiech połaskotał mnie w łędźwiach.

– Słuchamy dalej – powiedział.

– Z mojego doświadczenia wynika, że na dogonienie samego siebie potrzeba mniej więcej roku, więc nie ma się czym przejmować, dopóki jest się w ruchu.

Znów zaczął mrugać. Spodziewałam się, że zostanę uraczona jakimś protekcjonalnym docinkiem. Ale jego uśmiech wrócił.

– Kim pani jest? – zapytał, kładąc nacisk na „kim”.

– Nazywam się Brigid Quinn – odpowiedziałam.

– Powinniśmy to omówić przy kolacji, Brigid Quinn.

Większość studentów zachichotała. Pasta Do Zębów przejęła się wyłącznie tym, że przegrała ze starszą kobietą.

– To chyba trochę nie na miejscu w trakcie kursu – powiedziałam.

– A co mi tam – odparł. – Po tym semestrze i tak idę na emeryturę.

W tamtych czasach zdobywał mnie o wiele bardziej agresywnie. A ja byłam z nim o wiele bardziej szczerą, dopóki nie zakochałam się w nim na pierwszej randce. Powspominam ją później, kiedy poczuję się trochę silniejsza.

Po niecałym roku wyszłam za Carla DiForenzę i przeprowadziłam się ze swojego mieszkania do jego domu na północ od miasta. Dom z widokiem na góry Catalina przez okna od tyłu urządzone zostały przez Zmarłą Żonę Carla w stylu mojej zwariowanej ciotki Josephine – wiecie, czerwone abażury z frędzlami i podrabiane belgijskie gobeliny przedstawiające jednorożce. W dużym ogrodzie od tyłu była naturalnej wielkości rzeźba świętego Franciszka, siedzącego na ławce. Ja w życiu nie urządzałam żadnego ze swoich domostw i to wszystko było w porządku, pasowało do osoby, którą chciałam się stać, jak fabrycznie dopasowany pokrowiec na kanapę.

Dom wyposażony był w parę Mopsów, które są czymś w rodzaju krzyżówki Petera Lorre'a z kielbaską. Psy podarowała Carlowi Jane, tuż zanim zmarła na raka przed pięciu laty; uważała, że opieka nad nimi da mu jakiś cel w życiu po jej śmierci. Wciąż mieliśmy zamiar nadać im imiona.

Ale najlepszą częścią tego pakietu był Carlo.

To – znaczy, małżeństwo – stało się tak szybko, że słyszałam w głowie matkę szepczącą jeden ze swoich komunałów: co nagle to po diable, ale ja wiedziałam, czego chcę. Może wciąż nie do końca wiedziałam, co właściwie dostałam, ale ten pośpiech oznaczał, że Carlo w ogóle nie wiedział, kim jestem. Nie czułam się z tym źle, bo nigdy nie znałam innego sposobu życia. Ktoś mógłby powiedzieć, że to nie jest dobry fundament dla udanego związku, ale ja odrobiłam lekcje: przemoc pozostawić w przeszłości i skupić się na nauczaniu się, jak być idealną żoną. Idealna żona: oto kobieta, którą teraz będę.

Carlo też się nie spieszył. Nauczył się nie podkradać do mnie i nie ścisnąć mnie od tyłu, i tylko delikatnie kładł dłoń na moim policzku, żebym wtulała się w nią, zamiast sztywnieć. Nigdy nie próbował wydobyć ze mnie powodów tych moich odruchów, tego instynktu walki lub ucieczki, i byłam pewna, że uznaje, iż lepiej tego nie wiedzieć. Powoli rozluźniałam się, uczyłam się mu ufać i życie było idealne z wyjątkiem tych chwil w środku nocy, kiedy przytłaczał mnie niepokój, kiedy moje serce zaczynało walić z nawykowego przerażenia, że on mnie zostawi, że stracę wszystko, co nareszcie znalazłam.

Przez ten pierwszy rok kochaliśmy się, chodziliśmy na spacer z Mopsami, uwodziliśmy się nawzajem do polubienia naszych ulubionych potraw (on sushi, ja hinduszczyzna), oglądaliśmy filmy (ja zaczęłam doceniać niezależne, trudne kino, a on wybuchające rzeczy) i zbieraliśmy kamienie.

Szczególnie lubiłam polowanie na kamienie. Są nie tylko ładne, ale też niezmiennie i możesz mieć pewność, że ci nie umrą. Moim ulubionym miejscem w okolicy do szukania kamieni była spokojna plaża niecały kilometr w dół od naszego domu, pod mostem, którym droga do Golder Ranch przekraczała rzekę. Letnia pora deszczowa – parę krótkich miesięcy ulew, podczas których pustynia dostawała swoje coroczne trzysta milimetrów wody – wypłukiwała skałki z otaczających gór i gromadziła je właśnie tam.

Tego dnia, o którym mówię, ostatniego dnia lipca, krótko przed tym, jak mój najgorszy

koszmar stał się rzeczywistością, poszłam na plażę sama, napchałam do plecaka dziesięć kilo wszystkiego, co miało wyjątkowe kolory, i ruszyłam z powrotem pod górę, trochę oszołomiona od czterdziestostopniowego upału, ale zadowolona z treningu.

Po chwili dostrzegłam nasz ogród na wschodnim skraju osiedla Black Horse Ranch. Jesteśmy tu dość świeżą anomalią, otoczoną przez prawdziwych mieszkańców pustyni. Ludzi posiadających konie. Ludzi warzących metamfetaminę w przyczepach kempingowych. Kiedy pada, czuje się koński nawóz, a przyczepy czasem wylatują w powietrze.

Czy to brzmi krytycznie? Po spędzeniu większości życia w miejskich mieszkaniach tak naprawdę kochałam tę wiejską okolicę, tak jak kocha się starego, niechlujnego wujka, który snuje niezłe wojenne opowieści. Kochałam zapach końskiego gnoju i ryk osła, od czasu do czasu dobiegający z nieznanego miejsca przy bezwietrznej pogodzie, i budzące wspomnienia szczekanie broni palnej z Klubu Strzeleckiego w Pima.

Ale, jak mówię, najbardziej kochałam Carla. Był wysoki jak Lincoln, miał lekki włoski akcent, rzymski, orli nos, smutne oczy Ala Pacino i uśmiech niegrzecznego chłopaka, klóący się z tymi oczami.

Kiedy wtargałam plecak do kuchni i wysypałam kamienie do zlewu, by je wypłukać, Carlo przygotowywał właśnie soczek dla kolibrów – mieszał z wodą jakiś proszek o kolorze truskawek. Sam z siebie, bez prośzenia, wywiesił karmnik na akacji w ogródku przed domem, żebym mogła obserwować kolibry z okna swojego gabinetu.

Widok Carla napełniającego karmnik dla mojej przyjemności sprawił, że... „serce wezbrało mi czułością” podobno jest wyświechtanym frazesem, ale uczucie jest dla mnie całkiem nowe.

To może się komuś wydać nietypowo silną reakcją na mężczyznę napełniającego karmnik. Jeśli prowadziliście stosunkowo spokojne życie, nie docenicie jego wartości i nie będzie ono dla was takim skarbem, jak dla mnie; nie zrozumiecie, jakie to uczucie dzień po dniu chodzić z tą pełną napięcia wibracją w piersi, jakbyście nosili w sobie strunę od skrzypiec, która właśnie została trącona, ale teraz milczy, bo zagrożenie przemocą dawno minęło.

Teraz żyłam w pokoju z człowiekiem tak łagodnym i wrażliwym, że pichcił zupkę dla kolibrów. Czy to brzmi pretensjonalnie? Mam to w dupie.

– Co tam masz dla mnie? – spytał, wlewając roztwór przez lejek do przejrzystego, plastikowego pojemnika. Jego niski głos i błysk w oku sprawiły, że pytanie zabrzmiało dwuznacznie.

– Tylko parę ładnych kamyków, Perfesorze. To ty mi powiesz, co tu mam.

Odwróciłam się do zlewu, do którego wrzuciłam kamienie, wypłukałam je jeden po drugim i ułożyłam mokre na czarnym, granitowym blacie, żeby Carlo mógł je obejrzeć.

Płukanie wydobyło żywe kolory: był jeden gładki, krwistoczerwony, jeden kremowy jak lody waniliowe, okrągły i w zielone ciapki niczym jajo dinozaura, srebrny poprzetykany czarnymi plamkami. Otworzyliśmy kolorowy atlas minerałów południowo-zachodnich Stanów, by sprawdzić, co mamy.

Carlo był takim samym geologiem, jak i ja. Zanim został profesorem filozofii i zanim ożenił się z Jane, odsłużył swoje jako rzymskokatolicki ksiądz. Ojciec doktor Carlo DiForenza potrafił tłumaczyć zagadnienia z filozofii lingwistycznej czy z religioznawstwa komparatywnego z taką łatwością, że rozumiałby to upośledzony małż.

Carlo i ja usiedliśmy obok siebie na taboretach przy śniadaniowym barku; pochylił swoje chude ciało nad kamieniami niczym żyrafa chroniąca młode. Jego cienkie palce łaskotały kamienie, kiedy podziwiał każdy z osobna.

– Konglomerat – powiedział Carlo, wskazując obrazek w książce. – Widzisz te kwarcowe

wstawki? Wyobrażam sobie tę potężną falę żaru zmieniającą granit w żupę, w której wymieszały się te wszystkie składniki. A potem spadek temperatury, który zespawał to w jedną masę, w której da się odróżnić każdy minerał. Przepiękny, Birgid. O, i znalazłaś jeszcze parę z inkluzjami miedzi.

Powierciłam się trochę i pochyliłam bliżej. Fala żaru, granit, zespawać, inkluzja – to było tylko moje wrażenie czy Carlo naprawdę opowiadał o miliardzie lat aktywności geologicznej, jakby to była noc gorącego seksu? A do tego kręciło mnie patrzenie, jak głaszczące te skały.

Geerotyzm zaczął działać na nas oboje. Przeszliśmy od głaskania kamieni do wzajemnego głaskania palców głaszczących kamienie, ja rzuciłam jakiś marny żarcik o skamieniałych częściach ciała, a potem zaczęłam lizać jego palce, a Carlo zaczął mruzczyć *bella, bella*, bo tak mnie nazywał, kiedy był w romantycznym nastroju i miałam gdzieś, czy robił tak, żeby niechący nie nazwać mnie Jane, bo w głębi serca wiedziałam, że w tym wypadku *bella* oznaczało mnie. Tak to idzie, kiedy człowiek ma za sobą kawał życia. Nie ma się co oszukiwać.

Nie przeszkadzało mu, że jeszcze nie wzięłam prysznic. Zsunęliśmy się z taboretów na jeden z pseudoperskich dywanów Jane. Tureckich. Orientalnych. Nieważne. I zaczęliśmy się całować. Ale Mopsy się gapiły, a poza tym kochanie się na podłodze nie miało już tego uroku, co kiedyś. Przeszliśmy do sypialni i zrzuciliśmy z łóżka satynową narzutę Jane, różową z błękitnym wykończeniem.

Seks był niesamowity, ale nie martwcie się, nie mam zamiaru wdawać się w szczegóły. Być może jesteście młodszy ode mnie i nie lubicie myśleć o kimś spoza waszego pokolenia uprawiającym seks. Być może dla was taki obrazek jest żenujący, wulgarny albo komiczny.

Żaden z tych przymiotników nie opisuje mnie i Carla.

Kiedy on zdrzemnął się po wszystkim, jak zwykle, zmęczony pożądaniem, ja podziękowałam mu w milczeniu, z głębi duszy, za to, że pozwala mi żyć w swoim normalnym świecie. Za to, że dał mi tę nową mnie, inną niż wszystkie kobiety, którymi byłam wcześniej.

Ale wdzięczność za terażniejszość nieodmiennie wiązała się ze wspomnieniami przeszłości, w której dostałam kilka lekcji życia. Jedną z historii, które nie dawały mi spokoju: Paul, łagodny wdowiec Paul od wiolonczeli i oliwy truflowej, od dwójki przedszkolaków ślicznych jak cherubinki. Paul, który zaczął się mnie brzydzić mimo wszelkich wysiłków. I odepchnął mnie tak delikatnie, jak umiał, choć był przekonany, że nie da się mnie skrzywdzić. Rozumiesz, Brigid? Kiedy wpatrujesz się w otchłań deprawacji, wcześniej czy później otchłań zaczyna się wpatrywać w ciebie. Mieszkałaś w otchłani tak długo, że już nigdy jej nie uciekniesz. Za bardzo się boję tam z tobą zamieszkać. Nie mogę na ciebie narażać moich dzieci.

Wciąż paraliżowała mnie myśl, że mogę zniszczyć swój związek z Carlem tak, jak zniszczyłam poprzedni, i pielęgnowałam w sobie postanowienie, że nie zrobię niczego, co mogłoby do tego doprowadzić.

Paul był ostatnim człowiekiem, z którym próbowałam być szczerą. Dwadzieścia dwa lata temu. Wciąż zadaję sobie pytanie, co kazało mi zostawić to zdjęcie z miejsca zbrodni na stole w kuchni. Nie spodziewałam się, że znajdą je dzieci.

9 sierpnia 2011, godzina 10.50

Paul miał rację: przeszłość nie umiera. Do licha, nawet nie dostaje zmarszczek.

Jakiś tydzień po epizodzie z geologicznym seksem siedzę zanurzona w głębokie poduchy kanapy Jane, obite lśniącym, brązowym brokatem, popijam kawę z pamiątkowego kubka z Wielkim Kanionem, przywiezionego przez Jane z którychś wakacji z Carlem, i zastanawiam się, czy trudno byłoby coś upiec. Jakieś ciastka, czy coś. Kiedy przeglądałam jedną z książek kucharskich Jane, poczułam jej zapach – miód i mąka – i przemknęło mi przez głowę pytanie, czyby mnie zaakceptowała. Nie po raz pierwszy oparłam się pokusie, by ten jeden, jedyny raz wejść w pocztę internetową, wpisać adres jane@tamtenswiat.com i zapytać ją o to.

Skrzywiłam się, kiedy moje rozmyślania przerwał dzwonek grający *Eine Kleine Nachtmusik*. Nienawidzę muzyki, ale nie udało mi się przeprogramować dzwonka.

Na ganku ujrzałam Maksa Coyote'a. Wiceszeryf Coyote był w połowie członkiem plemienia Pasqua Yaqui, a w połowie (ze strony matki) antropologiem z Uniwersytetu Columbii. Kiedy służyłam jeszcze w Biurze, pracowaliśmy razem przy paru sprawach. Max w odróżnieniu od większości policjantów nie uważał agentów FBI za kompletnych dupków i był jednym z powodów, dla których zostałam w tym mieście. Stał się dla mnie tak bliskim przyjacielem, na jakiego było mnie stać i nawet opowiedziałam mu o Paulu po zbyt wielu szklaneczkach crown royal, ale wiedziałam, że tym razem nie przyszedł z zaproszeniem na kolację.

Mopsy zaczęły złościć się i szczekać.

– Hej, no co wy, to tylko wujek Max – powiedziałam, otwierając siatkowe drzwi.

– Jest Carlo? – spytał Max, wchodząc i rozglądając się swobodnie, jak robi się to u dobrych znajomych, u których można sobie pozwolić na wścibstwo.

– Sprawdza ceny dżinu w Walgreen's. Przyszedłeś na pokera czy na filozofię?

Max i Carlo poznali się na domowej imprezie i przypadli sobie do gustu; może nawet byli lepszymi przyjaciółmi niż ja i Max. Schodzili się raz w miesiącu i uczyli się nawzajem wszystkiego, co wiedzieli o Bertrandzie Russellu i teksańskiej odmianie pokera. Max był całkiem niezły w złożonym myśleniu. Carlo ciągle przegrywał koszule.

Max nie odpowiedział od razu. Zatrzymał się, by pogłaskać oba wdzięczne Mopsy kciukiem między oczami, po czym odsunął na bok jedną ze zbyt błyszczących, liliowych poduszek, którymi obstawione było oparcie kanapy, i usiadł. Był w tym domu już wystarczająco wiele razy, by nie naśmiewać się z pawich piór Jane, wstawionych w orientalny wazon, ale podniósł książkę kucharską, którą przeglądałam, i powąchał płamę na przepisie na pudding chlebowy.

– Jak ci idzie gotowanie? – spytał.

– Wciąż zniechęcają mnie takie składniki jak crème fraiche – odparłam, odbierając mu książkę i zamykając z trzaskiem. Odłożyłam ją na stolik, ale coś w zachowaniu Maksa kazało mi pozostać na stojąco. – Dlaczego kluczysz?

Westchnął, zrobił smętną minę, ale był to jego typowy wyraz twarzy, więc jeszcze się zbytnio nie przejęłam.

Zbytnio. Jako osoba żyjąca w świecie, w którym nowiny zwykle są złe, zapytałam:

– Dlaczego chcesz wiedzieć, gdzie jest Carlo?

Skupiony, jakby miał jakąś misję do wypełnienia, znów zignorował pytanie. Położył dłonie na głowach Mopsów siedzących po jego bokach. Odniosłam dziwne wrażenie, że jest gotów użyć ich jako tarczy, gdybym czymś w niego rzuciła.

– Mamy w areszcie seryjnego mordercę – powiedział.

Robiłam w tym biznesie tak długo, że takie słowa wciąż budziły przyjemny dreszczyk z tyłu czaszki.

– Świetna robota. Kogo?

Mówił ostrożnie, niczym aktor uczący się roli.

– Kierowcę ciężarówki, niejakiego Floyda Lyncha. Patrol graniczny zatrzymał go dwa tygodnie temu jakieś sto kilometrów od granicy na Trasie 19. Jechał do Las Vegas z ładunkiem automatów wideo do pokera. Rutynowa kontrola, ale na posterunku mieli przypadkiem psa szkolonego w szukaniu zwłok, który znalazł w ciężarówce martwą kobietę.

– W przyczepie?

– Nie, przyczepa z automatami była czysta. Ciało było w kabinie. Na miejsce wezwano i szeryfa, i FBI.

– Zidentyfikowali tę kobietę?

– Jeszcze nie. Kierowca twierdzi, że to była nielegalna imigrantka.

Psów używa się do lokalizacji imigrantów, którzy nie dali rady przejść przez pustynię. Mój mózg pracował na zwiększonych obrotach. Nie rozumiałam, dlaczego on tu jest i mówi mi o tym po swojemu, bez pośpiechu, a ja go nie poganiam.

– Coś sobie przypominam, chyba widziałam materiał w wiadomościach. Sprawa szybko ucichła.

– Powiedzmy, że FBI się o to postarało.

– Ale to było dwa tygodnie temu.

– FBI przejęło przesłuchiwanie tego człowieka.

– Wcześniejsze wyroki?

– Zero. Nie dostał nawet mandatu.

– Chcesz dietetycznej coli? – Przeszłam przez wielki, otwarty pokój do aneksu kuchennego i wyjęłam z lodówki dwie puszki, nie czekając na odpowiedź. – Zakładam, że jesteś tutaj, bo ofiara ma coś wspólnego ze mną.

Milczał przez chwilę, a potem i tak nie odpowiedział na moje pytanie.

– Z ofiary nie można było wiele wyciągnąć. Ciało było zmumifikowane.

– Robi się coraz dziwniej. Bardzo śmierdziało?

– Nie.

Skinęłam głowę. Zanim zamknęłam drzwi lodówki, zapisałam sobie w mózgu, że trzeba dokupić selera.

– Przyznał się, że ją zabił?

– Nie od razu. Twierdził, że znalazł ciało na poboczu, że było byle jak ubrane, buty ktoś już zdążył ukraść. Nielegalna, która nie przeżyła drogi przez pustynię. Powiedział, że tylko go używał.

– Używał. Paskudna sprawa. – Wciąż nic mi nie wyjaśniało, dlaczego Max tak zwlekał z powiedzeniem, o co chodzi. I dlaczego w ogóle mi o tym mówił. To powinna być co najwyżej rozmowa telefoniczna w chwili nudy, a nie umyślna wizyta. Zaczął mnie mrowić nerw z boku szyi. Podałam jedną colę Maksowi i otworzyłam drugą, ale wciąż jakoś nie mogłam usiąść.

– Jak na razie nie ma tu żadnego seryjnego mordercy, Max. Mamy jedną ofiarę i człowieka, który się wypiera, że ją zabił. – Nie musiałam mówić Maksowi, że to podchodzi zaledwie pod występek czwartej kategorii. Profanacja zwłok. Krótka odsiadka. – Nie chcę wyjść

na egocentryczkę, ale, do diabła, co to ma wspólnego ze mną? – Napiłam się łyżeczek coli.

– Kiedy technicy przeszukiwali ciężarówkę, znaleźli schowek z albumami wycinków i z pamiętnikami. – Max zaczął ważyć słowa jeszcze staranniej niż przed chwilą, jeśli to w ogóle było możliwe. – I z pocztówkami.

Trochę coli chlapnęło na dywan Jane, kiedy drgnęła mi ręka.

– Były zaadresowane? – spytałam.

Pokręcił głową. Ja wzruszyłam ramionami.

– Wiele osób kupuje pocztówki. Nawet kierowcy ciężarówek.

Max wziął głęboki wdech i powiedział:

– Wszystkie pamiętniki dotyczyły morderstw na Drodze 66.

Droga 66, największe dochodzenie w sprawie seksualnych mordów w mojej karierze.

Dochodzenie, którego nie udało mi się zamknąć. Dochodzenie, podczas którego straciłam młodą agentkę: stała się ostatnią znaną ofiarą mordercy. I jedyną, której nie odnaleziono. Nie chciałam zadawać oczywistego pytania, choć na odpowiedź czekałam od siedmiu lat. Zamiast tego powiedziałam więc:

– Fan. Ten, ten... jak mu tam?

– Floyd Lynch.

– Może być fanem. – Nawet seryjni mordercy mają fanów. Świat celebrytów w najgorszej odsłonie.

– Te pamiętniki naprawdę sugerowały, że to on. Znał mnóstwo szczegółów. Nazwiska ofiar.

– To było w mediach.

– Wszystkie zapiski były w stylu „przeciąłem jej ścięgno Achillesa, żeby nie mogła uciec, zgwałciłem ją, a potem dusiłem powoli, aż poczułem, że pęka kość w jej gardle...”

– To wszystko też było w wiadomościach. Mógł fantazjować, niejako przywłaszczyć sobie te czyny.

– „...odciąłem jej prawe ucho”.

To wysadziło w powietrze moją kleconą na poczekaniu teorię. Tylko śledczy wiedzieli, co było trofeum mordercy. I nikt nigdy nie znalazł żadnego z tych uszu.

– To utrzymaliśmy w tajemnicy – przyznałam.

– Tak też mi powiedzieli. – Max, coraz bardziej nerwowy, poprawił się na kanapie i odchrząknął. Zmiękczył i złagodził ton, żeby mnie uspokoić. Nie cierpię, kiedy ludzie to robią. To nigdy nie jest dobry znak. – A potem, Birgid, kiedy technicy powiedzieli George’owi Manriquezowi, waszemu patologowi...

– Wiem, kto to jest George Manriquez.

– ...o pamiętnikach, zebrał wszystkie fakty znane w sprawie i wziął je pod uwagę przy badaniu zwłok znalezionych w ciężarówce. Mimo mumifikacji stwierdził pęknięcie kości gnykowej, przecięte ścięgno Achillesa, brak prawego ucha. Było wszystko. Cały MO^[2].

– U mumii z ciężarówki – upewniłam się.

Max skinął głową.

– Dokładnie jak u ofiar z Drogi 66.

Nie będąc w stanie wymyślić żadnego innego wytłumaczenia, zadałam wreszcie pytanie; serce biło mi z lęku przed odpowiedzią.

– To ona? Max, czy ta mumia z ciężarówki to ona?

Jego odpowiedź przyniosła mi zarazem ulgę, jak i rozczarowanie.

– Nie. To nie jest ciało Jessiki Robertson. Przynajmniej tak twierdzi Lynch.

– Och – odetchnęłam. Było to mizerne, puste, ledwie słyszalne och. Byliśmy tak blisko

znalezienia jej po tych wszystkich latach, a jednak jej tam nie było. Podeszłam chwiejnie do fotela stojącego naprzeciwko kanapy i osunęłam się nań, kiedy nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Widząc to, Max dodał pospiesznie:

– Ale mów, że może nas do niej zaprowadzić.

Nawet po tej informacji nie ufałam temu, co słyszę.

– Przyznał się do tego tak po prostu?

– Przymknęli go i zaproponowali dożywocie.

– Skurwiel poszedł na ugodę. – Struna od skrzypiec, której nie czułam od dawna, zawibrowała mi w piersi i poczułam, że wzbiera we mnie gniew. – Gdzie ona jest? – Byłam już gotowa sięgać po torebkę.

– Rzekomo w jakimś opuszczonym samochodzie. Przy starej drodze na górę Lemmon.

– Ktoś już poinformował jej ojca?

Nie wiem, jakiej reakcji oni wszyscy spodziewali się po mnie. Max wypełnił swoją misję i widząc, że nie zaczęłam świrować, rozluźnił kręgosłup i pozwolił się odrobinę wessać miękkiej kanapie.

– Spokojnie. Czekamy z tym na weryfikację, ale tobie trzeba było powiedzieć na tym etapie. Mam na myśli twój udział w tej historii. Rozmawiałem z agentką prowadzącą sprawę. Znasz Laurę Coleman?

– Poznałam ją, kiedy odsiadywałam wyrok w oddziale w Tucson. Zdawało mi się, że zajmowała się oszustwami.

– Po twoim odejściu przeszła do wydziału zabójstw. Uznała, że powinniśmy zawiadomić ciebie i ściągnąć Davida Weissa.

– David Weiss już wie?

Widocznie w moim głosie znów dała się wyczuć nerwowość, bo Max z trudem wy dobył się z poduch oparcia, wyprostował plecy i wrócił do uspokajającego tonu.

– Tak. Był profilerem w tej sprawie, więc przylatuje dzisiaj, żeby przeprowadzić test poczytalności. Chcemy mieć wszystko pozamiatane, żeby Lynch na pewno dostał dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego.

– Chcę jechać na miejsce porzucenia zwłok – oznajmiłam.

Zanim jednak Max zdążył odpowiedzieć, usłyszałam otwieraną bramę garażową i Mopsy wystrzeliły z kanapy, żeby przywitać pana. Niski głos Carla niczym herold normalności pierwszy pojawił się w kuchni.

– Kotku! Tanqueray był o dziesięć dolarów droższy niż U Sama, więc kupiłem tylko parę innych rzeczy, śmierdzące dla psów i salami. – Zatrzymał się na widok mnie i Maksa, wpatrujących się w niego, jakbyśmy zostali przyłapani na jakichś tajemniczych sprawkach. Bo w pewnym sensie tak było.

– W Walgreen's mają salami? – spytałam.

– Cześć, Max – rzucił Carlo.

– Hej, Carlo.

– Coś się stało? – spytał Carlo.

Max otworzył usta, ale go ubiegłam, przechodząc w tryb normalności dla dobra Carla. To był odruch bezwarunkowy.

– Wszystko jest w porządku, kotku. Max właśnie mówił, że potrzebuje sesji pokera i filozofii.

10 sierpnia 2011, godzina 6.30

Przed Jessicą było pięć morderstw. Wszystkie dziewczyny miały od osiemnastu do dwudziestu trzech lat, ich nagie ciała pozostawiane były w upokarzających pozach wzdłuż drogi stanowej nr 44, zwanej kiedyś Drogą 66. Wielu podróżników kręciła myśl o przejechaniu autostopem słynnej trasy z Chicago do LA, która była trochę jak szlak przez Appalachy, tyle że wyasfaltowany. Dziewczyny zamordowane na przestrzeni pięciu lat nie dotarły do końca, by móc się pochwalić przed znajomymi.

Morderca działał między Amarillo w Teksasie i Flagstaff w Arizonie i zabijał tylko jedną ofiarę każdego lata. Tak spędzał wakacje.

Było jasne, że wszystkie pięć ofiar zamordował ten sam sprawca, bo jego MO był bardzo charakterystyczny. Przecinał im ścięgno Achillesa, żeby nie mogły uciec, gwałcił je (w prezerwatywie, żadnego DNA), dusił powoli i już po śmierci odcinał im prawe ucho jako pamiątkę, dzięki której mógł później od nowa przeżywać to wydarzenie. W końcu porzucił zwłoki na innej drodze, innej nocy, tak żebyśmy je znaleźli – czasami kilka kilometrów od prawdopodobnego miejsca porwania, czasami nawet sto pięćdziesiąt kilometrów dalej. Część informacji utajnił przed mediami, by móc odróżnić naśladowcę czy fałszywe przyznanie się do winy kogoś, kto chciał odpokutować za inny grzech albo przypisać sobie sławę bez odwalania mokrej roboty. Było kilku takich, ale choć znali niektóre szczegóły, nie wiedzieli wszystkiego. Dlatego zadawałam Maksowi te wszystkie pytania na temat Lyncha. Do tej pory jeszcze nikt nie powiedział nam o uszach.

Samochody, z których korzystał morderca, za każdym razem wypożyczone były na inne nazwisko i porzucane w jakimś miejscu odległym od zwłok. Kiedy znajdowaliśmy samochód, od razu było wiadomo, że to miejsce zbrodni; na podłodze pod przednim siedzeniem pełno było krwi, bo tam przecinał ofiarom ścięgno Achillesa; na tylnym siedzeniu, również zakrwawionym, gwałcił je i odcinał uszy.

Te morderstwa stały się moją obsesją – często dzieje się tak w sprawach seryjnych morderców. Po drugim przez cały rok w zasadzie nie mogłam myśleć o niczym innym, a kiedy zbliżało się każde kolejne lato, czekałam na kolejne polowanie pełna lęku, że zginie kolejna ofiara, ale i nadziei, że morderca zostanie złapany.

Możecie sobie gadać do woli, że zawodowcy nie powinni angażować się emocjonalnie. Ale nie dowiecie się, co to prawdziwa obsesja, dopóki nie zostanie porwany ktoś z waszych. Nie poczujecie, co to śmierć, dopóki to nie będzie ktoś bliski.

Pomijając nawet chory kręgosłup, który zdyskwalifikował mnie jako tajniczkę, byłam zwyczajnie za stara, żeby przekonująco udawać autostopowiczkę. Ale Jessica, świeżo po Akademii, drobna jak ja, mogła uchodzić za czternastolatkę na gigancie. Sama ją szkoliłam. Ja i Weiss. We dwójkę nauczyliśmy ją, jak rozpoznać drania i obronić się przed nim. Tego lata wmówiłam sobie, że jest gotowa zabawić się z ogniem. Ale czy naprawdę była? Czy może tylko za bardzo chciałam złapać tego faceta?

Następnego ranka uszmiłkowałam się. Co za absurd.

Carlowi musiałam powiedzieć, że wybieram się tylko na przejażdżkę z Maksem, na jego zaproszenie. Kiedy więc o wpół do siódmej przed domem zatrzymały się bardzo oficjalnie

wyglądające pojazdy, Carlo, co zrozumiałe, zrobił bardzo powątpiewającą minę. Wzięłam swoją laskę do chodzenia po górach i typową na południowym zachodzie wielką torebkę, w której spokojnie można by przemycić Meksykanina, ale zwykle służyła mi tylko do noszenia paru butelek wody. Dałam Carrollowi przyzwyczajonego, publicznego całusa i ruszyłam podjazdem na ich spotkanie.

Wysoka dziewczyna w ciemnym, standardowym garniturze FBI, mimo wściekłego upału, wysiadła z miejsca pasażera w środkowym samochodzie niczym modliszka rozkładająca kończyny. Przedstawiła się. Miała mocny uścisk dłoni i przenikliwe spojrzenie, które każe ci podejrzewać, że jest coś, o czym jeszcze nie wiesz.

– Agentka Laura Coleman, prowadzę tę sprawę – powiedziała. – Bardzo mi przyjemnie panią znowu widzieć, agentko Quinn. – To miło, że nazwała mnie agentką Quinn, choć nie pełniłam już służby. Jako dodatkowy przejaw szacunku, czy może widząc, że wzięłam laskę na wędrowkę po trudnym terenie, otworzyła mi tylne drzwiczki samochodu. Może dlatego, że ja wybrałam na tę wyprawę bojówki w kolorze khaki i bawełnianą bluzkę z krótkimi rękawami i dlatego, że temperatura przekroczyła już trzydzieści stopni, ona sama trochę odpuściła i zdjęła marynarkę, zanim wsiadła z powrotem.

Samochód za nami to była furgonetka techników kryminalistycznych. Samochód przed nami wiozł Floyda Lyncha. Wiedziałam, że nie powinnam, ale nim wsiadłam do dzipa, podeszłam do pierwszego auta z konstabłem U.S. Marshals^[3] za kierownicą. Okienko od strony pasażera zjechało w dół, wysunęła się ręka.

– Royal Hughes, obrońca z urzędu – przedstawił się jej właściciel.

– Domyśliłam się. Brigid Quinn.

Hughes błysnął zębami w zadowolonym, metroseksualnym uśmiechu, odrobinę przygaszonym ze względu na okoliczności.

– Wiem – odparł.

Urocze.

Z tyłu, za szybą bezpieczeństwa, skuty i w pomarańczowym, więziennym stroju, siedział Floyd Lynch. Szczupłe, ale sflaczałe ciało, kręcone kasztanowate włosy, zadarty nos i małe, bolszewickie okulary. Przed czterdziestką, ale zużyty. Wyglądał bardziej na księgowego niż na seryjnego mordercę, ale tak się zawsze mówi, prawda? Jeśli nie liczyć tych gadzich, beznamiętnych oczu, których wyrazu nie zamaskuje żadna dawka chłopięcego uroku – jeśli tylko wie się, czego szukać. Spojrzała na mnie patrzącą na niego przez szybę, jakby był węzem w zoo, równie ciekaw mnie jak ja jego. Nagle jego usta wykrzywił niewyraźny, pseudoskromny grymas; skinął mi głową, po czym odwrócił wzrok. Kusiło mnie, żeby zapukać w szybę, ale wyczułam, że moja bliskość trochę denerwuje dwóch mężczyzn z przodu, więc się powstrzymałam.

W tej chwili wiedziałam już, że zabił w sumie siedem kobiet, z tą w jego ciężarówce włącznie. Torturował je i gwałcił, i patrzył w ich oczy, pozwalając im mieć nadzieję na życie, kiedy dusił je powoli. A teraz miał nam pokazać ostatnią odsłonę swojej zbrodni. I przez ten drobny gest, przez to, że zaprowadzi nas w miejsce porzucenia ciała, nie zapłaci uczciwie za ból, który zadał ofiarom i ich bliskim. Jessica Robertson zostanie użyta jako bilet, którym Lynch wykupi się od kary śmierci. Ona straciła życie, a ten gnój coś za to zyska. Byłaby o to wściekła i ja też byłam.

Chciałam, żeby Floyd Lynch umierał sześć razy, powoli i boleśnie, ale ta wycieczka miała zapewnić sukinsynowi dożywocie zamiast śmierci i widać było, że jego zdaniem to niezły interes. Wyobrażałam sobie, że przykładam lufę pistoletu do szyby i patrzę, jak szkło wbija się w jego twarz razem z kulą. Często wyobrażam sobie różne rzeczy. Ta fantazja chwilowo ostudziła moją bezradną wściekłość na niesprawiedliwość naszego systemu prawnego.

Max wystawił głowę z okienka dżipa i kiwnął w stronę otwartych tylnych drzwiczek.

– Chodź, Brigid, klima się marnuje.

Wsiadłam i nagle okazało się, że na tylnej kanapie obok mnie siedzi Sigmund, znany również jako doktor David Weiss. Spojrzeliśmy na siebie. Nie wiem, co on zobaczył, ale sam przez te pięć lat, od kiedy odeszłam z waszyngtońskiego oddziału, trochę się postarzał. Brodę miał szpakowatą i przydałoby się przyciąć włosy w uszach. Pierś złała się z brzuchem i musiał przejść na większy rozmiar koszul. Reprezentował to, co najlepsze i to, co najgorsze w mojej pracy w Biurze: wszystkie moje koszmary i najbardziej zażyłą przyjaźń, na jaką było mnie stać.

Miotana emocjami przez to, co mieliśmy dzisiaj zobaczyć, miałam ochotę udusić go w objęciach. Ale okoliczności i towarzystwo na to nie pozwalały, więc tylko zapięłam pas i powiedziałam spokojnie i cicho:

– Miło cię znów zobaczyć, Sig.

Jego oczy zabłyśły jakby z odległości miliona lat świetlnych – zawsze przywodziły mi na myśl gościa spoza Ziemi, który uważa nas za urocze istoty. Widziałam, że rozumie, co czuję, ale i on był ostrożny z wyrażaniem współczucia czy sympatii, wiedząc, że to jedyna rzecz, jakiej nie zniosę.

– Cześć, Osa – powiedział i już samo użycie naszych ksywek kazało mi odwrócić wzrok. Pochyliłam się w stronę przednich siedzeń.

– Trzyczęściowy nie jedzie z nami? – spytałam Maksa.

– Nie ma kamer – odparł Max.

Agent dowodzący Oddziałem Terenowym w Tucson nazywany był Trzyczęściowym przez swój upór w noszeniu garnituru z kamizelką do połowy lat dziewięćdziesiątych, a poza tym chyba nie dostał okólnika, że poduszki na ramiona wyszły z mody. Rzucone przez Maksa „nie ma kamer” odnosiło się do jego powszechnie znanego parcia na szkło; facet wyczuwał celuloide nosem i pokazywał się tylko tam, gdzie były ekipy telewizyjne.

Siedziałam za Coleman, więc nie widziałam, czy reagowała na te nasze drwiny z jej szefa. Max wrzucił bieg i nasz mały, makabryczny kondukt ruszył w stronę Łańcucha Samaniego w górach Catalina.

10 sierpnia 2011, godzina 8.00

Z miejsca, gdzie mieszkamy, do szczytu góry Lemmon jest jakieś półtorej godziny jazdy, pod warunkiem że jedzie się ładną asfaltówką po południowej stronie. Dotarcie do naszego celu przy starej bocznej drodze od północy, pełnej dziur i wybojów, trwało dłużej. Na trasie 79, którą objeżdżaliśmy Łańcuch Samaniego, by dostać się na starą drogę, Coleman milczała. Nie odnosiłam wrażenia, że jest nadąsana – raczej spięta i nerwowa. Sigmund też milczał, ale bardziej swobodnie, podziwiał sobie szorstkie piękno gór i pustyni za szybą. Ja nazywałam w głowie, co się dało: drzewa mesquite i opuncje, feroakтусy zwieńczone wściekle różowym kwiatem wielkim jak pięść, zielone „laski Jakuba” z czerwonymi kwiatami przypominającymi pejczy, kaktusy saguaro z czapami białych kwiatów. Jeszcze rok temu nie znałam nazw tych wszystkich roślin – na ostatnie urodziny Carlo kupił mi atlas arizońskiej flory i lornetkę.

Usiłowałam nawiązać luźną pogawędkę z Makssem i Laurą Coleman, bez większego sukcesu, więc w końcu skierowałam rozmowę na miejsce zbrodni, bo tak naprawdę wszyscy chcieliśmy o tym rozmawiać.

– Ty widziałeś ten samochód, o którym mówi Lynch? Jak się tam znalazł? – spytałam Maksa.

W odróżnieniu od większości z nas Max nie jest elementem napływowym.

– Kiedy byłem w liceum, pójście tam w nocy było czymś w rodzaju inicjacji. Nikt nie wiedział, jak i kiedy samochód został tam porzucony. Wygląda na to, że wypadł z drogi i zjechał jakieś dziesięć metrów do wąwozu, nie wywracając się. Kierowcy nie odnaleziono. Siedziało się dookoła i opowiadało straszne historie o kierowcy, który wróci po swój samochód. Piło się piwo, popalało trawę. Tyle wiem.

– I nikt nigdy nie zajrzał do środka? – spytałam.

– Oczywiście, że zaglądaliśmy. Nawet siadaliśmy w środku. Ale to było ponad dwadzieścia lat temu. Dzieciaki przestały tam chodzić, zajęły się gramami komputerowymi. Łatwo sobie wyobrazić, że nikt nie zajrzał do tego złomu od piętnastu lat.

– Na kogo był zarejestrowany?

– Nie pamiętam nazwiska, to nie był człowiek z Arizony, i, jak mówiłem, nigdy go nie znaleziono, żywego ani martwego. To taka miejscowa tajemnica.

W tej chwili droga zrobiła się wyboista. Coleman próbowała powiedzieć coś o Floydzie Lynchu, ale musiała przerwać, żeby nie przygryźć sobie języka. A ja pożałowałam, że nie wysikałam się jeszcze jeden raz przed wyjściem z domu.

Właściwie wszyscy prawie się nie odzywaliśmy, tłukąc się pod górę, gdzie klimat był nieco łagodniejszy, a krajobraz zaczęły urozmaicać sosny zamiast odpornej na suszę roślinności dolin.

W jakichś dwóch trzecich drogi na szczyt Coleman wskazała samochód przed nami i powiedziała, że Lynch unosi skute ręce i gestykułuje. Po dwóch sekundach wszystkie trzy auta stały już rzędem na wąskim prawym poboczu.

Technicy jadący za nami z typową dla siebie sprawnością zaczęli wyładowywać z furgonetki jakieś niewielkie sprzęty i dwa worki na zwłoki, a do tego nosze, by móc wynieść szczątki z wąwozu. Reszta z nas patrzyła w dół i czekała. Lynch tłumaczył Coleman, że poznał

miejsce po kaktusie saguaro z ośmioma długimi odgałęzieniami sterczącymi na wszystkie strony i po wystającej skale przy drodze.

Max przedstawił mnie i Sigmunda konstablowi Axelowi Phillipsowi w wielkich buciorach i z wielką giwerą. Phillips odpowiedział grzecznie, ale nie podał nam ręki. Widać było, że nie spuszcza oka z Lyncha, wykonuje swoją robotę. Kiedy technicy podeszli do nas ze sprzętem, rozpoznałam starszego, z którym spotkałam się już kiedyś przy jakiejś sprawie, Benny'ego Cassela. Młodszy, pracujący pod kierunkiem Benny'ego, przedstawił się jako Ray Jakiśtam. Trudno mi było skupić się na kimkolwiek prócz Lyncha, ale czułam, że Sigmund mnie obserwuje.

Zejście do wąwozu było strome i całe szczęście, że miałam laskę; dzięki temu mogłam delikatnie odrzucić pomoc Maksa, który próbował mi podać rękę, kiedy poślizgnęłam się na kamieniu. Lynch poprosił konstabla o rozpięcie kajdanek, ale Phillips odmówił. Poprawił sobie tylko karabin na ramieniu, by w razie konieczności łatwiej zastrzelić konwojowanego. Miałam nadzieję, że broń jest zabezpieczona, bo konstabl z trudem trzymał się na nogach.

Max szedł pierwszy, za nim Floyd Lynch, z łokciami sterczącymi na boki dla równowagi, a za Lynchem Phillips. Ci trzej wytyczali drogę na dół. Za nimi szli Benny i Ray, a dalej ja, Coleman i Hughes, mniej więcej gęsiego. Pochód zamykał Sigmund, jakby chciał mieć na oku nas wszystkich. W końcu jedno po drugim zatrzymaliśmy się na dnie i przekonaliśmy, że samochód musiał zjechać z drogi przynajmniej trzydzieści lat temu. Phillips przyznał, tak jak Max, że wiedział o tym wraku – wiedział o nim każdy, kto wychowywał się w okolicy i jechał tą drogą, ale wszystko wskazywało na to, że od dawna nikt do niego nie zaglądał.

– Pamiętam, że tu było pełno śmieci, które zostawialiśmy po sobie – powiedział Phillips.
– Ktoś tu chyba posprzątał.

Patrzyłam na samochód, dodge'a darta z lat siedemdziesiątych, z lakierem dawno zdartym przez burze piaskowe i słońce. Powtarzałam sobie w głowie: to jest dowód, to tylko dowód, ale ciągle coś szeptało mi w mózgu: przez te wszystkie lata, kiedy jej szukałaś, ona była tutaj.

Nawet z bliska niewiele było widać przez warstewkę kurzu pokrywającą szyby. Benny wyjął z torby aparat cyfrowy i zrobił zdjęcia ze wszystkich stron. Potem on i Ray założyli lateksowe rękawiczki i za przyzwoleniem Coleman, która skinęła im głową, spróbowali otworzyć drzwiczki kierowcy.

Lynch wskazał jedną ręką, ale że był skuty, druga podjechała do góry jak ręka marionetki pociągnięta tym samym sznurkiem.

– Ona jest...

– Pozwól im robić swoje – powiedziała Coleman.

Drzwi uchylły się ze zgrzytem na parę centymetrów, po czym utknęły. Ray, klnąc pod nosem, na polecenie Benny'ego wdrapał się na górę, do furgonetki, i wrócił z puszką WD-40. A my czekaliśmy z poczuciem bezużyteczności.

Ray popsikał zawias przez szparę, trochę rozruszał drzwi, znów popsikał. Drzwi pojazdu zamkniętego od tak dawna w końcu ustąpiły z jękiem. Czułam, że wszyscy zeszytnieliśmy, ale choć podświadomie spodziewaliśmy się wszechogarniającego smrodu rozkładu, nie było go. Wnętrze samochodu zalatywało jak podomka babci, schowana bez prania po jej śmierci. Zapach nie był nieprzyjemny, tylko po prostu bardzo ludzki.

Przednie siedzenie było starego typu, z czasów sprzed foteli kubełkowych: długa kanapa, nierozdzielona dźwignią biegów, która sterczała z kolumny kierownicy. Pełne było czegoś, co wyglądało na stare śmieci. Zmięte gazety, szmaty, sporo puszek po piwie, które dodawały scenerii własnego aromatu. Benny pstryknął kolejne zdjęcia.

– Teraz wiemy, gdzie podziały się śmieci – powiedział Max.

Benny i Ray wyjęli z kieszeni worki i zaczęli usuwać śmieci z auta z taką ostrożnością, jakby byli archeologami na wykopaliskach. My wciąż czekaliśmy w milczeniu. Ray przeszedł na drugą stronę, zsuwając się odrobinę po bardziej stromej pochyłości, nad którą wisiał samochód, i z niemalym wysiłkiem otworzył drzwiczki pasażera, by dostać się łatwiej do tamtej strony.

Kiedy tak pracowali, Lynch stał milczący, trochę z boku, oddychając płytko, a jednak spięty – kojarzył mi się z diabełkiem z pudełka, skulonym w ciemności, by wyskoczyć po otwarciu wieczka. Błądził oczami po naszej grupce, nie poruszając głową, jakby nie chciał, byśmy wiedzieli, że patrzy. Zauważyłam, że zatrzymał wzrok na Sigmundzie. Być może zastanawiał się, kto to jest i co tu robi. Sigmund popatrzył na niego, jak patrzyłby na coś rozmazanego na szkiełku mikroskopowym, po czym znów zajął się obserwowaniem działań w samochodzie.

Po chwili Lynch uniósł skute ręce do twarzy i zaczął ją głaskać: przy ruchu w górę paznokciami, przy ruchu w dół opuszkami palców. To musiał być nawyk, na policzkach miał trochę strupków od tego gładzenia. Nie był w stanie usiedzieć cicho.

– Wrzuciłem tam śmieci, żeby nic nie było widać, gdyby jakiś wycieczkowicz próbował tam zajrzeć – powiedział. Mówił ostrożnym, monotonnym głosem, ale pod spodem wyczuwało się napięcie podnieconego faceta, który udaje spokój.

Kiedy śmieci z przedniego siedzenia prawie zniknęły, ujrzałam dwie kłody, które weszły w moją świadomość jako wielkie kawały suszonej wołowiny, a potem przekształciły się w gołe nogi. Całe ciało było nagie i właśnie takie brązowe: kawał ciemnej skóry skulony jak monstrialny płód. Benny spojrzał na mnie, a potem na Maksa, który skinął głową. Zrobił zdjęcia zwłok.

Nie byłam w stanie mówić; Max ubiegł mnie z pytaniem.

– To ona – powiedział.

– Nie. – Lynch zaczął oddychać szybciej, w odróżnieniu od nas wszystkich, którzy wstrzymywaliśmy oddechy. Przeszedł się głaskać po twarzy. – Próbowałem wam powiedzieć. – Znów tym samym beznamiętnym tonem, którym mówił o śmieciach. – To tylko przydrożna gadzina. Leży tu o wiele dłużej.

Nie zamierzałam się odzywać do Lyncha, chyba że za pośrednictwem Coleman albo Hughesa, jego obrońcy, ale widok tego drugiego ciała, które Lynch nazwał przydrożną gadziną, prostytutką kręcącą się po parkingach dla ciężarówek, zaskoczył mnie.

– Chcesz powiedzieć, że zabiłeś jeszcze jedną kobietę i ukryłeś ciało, zamiast je upoznać?

– Tak, za pierwszym razem – odparł.

– Kiedy?

Milczał przez moment.

– Tuż przed drugim razem – odpowiedział w końcu bez wyczuwalnego sarkazmu.

Coleman zwróciła się do mnie.

– Nie wiedziała pani?

Pokręciłam głową.

– Skąd mogłam wiedzieć?

– Przepraszam, ma pani rację. To dopiero co wyszło podczas przesłuchania. Powinam była wspomnieć po drodze.

– A więc osiem ofiar – powiedziałam. – Osiem, łącznie z tą w jego ciężarówce.

Lynch skinął głową.

– Wam zależy na tej z tyłu.

Benny pchnął siedzenie do przodu. Zawiasy mocno ucierpiały od drobnego kurzu, który

potrafił się dostać wszędzie, nawet do zamkniętego samochodu, ale udało mu się odsłonić tylną kanapę, równie pełną śmieci jak przednia. Ona również została oczyszczona, po czym – jakby zgodnie z jakąś wcześniejszą umową, starając się nie robić wokół tego zamieszania – pozostali odsunęli się do tyłu, żebym mogła zajrzeć jako pierwsza.

Po pierwszym spojrzeniu ten ból, który, jak sądziłam, nareszcie zelżał, walnął mnie w żołądek, aż zgięłam się w pół. Oparłam dłonie na kolanach i patrzyłam w dół, aż krew wróciła mi do mózgu. Wzięłam się w garść, bo nie chciałam, by ktokolwiek – ani Lynch, ani nikt inny – widział moją reakcję. To tylko dowód, pomyślałam znów, udając, że schyliłam się tylko po to, by lepiej widzieć ciemnawe wnętrze *dodge'a*.

Była... nie, jej zwłoki były nagie, tak jak te z przodu. Skóra miejscami była pomarszczona, lśniąca na wypukłościach, matowa w zagłębieniach. Nie została starannie ułożona w pozycji płodowej; wyglądało na to, że rzucono ją bardziej niechlujnie na plecy. Kolana były podciągnięte, żeby dało się domknąć drzwi, a górna część torsu opierała się pod niewygodnym kątem o drugie drzwi. Głowa nieomal odpadła od ciała przez brak podparcia; starzejące się tkanki nie trzymały jej wystarczająco.

Kiedy Benny jeszcze raz zrobił swoje z aparatem, wzięłam od niego latarkę i oświetliłam twarz zwłok. Wargi straciły swoją pulchność, przez co zęby wydawały się bardziej wystające w uchylonych ustach. Powieki cofnęły się z oczu, równie matowych jak otaczająca je skóra, jak u glinianej figury. To coś nie bardzo przypominało Jessicę, właściwie ledwie przypominało człowieka, ale i tak żałowałam, że nie mam jej czym przykryć.

Włosy były jak ciemna słoma, ale niezbyt długie – widać było, że brakuje ucha. To kazało mi poświecić na jej kostki; tak, przynajmniej jedno ścięgno Achillesa zostało przecięte.

– To jest ofiara mordercy z Drogi 66 – powiedziałam.

– Potrafi pani stwierdzić, czy to Jessica Robertson? – spytała Coleman.

– No jasne, że to Jessica Robertson – wtrącił się Lynch. Wszyscy znów zwrócili uwagę na niego i widać było, że to mu się podoba.

Znowu odezwałam się bezpośrednio do niego.

– Wiedziałaś, że ta kobieta była agentką FBI? – To była kolejna sprawa, której nie ujawniliśmy mediom.

Coleman zaczęła:

– Twierdzi, że wiedział, agentko Quinn, powiedziała...

– Powiedziała mi to, myślała, że przez to ją puszcze – przerwał jej Lynch i na chwilę bardziej się ożywił, zaczął szurać nogami, jakby to miało mu pomóc utrzymać się przy głosie. – To za to dostanę dożywocie. Za to, że was tu przyprowadziłem. Wy to nazywacie *quid pro quo*.

Royal Hughes, obrońca z urzędu, zacisnął usta i odwrócił głowę, starając się nie okazać niesmaku.

– Chyba byłoby lepiej, gdybyś...

Myślałam o tym gnojku, który odebrał życie ośmiu osobom, przy okazji rujnując życie ich bliskim, i teraz myślał tylko o tym, by nie ponieść konsekwencji swojej morderczej żądy.

– *Quid pro quo*. – Poruszałam wargami i językiem powoli, jakby te słowa zajmowały w moich ustach więcej miejsca, niż zwykle zajmują słowa. – Wiesz w ogóle, co to znaczy?

– To znaczy, że ja wam pokazuję ciała i dostaję dożywocie – odpowiedział Lynch.

– A skąd wzięłaś to powiedzonko, Floyd? Chyba to już słyszałam – pstryknęłam palcami kilka razy, jakbym próbowała sobie przypomnieć – w jakimś filmie.

– *Milczenie owiec* – odpowiedział usłużnie.

– Zgadza się! – Zniżyłam głos do szeptu. – Bo gadasz jak Hannibal Lecter do Clarise Starling. Uważasz się za Anthony'ego Hopkinsa? – Wskazałam Coleman. – Myślisz, że to jest

pieprzona Jodie Foster i kręcimy tutaj film? – Teraz, kiedy to wspominam, nie wyprę się, że być może mój głos zaczął skrzeczeć. Być może zachowywałam się tak, jak się spodziewali, jakbym miała się na niego rzucić, bo Benny i Ray znieruchomieli, Phillips zrobił się jeszcze bardziej nerwowo i zerknął na Maksa, a Sigmund położył mi dłoń na ramieniu, ale zabrał ją natychmiast, kiedy poczuł reakcję mięśni pod skórą.

Royal Hughes napiął brzuch i uniósł ręce dłońmi do przodu, jakby robił pompki w pionie.

– Może byłoby... – Widziałam, że złożył usta, by powiedzieć „mądrzej”, ale zmienił zdanie – ...lepiej, gdyby pani z nim nie rozmawiała.

Nie słowa Hughesa, ale myśl o dotyku Sigmunda pozwoliły mi oprzytomnieć. Skupiłam się na powstrzymaniu drżenia głowy po nagłym zastrzyku adrenaliny. Jessica zasługiwała na coś lepszego niż popisy wkurzonej staruszki.

Nawet Lynch struchlał, widząc moją reakcję, a przecież był pod opieką uzbrojonego strażnika, któremu niewiele brakowało, by skierować lufę w moją stronę.

– Ja tylko mówię... – zaczął Lynch, po czym ostatecznie się zamknął i zaczął przygryzać niewielką kurczawkę na grzbiecie dłoni.

– Lepiej będzie, jak przez chwilę pomilczysz, Floyd – powiedziała Coleman.

Kiwnął głową.

Wtedy sobie tego nie uświadomiłam, ale patrząc wstecz, wiem, że to była chwila, kiedy poczułam, że coś jest nie tak. Ta chwila minęła.

Coleman odprowadziła mnie parę kroków dalej, jakby chciała ze mną porozmawiać sam na sam, choć wiedziałam, że przy okazji chce mnie odsunąć od Lyncha.

– On często odwołuje się do filmów i książek – powiedziała. – W książkach w jego kabinie były podkreślone fragmenty, które cytował w czasie przesłuchania. – Po chwili spytała jeszcze raz: – Jest pani pewna, że to ona?

Jeszcze raz przyjrzałam się twarzy.

– Wystarczająco, by zeznawać – odparłam. – Ale zakładam, że patolog ma już jej dane dentystyczne?

– Słusznie pani zakłada. Chce pani być przy autopsji? – spytała Coleman.

– Chyba powinnam. Wstępne wyniki zapewne będą jakoś jutro po południu, zgadza się?

Coleman skinęła głową. Jej głos był idealnie spokojny, profesjonalny.

– Postaram się, żeby pracowali przez noc. Umówmy się może na trzecią. Jakby co, zadzwonię do pani.

– Okej, przyjadę. Wiem, że to niezgodne z procedurami, ale chyba będzie lepiej, jeśli to ja zawiadomię jej najbliższych.

Coleman znów kiwnęła głową. Najbliżsi. Byłam znana w Biurze ze swoich zażyłych stosunków z niektórymi, bo większość agentów ich unikała – rzucała je na zawodowych rzeczników ofiar, wtykała wizytówki psychologów. Dopóki sprawa pozostawała otwarta, to ja byłam rzecznikiem ofiary.

Benny i Ray założyli plastikowe torebki na wszystkie cztery zaszuszone dłonie. Lynch zapytał, dlaczego to zrobili. Technicy nie odpowiedzieli.

– Na wypadek, gdyby pod paznokciami była krew albo inne tkanki – wyjaśnił mu Hughes.

– Auu – stęknął Lynch, ale nie sprowokowało tego wspomnienie podrapania przez Jessicę. Uniósł dłoń z kurczawką. Była na niej krew. Ostrożnie, by go nie dotknąć, Hughes podał mu chusteczkę higieniczną, jakby robił to już nie pierwszy raz.

Technicy unieśli najpierw ciało z przedniego siedzenia, niechcący odrywając przy tym głowę i pozostawiając warstwę skóry, która przykleiła się do tapicerki. Niektóre śmieci

przyłgnęły do zwłok.

– Długo tu leżała – rzuciła Coleman, odwracając wzrok. – Floyd twierdzi, że trzynaście lat. Miała dwadzieścia trzy lata, a on dwadzieścia pięć, kiedy ją zabił.

– To jest w jego pamiętnikach?

– Nie, powiedział mi. Zaczął prowadzić zapiski dopiero od następnej, tej, którą uważamy za pierwszą ofiarę z Drogi 66.

– Zna przynajmniej jej nazwisko?

– Twierdzi, że nie.

Odwróciłam się i spojrzałam w dal, nad wąwozami, które zbiegały się w kanion prowadzący w serce gór. Odwróciłam oczy nie dlatego, że nie mogłam patrzeć, jak Benny i Ray delikatnie układają kawałki, pakują je do oddzielnych worków i dźwigają je w górę po zboczu. Zastanawiałam się, co będzie gorsze: to czy telefon do ojca Jessiki.

10 sierpnia 2011, godzina 9.45

Reszta grupy ruszyła pod górę mniej więcej w tym samym porządku, w jakim schodziła, ale Sigmund spojrział na mnie znacząco i schylił się, by podnieść jakiś śmieć zgubiony przez techników.

– Niechluje – stwierdził. Wyprostował się i podał mi to coś, jakby na pamiątkę tej okazji, po czym przełożył sobie moją rękę pod łokciem, udając, że chce mi pomóc przejść po nierównym terenie i wspinać się na stromy stok. – Ech, Oso, cóż za smutny triumf – powiedział, kiedy powoli ruszyliśmy za pozostałymi. Dźwięk jego głosu dawał mi pociechę, ale nie czułam potrzeby odpowiadania. – Ta agentka Coleman to spryciara – dodał po chwili, kiedy wlekliśmy się już wystarczająco daleko z tyłu, by reszta nie mogła słyszeć naszej rozmowy.

Tak długo pracowaliśmy razem – on jako profiler, ja jako tajniaczka – że w przeszłości byliśmy niemal jak para. Sig i Osa. Poczulałam ukłucie zazdrości. Idiotyczne.

– Skąd wiesz? – spytałam.

– Próbowала mnie przesłuchiwać przez całą drogę z hotelu do twojego domu. Czy znam jakiś inny przypadek, kiedy seryjny morderca zmienił modus operandi z gwałtu i duszenia na nekrofilie. – Sigmund nigdy nie mówił MO, jak reszta z nas. Chyba był zbyt dumny, by używać akronimów.

– Co jej powiedziałaś?

– Że pierwsze słyszę, ale że była jedna sprawa, kiedy morderca przeszedł od prostych egzekucji pistoletem kaliber 22 do okaleczania nożem i picia krwi ofiar. Powiedziała, że zna tę sprawę. Pytała też o moje teorie na temat trofeów i pamiątek. Odrobiła lekcje i chciała poznać moją opinię na temat Floyda Lyncha.

– I poznała?

– Wiesz, że gardzę kolegami po fachu, którzy wydają opinię, nawet nie rozmawiając z domniemanym sprawcą. A na dodatek muszę być ostrożny, bo dobrze znałem jedną z ofiar i mogę być uprzedzony.

Jedną z ofiar. Miałam ochotę powiedzieć, że zawodowy dystans to świetna sprawa, ale rozmawiamy tu o Jessice, nie jakiejś zwykłej ofierze, i mówienie o niej tak bezosobowo jest dla mnie bolesne. Ale agenci nie rozmawiają w taki sposób o uczuciach, nawet ja i Sig. Jeśli nawet wiedział, co myślę, nie zdradził się z tym i kontynuował gładko:

– Powiedziałem Coleman, że niczego nie będę komentował, dopóki nie przeprowadzę pełnego zestawu testów osobowości, a i wtedy będzie to pisemny raport.

– I jak na to zareagowała?

– Próbowала to ukryć, ale była sfrustrowana. Wygląda na ambitną. Chciała przyspieszyć sprawę. Przypomina mi ciebie.

I znów ta szpileczka zazdrości.

– Dlatego w samochodzie zachowywała się, jakby kij połknęła?

– Możliwe. I być może oboje troszeczkę ją onieśmielamy. Cóż, jesteśmy szanowani i sławni, czyż nie?

– Oczywiście, chociaż nasza sława trochę już wyblakła. No więc, co myślisz? Jest normalny?

Sigmund zsunął okulary na nosie i zerknął na mnie znad oprawek.

– Bo jeśli chcesz znać moją opinię, to jest nieźle pokręcony – powiedziałam.

Poddał się i przytaknął.

– Uraża wszystkiemu, co ludzkie. A jednak jak na seksualnego sadystę brak mu tego swoistego psychopatycznego... je ne sais quoi^[41]?

Tylko Sigmund potrafił mnie wygrzebać z tak głębokiego dołu i odrobinę rozweselić nawet w takiej chwili.

– Tak, właśnie tego – przyznałam.

– Tak, też to zauważyłem. Ale pamiętasz Harry'ego Winthrop'a?

– Straszny gamoń. Trudno było sobie wyobrazić, że obcina męskie narządy i przyszywa je do kobiecych torsów. – Ale nie byłam w nastroju na wspominki. – No, nikomu nie wygadam. Co ci mówi nos?

– Mój nos, skoro to on tu decyduje, ma sprzeczne odczucia. Lynch różni się od człowieka, którego spodziewałem się tu zastać. A jednak wszystko jest na miejscu. Ofiara w ciężarówce zabita w taki sam sposób, jak ofiary z Drogi 66, pamiętniki, przyznanie się do winy, znajomość miejsca ukrycia zwłok. Może pobawiłbym się założeniem, że to naśladowca, ale wiedział, gdzie są zwłoki. Jeśli dane dentystyczne będą się zgadzać, będziemy nawet pewni, że mając dwa ciała w samochodzie, poprawnie zidentyfikował ciało Jessiki. Wszystko zapięte na ostatni guzik.

– Nie ma się do czego przyczepić. A co u Grety? – spytałam, raptownie zmieniając temat, jak to bywa tylko w rozmowie dwojga przyjaciół.

– Rozwiodła się ze mną krótko po twoim odejściu.

– Że co proszę?

– Stwierdziła, że jestem zbyt introwertyczny, żeby mocno odczuwać. Nie poznałem osobiście jej terapeuty, ale zakładałam, że cytowała jego słowa.

Bzdura. Każdy, kto znał Sigmunda, kto wiedział, co on przeszedł przez lata służby, pełzając w gnoju i smrodzie umysłu mordercy, wiedział też, że czuł wszystko, co było do pocucia i cały składał się z uczuć.

– A co u ciebie? Masz udane małżeństwo? – spytał, bo wiedział, że to powinna być następna kwestia w grzecznej pogawędce.

– Rety, tak. – Uśmiechnęłam się i poczułam, że twarz robi mi się cieplejsza na wzmiankę o nim. – Szaleję za Carlem.

– Rety? To lingwistyczna anomalia u ciebie. – Spojrzał na mnie. – Podobnie jak rumieniec.

– Przestań mnie profilować – odparłam, ale nie mogłam mu nie wyjaśnić: – On był kiedyś księdzem, więc pracuję nad odchwaszczeniem języka.

Sigmund pokręcił głową, jakby to było najdziwniejsze wyznanie, z jakim spotkał się w swojej karierze.

– Osa Quinn zmienia się w żonę ze Steptford.

– Nazywam się teraz DiForenza – odparłam, bardzo zadowolona z siebie.

Zbliżyliśmy się do szczytu zbocza, gdzie zaparkowane były samochody. Kiedy już zaczęłam rozmawiać ze starym kumplem, wcale nie miałam ochoty przestawać. Zaprosiłam go na kolację i obiecałam, że później odwiozę go do hotelu.

Ale ledwie to powiedziałam, dotarło do mnie, że nasza trójka, Sigmund, Carlo i ja, będzie mogła prowadzić tylko namiastkę rozmowy i nikt nie będzie mógł powiedzieć, co naprawdę myśli. Wtedy jeszcze łudziłam się, że udało mi się skutecznie oddzielić stare życie od nowego. Miałam nadzieję, że Sigmund odmówi. On też to wiedział i, jak typowy mężczyzna, nie próbował nawet szukać wymówek.

- Nie – powiedział.
- A przyjdiesz jutro do prosektorium?
- I znów nie. Odwiedzę Morrisona, bo jeszcze z nim nie rozmawiałem. Powinienem był się trzymać procedur, ale agentka Coleman chciała, żebym był tutaj dziś rano.
- Martwiła się, że dostanę szalu i rzucę się na Lyncha?
- Oczywiście, że nie. Wszyscy wiedzieliśmy, że wykażesz godną podziwu powściągliwość. – Ściszył głos, bo zbliżaliśmy się do innych. – Za to agentka Coleman mogłaby się odrobinę bardziej pohamować. Być może jest już po wszystkim, ale jestem pewien, że w którymś momencie ona i Hughes mieli jakąś relację seksualną. Tak strasznie starają się tego nie pokazać, że przez język ciała wyglądają jak dwa bieguny magnesu.
- Dobry stary Sig, zawsze można liczyć na jakieś zawodowe salonowe sztuczki.
- Wyjął moją rękę ze zgięcia swojego łokcia i poklepał ją po bratersku, nim otworzył drzwiczki po mojej stronie samochodu.
- Więc jutro porozmawiam z panem Lynchem. A dzisiaj ty, Oso, masz do wykonania telefon.

10 sierpnia 2011, godzina 18.25

Max skręcił na drogę do Golder Ranch, żeby mnie podrzucić, a dwa pozostałe samochody pojechały dalej do miasta. Kiedy zajechaliśmy pod dom, pomyślałam o mężczyźnie i dwóch psach, którzy czekali na mnie w środku. Owszem, świetnie było znów zobaczyć Sigmunda, ale widok zwłok Jessiki zadał mi taki ból, a stanięcie twarzą w twarz z tą częścią było takim stresem, że teraz, idąc podjazdem, wyobrażałam sobie, jak łomoczę do drzwi i na całe gardło krzyczę: „Azylu!” I poczułam się jak w azylu, kiedy Carlo otworzył drzwi i obdarzył mnie swoim szerokim uśmiechem.

Mina zrzędnęła mu na sekundę, zmieniając się w odbicie mojej własnej, ale dzielnie rzucił: „Sio na kanapę”, i wszyscy przeszliśmy do salonu, gdzie Mopsy mogły łatwiej dobrać się do mojej twarzy. W tej chwili byłam podwójnie wdzięczna, że Sigmund nie przyjął zaproszenia i nie patrzy na to powitanie stada.

Popołudnie było zbyt typowe jak na rzeczy, które oglądałam rankiem, ale wykorzystałam je na przetrwanie wszystkiego i ochłonięcie przed telefonem do ojca Jessiki Robertson. Po wczesniej kolacji (makaron z pesto, sałatka szpinakowa), a przed porą wieczornego spaceru Mopsów wzięłam resztkę swojego wina do zapasowego pokoju, który służył Jane za pracownię do szycia patchworków i ozdabiania albumów wycinankami, i który Carlo zgodził się oddać mi na gabinet, kiedy mu powiedziałam, że potrzebuję własnej przestrzeni, tak jak faceci potrzebują garażu. Nie powiedziałam mu, że to dlatego, że nie potrafię tak całkowicie odciąć się od tej jednej kobiety z przeszłości, agentki Brigid Quinn. A poza tym kiedyś, kiedy już nauczę się być lepszą żoną niż Jane, planowałam założyć małe biuro detektywistyczne.

Miałam tu swoje biurko zabrane ze starego mieszkania, zawałone głównie czasopismami, które zamierzałam przeczytać, i katalogami kuchennych utensyliów, które wprawiały mnie w zakłopotanie. Miałam tu też laptop. Obrotowe krzesło. Parę biurowych pudeł ze starymi deklaracjami podatkowymi i innymi niegroźnymi dokumentami. Stalową szafkę z zamkiem, kupioną po tym, jak zostawił mnie Paul, na resztę.

Na ścianach wisiało kilka zdjęć przypominających moje sukcesy w chwytaniu złoczyńców, jak na przykład to, na którym prezydent Reagan gratulował mi zapobieżenia atakowi terrorystycznemu, o którym nikt się nigdy nie dowie. W kolejnej ramce była pochwała, którą dostałam za rozpracowanie tajskiego gangu handlującego żywym towarem. I jeszcze jedna, za infiltrację sekty Payo Mayombe i uratowanie w ostatniej chwili chłopca, który miał być żywcem ugotowany w kotle. Jeśli chodzi o tę pochwałę, miałam mieszane uczucia, bo kiedy się zjawiliśmy, w kotle było już inne dziecko. To wtedy też zastrzeliłam nieuzbrojonego sprawcę.

Materiały do patchworku Jane leżały w pudle w szafie razem z jej maszyną do szycia.

Usiadłam przy biurku, oparłam stopy na najbliższym pudle i zapatrzyłam się na komórkę, którą położyłam na blacie. Pomyślałam o swoim emocjonalnym wybuchu przy drodze na górę Lemmon. Gdyby to była tylko kwestia oglądania Jessiki, pewnie lepiej zapanowałabym nad uczuciami. Ostatecznie ona już nie żyła, nie czuła bólu. Ale był jeszcze jej ojciec, Zach Robertson, którego istnienie nie pozwalało mi o tym wszystkim zapomnieć ani na chwilę.

Zachariah Robertson był przyzwoitym dentystą w Santa Fe, miał żonę, która go kochała, syna, który nie sprawiał kłopotów i córkę, która właśnie wstąpiła do FBI. Nigdy mu nie

powiedziałam, jak bardzo żałuję, że za wcześniej zarekomendowałam Jessicę do pracy w terenie, tylko dlatego, że chciałam ją wyszkolić na swoje miejsce. Jak bardzo żałuję, że byłam trochę za stara, by udawać nastoletnią autostopowiczkę. Powiedziałam mu tylko – tak jak bliskim wszystkim innych ofiar – że może dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

I dzwonił. Po zniknięciu Jessiki tamtej nocy na Drodze 66, sto dwadzieścia sześć kilometrów od Tucumcari w Nowym Meksyku, dzwonił do mnie. Jego telefony tuż po godzinie zero były pełne nadziei, sześć miesięcy później pełne rozpaczy. Zaczął przychodzić do gabinetu dentystycznego tak pijany po wieczornym chlaniu, że ręka klekotała mu w ustach pacjentów.

Po dwóch latach wciąż do mnie dzwonił. To stąd wiedziałam, że Elena i syn Peter go opuścili; zwykle potrzeba jakichś trzech lat więcej, by rodzina ofiary ostatecznie implodowała. Potem Elena zachorowała na raka i zmarła, nawet nie próbując się leczyć. Po jej pogrzebie Zach praktycznie nie kontaktował się z Peterem.

Kiedy rozmawiałam z nim ostatnim razem, był niemal bez przerwy pijanym pustelnikiem, który rzadko się kąpał i mieszkał w letniskowej chacie na górnym półwyspie nad jeziorem Michigan.

Wychyliłam resztkę wina, wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam do niego, pamiętając, że nasze rozmowy były jak odkręcanie zaworu bezpieczeństwa w systemie chłodzenia reaktora jądrowego.

Odebrał po pierwszym sygnale, jak w czasach, kiedy to wszystko się zaczęło.

– Zawsze to ty czekasz, aż zadzwonię – rzucił prosto z mostu drżącym głosem. – Musieliście ją znaleźć.

– Znaleźliśmy. – Nie powiedziałam mu wszystkiego od razu, chciałam najpierw ocenić, ile z tego będzie pamiętał rano.

– A co... co ze sprawcą? Wiecie, kto to?

– Wiemy. Wiemy już wszystko, Zach. – Odniosłam wrażenie, że jest umiarkowanie pijany, więc powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i wcześniej, na ile się orientowałam. Nie oszczędzałam mu niczego; nie robiłam tego od lat. A on nie musiał o nic pytać, bo na wszystkie pytania odpowiadałam z wyprzedzeniem.

Kiedy skończyłam mówić, usłyszałam odgłos, który w pierwszej chwili wzięłam za kostki lodu dzwoniące w szklance. Nagle zorientowałam się, że nie przestając mnie słuchać, stuka w klawiaturę komputera.

– Co ty robisz? – spytałam.

– Do diabła, znikąd nie da się dolecieć bezpośrednio do Tucson – odparł, kiedy stukot klawiszy umilkł. – Lot linii AA numer 734 jest na miejscu o drugiej po południu.

– Nie, Zach.

– Jeśli cię tam nie będzie, to przyjadę do prosektorium taksówką.

– Zach, posłuchaj...

– Nie będę robił żadnych kłopotów. Nigdy, ani razu nie obwiniałem FBI, nawet na samym początku, zgadza się?

Setki razy mówił mi, że nigdy nie obwiniał FBI. Miał na myśli mnie.

– Nie, Zach. Nigdy nie obwiniałeś.

– Nawet tamtej nocy, tamtej nocy, którą ze mną spędziłaś.

To było raczej bite czterdzieści osiem godzin, które przegadałam, odwodząc go od samobójstwa, kiedy zadzwonił gdzieś ze środka Stanów i powiedział, że spocona dłoń zaplamiała mu się od garści pigułek nasennych, które w niej trzymał.

– Nie, nawet wtedy. Ale nie chcesz jej widzieć, Zach. Nie tak.

– O, chcę, zapewniam cię. – Odwaga go opuściła i zaczął płakać. Nie mam zbyt wiele szacunku dla alkoholowych żalów, chyba że chodzi o kogoś, kto przeszedł to co Zach, więc cierpliwie czekałam, aż skończy.

W końcu, ocierając grzbietem dłoni swój własny nos, powiedziałam:

– Przysięgam ci, że kiedy przyjdzie do procesu, będziesz miał swój dzień w sądzie. Będziesz mógł przeczytać to oświadczenie, które napisałeś tak dawno temu. Pamiętasz je? Myśl o tym. Masz je jeszcze, prawda?

Rozłączył się.

I to jest właśnie to, co często dzieje się z bliskimi ofiar; to jest to, czego nie widzicie, kiedy media już się znudzą, kiedy już w filmie lecą napisy końcowe. Po tym, jak czarny charakter zostaje złapany, aktorzy grający rodzinę mają swój finał i wiedzą, że sprawiedliwości stało się zadość. Aktorzy grający śledczych odwracają się tyłem i triumfalnie oddalają się od kamery. Ludzie oglądający film wyrzucają resztkę popcornu, wycierają zatłuszczone palce i idą do domów, może co najwyżej poczują dreszczyk, kiedy wyobrażą sobie, że ktoś czai się w drugim aucie, kiedy wjeżdżają po ciemku do garażu, ale oczywiście się nie czai i życie toczy się jak przedtem, tra la la.

W prawdziwym świecie niektóre rodziny niektórych ofiar resztę życia spędzają, pragnąc śmierci. The End.

Tylko frajerzy wierzą w Finał.

11 sierpnia 2011, godzina 14.00

Następnego dnia o drugiej po południu odebrałam Zacha na Międzynarodowym Lotnisku w Tucson (jeden terminal, dwie hale, dwadzieścia bramek). Patrzyłam, jak zjeżdża ruchomymi schodami do sali odbioru bagażu, jak jego ciało wylania się powoli z otworu w stropie, ukazując się, począwszy od nóg, od zniszczonych traperek po łysiejącą głowę. Nie był wiele wyższy ode mnie, za to o wiele chudszy. I choć był sześć lat młodszy, chyba nie będzie przejawem próżności stwierdzenie, że wyglądał starzej niż ja.

Ruchome schody gwałtownie zmieniły się w twardą podłogę, przez co potknął się i wpadł mi w objęcia. Jakby nie chcąc z miejsca stawiać czoła rzeczywistości, szepnął mi we włosy:

– Jii-ha. Ostatni kawałek był jak jazda na byku.

– Wlatuje się między łańcuchy górskie, ciąg wiatru wywołuje turbulencje. – Nasz uścisk, choć szczerze serdeczny, pozwolił mi go szybko obwąchać. Kiedy ostatni raz wiedziałam się z Zachem, higiena osobista nie była dla niego priorytetem. Ale umył się dla Jessiki i miał nawet na sobie nową, niebieską koszulę z krótkimi rękawami. Pionowe załamania na dzinsowym materiale mówiły wyraźnie, że niedawno wyszła z opakowania. I nie poczułam alkoholu. Najwyraźniej nie pił w samolocie i może dlatego odsunął się tak szybko: żebym nie poczuła jego palców trzepoczących jak ćmy na moich plecach.

Wypuściłam go z objęć, ale jeszcze przez chwilę pottrzymałam jego dłonie w swoich, pozwoliłam mu zajrzeć sobie w oczy nie odwracając się od niego, jak czyniło to tylu innych ludzi.

– Nie rób tego, Zach. Nie musisz jej oglądać. Mamy identyfikację na podstawie danych dentystycznych.

– Mówiłem ci, że kiedyś myślałem, czyby nie zrobić specjalizacji ze stomatologii sądowej?

Tak, mówił mi to cztery czy pięć razy, przy tych samych okazjach, kiedy zapewniał, że nie obwinia mnie o śmierć Jessiki. Zdjął z karuzeli niewielką płócienną torbę podróżną i wyszliśmy z terminalu na parking, gdzie usadziłam go w samochodzie, wręczyłam butelkę wody, jak każdemu nowo przybyłemu na pustynię, kazałam mu wypić parę łyków i w końcu ruszyłam aleją Palo Alto, skręciłam w lewo, w Valencia, i dalej, na Pierwszą. Do kostnicy w centrum jechało się stosunkowo niedługo.

Max Coyote i Laura Coleman byli już na miejscu, a doktor George Manriquez wyszedł do nas niemal natychmiast, kiedy tylko weszliśmy do holu.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziałam. Sytuacja wymagała formalizmów, choć poznaliśmy się podczas krótkiego okresu mojej pracy w oddziale w Tucson. Usunęłam się na bok, by mógł przygotować Zacha na czekający go widok.

– Panie Robertson – powiedział Manriquez, wskazując dwa małe fotele ustawione pod kątem do siebie w najdalszym rogu holu. – Proszę spocząć na chwilę.

Zach zrobił, o co go poproszono, a my troje – Max, Coleman i ja – stanęliśmy twarzami do siebie, udając, że nie słuchamy.

– Panie Robertson – powtórzył George, kiedy już obaj siedzieli. – Nikt nie rozumie lepiej ode mnie, że to jest prawdziwe życie, tu nie ma inscenizacji, więc chcę pana trochę przygotować.

Tu nie będzie tajemniczości, żadnego przyćmionego oświetlenia jak w programach telewizyjnych. Nie zobaczy pan swojej córki, to znaczy niczego, co by ją przypominało. To po prostu szkielet pokryty ciemnobrązową skórą. Widział pan kiedyś mumię?

– Tak, w książkach – odparł Zach ze skinieniem głowy. – Byliśmy raz w Pompejach, ale wiem, że tamte ciała to nie to samo. – Wspomnienie jakichś wakacji przygięło go jak ołowiany ciężar.

– Tak, tamto są gipsowe odlewy, ale rzeczywiście, szczątki, które pan zobaczy, mogą to trochę przypominać. Ma pan do mnie jakieś pytania? Może pan pytać o cokolwiek.

Zach otarł usta grzbietem dłoni, zdecydował chyba, że nie zapyta, ale zapytał:

– Jest... jest jakiś zapach?

– Właściwie nie, a w każdym razie nie tak nieprzyjemny, o jakim pan myśli. Może odrobinę stęchły, ale nic, co by pana zszokowało. Poruszy pana raczej widok.

Głowa Zacha opadła i zauważyłam, że kostki jego splecionych palców są białe. Chciałam do niego podejść, ale wiedziałam, że jest w dobrych rękach. Manriquez był kochanym człowiekiem.

Po chwili milczenia, dość dłużej, by pokazać Zachowi, że nie ma dla niego nic ważniejszego niż ta rozmowa, George wstał i wyciągnął rękę, by pomóc Zachowi wstać. Poprowadził nas wszystkich korytarzem do prosektorium.

Z takiego pomieszczenia nigdy nie da się wygnać zapachu, tej mieszanki środków dezynfekcyjnych z brudną pieluchą, jak w państwowym domu opieki, ale ktoś z szacunkiem usunął z salki wszystko z wyjątkiem plastikowych wózków; na jednym z nich leżały zwłoki Jessiki Robertson przykryte prześcieradłem. Wszystko było praktyczne i dosłowne, tak jak zapowiedział Manriquez: żadnych ciemnych kątów, żadnych przyrządów sugerujących krojenie ciała, żadnej muzyki w tle. Zach został ustawiony po jednej stronie wózka; u jednego boku miał mnie, u drugiego asystenta na tyle rosłego, by mógł go złapać w razie omdlenia. George stanął po drugiej stronie. Max i Coleman zostali z tyłu.

George po raz ostatni zerknął na Zacha, jakby pytał o pozwolenie, i zsunął prześcieradło z czubka głowy Jessiki, by Zach mógł zobaczyć jej wyschnięte włosy i kawałek ciemnobrązowej skóry na czole. Kiedy wyglądało na to, że Zach zniesie tę odrobinę, George ściągnął prześcieradło niżej, zatrzymując się tuż poniżej podbródka.

Trzymałam głowę lekko przekrzywioną, by widzieć Zacha kątem oka, ale raczej poczułam, niż zobaczyłam dreszcz, który przebiegł po nim jak prywatne trzęsienie ziemi. Rozległ się jeden cichy jęk. Poza tym Zach był niesamowicie opanowany, przedzierał się przez własne myśli i wspomnienia, nie dzieląc się nimi. Po chwili uniósł palec wskazujący i delikatnie pogłaskał skurczoną, brązową małżowinę lewego ucha, zachowaną przez te wszystkie lata dzięki mumifikacji. Pogłaskał to ucho tak, jak głaskałoby się coś niewiarygodnie kruche, ale zbyt pięknego, by się powstrzymać od dotyku. Nie widział drugiej strony głowy z odcięтым uchem. W końcu zabrał rękę i patolog podciągnął prześcieradło z powrotem.

– Już jej więcej nie zobaczę – powiedział Zach.

– Nie – przyznał George, choć nie wiem, czy rozumiał. Popatrzył na asystenta, któremu najwidoczniej wydał wcześniej instrukcje, i poczekał, aż Zach zostanie wyprowadzony do poczekalni. Byłam z niego bardzo dumna.

Mimo ciężącej nam wciąż obecności zwłok w sali wszyscy odetchnęliśmy głębiej. Kiedy Max i Coleman podeszli do wózka, George powiedział:

– Przeprowadziłem się tu z Miami jakieś dziesięć lat temu, bo chciałem zmienić scenerię. Za dużo imigrantów wyrzucanych na plażę. I wpadłem z deszczu pod rynnę. Od haitańskich topielców do meksykańskich mumii. Kiedy przychodzą letnie upały, na zapleczu stoi chłodnia na

kólkach, pełna niezidentyfikowanych ciał pozbieranych z pustyni.

Ale po tym oświadczeniu zabrał się do pracy i już bez ceremonii ściągnął prześcieradło ze zwłok. Ciało zeszywniało w przygiętej pozycji, tak jak włożono je do samochodu. Głowa znajdowała się w miejscu, gdzie powinna być, ale nie była przyczepiona do torsu.

– Mumifikacja zdarza się tu często, zachodzi w naturalny sposób na pustyni, gdzie jest tak niska wilgotność. Podobnie było z tym drugim ciałem z samochodu. – Mówił o prostytutce z parkingów dla ciężarówek, pierwszej ofierze, którą Floyd pogardliwie nazwał przydrożną gadziną.

– Nie miałam zbyt wiele czasu, żeby przyjrzeć się tej drugiej – powiedziałam. – Ten sam MO co w przypadku pozostałych?

– Najpierw zająłem się tym ciałem. Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że to drugie ma oboje uszu. Dostaniecie bardziej szczegółowy raport, kiedy przeprowadzę autopsję.

– A co ze zwłokami znalezionymi w ciężarówce Lyncha? – spytałam. – Są jakieś podobieństwa, jeśli chodzi o przyczynę zgonu i sposób działania mordercy?

– Jak mówię, wszystko wskazuje na to, że ciało Jessiki Robertson zmumifikowało się w sposób naturalny. Zwłokom z ciężarówki Lyncha ktoś pomógł. Wszystko jest w raporcie. Coleman i Max skinęli głowami.

– Tak na mój użytek, doktorze – powiedziałam. – Próbuję nadrobić zaległości.

Manriquez zupełnie nie miał mi tego za złe i chętnie wyjaśnił:

– Użył środka o nazwie Natron. Jest dostępny w handlu. To mieszanina czterech związków sodu: węglanu, wodorowęglanu, chlorku i siarczanu. Napychasz tym zwłoki i okładasz z zewnątrz, żeby się odwodniły, a przy okazji proszek tworzy środowisko nieprzyjazne dla bakterii odpowiedzialnych za rozkład. Do tego Lynch usunął narządy wewnętrzne, co przyspieszyło proces. Zostały tylko kości, skóra i wysuszona tkanka mięśniowa.

Okazało się, że jak wielu patologów sądowych, ponad wszystko uwielbia gadać o pracy. Zdawałam sobie sprawę, że Zach został sam i chciałam to mieć jak najszybciej z głowy, ale Manriquez obudził moją ciekawość.

– Mówisz, że ten natron jest dostępny w handlu?

– Jest używany w tych wysuszających pakietkach, które wkłada się w różne rzeczy, żeby nie zwilgotniały. Pan Lynch najwyraźniej nie jest głupi i umie szukać informacji w Internecie. To w ten sposób dowiedział się, jak go zdobyć. Agentka Coleman mogłaby to potwierdzić podczas przesłuchania, ale obstawiam, że umieścił ciało w wentylowanej skrzyni na pustyni, dopóki nie wyschło. Nie ma śladów padlinożerców.

– Lynch twierdził, że wystarczyło parę miesięcy, by mógł używać tych zwłok bez zasmradzania sobie ciężarówki – powiedział Max.

– A jak długo woził je w kabinie? – spytałam.

– Jakies półtora roku – odparł Max.

Manriquez skinął głową na znak, że to zgadza się z jego oceną czasu zgonu, i dodał:

– Nie próbował go ruszać, więc pozostało w zasadzie nietknięte. Oczywiście przy tak starych zwłokach trudno jest określić datę, ale znalazłem na nich dość wysuszonego nasienia, by uznać, że miał je od dość dawna.

– To na pewno jego nasienie? – spytałam.

– Zdążyliśmy już zrobić analizę DNA. Materiał pasuje do Lyncha.

– Wróćmy do Jessiki – powiedziałam. – Przyczyna śmierci i sposób jej zadania?

– Trudno znaleźć ślady duszenia na szyi, bo głowa była pod takim kątem, że i tak odpadła. I oczywiście w wysuszonych oczach nie widać mikrowylewów, choć te mogłyby wyjść w wynikach histopatologii. Ale nie trzeba posuwać się aż do tego, kość gnykowa z całą

pewnością jest zmiądzona, ściętno Achillesa przecięte i z prawej strony brakuje ucha. – Manriquez pokręcił głową. – Po jego zeznaniach przeczytałem raporty z autopsji ofiar z Drogi 66. Wtedy odkryłem, że zwłoki z ciężarówki mają te same obrażenia. Zbadałem więc zwłoki Jessiki Robertson na obecność nasienia i znalazłem trochę na różnych częściach ciała, tak jak na mumii z ciężarówki. Wstępne testy nie wykluczają Lyncha. Kazaliśmy przeprowadzić analizę DNA na cito, żeby to potwierdzić.

Znów pomyślałam o Zachu siedzącym samotnie w poczekalni i chciałam do niego wrócić, ale teraz mówiła Coleman.

– Lynch powiedział podczas przesłuchania, że używał ciała Jessiki przez kilka lat, ale zmęczyło go jeżdżenie w góry i bał się, że ktoś go zauważy. Więc zaczął eksperymentować ze zwierzętami, a skończył na zwłokach, które miał w ciężarówce, kiedy go złapaliśmy. – Odwróciła się do Manriqueza. – Zechce mi pan przesłać oba raporty, i z autopsji Jessiki, i tego drugiego ciała znalezione w samochodzie?

– Jasne. Mam je tutaj. – Manriquez przeszedł w dalszy koniec prosektorium, gdzie na wózku czekały drugie zwłoki, również przykryte zielonym prześcieradłem. Max i Coleman podeszli, Manriquez ściągnął materiał. Ujrzałam ciemną skórę, usianą tu i ówdzie żółtawymi plamami i śmieciami, które przylgnęły do niej, nim całkowicie wyschła. Zostałam tę dwójkę wpatrzoną w zwłoki i Manriqueza, wymachującego nad nimi rękami, jakby chciał je zmusić do lewitacji. Mówił: – Te też były praktycznie nienaruszone, podobnie jak zwłoki Jessiki Robertson.

– Nienaruszone? – zdziwił się Max. – Głowy im odpadły, kiedy wyciągali je z samochodu, a to jest wręcz w kawałkach.

– Mówię o uszkodzeniach tkanek twardych – odparł Manriquez.

– Hej, muszę lecieć – powiedziałam, wciąż stojąc obok ciała Jessiki, ale nikt mnie nie usłyszał.

11 sierpnia 2011, godzina 16.15

Zabrałam Zacha do pobliskiego Sheratona na rogu Campbell i Speedway, zameldowałam go w pokoju sto siedemdziesiąt cztery, zamówiłam mu stek Salisbury z purée ziemniaczanym i gadałam z nim o bzdurach, dopóki nie przyniesiono obiadu. Siedziałam na krześle przy biurku, a on na brzegu łóżka od mojej strony. Chciałam podrzucić mu do jedzenia pigułkę valium, które nosiłam w torebce, ale zmieniłam zdanie, widząc, jak studiuje kartę alkoholi w menu room service'u. Chyba nie chciał rozmawiać o tym, co przeżył w prosektorium. Zapewnił mnie, że nic mu nie będzie, że woli być sam. Nie wierzyłam mu, ale co mogłam zrobić? Był dorosłym człowiekiem.

– Nie powinieneś być przyjeżdżać – powtórzyłam, jednocześnie ociągając się i zbierając do wyjścia, jak ostatni przyjaciel na stypie.

– Nie, zrozum, ja musiałem to zrobić. Zejść na samo dno.

Nie musiał mi tłumaczyć, o co chodzi z tym dnem. Rozumiałam i wiedziałam, że nie mogę pójść tam z nim.

– Zajmę się formalnościami w związku z ciałem Jessiki. Będziesz chciał ją zabrać do Michigan?

– Nie, to nigdy nie był jej dom. Chyba przyzwyczała się do tych stron. Powinna tu zostać.

Mogłam wspomnieć, że mój mąż był kiedyś księdzem i mógłby nam pomóc z nabożeństwem pogrzebowym, ale ani Zach, ani ja już dawno w to nie wierzyliśmy.

– Kiedy planujesz lecieć do domu?

– Nie mam jeszcze biletu powrotnego. – Jego kościste barki były tak samo przygarbione jak zaraz po przylocie, ale w oczach dostrzegłam błysk, który trochę mnie zaniepokoił. – Na razie zostaw mnie samego, Brigid. Okej?

– Nie zrobisz niczego głupiego?

– Pytasz, czy się nie zabiję? Z jedzeniem przynieśli mi tylko nóż do masła i umieściłaś mnie na pierwszym piętrze. – Niemal się uśmiechnął. – Dużo razem przeszliśmy, co? Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek w moim życiu.

Tak. Znałam Zacha dość długo, żeby nie próbować mu wciskać żalonych komunałów, w rodzaju „Bóg nigdy nie obarcza człowieka ciężarem ponad jego siły”. Spytałam więc tylko:

– Będziesz spał? – Co było niemal równie głupie.

– Nie. – Uśmiechnął się, jakby to pytanie było bzdurne w jakimkolwiek momencie przez te siedem lat, a teraz było kompletnie absurdalne. Dźwignął się z łóżka, podszedł do okna i odciągnął zasłonę, by spojrzeć na parking. Odezwał się, nie odwracając głowy: – Brigid?

– Co, Zach?

– Lynch poszedł na ugodę, prawda?

To była ta jedna rzecz, której mu nie powiedziałam, i powinnam była wiedzieć, że zauważył to przemilczenie. Milczałam dalej.

– Jego też chcę zobaczyć.

– Nie, Zach. – I tym razem mówiłam poważnie. – Obiecuję, że zadzwonię, kiedy będziemy znali datę ogłoszenia wyroku, i będziesz mógł przeczytać swoje oświadczenie w

sądzie.

Wyczuł, że będę obstawać przy swoim. Odwrócił się od okna i spojrzał na mnie, jakby do tej pory nie widział nic prócz swojej córki.

– Kopę lat się nie widzieliśmy, ale dobrze wyglądasz. Smutek ciągle jest gdzieś tam w środku, ale miłość dodała ci blasku. A pustynny klimat potraktował cię łagodnie.

– Może, ale mleczka nawilżające kosztują mnie fortunę – zażartowałam. Często żartuję, kiedy czuję się niezręcznie.

– Musisz już iść – powiedział.

– Wcale nie muszę – odparłam, podchodząc do tacy na biurku. – Popatrz, zamówiłam ci kawę. Należę ci filiżankę. Lubisz czarną ze słodzikiem, tak?

Pokręcił głową. Nie potrafił ukryć lekkiej irytacji tą moją troską.

– Skoro nie chcesz sobie iść, to muszę ci coś pokazać. – Chwiejnie począł... Boże święty, a miał ledwie pięćdziesiąt trzy lata. No więc, począł do łóżka, na które rzucił torbę. Rozsunął boczną kieszeń, wyjął zdjęcie Jessiki i podał mi je. Stała na tle kolorowego postera, który zajmował dwie trzecie zdjęcia: mała figurka z boku. – To jest jej ostatnie zdjęcie, jakie mam, zrobione na festiwalu balonowym w Albuquerque. Nie jest najlepsze, ale najświeższe.

Przyjrzałam się fotografii, schludnie zalaminowanej, pięć na siedem, nie wyjmując mu jej z dłoni. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Podobno kobiety wiedzą, co należy mówić w takich chwilach, ale ja nigdy do takich nie należałam. Po kilku sekundach Zach chyba zorientował się, że nic więcej nie zostanie powiedziane o tej fotografii, że nic z nią nie zrobię, więc oparł ją o lampkę na nocnej szafce.

Myślałam, że to wszystko, ale sięgnął do tej samej kieszeni i wyciągnął plik pocztówek. O tak, wiedziałam, co to jest, zanim cokolwiek powiedział. Zach dostawał te pocztówki regularnie przez wszystkie miesiące i lata po zniknięciu Jessiki. Cztery różne obrazki: uśmiechnięty aligator z Florydy, samotny trąbkarz z Nowego Orleanu, pozdrowienia z Jaskiń Carlsbad i zbliżenie skorpiona. Pamiętałam je wszystkie. I na wszystkich był ten sam tekst: „Bawię się cudownie z moim nowym przyjacielem. Szkoda, że Cię tu nie ma. Buziaki, Jessica”.

Pamiętam cały ten czas, jaki zmarnowaliśmy na analizy laboratoryjne i grafologiczne. Na szukanie odcisków palców, DNA na znaczkach pocztowych, które zawsze były samoprzylepne, na namierzanie urzędów pocztowych, przesłuchiwanie pracowników, na szukanie śladów w miejscach wymienionych na kartkach. Tekst i adres były wydrukowane z komputera i przyklejone do pocztówki przezrystą taśmą klejącą. Tak, szukaliśmy mikrośladów i odcisków również na obu stronach tej taśmy.

Poznałam w swojej karierze paru naprawdę obrzydliwych gnojków, ale ten, który wysyłał pocztówki po śmierci Jessiki Robertson, był najgorszy. Nie wystarczyło mu, że ją torturował, zgwałcił i zamordował. Ten morderca, może dlatego, że ofiara była agentką FBI, przedłużał horror, torturując również rodzinę, drwiąc sobie z niej.

Pomyślałam o mężczyźnie, którego poznałam wczoraj i który przyznał się do tych zbrodni. Potrafiłam sobie wyobrazić, że byłoby go stać na coś takiego, i zniechęciłam go na nowo.

– Ciągłe je dostajesz? – spytałam głupio, trzymając je w dłoni. Nie chciało mi się oglądać każdej z osobna.

– Wiem, Brigid, miałem je wam odsyłać, jak tylko przyjdą. Ale i tak nic z tego nie wynikało, prawda?

– Nie. Byliśmy do niczego.

– A kiedy Elena odeszła i nie było nikogo, kto by nad nimi płakał, poniekąd zaczęłam na nie czekać. – Zach patrzył na mnie, jakby pytał, czy rozumiem, co czułam. Powiedziałam, że

rozumiem. To go zachęciło. – W ten sposób mogłem udawać, że naprawdę są od Jessiki.

– Kiedy dostałeś ostatnią? – spytałam.

Pogrzebał wśród pocztówek i wyciągnął jedną, pokazał mi znaczek.

– To ta. Dwa miesiące temu.

– Nie będą... – Urwałam, próbując dopasować kartkę do posunięć Floyda Lyncha, ale wiedziałam, że wysłał ją ponad miesiąc przed schwytaniem.

Zach mnie uciszył.

– Kocham cię, Brigid – powiedział.

– Ja ciebie też, Zach – odparłam. To był jeden z tych momentów, kiedy odpowiadasz odruchowo. Ktoś to mówi i ty to mówisz, i nikt nie wie, co to naprawdę znaczy. Ale krzywdy nie robi.

– A teraz wynoś się stąd i zostaw mnie samego – dodał najtwardszym głosem, na jaki było go stać, wyciągając rękę po pocztówki.

Rzuciłam jeszcze uwagę, że purée ziemniaczane wygląda smacznie, zapowiedziałam, że zajrzę do niego rano i zajmę się papierkami koniecznymi do wydania ciała Jessiki przez patologa. Zapytałam też, czy miałyby coś przeciwko, żebym wzięła pocztówki.

Widocznie po tym, jak zobaczył szczątki Jessiki, nie były już dla niego tak ważne, więc mi je oddał. Schowałam je do bocznej kieszeni torby, obchodząc się z nimi z takim samym szacunkiem, jakby naprawdę były od Jessiki.

Ja z całą pewnością nie wołałam być sama, ale jeszcze nie miałam siły na konfrontację z Carlem, nie byłam w stanie udawać. Wychodząc z hotelu, zadzwoniłam na komórkę do Sigmunda, żeby go wyciągnąć na drinka. On będzie wiedział, jak to jest być z Zachem i Jessicą po tylu latach, a ja będę mogła posłuchać, jak idą testy na poczytalność.

– W ogóle nie idą – powiedział, kiedy go o to zapytałam. – Morrison stwierdził, że nie ma potrzeby, o niepoczytalności w ogóle nie ma mowy, a jeśli potrzebna będzie jakaś ocena psychologiczna, to wezwie kogoś miejscowego. Przeprosił za nieporozumienie.

– Tak po prostu posłał cię do diabła?

– Cóż, on tu decyduje. Był bardzo grzeczny i bardzo zażenowany. Nie wiedziałem, że agentka Coleman tego z nim nie uzgodniła. Prawdę mówiąc, niechcący wspomniałem, że brałaś udział we wczorajszej ekspedycji i to też go zirytowało. Najwidoczniej ciebie też nie chce widzieć przy tej sprawie, więc Coleman i ciebie zaprosiła niezgodnie z procedurą. Może mieć przez to kłopoty.

– Nienawidzę Morrisona.

– Nie pierwszy raz to mówisz.

– Mimo wszystko mógłbyś się w to wmieszać. Masz wystarczające wpływy.

– To zawsze był jeden z twoich problemów. Nigdy nie grałaś na wyznaczonej pozycji, zawsze wybiegałaś na lewe skrzydło. – Sigmund nigdy nie ogląda żadnych sportów, ale umie używać sportowych metafor.

– No dobrze, ale chcesz się spotkać?

– Przepraszam, Oso. Powinienem był to wyraźnie powiedzieć od początku. Mnie tam nie ma. Jakąś godzinę temu dotarłem do domu. Tu jest już prawie ósma. Ale daj mi znać, gdybym mógł pomóc.

Mnie też było miło cię widzieć, Sig. Pożegnaliśmy się bez tych wszystkich pustych obietnic, że będziemy w kontakcie.

O wiele mniej chętnie zadzwoniłam do miejscowego oddziału FBI i połączyłam się z Coleman. Zdziwiło mnie, jak ochoczo zgodziła się spotkać i w jaki sposób to wyraziła:

– Agentka Quinn. O Boże, tak. Teraz?

– Właśnie podrzuciłam Zachariaha Robertsona do hotelu i ciągle jestem w mieście – odparłam. – Chce się pani spotkać w greckiej restauracji koło waszej siedziby?

– Nie mogę. To była ostanía sprawa, jaką prowadziłam w Wydziale Przepstw Gospodarczych, i lada chwila przymknę ich za pranie pieniędzy.

– Słyszałam coś o tym, ale te ich obrotowe półmiski są świetne – rzuciłam żartem. Nie słuchała. – Larry? – Odwróciła usta od telefonu i słyszałam, jak pyta kogoś o lokal w okolicy Campbell i Speedway. Męski głos odpowiedział: „Jestem pewien, że mają już otwarte”. Podała mi namiary na policyjny bar niedaleko Sheratona, posłuchała jeszcze tego kogoś, kto udzielał jej wskazówek, i dodała: – To się nazywa Cantina Emery’ego. W tej chwili wychodzę z biura.

11 sierpnia 2011, godzina 17.20

Są takie bary dla gliniarzy, lokale, gdzie nikt może nie znać twojego nazwiska, ale gdzie możesz być pewien, że w razie draki dostaniesz wsparcie ogniowe, bo barman ma dubeltówkę. Plastikowy podłokietnik na barze jest popękany, oświetlenie fatalne, a o kuchni starasz się nie myśleć. Oczywiście w takie miejsca chodzą nie tylko gliny; widuje się tu też milczące, podstarzałe pary na emeryturze, które dziesiątki lat temu powiedziały sobie już wszystko, co miały do powiedzenia. Wszyscy wiedzą, że to bezpieczny lokal z przewidywalnymi, standardowymi cenami i happy hours za dolara. Ten akurat był całkiem blisko hotelu, przy Campbell, jakieś półtora kilometra od Sheratona. Mieścił się w starym, wolno stojącym budynku, tuż przy drodze, w jednym z niewielu domów na tej ulicy, które nie zostały wyburzone, by zrobić miejsce dla paskudnych szeregowych pawilonów handlowych, nadających się do wyburzenia, zanim jeszcze powstały.

Dotarłam na miejsce pierwsza i rozpoznałam dwóch wiceszeryfów, których znałam tylko z imienia. Wally i Cliff przerwali żucie hamburgerów, by kiwnąć mi na powitanie zatuszczonymi rękami. Przywitał mnie też barman, jeden z tych wesołych osiłków przypominających przerośnięte bobasy.

Idąc za wskazówką barmana, zajęłam stolik pod ścianą pomalowaną tak, by imitować kruszącą się cegłę. Kelnerka podeszła, zanim zdążyłam rozerwać białą opaskę na papierowej serwetce owiniętej wokół sztućców. Dziewczyna była przed trzydziestką, tak na moje oko, choć zauważyłam, że młodzi ludzie wyglądają tym młodziej, im bardziej sama się starzeję. Miała figurę sprinterki i afroamerykańską twarz. Gdybym mieszkała w Waszyngtonie, ten ostatni fakt nie byłby wart wzmianki, ale w Arizonie nie mieszka wiele czarnoskórych osób.

Mogłam poczekać z zamówieniem na Coleman, żeby nie wyjść na zdesperowaną, ale co mi tam. Trzymając dłonie jak szalki wagi, powiedziałam:

– Poproszę wódkę w jednej szklance, lód w drugiej. – Zwyczajowe maksimum w policyjnych barach to dwa piwa; gliniarze obejrzeni się, słysząc moje zamówienie. Ignorując ich, zaczęłam się rozglądać po lokalu. Na dalszej ścianie wisiały dyplomy uznania za wspieranie paraolimpiady i programu *Toys for Tots*^[51], i zwykła chmara zdjęć przedstawiających klientów, radośnie trącających się kubkami. Miło było urwać się od Zacha i spotkać się z kimś na brązową pogawędkę.

Coleman musiała się spieszyć, bo zjawiała się, zanim dopiłam drinka, przez co nie miałam szansy zamówić drugiego bez jej wiedzy. Kiedy już usiadła i oparła czarną torbę o nogę krzesła, spojrzała na moją szklankę. Nałożyłam do szklaneczki z wódką więcej lodu; nie czułam się w obowiązku tłumaczyć przed nią.

Kiedy już otaksowała mój alkohol, rozejrzała się po otoczeniu, po innych gliniarzach w barze, i chyba nie czuła się z tym wszystkim do końca komfortowo. Otoczenie było dla niej zbyt prząsne, zbyt barowe.

– To dlaczego przeniosła się pani z przestępstw gospodarczych do zabójstw? Zwykle ludzie migrują w drugą stronę – spytałam.

– Po prostu czułam, że to jest to, co muszę robić. – Wzruszyła ramionami na okrasę swojej nieodpowiedzi i uśmiechnęła się półgębkiem. Jak na kogoś, kto tak bardzo chciał się

spotkać, była dziwnie tajemnicza, nie patrzyła mi prosto w oczy. Pod pretekstem przeczesywania palcami krótkich, kręconych włosów, musnęła dłonią blade, rudawe znamię na prawej skroni, jakby uważała je za swoją jedyną skazę i chciała je ukryć. Oprócz tego jedyne, co przyszło mi do głowy na jej temat, to że w ogólniaku mogła należeć do dziewcząt, które podczas parad jeżdżą na platformach.

Kelnerka wróciła.

– Zdecydowała już pani, co zamawia? – spytała takim tonem, jakby istniał jakiś limit liczby jej kursów do stolika. Zabawne, że po dwóch dniach spędzonych w towarzystwie seryjnego mordercy i przeróżnych zwłok żadna z nas nie miała odwagi ani energii postawić się asertywnej kelnerce. Zdecydowałyśmy się na standardowe sałatki z taco. Kiedy Coleman zamykała menu, zauważyłam nazwę na okładce.

– Cantina Emery’ego – stwierdziłam. – Czy to nie ironia?

– Nie, dlaczego? – zdziwiła się kelnerka.

– Cantina. Emery. Emery brzmi równie z meksykańska jak... Mojsze – zasugerowałam. Wódka podsycała moją kreatywność.

Na szczęście nie muszę się bawić w pisemną wersję jakiegoś czarnego pseudodialektu, bo w jej odpowiedzi nie było niczego takiego. Żadnego „dziecko” czy „dziewczyno”, czy „a-A!”

– Meksykańskie nawiązania to powszechny leitmotiv na południowym zachodzie – odparła bardzo nieagresywnym tonem. Uniosła rękę dłonią do góry, by wskazać barmana. – To jest Emery, właściciel. Jest Węgrem. Ja jestem Cheri. I nie jestem Węgierką. – Rzeczony Węgier opierał się o laminowany bar i pocieszał jakiegoś gliniarza, który ewidentnie był po służbie i również nie przestrzegał zasady dwóch piw. Usłyszałam, że mówi „taksówkę”.

Uniosłam szklankę i zadzwoniłam resztką lodu. Coleman spytała:

– Macie jakieś wino, Cheri?

– Nasz burgund jest znośny po pierwszym kieliszku – odparła Cheri.

– W takim razie poproszę mrożoną herbatę.

– Och, niech pani przestanie – powiedziałam. – Proszę się trochę wysilić.

– Okej, jasne piwo. Dowolnej marki.

Cheri poszła po nasze zamówienie.

– Leitmotiv? – spytałam, nie dlatego, że mnie to obchodziło, ale dlatego, że chciałam przerwać niewygodną ciszę, którą Coleman nieskutecznie usiłowała wypełnić wieszaniem żakietu na oparciu krzesła, rozwijaniem sztuczków z serwetki i polerowaniem swoich kieliszków.

– Wszyscy w Tucson albo robią magisterkę, albo piszą książkę – odparła i wskazała Cheri, która, kiedy przyniosła nam już piwo i drugą wódkę, usiadła zaczytana w granatowej książce z jaskrawożółtym tytułem *Praktyka dochodzeniowa w sprawach zabójstw*. Oparła książkę o słoń z marynowanymi świńskimi ratkami, których nikt nigdy nie je.

– Wiem. Chodziło mi o to, czym różni się leitmotiv od zwykłego motywu – zapytałam.

– Nie wiem – przyznała i po raz pierwszy od naszego wczorajszego spotkania uśmiechnęła się. Ale wciąż nie całkiem patrzyła mi w oczy i znów musnęła dłonią znamię.

Domyślałam się, że jej zażenowanie ma coś wspólnego z brakiem zezwolenia Morrisona na zaangażowanie w sprawę mnie i Siga, ale nie była jeszcze gotowa mi o tym powiedzieć. Przez chwilę rozmawiałyśmy o Biurze, o wspólnych znajomych, wypiłyśmy jeszcze trochę, pogadałyśmy chwilę dłużej, zjadłyśmy sałatki, kiedy je podano, ale Coleman strasznie zwlekała z wyjawieniem, dlaczego tak bardzo chciała się ze mną spotkać, a najwyraźniej nie chodziło o ogrzanie się w blasku mojej sławy ani o przeprosiny za naruszenie procedur. Wokół tej sprawy toczyła się jakaś rozgrywka i ona potrzebowała mnie mieć po swojej stronie.

– I co pani sądzi o Lynchu? – Przyszpiliła mnie wzrokiem, jakby próbowała wyłapać

moją reakcję, zanim się odezwała.

Wróciło do mnie to wrażenie, które miałam tam, przy ciałach, po rozmowie z Lynchem, ale spróbowałam je zignorować. Powiedziałam ostrożnie:

– Narcystyczny, bezduszny, odrażający. Psychopata w każdym calu. Choć nie do końca taki, jakiego się spodziewałam.

– A co sądzi o nim doktor Weiss? Czytałam w *Profilowaniu kryminalistycznym* jego profil mordercy z Drogi 66. Uważa, że Lynch do niego pasuje?

Poczułam na twarzy pierwszy szczery uśmiech tego dnia.

– Trzeba powiedzieć cały tytuł, żeby zrobić odpowiednie wrażenie. *Teoria i praktyka profilowania kryminalistycznego: interdyscyplinarne podejście do analizy przypadku*. Sigmund będzie bardzo mile połączony, kiedy się dowie, że ktoś to przeczytał.

– Sigmund? Przecież ma na imię David, prawda?

– David, oczywiście, znamy się od bardzo dawna, od lat siedemdziesiątych, kiedy ściągnięto go do Biura, żeby pomógł stworzyć Wydział Analiz Behawioralnych. Przeważaliśmy go Sigmund za Freudem, wie pani, jak to jest z ksywkami.

– Widziałam wczoraj, że rozmawialiście. Po prostu jestem ciekawa, czy miał jakąś opinię.

W głowie zapaliła mi się czerwona lampka. Już wiedziałam, że nie obeszła Morrisona tylko dlatego, że zapomniała o procedurach. Teraz, kiedy Weiss został odprawiony, byłam jedyną osobą, do której mogła się zwrócić, i zastanawiałam się dlaczego. Umoczyłam usta w drinku, by pokazać, że kontroluję, ile piję, i zastanawiałam się, jak odpowiedzieć. Nie powiedziałam jej, że Sigmund właściwie nie chciał nic mówić.

– Nie wiem, było kilka niespodzianek. Po pierwsze, można by się spodziewać silniejszego mężczyzny, który byłby w stanie dźwignąć pięćdziesięciokilowe zwłoki nad głowę i wrzucić do kabiny ciężarówki. I zawsze wyobrażałam sobie, że morderca z Drogi 66 będzie bardziej inteligentny, ale to oczywiście mój wymysł. Dlaczego pani mnie o to teraz pyta?

Coleman wzięła głęboki oddech. Sprężyła się cała, jakby się spodziewała, że jej przyłożą. Sięgnęła do torby i wyjęła gruby raport. Położyła go przede mną tak ostrożnie, jakby to był materiał wybuchowy. I wreszcie powiedziała, co ją gniecie:

– Bo uważam, że mamy fałszywe przyznanie się do winy.

Kiedy człowiek przez cztery dekady lawiruje wśród biurowej polityki, wie, co jest co. Wszelka sympatia dla Coleman, jaką zaczęłam w sobie hodować, wyparowała z miejsca, kiedy uświadomiłam sobie implikacje jej słów. To była kompletna bzdura i powiedziałam jej to.

11 sierpnia 2011, godzina 18.10

To dlatego obeszła pani Morrisona i wezwała mnie i Weissa bez autoryzacji. Najpierw poszła pani do Morrisona i on tego nie kupił. Potem próbowała pani przeciągnąć Weissa na swoją stronę, ale on nie chciał rozmawiać o sprawie, dopóki nie zbada Lyncha. Teraz Weiss wyleciał z obrazka, więc próbuje pani wykorzystać mnie, żebym panią poparła. Naprawdę myślała pani, że taki numer ze mną przejdzie?

– Proszę – powiedziała.

Jeszcze nie skończyłam.

– A co najgorsze, pozwoliła mi pani zadzwonić do ojca ofiary i powiedzieć mu, że mamy sprawcę. – Wyobraziłam sobie Zachariaha Robertsona, którego zostawiłam w hotelowym pokoju z zalaminowanym zdjęciem jego dziecka. Na Boga, ten człowiek uważał pocztówki od mordercy za swój największy skarb. Ten obrazek podsycał mój gniew. Przechyliłam się przez wąski stół i ściszyłam głos. – Nie robi się takich rzeczy. Nie ściąga się ojca, nie pokazuje mu się szczątków jego córki storturowanej na śmierć, nie mówi mu się, że wreszcie złapaliśmy mordercę, by następnego dnia powiedzieć: skucha. Czy pani ma jakiegokolwiek pojęcie, co przeszedł ten człowiek i jak to będzie, kiedy mu powiemy: sorry, pomyłka? O nie, Floyd Lynch to nasz morderca. On to zrobił.

– Zechce mnie pani wysłuchać, z łaski swojej?

Miałam ochotę wściekać się dalej, ale chwilowo nie miałam pomysłu, co jeszcze mogę powiedzieć, żeby się nie powtarzać. Wypiłam więc swoją rozwodnioną wódkę i zadowoliliłam się złym spojrzeniem, a ręce schowałam pod stół, żeby nikt nie widział, jak rozdłubuję skórki przy paznokciach. Byłam wyjątkowo zestresowana. Cóż, przez ostatnie dwa lata chyba trochę za bardzo się wyluzowałam i odzwyczaiłam od tego całego szajsu.

Coleman uznała moje milczenie za tymczasowe przyzwolenie. Zaczęła od przeprosin, że obraziła moją inteligencję, co akurat najmniej mnie obchodziło, po czym otworzyła raport na stole i pokazała mi stronę z dwiema kolumnami: po jednej stronie, pod nagłówkiem „Morderca z Drogi 66”, profil rzeczonoego stworzony przez Sigmunda, a po drugiej stronie profil Floyda Lyncha.

– Znalazłam dziewiętnaście punktów – powiedziała. – Wykorzystałam jako szablon tabelę opracowaną przez Davida Weissa i znalazłam dziewiętnaście punktów, które nie pasują.

Wzięłam od niej raport i przejrzałam stronę; dostrzegłam kilka cech, które sama wychwyciłam u Lyncha.

– Okej, więc fizycznie nie jest tak silny, jak zakładaliśmy. Wydaje się też mniej zorganizowany i mniej elokwentny, niż sobie wyobrażaliśmy. Wielkie mi rzeczy, pomyliliśmy się. Nie zawsze trafiamy w dziesiątkę. – Rzuciłam raport na stół. – Poza tym Weiss sam mówi w swojej książce, że profil to nie jest gwarancja wyroku. Jedyną gwarancję dają twarde dowody. A my mamy dowodów, ile dusza zapragnie. Lynch prowadził pamiętniki ze wszystkimi szczegółami. Zaprowadził nas do ciała Jessiki Robertson.

Coleman powierciła się niespokojnie.

– Wiem to wszystko.

– Nasienie na zwłokach jest jego. W ciężarówce miał ofiarę zamordowaną w taki sam

sposób i tak samo okaleczoną pośmiertnie. Wie o uszach, a to był nasz test prawdomówności. O uszach wiedziały tylko osoby związane ze sprawą.

Coleman wyglądała, jakby miała ochotę przeskoczyć przez stół i zatkać mi usta.

– Nie wie, gdzie są te uszy – powiedziała.

– Co?

– Pamięta pani, jak bardzo Weiss podkreśla znaczenie trofeów i pamiątek? Że są dla mordercy bezcennym skarbem? Floyd Lynch nie potrafił mi powiedzieć, gdzie są uszy. Twierdzi, że zapomniał.

To kazało mi się zastanowić, ale znalazłam kontrargument.

– Po prostu nie chce pani powiedzieć.

– Powiedział nam wszystko inne.

– Chce je zachować dla siebie na zawsze. Nawet jeśli do końca życia posiedzi w więzieniu, będzie zawsze wiedział, gdzie są uszy.

– To samo powiedzieli oni wszyscy. Morrison, prokurator Adams Vance, nawet Royal.

– Royal...?

Dała się złapać. Sigmund miał rację. Miałam nadzieję, że nie będzie próbowała zostać tajniaczką. Zaczęła się trochę jąkać.

– Hughes... obrońca z urzędu.

Szybko odzyskała pewność siebie.

– Wszyscy mówią, że to tylko mała kropla w morzu obciążających dowodów. Tak strasznie chcą tego sukcesu. W mediach aż huczy, sam dyrektor dzwonił do Morrisona, żeby mu pogratulować, więc on się nie wycofa. Pamięta pani ten jego Zespół Przeciwdziałania Seryjnym Morderstwom Drogowym?

– Więc teraz pani ma nadzieję, że odwalę za panią robotę. Trzeba było zebrać się na odwagę i zmusić Morrisona, żeby autoryzował dalsze dochodzenie. Wie pani, zgodnie z procedurami.

Coleman odwróciła wzrok na tę moją uwagę.

– Znaleźliśmy ciało Jessiki. Dla pana Robertsona przede wszystkim to się liczy, prawda? To dlatego był tutaj. Uparł się je zobaczyć.

– Powinnaś wrócić do gospodarczego, gdzie twoje miejsce, kochana.

– Proszę do mnie nie mówić kochana, to protekcyjne i nie zasłużyłam sobie na to.

Zasłużyła sobie, jeszcze jak. Zignorowałam ją i mówiłam dalej.

– Oczywiście uszanowaliśmy życzenie Zacha, który chciał zobaczyć zwłoki Jessiki. Ale to było dla niego siedem lat czekania. Nie tylko na córkę, ale na sprawiedliwość. Jest już wystarczająco fatalnie, że Lynch dostanie dożywocie. Cierpienie Zachariaha Robertsona przekracza wszystko, co potrafisz sobie wyobrazić. I nie będziesz go pogłębiać tylko dlatego, że nie miałaś dość ikry, by obstawać przy swoim.

– Podać paniom coś jeszcze?

Obie z Coleman drgnęłyśmy, spłoszone, jakbyśmy zapomniały, że jesteśmy w barze. Nie wiem, jak długo Cheri stała obok nas. Przylepiłyśmy na twarze uśmiechy, które z perspektywy kelnerki pewnie bardziej przypominały szczerzenie kłów.

– Tylko rachunek poproszę – powiedziałam.

Cheri zabrała nasze talerze i poszła.

– Jesteś taka sama jak Morrison – powiedziała Coleman, zakładając ręce na piersi i patrząc na mnie takim wzrokiem, jakby to była najgorsza obelga, jaka jej przyszła do głowy. Nawet nie zauważyłam, kiedy przeszłyśmy na ty.

– Bzdura. – Ja też na poczekaniu nie wymyśliłam nic lepszego.

Ale Coleman nie zamierzała odpuścić.

– Co z Floydem Lynchem? Co, jeśli nie on popełnił te morderstwa, jeśli jest niewinny?

– Niewinny? Coleman, facet pieprzy mumie.

Wszyscy w sali spojrzeli na nas i zorientowałam się, że już nie ściszam głosu.

– Nie ma nawet żadnych konkretnych dowodów, że nie znalazł po prostu tych zwłok, tak jak twierdził na początku. Nie jesteśmy w stanie udowodnić, że zabił kobietę z ciężarówki. Więc co, wsadzimy człowieka do końca życia za zbezczeszczenie zwłok? Obrzydliwe hobby to nie jest zbrodnia pierwszego stopnia – powiedziała cicho Coleman.

Miała rację. Skazuje się człowieka za jego czyny, nie za charakter. Sama w swojej pracy zawodowej nieraz mówiłam coś podobnego. Przyjrzałam się jej wyprostowanej postawie, jej naturalnie kręconym włosom, jej profesjonalnie nijakim okularom. Ciekawe, czy przy analizie sprawy była równie perfekcyjna, równie drobiazgową.

– Podpuszczaliście go? Podsuwaliście mu informacje? – spytałam.

– Nie, przysięgam. Morrison nie chciał żadnych potknięć, więc kręciliśmy wszystkie przesłuchania na wideo. Możesz sama zobaczyć.

– Jak myślisz, dlaczego się przyznał? – spytałam, choć wiedziałam z doświadczenia, że to działa się ciągle, i to bez żadnych sensownych powodów.

– Tego jeszcze nie wiem – odparła.

– Pytałaś go?

Rozluźniła się, widząc, że zadaje pytania, zamiast atakować.

– Trzyma się swojej historyjki i wydaje się, że zna wszystkie szczegóły. Wydaje się... do diabła, wykuł to na blachę. Wszystko jest tutaj – powiedziała, stukając palcem w raport.

Podsunała go w moją stronę czubkiem idealnie zadbanego paznokcia; założyłabym się, że nigdy go nie obgryzała. – To jest skrót, nie ma tu wszystkich szczegółów, tylko to, co wydało mi się istotne dla mojej analizy. Proszę cię, spójrz na to... – urwała, popatrzyła mi w oczy i mówiła dalej – ...a przede wszystkim na ten film. – Otworzyła raport i wskazała na DVD w kopercie przyklejonej pod okładką. – To jest ta część przesłuchania, o której mówię, ta część, o której nie mogę przestać myśleć. Obejrzyj to, zanim każesz mi się odpieprzyć.

Kiedy wahałam się jeszcze chwilę, dodała z powracającą pewnością siebie:

– Wiem, że mnie nie znasz i że proszę o bardzo wiele. Ale nawet jeśli nie obchodzi cię, że za kratki trafi nie ten facet, co trzeba, spójrz na to z innej strony. Jeśli to nie Lynch zabił ofiary z Drogi 66, to człowiek, który to zrobił, ciągle gdzieś tam jest. – Znów pochyliła się nad stołem. Gdybym miała klapy, być może by mnie za nie złapała. – Zrozum, Lynch za dobrze zna szczegóły tej sprawy. Jeśli to nie on zabijał, założę się, że zna mordercę. Lynch może nas doprowadzić do człowieka, który naprawdę zabił Jessicę Robertson. Do człowieka, który w każdej chwili może znów zacząć zabijać.

Jeśli miała rację, to miała absolutną rację i to mi się wcale nie podobało. Została mi jeszcze tylko jedna obiekcja.

– Zdajesz sobie sprawę, że mój udział nie przyniesie ci żadnych korzyści? Wspomniałam już, że jedyne, co łączy mnie z Morrisonem, to wzajemna antypatia?

Zignorowała to. Nareszcie pozwoliła sobie pokazać, jak bardzo była znękana przez ten ciężar, który dźwigała sama.

– Agentko Quinn, bardzo, bardzo chciałam, żeby Floyd Lynch okazał się mordercą z Drogi 66. Chcę tego tak samo jak wszyscy. Fakt, że to ja go przesłuchiwałam, pchnąłby moją karierę do przodu. Ale nie mogę zapomnieć wyrazu jego twarzy, kiedy go zapytałam o uszy. Zobaczyłam innego człowieka. Raczej żałosnego niż psychopatycznego. Myślę o tym po nocach. Mamy tonę dowodów świadczących o jego winie, a ja nie mogę odpuścić sobie tego jednego,

jedyne, który każe mi wątpić, czy to on. Zrobię wszystko, żeby dokopać się do prawdy i doprowadza mnie to do lekkiego obłądu. Czy to ci się kiedykolwiek przydarzyło?

Nie odpowiedziałam i Coleman wzięła to za potwierdzenie.

– Ja cię tylko proszę o ekspercką opinię, czy sprawa zasługuje na dalsze dochodzenie.

Tylko tyle. Jeśli uznasz, że mogę mieć rację, znajdę dowody na potwierdzenie i jakimś cudem przepchnę to dalej, zmuszę Lyncha do odwołania zeznań, zanim oficjalnie przyzna się do winy, choć nie wiem jak. – Spróbowała twardo popatrzeć mi w oczy, ale jej spojrzenie uciekło na bok.

– A jeśli stwierdzisz, że mi odpieprzyło, to przynajmniej znów będę spać spokojnie.

– Nie masz wiele czasu. Dni?

Coleman skinęła głową i przesunęła raport na moją stronę stołu.

– Obiecuj, że nie wyrobisz sobie zdania, dopóki nie obejrzysz tego filmu.

Nawet w tej okropnej sprawie nieznanne kusilo mnie za bardzo, żebym zdołała się oprzeć. Schowałam raport do torby i powiedziałam Coleman, że się odezwę za dwa dni. No dobra, dobra, jutro.

11 sierpnia 2011, godzina 19.25

Przez całą drogę powrotną w góry Catalina rozmyślałam o tym dniu. O Zachu, ukrywającym rozpacz, stojącym nad wysuszonymi zwłokami Jessiki, i o spotkaniu w barze, które miało być miłym rozładowaniem emocji, a okazało się rozdrapywaniem ran, które, jak sądziłam, nareszcie zaczęły się goić. Przez parę ostatnich dni moje emocje doznały kilku potężnych wstrząsów.

Carlo widocznie zauważył, że chodzę zamyślona, i zaproponował, że zabierze mnie do Budy u Bubby na żeberka.

– Jest późno, nie jadłeś jeszcze? – spytałam go.

Pokręcił głową.

– Wołałem poczekać na ciebie.

Nie chciałam mu mówić, że jadłam już sałatkę z Coleman, więc uparłam się, że sama coś ugotuję, siłą zapędziłam mózg do kuchni i postarałam się na chwilę zmienić w podróbkę idealnej żony. Potrafiłam to zrobić. Choć przez całe zawodowe życie odżywiałam się fast foodami i gotowcami z mikrofali, ostatnio gotowanie stało się łatwiejsze, a kiedy już doznałam objawienia, że sos do spaghetti to nie keczup, reszta była prosta.

Wykombinowałam kolejną sałatkę – z krewetkami, orzechami, suszoną żurawiną i pokruszonym serem pleśniowym (moja porcja była o wiele mniejsza niż Carla) – i zjedliśmy przed telewizorem, co okazało się nie najlepszym posunięciem. Włączyliśmy kanał historyczny i oglądaliśmy kawałek programu o Etruskach, którego sama w życiu bym nie obejrzała, ale nawet mnie zaciekał. Potem Carlo zaczął się bawić pilotem (może sobie być geniuszem, ale i tak pozostaje facetem) i zatrzymał się na wiadomościach lokalnych. Nagłówek głosił: *Sprawa sprzed trzynastu lat rozwiązana w Tucson w Arizonie. Seryjny morderca przyznaje się do serii makabrycznych morderstw.*

Cholera.

– Chcesz sorbet ananasowy? – spytałam.

– Zaraz przyniosę. Daj mi to obejrzeć – odparł Carlo.

I oto Morrison wdzięczący się na podwyższeniu, odbijający pytania dziennikarzy, na które odpowiedzi już znałam. Porwane dziewczęta. Tortury. Śmierć. Mumie w ciężarówkach. Na ekranie pojawiła się Belinda Meloy, gwiazda lokalnej telewizji, tak podobna do Robin Mead, jak tylko się dało bez klonowania.

– Zauważyłeś, że prezenterki noszą ostatnio coraz bardziej skąpe kreacje? – spytałam, wciąż usiłując odwrócić jego uwagę. – Ta błyszcząca kiecka nadaje się raczej na bankiet.

Belinda powiedziała:

– Floyd Lynch trzy tygodnie temu znalazł się w areszcie Biura Szeryfa Hrabstwa Pima po tym, jak sto dwadzieścia kilometrów na północ od Nogales, na Drodze 19, został zatrzymany do rutynowej kontroli przez Straż Graniczną. Od tamtej pory przyznał się do zamordowania ośmiu młodych kobiet na przestrzeni niemal trzynastu lat. – Odwróciła się i kamera pokazała szerszy plan. – Oto szef Oddziału Terenowego FBI w Tucson, agent Roger Morrison.

Morrison posłał jej spojrzanie, które mówiło, że chętnie by odchrząknął, ale nie ma na to czasu.

– Dziękuję, Belindo. Wydział Operacyjny FBI do spraw Brutalnych Przestępstw udzielił pochwały naszym agentom współpracującym z miejscowymi stróżami prawa w Zespole Przeciwdziałania Seryjnym Morderstwom Drogowym, która to współpraca doprowadziła do bezproblemowego zatrzymania Floyda Lyncha. Połączone siły WOBP i zespołu, o którym mówię, obejmują Biuro Szeryfa Hrabstwa Pima, Departament Policji w Tucson i FBI. Dzięki nim ta stara sprawa, w której dochodzenie rozpoczęło się w 1998 roku i nigdy nie zakończyło, została oficjalnie zamknięta.

Po starannie przygotowanym oświadczeniu Morrisona reportaż Belindy uzupełniło moje zdjęcie jako agentki, która przez tyle lat nie odniosła sukcesu. Teraz, kiedy nie byłam już tajniaczką, mogli sobie pokazywać moją twarz. Był to oficjalny portret pstryknięty z okazji mojego przejścia na emeryturę.

– Popatrz, to ty – powiedział Carlo.

– To był grzmot? – To zawsze był dobry „odwracacz uwagi” w krainie, gdzie roczna suma opadów nie sięga trzydziestu centymetrów.

Carlo spojrział z ukosa w stronę fotela Jane, w którym siedziałam.

– To tam pojechałaś wczoraj? – spytał, kiedy ujęcie kręczone z telewizyjnego śmigłowca ukazało porzucony samochód.

– To nic wielkiego, Profesorze. Max poprosił mnie, żebym dopięła parę kwestii, wiesz, powiedziała, co myślę o starej sprawie. Już skończyłam. I nie chcesz o tym rozmawiać.

Słyszac to uniósł brew, ale nie pytał o nic więcej. Obejrzeliśmy odcinek *Prawa i porządku*, bo Carlo lubi, kiedy mu mówię, gdy opowiadają bzdury. W końcu powiedział:

– Chodźmy na spacer z Mopsami, O’Hari. – Nazywa mnie O’Hari (skrót od Mata O’Hari) przez moje irlandzkie korzenie i tajemniczą przeszłość. Nie mam nic przeciwko, dopóki to tylko żarty.

Każde z nas złapało Mopsa, przypięło mu smycz, wzięło torebkę na kupę i ruszyliśmy na spacer wokół kwartału. Było już całkiem ciemno, bo od letniego przesilenia minęły prawie dwa miesiące, ale ciągle gorąco, blisko czterdzieści stopni, duszno, bez śladu wiatru. W wieczornej ciszy rozmawialiśmy na te prawie nic nieznaczące tematy, które składają się na małżeństwo. Czy jechać na chrzciny jego ciotecznej wnuczki (nie). Czy ogrodzenie od tyłu potrzebuje nowej warstwy farby antykorozyjnej (tak). Czy krótki popołudniowy kapuśniaczek można uznać za deszcz (a skąd). To wszystko było takie normalne.

Kiedy wróciliśmy, na komórce czekał na mnie SMS od Coleman, która pytała, czy oglądałam już film: „Widzałaś już”?

– Daj mi spokój – odpisałam z mozołem, bo nie zdążyłam się jakoś oswoić z niechlujnym SMS-owym językiem.

A skoro miałam już telefon w dłoni, kontrolnie zadzwoniłam do Zacha. Powiedział, że ogląda film. I że nie zdecydował jeszcze, kiedy wraca do domu.

Wyrzałam przez okno od tyłu na naturalnej wielkości rzeźbę świętego Franciszka, siedzącego na ławce obok baseniku dla ptaków. Za nim rysowała się sylwetka góry Lemmon – widok, który do tej pory koił moją duszę. Z naszego okna nawet za dnia nie byłoby widać drogi, którą wjechaliśmy na północny stok, ale góra i tak kazała mi myśleć o mumiach w porzuconych samochodach. Od tej pory już zawsze będzie mi je przypominać.

Otrząsnęłam się z tej myśli i trochę wcześniej niż zwykle zwabiłam Carla do łóżka, dzięki czemu udało mi się zapobiec kolejnym pytaniom. Ale to nie była manipulacja. Prawda jest taka, że mimo smutku, a może właśnie przez smutek, sprawy kryminalne wywołują we mnie ochotę na seks. Carlo wciąż patrzył na mnie pytająco, ale po kilku chwilach wczuł się w nastrój.

Po wszystkim, kiedy już leżałam i słuchałam, jak Carlo śpi, pomyślałam, że powinnam

jednak wstać i obejrzeć ten film. Nagle usłyszałam w głowie głos siostry Marii Teresy z lekcji religii w czwartej klasie: „Dosyć ma dzień swego utrapienia”. Kiedy ma się dziesięć lat, te słowa nie mają zbyt wielkiego sensu, niezależnie, czy się wie, co to znaczy „utrapienie”. Ale dziś rozumiałam siostrę Marię Teresę. Dzisiaj było już dość utrapień. Film mógł poczekać do wczesnego ranka, kiedy będę miała dość siły, by stawić czoło temu, co w nim na mnie czekało. Wstałam, zażyłam pigułkę nasenną, żeby wyłączyć mózg, i wróciłam do łóżka.

12 sierpnia 2011, godzina 9.35

Następnego ranka o przyzwoitej godzinie zadzwoniłam do Zacha na komórkę i nagrałam się na pocztę głosową. Kiedy nie oddzwonił, zadzwoniłam do pokoju hotelowego, myśląc, że może coś jest nie tak z jego telefonem. W końcu zadzwoniłam do recepcji, gdzie powiedziano mi, że się nie wymeldował. To jego milczenie i obawy, iż być może będę musiała mu powiedzieć, że Floyd Lynch nie jest mordercą, mocno mnie wytrącały z równowagi. A na dodatek Carlo wciąż dziwnie na mnie patrzył.

Ale ciągle nie potrafiłam się przemóc i obejrzeć filmu. Jak mam to wyjaśnić? To było, jakbym wyczuła guzek, który pewnie nie był niczym groźnym, ale nie byłam jeszcze gotowa pokazać go lekarzowi.

Carlo poszedł szlifować i malować ogrodzenie za domem, a ja poszłam do domowej siłowni i pomachałam hantlami, ale było mi za mało. To wtedy zdecydowałam się zejść do koryta rzeki, poszukać kamieni i przewietrzyć głowę mimo afrykańskiego upału. Ze stojaka na parasole w podrabianym stylu Ludwika XIV wzięłam tę samą laskę, którą miałam przy sobie, kiedy poszliśmy szukać mumii na górze Lemmon. Nie chodzi o to, że jestem słaba czy kulawa; laski potrzebuję dla równowagi i do obrony przed ewentualnym grzechotnikiem. Włożyłam do zakurzonego plecaka butelkę wody i ogrodowe rękawice i zarzuciłam go na plecy. Komórka do kieszeni bojówek. Ruszyłam drogą do Golder Ranch w dół, do suchego koryta Cañada del Oro, biegnącego pod mostem.

Mam taki prywatny sygnał ostrzegawczy, który dobrze mi służył w niebezpiecznych czasach. Zaczyna mnie mrowić nerw z boku szyi. Nie wiem, dlaczego nie zaczął mrowić, kiedy zobaczyłam białą furgonetkę, starą i brudną, stojącą na moście, i jej kierowcę, wychylonęgo przez otwarte okienko, patrzącego w suche koryto. Może bateria wewnętrznego alarmu mi się wyczerpała.

Pomijając intuicję, powinnam była zauważyć, że furgonetka jest zaparkowana niezgodnie z przepisami i że w ogóle wszystko jest z nią nie tak. Położyłam plecak obok szkieletu drzewa przyniesionego tu przez jakąś dawną powódź, kiedy rzeki płynęły silnym nurtem. Założyłam rękawice i zaczęłam dziobać kamienie laską, od czasu do czasu podnosząc ładny kawałek różowego kwarcu albo szpikowanego miką granitu, by włożyć go do plecaka.

Furgonetka znów przyciągnęła moją uwagę, kiedy powoli zjechała po ubitej dróżce, odgałęziającej się od szerszej drogi wzdłuż rzeki. Udając, że oglądam kolejne kamienie, obserwowałam, jak zawraca na trzy razy i ustawia się tak, by móc łatwiej odjechać po stromym stoku. Na razie wciąż nie była jakoś szczególnie podejrzana, to było miejsce publiczne, gdzie ludzie przyjeżdżali czasem potrenować z psami.

Ale mężczyzna, który wysiadł zza kierownicy, nie był typem psiarza. Teraz nerw z boku szyi mrowił mnie już na całego. Wciąż udając, że kamienie są największą atrakcją mojego dnia, obserwowałam, jak otworzył tył furgonetki, poprawił w środku coś, czego nie widziałam i przymknął drzwi, nie zatrzymując ich. Potem odwrócił się i zaczął mnie obserwować.

Zerknęłam na rejestrację i zapisałam sobie w pamięci na późniejszy użytek, po czym znów wbiłam wzrok w mokry piasek pod stopami. Dziobałam go tu i ówdzie, by wykopać mniejsze kamienie. Ale poczułam, kiedy ten człowiek zaczął się poruszać; ześlizgnął się kawałek

po stoku, udawał, że się rozgląda, ale zbliżał się nieubłaganie.

Obudził się kolejny nerw, tym razem w pobliżu żołądka. Nie czułam go od bardzo dawna. Minęły długie lata, od kiedy ostatnio byłam w takiej sytuacji i, szczerze mówiąc, bałam się. W końcu odwróciłam się do niego, bo było już za późno na strach.

Napastnik stał jakieś trzy metry ode mnie. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, ważył najwyżej z siedemdziesiąt kilo, był chudy, miał nerwowe ruchy, zaczerwienione oczy i plamistą skórę, typową przy chronicznym nadużywaniu środków stymulujących. Proste włosy były nie tyle długie, co nieostrzyżone. Trzydzieści parę lat. Sportowa koszulka bez rękawów z logo Uniwersytetu Arizońskiego, kawałek sznurka na szyi, pomarańczowe, nylonowe szorty z lamówką, która kiedyś była biała. Bez majtek. Zielone japonki z gumą popękaną przy dużym palcu od zwyczaju zginania podeszwy w przód i w tył, jak robił to w tej chwili. Ale najbardziej złowrogi – gorszy niż wzwód, świadczący, że facet nie zamierza prosić o pieniądze – był pas taśmy hydraulicznej przyklejony na froncie koszulki.

Przygotowałam się na jego następny ruch. Była nim jakaś bzdurna rozmowa o geologii, którą miał nadzieję uśpić moją czujność. Kiedy tak sobie gadaliśmy, rozważałam możliwe opcje.

Wiać gdzie pieprz rośnie i mieć nadzieję, że facet mnie nie złapie.

Unieszkodliwić go tu i teraz i wezwać gliny.

Dowiedzieć się, kim jest.

Powinno być zdecydować się na numer dwa. Co ja sobie wyobrażałam? Może zaćmiło mnie w chwili, kiedy pociągnął za sznurek na szyi i wyjął spod koszulki zapakowany kondom. To mnie rozwścieczyło. Więc kiedy nagle zrobił krok naprzód i wytrącił mi kamień, który trzymałam w dłoni, zdecydowałam się na numer trzy: postanowiłam spróbować się dowiedzieć, ile razy już to robił i gdzie mogą być ukryte zwłoki, zanim facet zdąży się zaopatrzyć w adwokata. Jak widzicie, była w tym jakaś logika, nie kierowała mną wyłącznie wściekłość.

Pozwoliłam wykręcić sobie ręce za plecy, zakleić usta taśmą i powlec do furgonetki. Szamotałam się tylko na tyle, żeby wyglądało to przekonująco. Kiedy już byliśmy w samochodzie, złapałam oddech i zaczęłam mieć wątpliwości, myśleć, że być może popełniłam głupotę. Kiedy szliśmy do samochodu, mogłam lepiej ocenić jego siłę i wagę; szanse były bardziej wyrównane, niż mi się wydawało. A do tego wyglądało na to, że będę walczyć w przestrzeni wielkości budki telefonicznej.

Ale szkolenie Baxtera z Navy Seals natychmiast się włączyło. Peasil chwycił tyczkę, którą w niego celowałam, jakbym chciała utrzymać na dystans wściekłego psa, i rozciął sobie dłoń ostrzem przymocowanym na końcu. Kiedy otrząsnął się z zaskoczenia i rzucił na mnie, byłam tak skoncentrowana, że poczułam powietrze, które przemieścił. Zrobiłam unik na bok, tak że uderzył o tylną ściankę furgonetki. Odwróciłam się szybciej, niż się spodziewałem, zyskując trochę czasu na zajęcie odpowiedniej pozycji, by użyć laski w bardziej skuteczny sposób.

Peasil przeturlał się na bok, gdzie na ściance były zamocowane narzędzia, i złapał kombinerki. Wiedziałam, że wystarczy mu jeden celny cios i będzie po mnie.

Moje ostrze było na miejscu, zanim zdążył porządnie chwycić; zahaczyłam kombinerki o zawias i wyłuskałam mu je z dłoni. Teraz to on miał chwilę, by znieruchomieć i złapać oddech. Niestety, kiedy przestał się poruszać, znów znalazł się między mną i drzwiami.

– Kręci się, kręci się nasza karuzela – powiedział. Zaczął ssać dłoń i na chwilę się zdekoncentrował, jakby zafascynował go smak krwi.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, i zorientowałam się, że taśma hydrauliczna wciąż dynda się za koniec na moim policzku. Odkleiłam ją do reszty, krzywiąc się z bólu, gdy niechętnie oddzielała się od skóry. Przylepiłam ją do metalowej ścianki, a potem uniosłam rękę i dotknęłam kosmyka siwych włosów, który wysunął się z koka, kiedy podczas szamotaniny na

zewnątrz spadł mi kapelusz. Uśpić jego czujność, wydobyć informacje.

– To cię skusiło, prawda? Lubisz starsze kobiety?

– Prawdę mówiąc, ty jesteś dla mnie trochę za młoda – odparł przykucnięty Peasil, bujając się na nogach. – Tym razem jest inaczej.

Pomyślałam, że mówiąc „inaczej” ma na myśli mój wiek.

– A jak stare lubisz najbardziej? – spytałam, też się trochę kiwając, żeby nie zeszywnieć w ciasnej furgonetce.

– Tak stare, że kiedy zaginą, ludzie nie wszczynają bursztynowego alarmu^[6] i nie umieszczają ich zdjęć na kartonach z mlekiem. Kobiety, za którymi nikt nie będzie tęsknił.

– Powiedziałeś kiedyś komuś, co robisz? – spytałam.

Pokręcił głową ze smętną miną.

– Ostatnio nie, chyba że liczyć Internet. Ale w necie nikt człowieka nie bierze serio.

Wszyscy przeważnie wygadują bzdury. – Otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale je zamknął.

A więc była moja kolej.

– Jak to robisz?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jasne, że chcę.

Zagwizdał, jakby doceniał, że tym razem naprawdę jest inaczej. Nie miał pojęcia, jak bardzo inaczej, ale moje pytanie rozwiązało mu język.

– Wiesz, że większość gości przy takich akcjach strasznie paprze, nie? Okej, u mnie też może jest trochę krwi, widziałaś na podłodze, ale zwykle się w to nie bawię. Ja łamię im kości.

– Łamiesz im kości. Brzmi znajomo.

– Niemożliwe. Tylko ja to robię. To mój podpis.

– Wyjątkowa sprawa – powiedziałam, żeby go zachęcić.

– Absolutnie. Powiem ci, że masz jaja jak na taką starą babkę. To będzie lepsza zabawa, niż mi się wydawało.

– Ta twoja pracownia w furgonetce to też jest sprytnie rozwiązanie.

– No... chcesz wiedzieć, jak ją nazywam?

– Słucham.

– Wesoły Autobus. – Roześmiał się. Był wyjątkowo gadatliwy jak na seryjnego mordercę.

Widocznie przyjemnie mu było dzielić się z kimś doświadczeniami.

Uśmiechnęłam się, jakby jego inteligencja zrobiła na mnie wrażenie.

– Możesz mnie załatwić tu i teraz i nikt się nie dowie.

Peasil pokręcił głową, przyjął wygodniejszą pozę.

– A skąd, to by było zbyt ryzykowne. Wolę... zaraz... ty mnie masz za głupka? Nie wyobrażaj sobie, że z tego wyjdiesz. To ty jesteś głupia. Ty jesteś.

– Nie, ty jesteś.

Widziałam, że rozważa możliwe odzywki, ale w końcu poddał się i logicznie wyjaśnił swoją przewagę.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, ciągle jesteśmy w moim wozie, a po drugie, jestem większy od ciebie, nawet jeśli miałaś farta z tym swoim kozikiem.

Kiedy tak gadał, zaczęłam kreślić w powietrzu kółka laską z ostrzem trzymaną w jednej ręce, a drugą uniosłam tak, jakbym szukała odpowiedniego kadru do zdjęcia: palce w górę, kciuk w bok pod kątem prostym. Miałam dość miejsca nad głową, by unieść się na jedno kolano, a ostrze krążyło powoli, gładko, w zwolnionym tempie, koncentrując mnie do tego stopnia, że czułam wagę powietrza między nami. Staralam się odrobinę zyskać na czasie, by spokojnie

wymyślić, jak go najlepiej unieszkodliwić. Zdecydowałam: odwrócić jego uwagę jednym czy dwoma skaleczeniami, a potem złamać mu obojczyk.

Obserwował mnie uważnie, ocierając dłoń o szorty. W końcu powiedział:

– Hej, to wygląda jak ruchy ninja. Kumasz? Stara baba-ninja. Ha!

– Ja ci dam starą – szepnęłam i rzuciłam się naprzód. Przysięgam, nie planowałam tego, ale on uniósł się w tym samym momencie i moje ostrze weszło w nieodpowiednie miejsce na jego udzie. Peasil patrzył jak przypadkowy widz na własny wypadek. Obserwował, jak krew z tętnicy siknęła piętnastocentymetrową fontanną i zaczęła się zbierać na rowkowanej podłodze.

– O kurka – powiedziałam.

– Pomóż mi – jęknął, po czym padł plecami na drzwi i zemdłał.

– Czy ja wyglądam jak sanitariuszka? – powiedziałam do nikogo, ale rzuciłam jego ciało na płask, zdjęłam sznurek z jego szyi, wytrząsnęłam kondom z paczki i zrobiłam z niego opaskę uciskową powyżej rany. W ogrodowych rękawicach trudno mi było zawiązać gumę, ale instynkt zabronił mi ich zdejmować. Z wysiłkiem przekręciłam Peasila na plecy i usiadłam obok niego po turecku, na zasłonce prysznicowej, żeby nie upaprać się krwią rozlaną na podłogę.

Peasil budził się powoli, żywy, ale wciąż zbyt przymulony od gwałtownego spadku ciśnienia. Nie mogłam marnować czasu na doprowadzenie go do porządku zgodnie ze sztuką medyczną. Zamiast tego złamałam mu mały palec. Oprzytomniał z wraskiem.

– Boli, co? Słuchaj – powiedziałam. – Niechący przecięłam ci tętnicę udową. Nie, nie ma na co patrzeć. Założyłam ci opaskę uciskową na nogę, żeby spowolnić krwotok, ale jeśli nie podwiążę ci tej tętnicy w ciągu – spojrzałam na zegarek – trzydziestu minut, i tak umrzesz. A teraz gadaj, gdzie ukryłeś ciała.

– Wykrwawiam się na śmierć.

– Tak, ale powoli. Powiedz mi, gdzie są ciała.

– Tam, na tamtej półce jest przybrornik do szycia.

– Jak zaczniesz mówić, uratuję ci nogę. Umieję to zrobić, ale musisz ze mną współpracować.

– Dostaniesz za to czapę.

Brałam pod uwagę, że może mieć rację, ale on nie musiał tego wiedzieć.

– To była samoobrona. A w najgorszym wypadku nieumyślne zabójstwo. Gadaj, gdzie są ciała.

– Powiem, że mnie zaatakowałeś.

– Popatrz na siebie. A potem popatrz na mnie.

Peasil jęknął.

– Ja się wkurzam, a ty umierasz. To nie jest dobre wykorzystanie czasu. Powiedz mi, gdzie składujesz ciała, pieprzony zboku.

– Ciała... – Umilkł, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. Nagle zaczął skomleć coś niezrozumiałego, więc pochyliłam się do przodu, tak blisko, że poczułam smród przetrawionego piwa i usłyszałam coś jakby: – Jesteś trupem...

Co wydawało się dość buńczucznym stwierdzeniem jak na człowieka w jego położeniu. Ale przeceniłam jego osłabienie i straciłam czujność. Szarpnął się na bok i walnął mnie głową, aż zobaczyłam gwiazdy. Kiedy dochodziłam do siebie, przeturlał się na bok i przycisnął mnie ciężarem ciała, ale nie było go stać na nic więcej. Jego ręce próbowały mnie przytrzymać, ale osłabione upływem krwi niewiele mogły zdziałać. Jediną bronią, jaka mu została, były zęby, więc zacisnął je na moim ramieniu powyżej łokcia. Wrzasnęłam, ale byłam przygwożdżona do ściany, miałam skrzyżowane nogi, nie miałam jak go zrzucić ani wydostać się spod niego. Wiedziałam, że surowy dzins koszuli nie wytrzyma długo i nie zapobiegnie przebicciu skóry.

Musiałam coś zrobić, i to szybko, ale ból nie pozwalał mi się skupić, kiedy Peasil wgryzał się we mnie, poruszając żuchwą na boki niczym wąż koralowy.

Wyliczając już w głowie kosztą mojego uczynku, oplakując utratę spokoju, który odnalazłam na pustyni, jęknęłam z żalem i przekręciłam tułów, by móc zgiąć się do nóg Peasila.

Pozwoliłam sobie na jedno wyszeptane „niech to szlag”, a potem wstrzymałam oddech i szczelnie zacisnęłam usta i oczy, by ochronić je przed fontanną krwi. Dwoma wolnymi palcami sięgnęłam w dół i zdjęłam mu z uda opaskę uciskową.

Znów to zrobiłam, pomyślałam chwilę później. I tym razem nawet nie mam odznaki. Mam przechłapanie.

12 sierpnia 2011, godzina 10.45

Co mnie podkusiło, żeby tak ryzykować? Chciałam wypytać go, zanim zacznie go chronić wymiar sprawiedliwości i prawa zatrzymanego, ale ta logika rozpuściła się w zapachu gorącej krwi. Logika. Ano tak, próbowałam się dowiedzieć, gdzie ukrył ciała. A może też – przynajmniej odrobinę – chodziło o upewnienie się, że wciąż jestem dość sprawna fizycznie, by bez pomocy załatwić takiego gościa?

Wiedziałam, że na takie dumania będę miała mnóstwo czasu później. W tej chwili przelazłam na czworakach na sam tył furgonetki, żeby uniknąć krwi wciąż płynącej rowkami w podłodze i dojsć do siebie po lekkim szoku. Skupiłam się na spowolnieniu oddechu, by w jego ślady poszło serce. Ufając, że na zewnątrz furgonetki nie ma nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć, wrzasnęłam na całe gardło, co trochę mnie uspokoiło. Ale w końcu przyszła pora stawić czoło faktom.

Najpierw zdjęłam przesiąknięte krwią rękawice i wetknąwszy je za pasek bojówek, rozpięłam boczną kieszeń, by wyjąć komórkę. Było ważne, żebym wypadła chłodno i profesjonalnie, jakbym wciąż pracowała w zawodzie. Odchrząknęłam i przeciwiczyłam parę razy swoją kwestię.

– Cześć, Max? Tu Brigid Quinn. Cześć, Max? Mówi Brigid Quinn – aż byłam w stanie powiedzieć to bez dławienia się. Numer Maksa miałam zaprogramowany. Mój drżący palec przez chwilę wisiał nad przyciskiem. Zastanawiałam się, jak to rozegrać.

Potem pomyślałam, że może zamiast do Maksa lepiej najpierw zadzwonić do Carla. Wyjaśnić mu wszystko z miejsca, zanim ktokolwiek inny go dopadnie i przedstawi mu w niewłaściwym świetle to, co tutaj zaszło. Bo przecież zrobiłam to w samoobronie. Zwlekałam jeszcze chwilę, sparaliżowana myślą, że Carlo mógłby zejść nad rzekę i zobaczyć mnie całą we krwi.

Nie, nic z tego. Może lepiej zakradnę się do domu, doprowadzę do porządku, a potem, już bez krwi, spokojnie i racjonalnie wytłumaczę, co tu się naprawdę stało.

Zawahałam się kolejny moment.

I wtedy, siedząc na podłodze furgonetki i wpatrując się w brudne ścierwo, przypomniałam sobie tamten dzień, kiedy Paul, ten od wiolonczeli i oliwy truflowej, spojrział na zdjęcie z miejsca zbrodni i powiedział mi, że nie zniesie mojej obecności w swoim świecie.

Jestem pewna, że są i inni ludzie, którzy doświadczyli tej Chwili. Tej Chwili, w której przestajesz być kimś, kim byłeś do tej pory. Jesteś w gabinecie lekarza albo w domu, albo w pracy i ktoś, ktoś, komu być może zawsze ufałeś, wchodzi do pokoju i rzuca jakąś luźną uwagę, której potem nawet nie pamięta, ale ta uwaga wstrząsa tobą do głębi, wyważa z posad to, czym byłeś. Człowiek myśli, że jest taki twardy, i w ogóle nie zdaje sobie sprawy, jaki jest kruchy, dopóki nie pęknie. To się dzieje tak łatwo, tak szybko. Paul był jedną z takich chwil. Teraz nadeszła kolejna i to jest jedyne wyjaśnienie i usprawiedliwienie tego, co zrobiłam.

Z nieznośnym bólem trzewi myślałam o utracie Carla, o tym, że nie przetrwam, nie zdołam przeżyć utraty jedyne szczęścia, jakie spotkało mnie w całej mojej egzystencji. Za długo na niego czekałam i nie odstraszę go od siebie, tak jak odstraszałam każdego innego cywila w mojej przeszłości. Wiedziałam, że jeśli stracę męża, nie przeżyję, i nie miałam zamiaru

ryzykować. O wiele prościej będzie nie mówić o tym Carlowi ani nikomu innemu.

Może powiedzmy po prostu, że spanikowałam. I trochę mi odbiło. Oderwałam spojrzenie od zwłok i zamknęłam telefon, który trzasnął cicho niczym zamykane na zawsze drzwi. Schowałam go do kieszeni i przeszłam do akcji, która była chyba najgłupszą pomyłką w moim życiu.

Rozważyłam możliwości, wymyśliłam trzy, zdecydowałam. Ułożyłam plan.

Faza pierwsza: okrywając dłoń rękawem, otworzyłam drzwi furgonetki i wyrztałam. Po mrocznym wnętrzu światło odbite od piasku oślepiło mnie. W końcu plaża wyostrzyła mi się przed oczami. Wskoczyłam, przeprostowałam obolałe plecy i wyjęłam z plecaka małą butelkę wody. Zmyłam z twarzy trochę krwi, a potem polałam wodą bluzkę, by krew wsiąkała w nią bardziej równomiernie, dzięki czemu dzins po prostu wyglądał na ciemniejszy, a nie zakrwawiony. Nie zrobiłam tego nad piaskiem, ale nad spłachciem niskich zarośli pod osłoną mostu, by ukryć ślady na wypadek, gdyby policja starannie badała miejsce zbrodni. Podniosłam kapelusz, który spadł mi podczas szamotaniny, i zwinęłam pod nim zakrwawione włosy. Nie potrzebowałam lusterka, by wiedzieć, że każdy, kto mnie teraz zobaczy, przynajmniej z daleka, ujrzy po prostu niechlujną kobietę zmęczoną upałem.

Po moście, z zachodu na wschód, przejechało auto, ale nie zwolniło.

Faza druga: założyłam z powrotem rękawice i wsiadłam do furgonetki przez tylne drzwi. Spodziewałam się, że będę musiała szukać kluczyków przy zwłokach, ale miałam szczęście. Peasil zostawił je w stacyjce, żeby móc szybciej uciec. Zajrzałam pod osłony przeciwsłoneczne i do schowka, szukając portfela, dowodu ubezpieczenia, dowodu rejestracyjnego, czegokolwiek, co pozwoliłoby zidentyfikować właściciela. Znalazłam tylko dużą kopertę, wsuniętą między fotel kierowcy i konsolę dźwigni biegów. Wyrzuciłam ją z kabiny na ziemię, żeby nie zapaprała się krwią.

Wróciłam na pakę i otworzyłam zasuwkę niewielkiej szafki przymocowanej do ścianki. W środku było między innymi różowe śniadaniowe pudełko z lalką Barbie, o którym starałam się nie myśleć, kiedy grzebałam w szafce, szukając nożyka montażowego. Taki nożyk nadałby się najlepiej. Znalazłam. Wysunęłam ostrze, umoczyłam je we krwi trupa, wykonałam kilka eksperymentalnych cięć na nadgarstkach i rzuciłam obok ciała, by wyglądało, jakby Peasil sam sobie przeciął tętnicę.

O mało nie przegapiłam laski, leżącej w jednym z rowków podłogi; surowe drewno przesiąkło krwią i wiedziałam, że już nie da się doczyścić.

Z całą świadomością, że każda sekunda to dodatkowe ryzyko, obejrzałam wnętrze tak dokładnie, jak się dało, szukając jakichkolwiek śladów mojej obecności. Uznałam, że jest wystarczająco bezpiecznie.

Faza trzecia: usiadłam za kierownicą i sprawdziłam, wyglądając przez przednią szybę, czy nikt mnie nie obserwuje. Teren był czysty, więc zapaliłam silnik i skręciłam na gruntową drogę biegnącą górnym skrajem plaży. Na szczęście i droga, i koryto rzeki skręcały ostro w lewo. Pokonałam zakręt i jechałam dalej, aż uznałam, że furgonetka będzie zupełnie niewidoczna z mostu, pod który chodziłam zbierać kamienie. Drugie „na szczęście” było takie, że w tym miejscu rzeka płynęła kiedyś bystrzejszym nurtem i wygryzła piach po zewnętrznej stronie łuku, tworząc ostrzejszy spadek.

Ostrożnie podprowadziłam furgonetkę jak najbliżej krawędzi, w lukę między drzewami mesquite, uparcie czepiającymi się ziemi mimo erozji zbocza pod ich korzeniami. Kiedy poczułam, że koła od strony kierowcy zaczęły się niebezpiecznie zapadać, zostawiłam dźwignię biegów w pozycji „drive”, zaciągnęłam ręczny hamulec i przeszłam nad konsolą na stronę pasażera. Byłoby mi o wiele wygodniej, gdybym była na lewym brzegu rzeki; wtedy mogłabym

wcisnąć gaz za pomocą laski. W tym miejscu mogłam tylko zwolnić hamulec, pchnąć otwarte drzwiczki pasażera i modlić się o siłę i jak najdłuższe koziółkowanie samochodu, które usprawiedliwiłoby stan zwłok.

Moja technika okazała się skuteczna. Furgonetka sturlała się parę metrów w głąb koryta rzeki i wylądowała na dachu z wciąż pracującym silnikiem. Wstrzymując oddech, a razem z nim niemal i bicie serca, postąpiłam na miejscu dość długo, by usłyszeć, czy ktoś nie zauważył wypadku i nie pędzi teraz z krzykiem w stronę koryta rzeki. Nie usłyszałam nic oprócz spóźnionego, głuchego łomotu, jakby na pace furgonetki przewrócił się worek z cementem. Pewnie ciało tego drania zaczepiło się o coś, zanim spadło na sufit.

Wystarczył mi niecały kwadrans, by osiągnąć punkt, z którego nie było już odwrotu.

Byłoby idealnie, gdyby furgonetka poleżała tu z tydzień, zanim ktoś ją odkryje. Przez ten czas rozkład i działalność owadów zamaskowałyby przeciętą tętnicę. Jeśli nie, była szansa, że sprawa zostanie uznana za samobójstwo niezidentyfikowanego włóczęgi. Nie będą się przyglądać na tyle uważnie, by zauważyć, że cięcia na nadgarstkach powstały post mortem; facet wylądował w chłodni w kostnicy i nikt o niego nigdy nie zapyta.

Ostrożnie, w samych skarpetkach, przeszłam się pod mostem, gdzie wszystko się wydarzyło. Zostawiłam swoje ślady, ale ślady Peasila zatarłam, ciągnąc po ziemi plecak. W ten sposób dotarłam do miejsca, gdzie wcześniej stała furgonetka, i zobaczyłam kopertę na ziemi. Zajrzeć do środka na miejscu czy zabrać ją ze sobą? Jedno i drugie było ryzykowne. W końcu podniosłam ją i schowałam do plecaka.

Kiedy zarzuciłam plecak na ramię, zauważyłam, że jest lżejszy niż zazwyczaj. Zanim pojawił się morderca, byłam na plaży lewie dziesięć minut i zebrałam raptem ze sześć kamieni. Wiedziałam, że padną pytania, jeśli po tak długim czasie wrócę do domu z tak mizernym łupem. Podniosłam różowy kwarc i parę innych.

Faza czwarta: zamiast wracać do domu główną drogą, wydostałam się z koryta jakieś sto metrów za mostem i przecięłam autostradę Lago del Oro. Godzina szczytu minęła, tuzin samochodów, który się na nią składał, dawno pojechał w siną dal, więc nie było żadnych szans na ratunek. Gdyby pod mostem była inna kobieta, leżałaby teraz z połamanymi kośćmi na pace furgonetki. Ale że trafiło na mnie, zamiast kobiety w furgonetce leżał połamany morderca. To mnie trochę pocieszyło.

Inne kobiety. Szkoda, że niechcący uciszyłam tego gnoja, zanim dowiedziałam się o nich czegokolwiek. Ale ważniejsze było, że nie będzie kolejnych. Już nigdy.

Słuchając własnego zdyszanego oddechu i dając sobie chwilę na oczyszczenie umysłu ze śmierci, spojrzałam na pobliskie góry, leżące pięć kilometrów na wschód. Zasnutą fioletową mgiełką, miały w sobie to coś. Ten majestat, spokój. To, czego chciałam bronić, kiedy jeszcze byłam młodą, naiwną agentką.

Przedostałam się przez kilka małych wąwozów, odgradzających autostradę od mojego osiedla. W prostej linii najwyżej z pół kilometra, ale droga była trudna: ześlizgiwałam się na żwirze po jednej stronie wąskiego parowu i z bólem pleców wspinałam się mozolnie na drugą stronę, wbijając laskę w ziemię. Było takich parowów sześć, a każdy wyżej niż poprzedni, tak że z samej góry patrzyło się na niewielką dolinę, którą woda wyrzeźbiła przez milenia.

Poza tym nie było nic, nic oprócz pustynnych, suchych zarośli, przetykanych tu i ówdzie pomarańczowoczerwonymi kwiatami, wybuchającymi z okrągłych ferokaktusów, nic oprócz szlaku końskich podków, ale mój układ nerwowy jakoś nie był w stanie wyjść z tego nadaktywnego trybu. Rozglądając się wśród gałęzi mizernych drzewek, wśród niskich wzgórz, trzymałam laskę w pogotowiu i szłam niemal na palcach. Każdy dźwięk, od motocykla ryczącego na drodze biegnącej równoległe do mojej trasy po szelest królika w krzakach, sprawiał, że

zaczynał mnie mrowić nerw z boku szyi.

Mogłam go unieszkodliwić tam, pod mostem, i wezwać pomoc. Powinnam była to zrobić.

Dziesięcioprocentowa wilgotność powodująca odwodnienie zaczęła dawać mi się we znaki – zaczęło mi się trochę kręcić w głowie. Moja koszula była już sucha, trochę sztywna od krwi, która w nią wsiąkała. Bardzo chciało mi się pić, ale nie otworzyłam ust, wiedząc, że krew martwego faceta z furgonetki – której odrobina zapewne zaschła mi w kącikach warg – pewnie była czymś zakażona.

Mimo osłabienia, w ostatnim parowie przed domem zakopałam swoją zakrwawioną łaskę w miękkim piasku, tuż poniżej krawędzi zbocza, by nie wypłukała jej kolejna ulewa.

Kiedy skończyłam i dźwignęłam plecak, by zarzucić go sobie na ramię, przypomniała mi się koperta. Byłam ciekawa jej zawartości, ale przede wszystkim musiałam dostać się do domu i umyć, zanim Carlo mnie zobaczy. Faza piąta: Carlo. Pomyślałam głupio, że to będzie największe wyzwanie mojego życia. Nie wymierzenie sprawiedliwości tamtemu draniowi, ale skuteczne ukrycie przed mężem i światem okropieństwa, które popełniłam. Zabicie tego faceta to była łatwizna.

12 sierpnia 2011, godzina 12.10

Przemknęłam się boczną furtką, potem zewnętrznymi drzwiami do garażu, a z garażu do domu, prosto do pralni. Usłyszałam prysznic po drugiej stronie ściany, w głównej łazience. Dzięki Bogu. Dało mi to kilka cennych chwil, by rzucić plecak na rzeźbiony mahoniowy stół w holu, komórkę na blat w kuchni, zedrzeć z siebie ubranie – bluzkę, kapelusz, buty, bieliznę i rękawice – i upchnąć wszystko do pralki, wlać do przegródki pół butelki wybielacza i włączyć program. Później i tak zamierzałam wywalić wszystko do śmieci, ale nie było sensu dostarczać więcej dowodów, niż było to nieuniknione.

Mopsy, które ucięły sobie poranną drzemkę w mojej szafie, podbiegły do mnie. Zamiast skakać mi na nogi, jak robiły to zwykle, zbliżyły się ostrożnie, zaciekawione nowym zapachem, który przyniosłam do domu. Rzuciłam tak stanowczo, jak dało się to robić ściszym głosem:

– Stop! Leżeć! – Nieprzywykłe do ostrego tonu usiadły i przyjrzały mi się podejrzliwie, jakby doszły do wniosku, że jednak jestem tym obcym, którym cuchnę.

Staralam się poruszać tak szybko, jak to było możliwe, by zdążyć, zanim Carlo wyjdzie z łazienki i zobaczy mnie z ciałem poplamionym krwią w miejscach, gdzie przesiąkła przez ubranie. Ruszyłam do łazienki dla gości, ale zatrzymałam się, słysząc, że Carlo pod prysznicem zaczyna ryczeć jakąś arię.

Nie bardzo znam włoski, ale wiedziałam, że akurat ten kawałek jest dość długi. W każdej innej sytuacji skóra by mi ścierpła na dźwięk jego śpiewu, ale w tej chwili był to dar niebios. Carlo znał wszystkie zwrotki i orkiestrowe wypełniacze między nimi; wiedziałam, że nie zakręci wody, dopóki nie dośpiewa całej pieśni do końca.

Pobiegłam do łazienki dla gości na drugim końcu domu i zamknęłam drzwi. Kolana uginały mi się z szoku i odwodnienia i najchętniej oparłabym się o umywalkę, ale nie chciałam zostawiać żadnych mikrośladów, więc przez sekundę po prostu stałam chwiejnie. Żeby nie paść, wpatrywałam się w lustro w mały tatuaż białej róży na sercu. O ten tatuaż Carlo też nigdy nie zapytał.

Myślałam o tym, co powinnam była zrobić. Powinnam była zostawić furgonetkę na miejscu, przyjść do domu, umyć się, możliwie delikatnie wyjaśnić wszystko Carlowi, a potem zadzwonić do Maksa. Właśnie to powinnam była zrobić.

Ale myśląc, marnowałam bezcenne minuty. Wyjęłam spod zlewu butelkę denaturatu i wzięłam ją ze sobą pod prysznic. Miałam wrażenie, że mycie trwa wieki, choć szorowałam tak szybko i metodycznie, jak się dało. Większość denaturatu wylałam sobie na twarz. Dopiero wtedy otworzyłam usta pod strumieniem wody i napiłam się do woli. Umyłam włosy i resztę ciała, nie przejmując się, że mydło spływa mi do oczu. Krew przesiąkła przez rękawice, zebrała się wokół paznokci i zaschła, kiedy szłam do domu. Rozpuściła się nareszcie, dopiero kiedy powtórzyłam całą procedurę drugi raz. Mimo to, kiedy już stanęłam przed lustrem, by obejrzeć czerwieniejący ślad ugryzienia na ramieniu, pomoczyłam palce w reszcie denaturatu, który wlałam do zlewu. Dopiero wtedy byłam gotowa wyjść z łazienki. Mycie zajęło mi trochę ponad piętnaście minut.

Jeszcze pod prysznicem znów poćwiczyłam używanie głosu, więc teraz byłam w stanie zawołać:

– Cześć, Profesorze. Wróciłam! – na tyle głośno i bez drżenia, że musiał mnie usłyszeć w dowolnym zakątku domu. Na szczęście skończył już przysznic i golił się elektryczną maszynką, wyśpiewując coś płaczliwego, co brzmiało jak „Piandziiii, piandziiii”, więc nie odpowiedział na moje powitanie.

Skoro spotkanie z Carlem oko w oko trochę odsunęło się w czasie, nareszcie pozwoliłam sobie paść ze zmęczenia na kanapę w salonie, ku uciechu Mopsów, które, szczęśliwie, że odzyskały prawdziwą mnie, rzuciły się do moich kostek jak napakowane dwulatki, radośnie pochrumkując. Nagle przerwały swój pozorowany atak, żeby znów mnie obwąchać, jakby wykryły resztki zapachu martwego drania.

– Wszystko jest w porządku – powiedziałam im. Ale psy, wciąż niepewne, jak na sygnał poszły ochłodzić swoje umięśnione brzuchy na kawałku terakotowej podłogi nieprzykrytej dywanami Jane.

Dźwięk spuszczonej wody, odkręcony kran, fuknięcie odświeżacza powietrza i Carlo wyłonił się z sypialni z otwartą książką *Islam współczesny* i z triumfalnym błyskiem w oku. Ten kąsek normalności przypomniał mi, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Choć przygotowywałam się na tę chwilę, poczułam, że ciało mi sztywnieje ze stresu, więc skupiłam się na rozluźnianiu jednego mięśnia po drugim, poczawszy od kącików ust.

Carlo na mój widok lekko zmrużył oczy, jakby próbował zgadnąć, co jest inaczej. Wciąż z trudem zachowując spokój, odpowiedziałam mu spojrzeniem, zmuszając język, by odkleił się od podniebienia.

– Jesteś goła – stwierdził w końcu, siadając obok mnie na kanapie i zakładając nogę na nogę. Mopsy, przeszczęśliwie, że stado znów jest razem, zaatakowały tym razem jego łydki. Odsunął je delikatnie, nie odrywając oczu ode mnie.

Wiedziałam, że to moja ostatnia szansa na powiedzenie prawdy. Chudy dzieciak zalany krwią, z ustami otwartymi w ostatnim jęku, na sekundę pojawił mi się w głowie. W mgnieniu oka odtworzyłam całą tę akcję i zmieniłam w myślach jej przebieg. Ale teraz nie było już odwrotu. Poczułam, że oczy mi się otwierają.

– Potknęłam się o kamień i miałam pełno piachu we włosach – powiedziałam, ocierając się nosem o policzek Carla i klepiąc go po udzie, a jednocześnie zastanawiając się, jak szybko ktoś znajdzie furgonetkę w korycie rzeki. – Niezdara ze mnie. Dobrze, że cię tam nie było. Padłbyś ze śmiechu.

Carlo, zamiast się roześmiać, pokręcił głową i wskazał moje ramię.

– Musiałaś się nieźle potłuc. To siniak?

Wstałam i przeszłam do aneksu kuchennego. Czując wzrok Carla na moim tyłku, stanęłam na palcach i w drzwiczkach mikrofalówki jak w lustrze jeszcze raz obejrzałam półkolistą siniaczkę. Uspokoiliłam się, że ciężko w nim rozpoznać ślad ugryzienia, po czym zajęłam się napuszczeniem wciąż jeszcze wilgotnych włosów. Dzięki temu mogłam zakryć ciemniejący siniak na czole, w miejscu, gdzie dostałam z główki, i jeszcze przez chwilę zwlekać ze spojrzeniem Carlowi w oczy, dopóki nie dopracuję alibi.

Carlo stanął za mną. W drzwiczkach kucharki widziałam odbicie jego pytającego spojrzenia. Przez to spojrzenie czułam się zaskakująco nieswojo jak na kobietę, która przez większość życia pracowała jako tajniaczka, nie wspominając już o tym, że właśnie zabiła człowieka.

– Wszystko dobrze? – spytał.

– Została jakaś kawa? – odpowiedziałam pytaniem, niuchając w stronę monstrualnego, profesjonalnego ekspresu, którego nie powstydziliby się żaden bar.

– Chyba tak – odparł Carlo. – Zaraz ci podam filiżankę. A co z lunchem?

– Nie jestem głodna po tym upale. Coś sobie wezmę, jak trochę ostygnę. A ty masz salami.

– Czemu nie. – Carlo wyjął z szafki jedną z filiżanek Jane, z bawarskiej porcelany, taką ze stópkami namalowanymi na dnie, i nalał mi zimnej, czarnej kawy. Tymczasem ja wzięłam plecak ze stolika w holu i wysypałam kamienie do zlewu, żeby je wypłukać. Butelka po wodzie też wypadła i całe szczęście, że stałam tyłem do Carla, bo dzięki temu nie widział, jak zmywam z niej krew.

Skupiłam się na dłoniach, by się nie trzęsły, kiedy odwróciłam się i wzięłam od niego filiżankę. Częściowo mi się udało, bo filiżanka nie zadzwoniła o spodek, kiedy się napiłam, ale musiała podążać za głową, która zaczęła mi latać w przód i w tył z alarmującą częstotliwością. Nie byłam mięczakiem, ale tylko psychopata potrafi odebrać życie bez żadnej reakcji. A równie trudne było to, że musiałam ukrywać ten fakt. Na szczęście Carlo nie zauważył mojej drżączki, bo odwrócił się do zlewu, żeby dokończyć płukanie kamieni, które tam zostawiłam. Stojąc plecami do mnie, powiedział:

– Nie do wiary, że chciało ci się targać te kamienie na górę po tym twoim upadku.

– Jestem w niesamowicie dobrej formie jak na taką staruchę, to mi chcesz powiedzieć? – rzuciłam lekkim tonem, odstawiłam pustą filiżankę i spodek na blat koło zlewu, żeby dostarczyć Carlovi zajęcia i poszłam wysuszyć włosy suszarką, choć były już całkiem suche. Szybko wrzuciłam na siebie dzinsy i jakąś bluzkę, i nagle przypomniałam sobie zakrwawioną butelkę, która musiała zostawić plamy w plecaku. Trzeba będzie wrzucić plecak do pralki na drugą turę.

Kiedy podniosłam go z blatu, poczułam coś w środku i przypomniałam sobie o kopercie. Spojrzałam na Carla, który usadowił się w fotelu z biografią Ludwiga Wittgensteina.

– Chcesz, żebym ci zrobiła kanapkę? – spytałam.

Pokręcił głową, zapominając o jedzeniu dla filozofii.

– Jakbyś mnie szukał, Profesorze, to idę sprawdzić e-maile.

Kiwnął głową, co nie było żadną wiążącą wskazówką, że mnie usłyszał. Poszłam do swojego gabinetu, usiadłam na obrotowym krześle przy biurku, wyjęłam kopertę i zajrzałam do środka, w nadziei że znajdę tam coś, co pozwoli mi zidentyfikować człowieka, który mnie dziś napadł.

W kopercie była płytka DVD bez żadnego opisu i zdjęcie wydrukowane z kolorowej drukarki na zwykłym papierze.

Pewnie porno, pomyślałam i odłożyłam DVD na bok, by spojrzeć na zdjęcie. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, na co patrzę. Przez moment mój mózg nie był w stanie zarejestrować niczego, jakby nagle doznał zwarcia. Potem ujrzałam bezpretensjonalną ulicę na przedmieściu, schludne chodniki, zwirowane ogródki. Kwitnącą szalwią, niczym płonący krzew pochłonięty lawendowym ogniem. Kobietę z siwymi włosami spiętymi z tyłu głowy. Poczułam drgnienie mięśnia, jedno, silne, w kąciu ust.

Patrzyłam na zdjęcie samej siebie.

Kiedy szok na widok własnej osoby minął, kiedy zrozumiałam, że atak na plaży nie był oportunistycznie wykorzystanym zbiegiem okoliczności, przyjrzałam się szczegółom zdjęcia. To ubranie założyłam na siebie wczoraj wieczorem, zanim wyszliśmy z psami. Wzięłam długi prysznic, żeby zmyć ze skóry zapach prosektorium i zwożyłam tę czerwoną koszulkę. Ktoś przejechał pod domem i zrobił mi zdjęcie. Gorączkowo poszukałam w pamięci wspomnienia białej furgonetki, ale nie było jej. Nasze schludne osiedle, zamieszkane przez klasę średnią, było małe; jeśli ulicą przejechały dwa samochody, można było to uznać za duży ruch. Zapamiętałabym obskurną, białą furgonetkę. I zapamiętałabym kierowcę, który wyglądał jak mężczyzna, którego zabiłam.

Wzięłam DVD, które zlekceważyłam, sądząc, że to pornos, i wsunęłam je w napęd komputera. Kiedy płytka się odpalała, wstałam i zamknęłam drzwi gabinetu. Na płycie był krótki filmik: materiał z wczorajszych wiadomości telewizyjnych na temat schwywania Lyncha i mojego udziału w sprawie morderstw z Drogi 66. Na ekranie komputera przez sekundę widniało moje zdjęcie – ten formalny portret w czarnym uniformie, zrobiony z okazji mojego przejścia na emeryturę.

Pomyślałam o człowieku, którego dziś zabiłam, a którego nie widziałam nigdy wcześniej. Było niemożliwe, żeby zobaczył wiadomości wczoraj wieczorem i dwie godziny później pstryknął mi fotkę. Ktoś musiał wiedzieć o mnie już wcześniej i znać mój adres. Nagle przypomniały mi się jego słowa, które wzięłam za brawurową przechwałkę przed ostatnim atakiem: jesteś trupem. Może wcale nie miał na myśli tego, że sam mnie uśmierci. Może mówił o osobie, która go wynajęła i wiedział, że to jeszcze nie koniec.

Odtworzyłam sobie całą tę scenę w głowie, od chwili, kiedy zaczął mnie obserwować z samochodu, aż po wypadek, kiedy niechący przecięłam mu tętnicę udową i zaprzepaściłam wszelkie szanse wyciągnięcia z niego czegokolwiek więcej. Czy to rzeczywiście było związane ze schwyтaniem Floyda Lyncha i z moim udziałem w sprawie Drogi 66, czy po prostu był to jeden piramidalny zbieg okoliczności? Nie, wróciłam do założenia, że ktoś musiał wiedzieć o mnie jeszcze przed reportażem w telewizji, skoro wiedział, że można mnie znaleźć w korycie rzeki. To nie był przypadek.

A nawet jeśli, to dla bezpieczeństwa musiałam to traktować jako usiłowanie zabójstwa. Kiedy pytałam człowieka w furgonetce, gdzie są ciała, zadawałam niewłaściwe pytanie, a teraz on był zbyt martwy, żeby odpowiedzieć mi na to właściwe: kto cię nasłał?

Jeszcze raz przeanalizowałam wydarzenia na plaży. To, że lubił starsze kobiety. To, że łamał im kości. Ale nic mi się nie skojarzyło. Nie miałam niczego z wyjątkiem pewności, że jest coś, czego jeszcze nie wiem, i że ta niewiedza jest niebezpieczna.

W takich chwilach człowiek czuje coś bardzo dziwnego. Najbardziej trafne określenie będzie chyba takie, że wyciekłam sama z siebie. Rękami, które zapomniały już, że kiedyś się trzęsły, otworzyłam szafkę koło biurka, gdzie schowana była zapasowa klawiatura i zepsuty monitor. Sięgnęłam głęboko za bezużyteczny monitor i wyjęłam pudełko, jakieś dwadzieścia pięć na piętnaście na osiem centymetrów. Otworzyłam je i z piankowej wyściółki wyjęłam specjalność FBI, Smith and Wesson model 27 z siedmiocentymetrową lufą.

Amunicję trzymałam w szufladzie po prawej stronie biurka, tej z długopisami, wizytówkami i wszelkimi szpejami. To pudełko, nieco mniejsze, też ukryte było w głębi i kiedyś zawierało zszywki. Jeden po drugim, pewnymi dłońmi, wyjęłam sześć nabołów i załadowałam broń. Położyłam ją na biurku.

Teraz panowałam nad sytuacją.

12 sierpnia 2011, godzina 13.00

A przynajmniej wydawało mi się, że panuję nad sytuacją, dopóki nie podskoczyłam na dźwięk pukania do drzwi. Do tej chwili nigdy nie było zamkniętych drzwi i pukania. Nigdy nie było podskakiwania.

– Nie teraz – powiedziałam dość głośno, żeby było mnie słychać przez drzwi, po czym, wystraszona, że zabrzmiało to zbyt szorstko, dodałam: – Kochany Perfesorze.

– Twoja komórka wibruje, kochanie.

Wszystko jest normalnie. Wstałam, otworzyłam drzwi i uśmiechnęłam się.

– Wybacz, po prostu intensywnie nad czymś myślę. – Było mi przykro, bo w tym momencie między mnie i Carla wsuwała się jakaś bariera, niewidziana, a bardziej nie do przebicia niż kamizelka z kevlaru. Kłamstwo dość potężne, by nas rozdzielić. Właśnie temu tak desperacko próbowałam zapobiec, właśnie dla tego zaryzykowałam wszystko, a to się i tak działo. Mimo stresu, który czułam w tym momencie, mimo potężniejszych spraw, jak niebezpieczeństwo i śmierć, czułam w sercu to ukłucie. Może właśnie to ludzie mają na myśli, kiedy mówią o pękniętym sercu.

Carlo jak na razie chyba nie zauważył różnicy.

– Nad tą sprawą, w której bierzesz udział?

– Mhm, właśnie nad tym.

Kiedy podał mi telefon, jego spojrzenie pobiegło nad moim ramieniem i znieruchomiało.

W miejscu, gdzie zostawiłam na biurku rewolwer. Oboje udaliśmy, że go tam nie ma.

Uspokoiliam go kolejnym uśmiechem i Carlo odwrócił się, żebym mogła odebrać telefon.

– Brigid – odezwał się głos w słuchawce.

– Cześć, Coleman.

– I co myślisz? Oglądałaś ten film? – W jej głosie słyszałam lekkie rozczarowanie, jakby z góry znała odpowiedź.

Zmusiłam się do myślenia o czymś, co chwilowo gównie mnie obchodziło.

– Nie, jeszcze nie. Byłam trochę zajęta osobistymi sprawami.

– Ale to jest fragment, gdzie... – Westchnęła, bo przecież już mi to wszystko mówiła. –

Pomyślałam, że jutro pojedę odwiedzić ojca Lyncha w Benson. Nie mieliśmy czasu go przesłuchać, a mieszka tak blisko.

– To przedwczesne. Musisz opracować plan przesłuchania.

– Myślisz, że jeszcze tego nie zrobiłam?

Byłam tak rozkojarzona, że zapomniałam, z kim rozmawiam. Przecież to była dopięta na ostatni guzik Coleman.

– To jedź.

– Jedź ze mną.

– Nie... – zaczęłam, ale nagle pomyślałam o ataku na mnie dwa dni po tym, jak na nowo zaangażowałam się w sprawę Drogi 66. Wizyta u ojca Lyncha mogła nie być takim złym pomysłem. – Okej. Czemu nie. Kiedy chcesz jechać?

– Bądź u mnie w biurze jutro o dziesiątej. Jadę stamtąd.

Rozłączyłam się i siedziałam przez chwilę, zastanawiając się, czy powinnam schować

broń, czy trzymać ją pod ręką. Przykryłam ją szarą kopertą. Potem dorzuciłam plecak do pralki z resztą rzeczy i zapisałam sobie w pamięci, że mam włączyć pranie jeszcze raz, ale chwilowo pozwoliłam się pokonać zmęczeniu.

Resztę dnia spędziłam na udawaniu, że nie chodzę ponuro zamyślona i na planowaniu, jak znaleźć tego kogoś, kto chciał mojej śmierci.

– Wiesz co? – powiedziałam, wchodząc późnym popołudniem do kuchni, gdzie Carlo właśnie nalał sobie kieliszek chianti i włożył do plastikowej miski trochę pełnoziarnistych krakersów plus kawał wędzonej goudy. – Chyba mam ochotę się napić. Zdaje się, że ten upadek zdołał mnie bardziej, niż mam ochotę się przyznawać.

– Mam ci zrobić drinka? – Carlo robi świetne martini z wódką. Pakuje do kieliszka pełno oliwek, przez co całość bardziej przypomina sałatkę niż drinka, a ja nie czuję się taką moczomordą.

Obserwowałam Carla z shakerem, myśląc o tym, że po raz pierwszy mam przy sobie kogoś na tyle bliskiego, że może być w niebezpieczeństwie. Byłam częścią rodziny, częścią stada, jeśli liczyć Mopsy. Wzięłam swoje martini do ogródka za domem pod pretekstem, że chcę się wyluzować, ale tak naprawdę chciałam się zorientować w otoczeniu naszej posesji na wypadek ataku. Za naszym domem nie było innych, chyba że liczyć te daleko, daleko, już u podstawy gór. Sąsiedzi po prawej byli migrującymi ptaszkami i wiedziałam, że nie wrócą, dopóki się nie ochłodzi. Przez ich mur łatwo było przeskoczyć. Albo po prostu otworzyć furtkę prowadzącą do naszego ogrodu, choć skorodowana zasuwka robiła taki hałas, że na pewno zaalarmowałyby Mopsy, które teraz wyszły ze mną i węszyły za jaszczurkami koło bugenwilli. Powinnam sobie sprawić porządnego psa, pomyślałam, owczarka albo przynajmniej ogara. Bo te dwa nawet wzięte do kupy nie mogły się liczyć jako porządny pies.

Odeszłam kawałek od domu, aż do rzeźby świętego Franciszka. Ciekawe, czy Jane kupiła go Carlowi przed Mopsami, czy później. Drink zdążył mnie już trochę wyciszyć i mogłam wrócić do wydarzeń z przedpołudnia z większym spokojem niż poprzednio, jakbym oglądała klatka po klatce cudzy film. Stare kobiety. Prezerwatywa na sznurku. Krew w furgonetce. Połamane kości. Zwłoki moich poprzedniczek. Moje zdjęcie. Fragment wiadomości na DVD. Różowe pudełko śniadaniowe.

Nic.

Przyszła pora kolacji i jak zawsze zjedliśmy ją w przytulnej kuchni – kanapki z kurczakowym curry, które przygotował nam Carlo, starający się jak najsubtelniej okazać troskę. Mopsy siedziały na baczność, czekając, aż talerze po posiłku wylądują na podłodze i będzie można wylizać sos po kurczaku.

Tego wieczoru w wiadomościach nie było żadnej wzmianki o znalezieniu zwłok pod miastem, u dołu ekranu nie przewijał się żaden pasek informacyjny, mówiący: „Była agentka FBI widziana na miejscu rzezi w Tucson”. Miałam mieszane uczucia. Gdyby ciało zostało znalezione, mogłoby zostać zidentyfikowane. A wiedza, kto to był, mogłaby mnie zbliżyć do odkrycia, kto go nasłał. Z drugiej strony, każde mijające dwadzieścia cztery godziny oznaczały, że rozkład i owady zatrą więcej dowodów mojego udziału.

Tak czy inaczej, wieczór mi się dłużył. Telefon w kuchni zadzwonił dwa razy – raz był to telemarketer proponujący zmniejszenie opłat za przelewy z kart kredytowych, a raz siostra Carla z Ann Arbor. Za każdym razem byłam pewna, że to Max, który jedzie po mnie, bo ktoś znalazł trupa. Po drugim telefonie wypięłam kabel z gniazdka i wyłączyłam komórkę, żeby móc się trochę odprężyć.

Kiedy kładliśmy się spać, wciąż z głową pełną wydarzeń tego dnia pocałowałam Carla, by się upewnić, że wszystko jest w porządku, choć zauważyłam, że nasze spojrzenia prześlizgują

się po sobie jak nigdy wcześniej. Ja bałam się, że w moich oczach będzie widać to, co dziś widziały, a Carlo wyczuwał, że mam jakąś tajemnicę. Z pewnością to wszystko było złudzeniem wywołanym przez nieczyste sumienie, ale właśnie tak musiało wyglądać małżeństwo z kimś z Biura: półprawdy i uciekające oczy. I mimo wszystkich podjętych przeze mnie środków zaradczych bałam się, że to tylko kwestia czasu, aż Carlo odkryje kobietę, którą byłam naprawdę i spojrzy na mnie tak, jak patrzył Paul.

Carlo wyłączył wiatrak pod sufitem i zgasił światło, a w ciemności pojawiła mi się w głowie inna perspektywa. Gdybym nie próbowała ukryć incydentu pod mostem, gdybym powiedziała Maksowi, co zrobiłam, to on znalazłby kopertę ze zdjęciem, które świadczyło, że byłam celem. Wtedy miałabym go po swojej stronie. Gdyby rzeczywiście tak miało to wyglądać, oddałabym wszystko, żeby ostatnie dwanaście godzin rozegrało się na nowo. Oddałabym wszystko z wyjątkiem Carla.

Długo po tym, jak jego oddech nabrał spokojnego rytmu, który powiedział mi, że Carlo śpi, wyciągnęłam rękę i delikatnie, przez prześcieradło pogłaskałam jego dłoń, przez moment pozostawiając palce na dużych, męskich kostkach jego palców. Kiedy to go nie obudziło, powoli, milimetr po milimetrze zwinęłam palce wokół jego kciuka, starając się nie wyobrazić sobie, że znika, że zostaję tylko ze zwiniętym prześcieradłem w garści.

Jak się mówi na taki stan? Rozpacz? No więc rozpaczałam.

W końcu zasnęłam przy akompaniamencie stada kojotów gdzieś w parowach za naszą posesją. Był to chór składający się ze szczekania, wycia, kaszlu, chichotu i piskliwego zawodzenia, jakby hałasowała banda oszalałych duchów. Carlo powiedział mi kiedyś, że robią tak, kiedy coś zabijają.

13 sierpnia 2011, godzina 6.15

Rano wciąż byłam roztrzęsiona po wydarzeniach wczorajszego dnia i zajęta dumaniem o tym, kto wynajął zabójcę i jak mam się tego dowiedzieć, ale musiałam przynajmniej udawać, że jestem na bieżąco ze śledztwem Coleman w sprawie Lyncha, więc po śniadaniu poszłam do swojego gabinetu. Z kieszonki w raporcie Coleman wyjęłam DVD z etykietką „Przesłuchanie Lyncha: sesja 12”. Ponieważ sprawa była tak potężna, nie wystarczyło im, że nagrają jego głos; musieli sfilmować każdą sesję dla potomności. Film nakręcono siódmego sierpnia, trzy dni przed zwołaną przez Coleman wyprawą po ciało Jessiki.

By Carlo nie usłyszał żadnego fragmentu przesłuchania, zamknęłam drzwi gabinetu, a na dodatek ściszyłam dźwięk do tego stopnia, że musiałam pochylać się do przodu, by usłyszeć rozmowę. Film załadował się, ukazując w kadrze pustą salkę – standardowy pokój przesłuchań, wyglądający jak białe pudełko z dwoma krzesłami, bez stołu, by nic nie maskowało języka ciała przesłuchiwanego.

Drzwi pokoju otworzyły się i strażnik więzienny wprowadził Lyncha ubranego w pomarańczowy więzienny kombinezon, w kajdankach na rękach i nogach. Lynch natychmiast poszurał nogami w stronę dalszego krzesła, jakby robił to już wiele razy i wiedział co i jak. Po wielu godzinach spędzonych w tym pomieszczeniu odkrył też kamerę zamontowaną w rogu pod sufitem. Pomachał do mnie, po czym, jakby zapomniawszy o obecności kamery, uniósł skute ręce i zaczął smyrać górną wargą kurzajkę na grzbiecie dłoni, tak jak robił to na miejscu odnalezienia zwłok. Kiedy ją przygryzł, nie okazał bólu.

Zatrzymałam film i przyjrzałam się Lynchowi uważniej niż tam, przy starej drodze. Kręcone włosy, takie jak zapamiętałam, zadarty nos, okulary w drucianych oprawkach. Teraz jednak zauważyłam więcej szczegółów. Jego górną wargę, bardziej wystającą niż zuchwa. Jego palce świadczące o drobnym kośćcu. Znów dostrzegłam ten strup na policzku, który wyglądał, jakby Lynch skubał go, kiedy nudził się kurzajką. I odstające uszy.

Po kilku minutach do pokoju weszli Coleman i Max Coyote. Ja ich nie widziałam, ale Lynch przywitał się z obojgiem. Usłyszałam zgrzyt drugiego krzesła na kafelkach podłogi, kiedy Coleman zajęła miejsce naprzeciw Lyncha. Max zapewne stał oparty o ścianę przy drzwiach – była to typowa pozycja. Lynch uniósł się odrobinę, by wykonać lekki ukłon, przekonująco okazując Coleman szacunek bez grożenia jej swoją postawą, i usiadł z powrotem. Choć tylko jego widziałam przez cały czas trwania przesłuchania, wyobrażałam sobie ich oboje, siedzących naprzeciwko siebie w drucianych okularkach, jak jacyś wykładowcy socjologii podczas konferencji.

Lynch uniósł rękę, by pokazać małą smugę krwi. Czy zrobił to, by stworzyć wrażenie, że do pewnego stopnia ma kontrolę nad tymi, którzy go schwytali?

Usłyszałam, że Max otworzył drzwi, powiedział coś do strażnika więziennego i wrócił z chusteczką higieniczną. Na moment pojawił się w kadrze, podał chusteczkę Lynchowi i cofnął się na swoje miejsce przy drzwiach. Lynch wytarł kurzajkę i zwinął chusteczkę w garści, tak żeby nie było widać krwi. Kiedy skończył, Coleman zaczęła mówić.

Coleman: Dzień dobry, Floyd.

Lynch: Dzień dobry, agentko Coleman.

Coleman: Dobrze spałeś?

Lynch: Nie najgorzej. Moja cela jest większa niż kabina ciężarówki. Chce pani wiedzieć coś jeszcze?

Coleman: Co takiego?

Lynch: Trochę myślałem, te rozmowy z panią skłoniły mnie do myślenia, i stwierdziłem, że chyba rozmawiałem z panią więcej niż z kimkolwiek innym przez całe życie.

Coleman: Jak myślisz, dlaczego tak jest?

Lynch: Cóż, chyba nie jestem zbyt gadatliwy.

Coleman: Dużo rozmawiałeś z tymi dziewczynami, Floyd?

Lynch: Nie, niewiele. Nie chciałem, żeby mówiły. (Zamyka oczy i koniuszkami palców wykonuje koliste ruchy na udach, jakby pogrążył się we wspomnieniach. Kajdanki sprawiają, że jego ręce poruszają się synchronicznie). Dziewczyny nigdy nie mówiły mi nic miłego.

Coleman: Proszę cię, Floyd, otwórz oczy.

(Robi to, ale patrzy lekko w prawo z rozmarzonym wyrazem twarzy).

Coleman: Dlatego przerzuciłeś się na seks z martwymi dziewczynami? Bo nie mówią?

Lynch: Myślałem, że już to przerabialiśmy.

Coleman: Powiedz mi jeszcze raz.

Lynch (z miną, jakby chciał się opierać, ale w końcu uległ): Okej. Kiedy się dowiedziałem, że mam w samochodzie agentkę FBI...

Coleman (przerwywając mu): W samochodzie, nie w ciężarówce.

Lynch: Zgadza się. Jak już mówiłem wcześniej, parkowałem ciężarówkę gdzieś przy trasie i używałem wypożyczonego samochodu, żeby podrywać dziewczyny. Potem zabierałem je do ciężarówki i porzucałem samochód. Ale ta mnie przestraszyła, szczególnie kiedy odkryłem, że ma podsłuch.

Coleman: Jak się tego dowiedziałeś?

Lynch (pauza): Nie pamiętam rozmowy słowo po słowie. To było siedem lat temu, rozumie pani? (Pauza). Zaraz, pamiętam ten kawałek. Kiedy tylko wsiadła do samochodu, zakleiliśmy jej usta, związałem nadgarstki i ciachnąłem ścięgno. Walczyła, ale ją zaskoczyłem. Widzi pani, ona myślała, że jestem kobietą.

Coleman: Jak to zrobiłeś?

Lynch: Miałem na sobie perukę i resztę. I podwyższyłem głos, o tak.

Coleman: Zechciałbyś to powtórzyć?

Zatrzymałam film i zapisałam sobie w pamięci: porównać głos z tym, który nagraliśmy w noc porwania Jessiki. Zawsze to coś, choć wciąż za mało przekonujący dowód, by zmusić Morrisona do ponownego rozpatrzenia sprawy, a już na pewno nie Lyncha do odwołania zeznań. Na nowo puściłam nagranie.

Lynch: Odkryłem, że tak naprawdę wcale nie słuchała iPod'a, że to nadajnik. Domyśliłem się, że jest podstawiona. Wtedy wymyśliłem, że puszcze płytę i zostawię nadajnik w samochodzie. Żeby opóźnić tych, którzy ją śledzili.

Coleman: I pamiętasz, co to była za muzyka.

Lynch (przewraca oczami i śmieje się): Tak. Kate Smith.

Znów zatrzymałam film. Nie pamiętałam o tym. To był jeszcze jeden fakt, którego nie ujawniliśmy. Jak na razie to nagranie nie przekonywało mnie, że to fałszywe zeznanie. Znów kliknęłam „play”.

Coleman: Na litość boską, dlaczego słuchałeś Kate Smith?

Lynch (śmieje się cicho): Przypomina mi matkę. Tak czy inaczej, miałem szczęście, bo długo im zeszło, zanim się połapali, albo byli za daleko, czy coś.

Coleman: Chyba już mi to mówiłeś, ale kiedy przyszło ci do głowy, żeby preparować mumie?

Lynch (pauza, patrzy na nią, mruga): Nie pamiętam.

Coleman: Spróbuj. Między morderstwem Jessiki Robertson i zwłokami, które znaleźliśmy w twojej ciężarówce, jest siedem lat przerwy.

Lynch (pauza): Wracalem w kółko do tego samochodu i brandzlowalem się na trupa. Podobało mi się to. Przekonałem się, że lubię to tak samo jak zabijanie. (Milknie, jego kciuki zakreślają szybkie kółka na udach). Po jakimś czasie ciało wyschło i zacząłem myśleć, jak fajnie by było mieć coś takiego ze sobą przez cały czas, zamiast jeździć na górę i ryzykować, że ktoś mnie przyłapie. Eksperymentowałem na zwierzętach.

Coleman: Rozumiem.

Lynch: Naprawdę, agentko Coleman? (Patrzy na nią smutno, ze zmarszczonym czołem, ze zmrużonymi oczami, coraz szybciej poruszając kciukami na udach). Nie, nie widzę tego w pani twarzy, agentko Coleman. Pani uważa, że jestem chory.

Coleman: Floyd, osądzanie, czy ktoś jest chory, to nie moje zadanie.

Lynch: Ale ja chcę, żeby pani zrozumiała, że jestem taki sam jak wszyscy.

Coleman: Dlaczego potrzebujesz mojego zrozumienia?

Lynch: Seks i śmierć razem. Wszyscy to lubią. Jak spaghetti z serem.

Coleman (po chwili milczenia): To niezupełnie...

Lynch (przerwywając jej): Założę się, że lubi pani filmy o wampirach, co?

Coleman (pauza): Nie, szczerze...

Zaczęłam się wiercić. Coleman wydawała się niepewna. Traciła kontrolę nad przesłuchaniem i to było lekko żenujące.

Lynch: Kiedyś widziałem film, w którym laski zombie tańczyły nago w knajpie, a potem zjadły facetów. Założę się, że ten film zarobił sporo pieniędzy.

Coleman: Floyd, wróćmy do...

Lynch (znów ma zamknięte oczy, głowę odchyłoną do tyłu. Jego oddech jest bardziej wyraźny, niemal słyszalny. Mówi cicho, z każdym słowem podwija górną wargę): Faceci stoją w kolejce, żeby ich rozerwano na strzępy... bo chcą uprawiać seks z martwymi dziewczynami.

Coleman: Floyd. Dość.

Max (wchodząc w kadr, zbliżając się do Lyncha): Floyd.

Coleman: W porządku, wiceszeryfie. Popatrz na mnie, Floyd.

Lynch (oczy wciąż ma zamknięte, ale powieki mu trzepoczą, jego głos robi się szorstki): Ale pani uważa, że ja jestem inny. Ma mnie pani za zbrojeńca. Jestem jak eksponat w gabinecie osobliwości.

Coleman: Popatrz na mnie, Floyd.

Lynch: Nie. (Otwiera oczy, widać w nich coś innego niż wypraktykowaną pokorę. Widać w nich desperację). Nie. To pani niech popatrzy na mnie. (Rozchyła kolana, by pokazać niewielką plamę w kroku spodni, ciemniejszą niż reszta pomarańczowego materiału. Max wchodzi w pole widzenia kamery. Następne kwestie rozmowy nakładają się na siebie, wszyscy mówią jednocześnie).

Max: Ty odrażający dupku.

Lynch (ignorując Maksa, przyszpilając Coleman spojrzeniem): Co pani zobaczyła, agentko Coleman?

Coleman: Wszystko w porządku, wiceszeryfie. Nie trzeba.

Lynch: Co pani zobaczyła? To dla pani wystarczająco dziwaczne?

(Długa pauza, Lynch wciąż patrzy w stronę Coleman, jego ciało zwisa; nie jest

wyczerpany, tylko smutny. Wyobrażam sobie Coleman siedzącą twarzą do niego, nieokazującą emocji. Lynch unosi dłoń do twarzy i głaszcze strup paznokciami, w górę i w dół. Max wychodzi poza kadr, ale odnoszę wrażenie, że teraz stoi bliżej Coleman. Choć nie widzę wszystkiego, napięcie w salce jest wręcz namacalne).

Coleman (odchrząkuje): Zrobimy teraz przerwę. Doprowadzisz się do porządku.

Lynch: Jasne.

Mnie też to odpowiadało. Wypuściłam powietrze, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech. Nieważne, ile razy w życiu widziało się taką kreaturę, tacy zawsze działają na człowieka. Aż kiedyś przestają, i to jest jeszcze gorsze. Słyszę krzesło, kiedy Coleman wstaje.

Coleman: Z raportów z autopsji wynika, że ciąłeś je post mortem.

Lynch (niepewnie): No, chyba.

Coleman: To znaczy „po śmierci”.

Lynch: Wiem, co to znaczy. Czytam dużo Jeffreya Deavera.

Coleman: Gdzie one są?

Lynch: Jakie one?

Coleman: Uszy. Co zrobiłeś z uszami?

Lynch (długa pauza. Lynch jakby odpychał od siebie rękami coś niewidzialnego):
W...w...wyrzuciłem.

Coleman (milczy chwilę): Gdzie je wyrzuciłeś?

Lynch (pauza. Musi pomyśleć i tym razem myśli intensywnie. Jego głos wznosi się o pół oktawy): Nie wiem, gdzieś do jakiegoś kosza. Co to za różnica?

Coleman: Chodzi o to, że znasz tyle szczegółów, wiesz więcej niż my. Wiedziałaś, gdzie były ciała. Wiedziałaś o pocztówkach wysyłanych po śmierci Jessiki i o płycie Kate Smith, i o tym, że uszy były odcięte. To raczej ważne, czy pamiętasz i ten szczegół.

Lynch ma spiętą twarz, stara się nie okazać, co myśli. Słucha wyводу Coleman i nie odpowiada.

Coleman: Co się stało, Floyd? Boisz się, że powiesz coś nie tak, przez co mimo wszystko zarobisz karę śmierci? Nie stanie się tak, obiecuję.

Lynch: Naprawdę muszę iść się wylać. W tej chwili.

Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin pomyślałam o czymś innym niż o zabiciu człowieka. Cofnęłam film, puściłam od nowa. Trzy razy. Policzyłam sekundy: raz, dwa, trzy... za każdym razem nieco ponad trzy. Udało mi się zatrzymać nagranie dokładnie w momencie, kiedy Coleman zadała Lynchowi pytanie, co zrobił z uszami. Właśnie po to dała mi ten film: żebym to zobaczyła i osądziła sama. Żrenice Lyncha rozszerzyły się, spojrzenie uciekło w lewo i w dół. Opadła mu zuchwa. Ale nawet gdybym nie widziała tak oczywistych oznak, byłabym pewna, że kłamie.

Więcej niż kłamie. Zbladł tak bardzo, że strup na policzku jakby pociemniał. To, co malowało się na jego twarzy, to była panika. A kiedy Coleman wytłumaczyła mu, jak ważne jest, by wiedział, gdzie są uszy, na jego twarzy zobaczyłam... strach.

Przesłałam film i porównanie profili Sigmundowi Weissowi.

13 sierpnia 2011, godzina 6.55

Kolejne pokolenia mogą sobie na to wynajdować nowe, żenujące nazwy, ale – choć może się to wydać szokujące – samo zjawisko istnieje na świecie już od jakiegoś czasu. David Weiss, doktor prawa i psychologii, alias Sigmund, zdrobniale Sig, i ja, mamy na koncie seksjednorazówkę. No dobra, ta jednorazówka zdarzyła się dwa razy. Trzy, jeśli liczyć moją imprezę pożegnalną, po której byliśmy tak pijani, że nie udało nam się nawet zdjąć ubrań.

Pierwszy raz poszłam do łóżka z Sigmundem, kiedy rzucił mnie Paul, drugi raz pod koniec kariery, po tym, jak zastrzeliłam podejrzanego, kiedy nie pamiętałam już, czy kiedykolwiek byłam kimś naprawdę i którejs nocy potrzebowałam przypomnieć sobie tę kobietę.

Poza tym Weiss był bardziej inteligentny ode mnie i zawsze mi się to podobało. Lubię się zadawać z ludźmi, przy których muszę popędzać mózg do biegu, żeby za nimi nadążyć.

Ale nie wyszłam za Profesora dlatego, że podświadomie widziałam w nim Sigmunda.

Sigmund na Wschodnim Wybrzeżu miał nade mną trzy godziny przewagi, ale to nie była żadna gwarancja, że szybko się odezwie. Zawsze przyznawał się do stosowania jakiejś starożytnej zasady: „Pośród śmiertelników druga myśl jest mądrzejsza”. Wiedziałam, że obejrzy film, przemyśli, obejrzy jeszcze raz i znów przemyśli, zanim do mnie zadzwoni.

Więc zajęłam się zabijaniem czasu. Wyjęłam z lodówki paczkę mielonego mięsa, mieszałam je z jajkiem, pokruszonymi kukurydzianymi chipsami i sosem chili, żeby dodać mu kopa. Ta potrawa była jedną z siedmiu pozycji na liście potraw, które potrafiłam przygotować, obok pieczonego kurczaka, grillowanej ryby i pieczonych kotletów wieprzowych z sosem barbecue. Nawet zastanawiałam się nad kupieniem grilla.

Wymieszałam i ubiłam mięso, cały czas myśląc o twarzy Floyda Lyncha. Ulepiłam z masy kulę i schowałam do lodówki na później.

Jeszcze raz obejrzałam film z przesłuchania. Czekałam.

Do dziewiątej mojego czasu Sigmund wciąż nie zadzwonił. U niego było południe i wiedziałam, że zawsze o tej porze je kanapkę przy biurku, więc odpaliłam komputer i połączyłam się z nim przez Skype'a.

– Świetnie, dzięki temu mogę ci powiedzieć, że masz musztardę na brodzie – powiedziałam do twarzy na monitorze.

– Dzielnie używasz najnowszych technologii – odparł, odchylając się od monitora i niespiesznie obrzucając mnie taksującym spojrzeniem. Nie próbowałam go powstrzymać, nie wiedziałam jak, miałam tylko nadzieję, że nie widać po mnie, że niedawno kogoś zabiłam. – Więc nie jesteś taką luddystką, za jaką cię uważałem, Oso.

– Bo w dzieciństwie nie sypiałam z tosterem, tak jak ty?

– Osa się przekomarza. Zawsze się przekomarza, kiedy jest zestresowana.

– No przestań. Żarcik z tosterem jest zabawny. Po prostu jesteś zazdrosny, bo nigdy nie umiałeś przyjąć żartu z twojej osoby.

– Ty się chowasz za swoimi żartami. – Pochylił się do przodu, jakby w ten sposób mógł mnie lepiej przejrzeć. – Ta sprawa źle ci robi. Pokaż paznokcie.

Uniosłam dwa środkowe palce, jedyne, na których nie rozdłubałam ostatnio skórek. Znow odchylił się do tyłu z miną pełną wyższości.

– No więc oglądałem ten film, który mi przysłałaś. Co za niespodzianka. – Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Kiedy Coleman go zapytała, co zrobił z uszami, umilkł na chwilę. Kojarzysz tę pauzę?

– Tak, kojarzysz tę pauzę. Była długa.

– Wyliczyłam, trzy i pół sekundy. A potem powiedział, że wyrzucił uszy.

– Tyle że jego twarz tego nie potwierdzała. Jej wyraz nie pasował do kogoś, kto po prostu wyrzucił uszy do śmieci. To był wyraz paniki. Nagle się wystraszył, że odkryjemy, że tego nie zrobił. Więc albo nie wie, gdzie są, albo boi się nam powiedzieć, bo ten, kto je ma, jest prawdziwym mordercą. *Quod erat demonstrandum* – powiedział Sigmund, co jest jego skrótem na „wszystko jest jasne i dalsze gadanie o tym mnie nudzi”. – On nie jest waszym sprawcą. To oczywiste.

Oboje wiedzieliśmy, że żaden morderca, który zadaje sobie tyle trudu, by popełnić zbrodnię, który powtarza skomplikowany rytuał, a potem zabiera coś ofierze, by móc przeżywać przyjemność później, nigdy nie wyrzuciłby tych pamiątek do śmieci, a już na pewno by nie zapomniał, gdzie je wyrzucił. Taki na przykład Dahmer, z jego częściami zwłok w lodówce. To jak klejnoty koronne w londyńskiej Tower. Więc Lynch albo nie wiedział, gdzie jest ten skarb w postaci uszu, albo wiedział, ale nie mógł powiedzieć, bo to obciążałoby tego, kto je ma.

– Jesteś tak samo pewny jak ja? – spytałam.

– Nawet bardziej. Nigdy by nie zapomniał, gdzie są uszy, jeśli w ogóle to wie. I musisz znaleźć te uszy, Oso. Ma je morderca. I sądzę, że to przeraża pana Lyncha bardziej niż kara śmierci. Ale wyraz twarzy to za mało, oczywiście. Potrzebujesz dowodów.

Właśnie w tym był problem.

– Tu nie ma żadnego „ja”. Ja nie mogę się zbliżyć do Lyncha w żadnym oficjalnym charakterze i nie chciałabym zaprzepaścić sprawy, robiąc to. Wszystko zależy od Coleman, a ona natrafiła na opór. Próbowwała nawet mówić Hughesowi o swoich wątpliwościach, ale, pomijając już twoje podejrzenia na ich temat, on też dał się porwać do zwyczajnego tańca nad złapanym mordercą z Drogi 66.

– Presja Morrisona. Pewnie chce na emeryturze opublikować wspomnienia, a ta sprawa będzie w nich gwoździem programu. Wracam tam.

– Nie trzeba. To by tylko przysporzyło Coleman jeszcze więcej problemów.

– To ty powiedziałaś, że mam jeszcze wpływy.

– Jeszcze nie teraz. Pozwól, że ja się tym zajmę i dam ci znać, jeśli będę potrzebować pomocy.

– Muszą zacząć od początku. W zeznaniach Lyncha z pewnością są większe dziury niż jego strach przed zdradzeniem, gdzie są uszy. Kto jeszcze jest na liście świadków?

– Lynch nie ma żony ani dzieci. Coleman chce, żebym pojechała z nią pogadać z jego ojcem, który mieszka na wschód od miasta.

– Jeszcze tego nie zrobili?

– Nie, nie zrobili. Co myślisz o porównaniu próbek głosu? Może by porównać ten kawałek, gdzie Floyd mówi jak kobieta, z nagraniami z podsłuchu Jessiki?

– Nie zaszkodzi. Zlecę to w naszym laboratorium. Powinni też jeszcze raz wypytać pana Lyncha o to drugie ciało z samochodu, to, które nazwał przydrożną gadziną. Zawahał się, kiedy o niej mówił.

– Oni, oni. To tylko Coleman i ja, a ja mam związane ręce, bo wypadłam z branży.

– Słyszałaś coś o NamUs? – Wymówił to „nejmas”.

– Niewiele. To identyfikacyjna baza danych. Tworzono ją mniej więcej w czasie, kiedy odeszłam.

– Cywile mogą do niej zaglądać i dodawać informacje bez autoryzacji.
Zanotowałam sobie, że mam sprawdzić, co wiadomo o tej prostytutce i porównać to z bazą.

– Pamiętasz pocztówki? – spytałam.

Pochylił głowę i machnął ręką, by pokazać, że to oczywiste.

– Zach ciągle je dostawał. Pokazał mi jeszcze ze sześć, których już nie chciało mu się do nas przesłać. Powiedział, że przynosiły mu pociechę, bo mógł udawać, że naprawdę są od Jessiki.

– Nie! – Oczy Sigmunda zmrużyły się na sekundę i po jego twarzy przemknął rzadko u niego widywany wyraz obrzydzenia. To było tak subtelne, że być może ja jedna na świecie byłam w stanie to rozpoznać. Sigmund odwrócił wzrok od ekranu. – Musimy znaleźć tego skurwysyna – mruknął w stronę okna gabinetu. Wulgaryzmy w wykonaniu Sigmunda też były rzadkością. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą i znów niewzruszony spojrzął w monitor. – Muszą jeszcze raz przesłuchać Floyda Lyncha z założeniem, że to fałszywe przyznanie się do winy, i dowiedzieć się, skąd ma informacje.

Sigmund nie musiał bronić ewentualności fałszywego przyznania się do winy. Ponad trzydzieści osób przyznało się do słynnego morderstwa Czarnej Dalii w Los Angeles, a ponad pięćset zgłosiło się na policję, twierdząc, że miało w tym jakiś udział. Niektóre fałszywe zeznania były siłą czy po dobroci wydobywane z niewinnych pod presją szybkiego rozwiązania sprawy, ale były też inne, dobrowolne. Sigmund miał na myśli tych, których motywacją była sława. Niedoszłych morderców. Henry Lee Lucas przyznał się do sześciuset mordów, choć dowody były tylko na trzy. John Mark Karr przyznał się do zamordowania Jona Benneta Ramseya, choć jego DNA nie pasowało do materiału znalezionej na miejscu zbrodni i nie było śladu, że w ogóle był w Kolorado, kiedy doszło do morderstwa.

Robert Charles Brown.

Laverne Pavlinac.

Ci dwaj byli na tyle przekonujący, że posłano ich do więzienia, aż znalazł się prawdziwy sprawca. Możecie sobie sprawdzić.

W przypadku Lyncha sprawa mogłaby być bardzo prosta. Człowiekowi mającemu obsesję na punkcie morderstw z Drogi 66, obciążonemu dowodami na jego winę, w jego pojęciu niepodważalnymi, bez wsparcia obrońcy z urzędu, w obliczu kary śmierci, najprościej było się przyznać.

Być może Floyd Lynch zabił kobietę, którą znaleziono w jego ciężarówce, a być może znalazł ją już martwą, jak twierdził na początku. Być może zaczynał od fascynacji morderstwami z Drogi 66, ale kiedy zapędzono go w kozi róg, postanowił wziąć za nie odpowiedzialność.

I *voilà*. Idiota idzie do więzienia, a sukinsyn zostaje na wolności.

Ale wszystko sprowadzało się do tego, skąd Floyd Lynch znał szczegóły nieujawnione opinii publicznej. Właśnie to odróżniało tę sprawę od pozostałych. Bo jeśli wykluczyć karkołomny zbieg okoliczności, że był jakiś wewnętrzny przeciek i utajnione szczegóły jakimś cudem znalazły drogę do Lyncha, to mogło oznaczać tylko jedno. Lynch znał mordercę.

– Od ostatniego morderstwa minęło całe siedem lat – powiedziałam w nadziei, że Sigmund zrozumie, o co mi chodzi i przyzna mi rację.

– Od ostatniego, o którym wiemy – odparł Sigmund. – Facet mógł po prostu zmienić miejsce i sposób działania, być może nawet w tej chwili planuje kolejne. Albo przerwał na jakiś czas, jak Ponury Śpioch.

Musiał mi przypomnieć o mordercy z Kalifornii, którego ochrzczono tak sympatycznie, bo połowę ofiar zabił w latach osiemdziesiątych, a potem zrobił sobie przerwę i drugą połowę zabił w 2002. Jęknęłam.

– Nie zaprzeczaj, na pewno sama o tym pomyślałaś. Poza tym morderca z Drogi 66 jest piekielnie opanowany. Za każdym razem był w stanie odczekać dokładnie rok, zanim znów zabił. Szczerze mówiąc, to kolejny argument przeciwko winie Lyncha. Raczej niezbyt panuje nad impulsami. – Sigmund podniósł porównanie profili psychologicznych, skompilowane przez Coleman, i zapatrzył się w nie niewidzącym wzrokiem. – Ciekawe, co prawdziwy morderca myśli o tym człowieczku, o tym uzurpatorze, który przywłaszczył sobie jego zasługi. To albo wpędzi go jeszcze głębiej do kryjówki, albo zainspiruje do odzyskania należnej chwały. Musisz się dostać do Lyncha, Oso.

Miał rację i mówił to, o czym ja sama myślałam.

– Dzięki za pomoc – powiedziałam. Przestałam skubać skórę przy paznokciu; moje całe ciało chciało powiedzieć Sigowi, w czym tak naprawdę potrzebuję pomocy: w wypiciu piwa, jakiego nawarzyłam po zabiciu napastnika. – Sigmund?

– Jak widzisz, ciągle tu jestem.

– Czy to możliwe, żeby nas nie zawiadomiono o warunkowym wyjściu kogoś, kogo zamknęliśmy?

Pomyślał chwilę i odparł:

– Nie, w zawiadomianiu są całkiem niezli. Czemu pytasz?

– Nieważne. Tak się tylko zastanawiam.

Spodziewałam się, że Sigmund pierwszy będzie chciał zakończyć tę rozmowę, ale tego nie zrobił.

– A teraz pomówmy o tym, czego ja nie wiem – powiedział. – Jesteś inna niż wtedy, kiedy tam byłam.

– Jak to?

– Potrafię poznać, że coś cię mocno gnębi, kiedy jesteś bardziej zdyszana niż zwykle. Jakbyś nie oddychała dwoma płucami. Aż tak bardzo cię dręczy ewentualność, że Lynch nie jest mordercą? Czujesz się winna? Co się dzieje?

Nie, mam problem z martwym facetem, który najprawdopodobniej jest jakoś powiązany z tym, o czym właśnie rozmawialiśmy. Tak strasznie chciałam powiedzieć o tym Sigmundowi, że czułam, jak słowa formują mi się w ustach i musiałam mocno zacisnąć szczękę, żeby się nie wydostały. W Sigmundzie było coś takiego, że człowiek chciał mu wyznać wszystko i uciąć ten suspens. A poza tym Sigmund mógłby mi pomóc odkryć, kto na mnie poluje.

Ale zamiast się przyznać, wykonałam tylko karykaturę niedbałego wzruszenia ramionami i nawet zatrzepotałam rzęsami.

– Poza tym, że miota mną niepewność i że będę musiała powiedzieć Zachowi, że człowiek, który zabił jego córkę, wciąż chodzi wolno? Nie, nic się nie dzieje.

13 sierpnia 2011, godzina 10.14

Aglomeracja Tucson, spływająca między kilkoma różnymi łańcuchami gór niczym rzeka asfaltu i budynków, siedzi na samym środku pustyni Sonora. Pustynia Sonora to największe, być może jedyne na świecie stanowisko kaktusów saguaro. Wymawia się to „suarro”. To te kaktusy, o których zawsze myślicie, kiedy myślicie o kaktusach; te, które sterczą w krajobrazie jak wielkie, zielone, plastelinowe ludziki.

Teraz pustynia zasadniczo jest beżowa, to znaczy głównymi składowymi są skały i piasek. Mogą tu przetrwać tylko najwytrzymalsze rośliny i myślisz sobie: skoro kaktus to znosi, to zniosę i ja. Podoba mi się bezwzględność miejsca, które może cię zabić, czy to pożarem zarośli, czy to odwodnieniem, czy gwałtownym napływem wody. Przy tej pustyni czuję się miękka i łagodna.

W odróżnieniu od Tucson teren wokół miasta Benson, położonego jakieś czterdzieści minut jazdy na wschód od najbardziej wysuniętego wschodniego krańca Tucson i sporo wyżej, ma o wiele bujniejszą roślinność, są tu nawet sady jabłoni, brzoskwiń i orzeszników jadalnych, dających orzechy pecan. Samo Benson ma przynajmniej tyle samo przyczep kempingowych co domów, a i te ostatnie w znacznej części są z prefabrykatów; ich aluminiowy siding skrywa brak fundamentów niczym spódniczka skromnej bibliotekarki.

Zgodnie z życzeniem Coleman spotkałam się z nią na parkingu pod jednym z licznych wieżowców w centrum Tucson, dwunastopiętrowego budynku, w którym FBI zajmuje szóste. Siedziała w samochodzie i patrzyła na zegarek, kiedy zaparkowałam obok niej.

Nie byłam w stanie zmusić się do przeprosin za czternastominutowe spóźnienie, a poza tym przez ten czas zdążyła podkręcić klimę, więc w jej toyocie prius było znośnie. Niemal. Wyłączyłam radio, w którym leciała piosenka jednej z tych dziewczyn, które wszystkie brzmią tak samo.

– Nie za dużo sobie pozwalasz? – spytała Coleman.

– Nie. Proszę cię, nie włączaj. Nienawidzę muzyki.

Coleman łaskawie uznała moją prośbę. Potem, jadąc z niedozwoloną prędkością po wschodniej nitce autostrady I-10, wywierciła mi dziurę w brzuchu, dopytując się o moją reakcję na film. O mało nie zapała triumfalnie, kiedy jej powiedziałam, że nie tylko zauważyłam fragment z uszami, ale też przesłałam go Sigowi Weissowi, który przyznał nam rację.

– Więc oboje uważacie, że to bardzo podejrzane – upewniła się.

– Owszem. – Powiedziałam jej, że zdaniem Weissa należało powtórnie przesłuchać Lyncha z założeniem, że jego przyznanie się do winy było fałszywe. – Ale i tak potrzebujemy dowodów. Potrzebujemy potężnych dziur w jego zeznaniach. – Uśmiechnęłam się z własnego żarciku. – Musimy pokazać Lynchowi niedymiący pistolet.

Coleman, na razie usatysfakcjonowana, że ma mnie i Sigmunda po swojej stronie, przez resztę drogi opowiadała mi, co wie o Wilburze i Michaelu Lynchach, czyli o ojcu i bracie Floyda.

– Wilbur pracuje?

– Jest na rencie inwalidzkiej.

– Michael mieszka w domu?

– Tak.

- Ma pracę?
- Zaczął szkolenie na ratownika medycznego, ale nie wiem, czy wytrwał do końca.
- Matka?
- Nieznana.
- Uprzedziłaś ich?
- Mhm.
- Był opór?
- Niewielki.

I tak dalej, i tak dalej. Połowę mózgu miałam zajęta Lynchem, a drugą połowę martwym facetem w korycie rzeki. Byłam ciekawa, czy to przesłuchanie pomoże mi odkryć związek między nimi.

Na Palo Verde Coleman skręciła w prawo, na osiedle przyczep kempingowych. Poinstruowałam ją, żebyśmy zaparkowały kawałek dalej i do rodzinnego domu Floyda Lyncha podeszły pieszo. Wszystko tu było brudne. Ściany przyczepy, jej okna, sterta zamkniętych plastikowych skrzyń, spiętrzonych wysoko przy jednym końcu, opony terenowego motocykla z wielkimi kołami, zaparkowanego przed wejściem, i poszarpany parasol w wyblakłe biało-niebieskie paski, sterczący krzywo nad zardzewiałym stolikiem ogrodowym.

Wilbur Lynch wyszedł przez siatkowe drzwi z dubeltówką w garści i nie zaprosił nas do środka. Był wysoki i chudy jak kowboj, jego ciało wyglądało na młodsze niż sześćdziesiąt trzy lata, bo taki wiek podała mi Coleman. Z kolei twarz pobrużdżona była przez całe życie spędzone w suchym powietrzu i dymie z cameli; jeden z nich spoczywał zresztą w szczerbie dolnej wargi, która wyglądała jak ślad po samodzielnej operacji raka.

Coleman błysnęła odznaką, a ja położyłam dłoń na torebce, jakbym ciągle miała czym błysnąć.

- Jestem agentka Laura Coleman – powiedziała. – A to jest...

Właśnie miałam jej przerwać, ale mój kamuflaż w postaci rozpuszczonych włosów i ciemnych okularów w stylu Jackie O. uchronił sam Lynch.

- Nie wyglądacie na FBI – powiedział, co miało tłumaczyć strzelbę w dłoni.

Osobiście nie zgadzałam się z nim; uważałabym, że Coleman wygląda na FBI, nawet gdyby nie była z FBI. Ale obie wykonałyśmy ten drobny ruch głową w bok, którym kobiety zbywają aluzję, że nie są facetami. Coleman posłała mi spojrzenie spod uniesionej brwi i rzuciła:

- Powinam była włożyć czarny garnitur.

– Nawet się zastanawiałem, kiedy przyjedziecie – powiedział, siadając na zardzewiałym krzeselku przy zardzewiałym stoliku z parasolem i wskazał dwa pozostałe. Ostrożnie zajęłyśmy miejsca, uważając, żeby się nie podrapać. – Myślałem, że się zjawicie zaraz po tym, jak go złapaliście. Myślałem, że będę w wiadomościach. – Cedził słowa wyluzowany, ale wbijał w nas jedno oko, jakby chciał się upewnić, czy aby zauważyłyśmy, jak bardzo ma to gdzieś. Zgasił papierosa na stole i od niechcienia zmiotł popiół bokiem dłoni.

– Przykro mi z powodu pańskiego syna – powiedziała Coleman, nie precyzując swojej roli we wsadzeniu go do więzienia.

Lynch uśmiechnął się i wyjął paczkę papierosów z kieszeni koszuli.

– No i słusznie. To chyba dobrze, że komuś jest przykro. – Stuknął w paczkę, aż wysunęło się kilka papierosów, i poczęstował nas z przesadnie gładkim gestem, który powiedział mi, że facet koncentruje się na opanowaniu drżenia rąk. Odmówiłyśmy, więc sam zapalił.

Kiedy papieros został już wygodnie umieszczony w zagłębieniu wargi, Coleman powiedziała:

- Czy możemy z tego wnioskować, że nie miał pan najlepszych relacji z Floydem?

– Można tak powiedzieć.

Wypełniłam lukę, która nastąpiła po tym stwierdzeniu.

– Ale wychował się tutaj, tak? Chodził do szkoły, miał kolegów?

– Niby tak. Zawsze był samotnikiem, dużo czytał. Lubił czytać. – Lynch wycedził ostatnie słowo, odsłaniając zęby, jakby czytanie było pierwszym krokiem do morderstw na tle seksualnym. – No więc się przyznał. Nie przysyłajcie mi zwłok. – Wydał z siebie „he-he”, które miało być śmiechem.

– Prawdę mówiąc, panie Lynch, i być może pana to pocieszy, jesteśmy tutaj, bo uważamy, że Floyd nie popełnił tych zbrodni, do których się przyznał – powiedziała Coleman.

Lynch odwrócił od nas głowę i zapatrzył się na kępki suchej trawy przytulone do ściany przyczepy. Wyglądał na człowieka, który nie spodziewał się pociechy. Znikąd.

– I chcemy poznać odpowiedzi na kilka nurtujących nas pytań – powiedziałam. – Czy pan zna powód, dla którego Floyd miałby wziąć na siebie winę za czyny, których nie popełnił?

– Nie. – Lynch mocno zaciągnął się papierosem, odchylając głowę do tyłu, jakby same jego płuca nie miały dość siły, by wciągnąć tyle dymu, ile potrzebował. – Bo ja uważam, że to zrobił – dodał, kiedy już wypuścił chmurę. – Ten chłopak zawsze miał złą krew.

– Złą krew? – spytałam.

– Diabelskie nasienie, chyba tak to nazywają. Słuchajcie panie, nie wiem, czego się po mnie spodziewacie. Może wstydu, że wychowałem seryjnego mordercę. Może chciałybyście zobaczyć, jak załamuję ręce i płaczę. Ale coś wam powiem. Ucieszyłem się, kiedy wreszcie wyniósł się z domu i nie musiałem się już bać, że zabije kogoś w okolicy. – Lynch umilkł, jakby słuchał echa własnych słów, znów wydał z siebie to he-he i spojrzał na nas, czekając, aż i my się roześmiejemy.

Coleman i ja nie byłyśmy jakoś w stanie.

– Kiedy ostatni raz widział pan Floyda? – zapytała Coleman.

– Kupił sobie własną ciężarówkę jakieś cztery lata temu. Zajechał tutaj, żeby się pochwalić.

– Pańska żona jeszcze wtedy żyła?

– Nie. A co, o to też go chcecie oskarżyć? – Lynch roześmiał się, tym razem głośniejsze, ale było w tym równie mało wesołości, jak poprzednio.

– I jak się panu spodobała ciężarówka Floyda? Wpuścił pana do środka, żeby pokazać kabinę?

– Nie wchodziłem do środka. Ale miałem nadzieję, że będzie lepiej. To wielka sprawa, kiedy człowiek może sobie pozwolić na własną ciężarówkę. Myślałem, że mogę się przestać martwić, że ktoś taki jak wy zjawi się z pytaniami na jego temat, he-he.

Widziałam teraz, że ten śmiech był przykrywką lęków, do których Lynch się nie przyznawał. Może zawsze nią był. Może schwytanie jego syna w jakimś sensie przyniosło mu ulgę. Może naprawdę nie mógł się doczekać chwili, kiedy jego syn zjeździe z tego świata.

Cztery lata temu Floyd Lynch kupił ciężarówkę. Policzyłam w głowie i wyszło mi, że mniej więcej wtedy zmęczyło go jeżdżenie na górę Lemmon do ciała Jessiki. Może to po części było motywacją do kupna ciężarówki: żeby móc wygodnie wozić w niej zwłoki.

– Przyjechał tylko pokazać ciężarówkę? Nic więcej?

Lynch zastanawiał się przez chwilę.

– Pochwalił się, jak mu się powodzi, jak to zarabia kupę pieniędzy.

– Nie mówił nic o swoim życiu?

Wilbur Lynch trochę jakby odpląnął. Niemal jakby zapomniał, że mówi na głos.

– Coś tam powiedział.

Wydawał się zaskoczony, że wciąż siedzimy przed nim. Ale mówił dalej:

– Poprosił mnie, żebym mu przechował pudełko.

– Ma je pan jeszcze? – spytała Coleman trochę zbyt ochoczo; miałam nadzieję, że Lynch tego nie zauważył.

– Nie myślałem o tym pudełku aż do teraz.

– Możemy je zobaczyć?

– Powiedział, że to tylko książki.

– Mimo to chciałybyśmy je obejrzeć, jeśli pan nie ma nic przeciwko.

Wahał się przez chwilę; być może kombinował, czy bardziej korzystnie dla niego będzie zgodzić się, czy odmówić.

– Sprawdź, czy jeszcze tu jest. – Wstał z krzesła i ruszył do przyczepy, najwyraźniej sam trochę ciekaw.

– Możemy pójść z panem? – spytała Coleman.

Nie powiedział nie, więc weszliśmy za nim do środka.

Słowo „nędza” zostało wymyślone chyba specjalnie dla wnętrza tej przyczepy, szerokiego na trzy metry i długiego na sześć. Z biegiem czasu kurz znalazł drogę do środka, zmieszał się z tłuszczem z włosów i zeszywniał w patynę na oparciu byle jakiej kanapy. Fornir stolika do kawy wypuczyl się, tworząc wzór z przenikających się kółek różnych odcieni i głębokości, zapewne po niezliczonych puszkach piwa. Aneks kuchenny śmierdział, jakby tylko czekał, żeby zająć się ogniem.

Lynch poprowadził nas korytarzykiem w prawo, do sypialni, gdzie ryk okiennego klimatyzatora był trochę cichszy. Okna zmatowione przez pustynię sprawiły, że poczułam się klaustrofobicznie.

– W tym pokoju mieszkali we dwóch z bratem, zanim wyjechał – powiedział Lynch.

W pokoju znajdował się w zasadzie tylko materac, który musiał być trochę ciasny dla dwóch dorastających chłopaków. Cienkie nakrycie leżało na wierzchu zwinięte w kłęb. Materac i prześcieradło miały ten sam odcień szarości. Niewielka kupka ubrań w kącie zapewne była szafą. Oprócz tego w pomieszczeniu był jeszcze tylko stosik pięciu pudeł, piętrzący się niemal pod niski sufit w najdalszym kącie. Każde kolejne było mniejsze niż to pod spodem; na wąskiej półce utworzonej przez najniższe z nich stała butelka po whiskey.

Lynch zaczął ściągać pudła i zaglądać do nich, po czym podawał je Coleman, która dzielnie ustawiała je w kolejny stos w drugim kącie. Kiedy dotarł do ostatniego, ukląkł. To było zaklejone.

Wielki słój wypełniony uszami w spirytusie. Albo próżniowo zamknięty woreczek. Albo przynajmniej coś, co powiązałoby Lyncha z człowiekiem, który próbował mnie zabić.

Lynch wahał się przez chwilę, jakby jednak nie chciał otwierać pudełka, a przynajmniej nie przy nas, ale w końcu wyjął scyzoryk z prawej kieszeni džinsów i rozłożył ostrze. Nie zamierzał tak po prostu oddać nam czegoś, co mogło się okazać wartościowe. Zgrabnie przeciął pojedynczy pasek taśmy i odgiął tekturowe kłapy.

Pudełko było dość luźno upakowane, tak że Lynch mógł poprzesuwać zawartość ostrzem. Kiedy pochyliliśmy się we trójkę, zobaczyliśmy tylko parę kryminałów i filmów DVD – pornosów i thrillerów.

– Mówiłem wam, że lubił czytać – powiedział Lynch. Grzebał w pudełku scyzorykiem z ciekawością, a zarazem z wahaniem, jak ktoś, kto nie chce sięgać gołą dłonią w ciemną dziurę. Wyjął kilka przedmiotów i położył je obok pudła; Coleman i ja stałyśmy i patrzyłyśmy, co też tam znajdzie i jak na to zareaguje.

Wyciągnął DVD z programem National Geographic pod tytułem *Objazdowa wystawa*

mumii, przeczytał opis z tyłu, jakby był sam i położył film na podłodze koło pudełka. Potem znalazł kartonową teczkę, otworzył ją i chwilę przeglądał komputerowe wydruki artykułów z Wikipedii na temat seryjnych morderców. Stałam tuż za nim, dzięki czemu mogłam mu przeczytać przez ramię kilka nazwisk: Ted Bundy, Morderca z Green River, Jeffrey Dahmer, Dusiciel BTK, Syn Sama, Morderca z Drogi 66. Był też opis natronu i jego zastosowań, i instrukcja, jak go zamówić. A do tego wydruk strony internetowej, poświęconej informacjom i dyskusjom na temat seryjnych morderców ogólnie. Lynch, na którym chyba nie zrobiło to wrażenia, położył teczkę na DVD i znów zajrzał do pudła.

Jego uwagę przyciągnęło coś wciśniętego między tekturę i książki. Zahaczył to nożem, wyciągnął z pudełka i zagapił się. Była to tylko stara, zniszczona psia obroża, brązowa, ze stalowymi ćwiekami, wciąż przypięta do smyczy.

– Co się stało? – spytałam.

– Ta obroża. Miałem psa. Barky’ego. To był dobry pies. Chłopcy mi powiedzieli, że uciekł, ale może coś źle pamiętam. – Lynch wydawał się lekko ogłuszony. Nie powiedział he-he.

– Barky jeszcze tu był, kiedy Floyd przyjechał ciężarówką z wizytą? – spytałam łagodnie.

To go wreszcie załatwiło. Zrzucił tę starannie utrzymywaną maskę, jakby do tej chwili był w stanie zaprzeczać koszarnej rzeczywistości, ale dłużej się już nie dało.

– Kurwa mać – sapnął głosem bardzo starego człowieka. Ten przedmiot zbyt jasno świadczył o tym, jakim bydlęciami byli jego własny syn.

Przerwał nam odgłos ciężkich butów dzwoniących obcasami na metalowych schodkach. Drzwi przyczepy otwarły się z trzaskiem.

– Hej, tatku! – zawołał głos, przekrzykując ryk klimatyzatora. – Jedziemy zapolować na Meksykańców?

– Mamy gości – odrzyknął trochę za szybko Lynch klęczący nad pudłem.

Spojrzałam na Coleman i zobaczyłam, że zrozumiała, dlaczego kazałam jej zaparkować kawałek dalej. Nigdy nie wiadomo, co usłyszysz, jeśli nie zostawisz samochodu na podwórku.

Właściciel głosu zatrzymał się z poślizgiem na nasz widok i wbił w nas oczy.

Ja też obejrzałam sobie Mike’a. Włosy miał ogolone do skóry po bokach i z tyłu, a na czubku głowy dłuższe, przez co przypominał pieczarkę. Połączenie tej fryzury z groźnym spojrzeniem sprawiało, że jednocześnie śmieszył i przerażał; patrząc na takiego, wątpisz, czy kiedykolwiek wyrośnie z młodzieńczej furii. Nie spytałam, co miał na myśli, mówiąc o „polowaniu na Meksykańców”, ale byłam raczej pewna, że nie chodziło mu o rekrutację imigrantów do pracy na farmie.

Spojrzał na ojca, chociaż odezwał się do nas:

– Co wy tu robicie?

– One są z Ef-Bii-Jaj – odparł Lynch tak precyzyjnie i tak znacząco, jak był w stanie, ale z niezmięniętej miny Mike’a nie sposób było wyczytać, czy zrozumiał. – Uważają, że Floyd nie zabił tych dziewczyn.

Mike ruszył z powrotem korytarzem i rzucił, nie odwracając się:

– Chodź, tatku. Dzień nam ucieka.

Lynch wstał i zawołał za nim:

– Powiedz, Floyd zabrał ze sobą Barky’ego?

Wyjrzałam przez wypiaszkowane okno na dwór, gdzie błyskawicznie znalazł się Mike i podszedł do terenowego motocykla zaparkowanego na skraju działki. Lynch podniósł się, by iść za nim.

Wzięłam pudełko, żeby nie zdążył wpaść na pomysł sprzedania zawartości na e-Bayu, i spytałam:

– Panie Lynch, nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy to zabrały? Panu się to raczej nie przyda.

– Panie Lynch, to, co jest w tym pudle, niekoniecznie dowodzi, że pański syn jest seryjnym mordercą – dodała Coleman.

Lynch zaczął się odwracać, rzucając przez ramię:

– Och, po prostu go zabijcie i miejmy to z głowy.

Zobaczyłam, że tracimy panowanie nad przesłuchaniem i posłałam Coleman twarde spojrzenie. To nie była autoryzowana wizyta i musiałyśmy z niej wycisnąć jak najwięcej. Coleman zatrzymała go i podała mu wizytówkę. Schował ją do kieszeni, nie patrząc.

– Panie Lynch, wie pan o kimkolwiek, kto mógł współdziałać z pańskim synem przez te lata?

– Nic mi nie wiadomo o kimś takim – odparł, idąc szybko korytarzem do salonu, jakby miał kompletnie gdzieś, czy my tu zostaniemy, czy nie.

– Czy jest ktoś, kto mógłby skorzystać na przyznaniu się pańskiego syna do morderstw na Drodze 66? – zawołałam za nim, bo wychodził już na dwór. – Czy kiedykolwiek wymieniał jakieś nazwisko?

Ale Lynch miał już inne rzeczy na głowie. Rozstawił nogi i przekrzykując ryk motocykla, huknął na syna z furją:

– Gadaj, do jasnej cholery. Złaż z tego pieprzonego motoru i powiedz mi, czy Floyd zabił mojego psa.

Zeszliśmy po rozklekotanych schodkach przyczepy. Huk motoru i wrzaski pozwoliły mi podejść bliżej do Lyncha. Zdjęłam okulary. Miałam nadzieję wziąć go z zaskoczenia, kiedy zapytałam, niesłyszana przez Coleman:

– Czy wymienił kiedykolwiek nazwisko Brigid Quinn?

Ale byłam dla niego tylko irytującym utrudnieniem. Chwycił mnie powyżej łokcia, na kilka centymetrów zbliżył twarz do mojej twarzy. Oblizał szczerbę w wardze.

– To nie moja wina – powiedział, zabagniając oddechem powietrze. – Rodzi ci się syn, który wyrasta na potwora. Nie zasługuje na to, żeby żyć. Co robić w takiej sytuacji? Powinienem był utopić gnojka, kiedy miałem okazję.

13 sierpnia 2011, godzina 11.45

Coleman z wprawą włączyła jednocześnie zapłon i klimatyzację.

– Zdrowie Barky’ego. Niech spoczywa w pokoju – powiedziałam.

– Nigdy nie mówiłam, że Floyd to miły człowiek – odparła. – Nie wiedziałas, że eksperymentował z mumifikowaniem zwierząt?

– Tak, mówił to nawet na nagraniu, które mi dałaś, ale własny pies? Dajcie spokój.

– Mimo wszystko to wciąż nie zbrodnia karana śmiercią – powiedziała Coleman.

Zręcznie wymanewrowała toyotą z osiedla przyczep na główną ulicę Benson. – Zatrzymam się w tym Burger Kingu, którego widziałyśmy przy wjeździe, chcę kupić colę na drogę powrotną. Ty coś chcesz?

– Mogłybyśmy zjeść lunch.

– Poczekajmy z tym, aż wrócimy do miasta.

– Okej, ale w takim razie nie jedź przez okienko dla zmotoryzowanych, zaparkuj, żebyśmy mogła skorzystać z toalety. I ja też poproszę colę.

Każda z nas załatwiła, co miała do załatwienia i po chwili gnałyśmy już I-10 na wschód, popijając napoje. Coleman zrobiła się rozmowna, jak zwykle ludzie podczas długiej jazdy po przesłuchaniu dwóch popaprańców. To sposób na zapewnienie samego siebie, że należy się do tych normalnych ludzi.

– Jak trafiłaś do Biura? – spytała.

Wysiorbałam resztkę coli, potrząsnęłam lodem, żeby wydoić z niego jak najwięcej.

– Byliśmy rodziną gliniarzy, ojciec i brat służyli w miejskiej policji, siostra wstąpiła do CIA. Moja siostra Ariel i ja bawiłyśmy się lalkami, ale nasze Barbie, zamiast chodzić na bale maturalne, przemykały Kenów za posiadanie. – Coleman roześmiała się; pewnie myślała, że żartuję. – A ty?

– Ja się zaciągnęłam jakoś w środku morderstw na Drodze 66 – odpowiedziała. – A tak przy okazji, uważam, że fatalnie cię potraktowano i wtedy, i później. – „Później”, czyli wtedy, kiedy zastrzeliłam sprawcę. – Uważałam cię za jedną z najlepszych – dodała.

– Jeszcze nie umarłam. – Najwyższa pora zmienić temat. – Pomijając kwestię uszu, całe to przesłuchanie to był niezły popis. Dobra robota. Spędziłaś z tym gościem mnóstwo czasu. Obrzydliwiec, co?

– Nie... – I nagle urwała, żeby odchrząknąć.

Szybko się uczyłam, że Coleman zawsze o coś chodziło i że zawsze zaczynała od pogaduszki o czymś trywialnym, na przykład w jaki sposób znalazłam się w Biurze. Patrząc prosto przed siebie, powiedziałam:

– Coleman, być może słyszałaś różne rzeczy na temat tego, jaka jestem i kim jestem. Ale na pewno nie jestem terapeutką. Nie mamy nieskończonej ilości sesji do przegadania, więc wyduś, co cię gryzie. Obiecuję, że nie gruchnę śmiechem i nie napiszę o tym na Twitterze.

Coleman wzięła głęboki wdech. Kątem oka widziałam, że mocniej ścisnęła kierownicę.

– Przeczytałam te wszystkie książki, na przykład tę Davida Weissa, jak się przygotować do przesłuchania. Zanim zaczęłam przesłuchiwać, myślałam sobie cała nakręcona: Oto zaraz dostanę się do mózgu potwora, jak to mówią. Przeraza mnie, że to nigdy nie nastąpiło. Tak jak

powiedziałaś, spodziewałam się „obrzydliwca”. Ale po jakimś czasie, chyba niedługo po sesji, którą widziałas, poczułam się, jakbym rozmawiała po prostu z jakimś facetem, okej, kompletnie popieprzonym facetem, ale nie nieludzkim potworem, jakiego się spodziewałam.

– A czego oczekiwałaś, że będzie się demonicznie śmiał i podkrecał węsą?

– Ale czy nie mógłby być choć troszeczkę podobny do Charlesa Mansona? – Coleman roześmiała się wreszcie i to rozluźniło nas obie. – No cóż, chyba tak, ponieważ właśnie tego oczekiwałam. Rzecz w tym, że on jest zbyt podobny do nas, zwykłych ludzi, Brigid. Owszem, żalosny palant, ale wytrącało mnie z równowagi to, że jest po prostu istotą ludzką, a ja spodziewałam się czegoś innego.

– Przejdźmy do rzeczy. Zagiął cię gadaniem o popularności filmów o wampirach, o tym, że kombinacja seksu ze śmiercią zawsze jest poniekąd kręcąca.

– Nie – odparła.

– Tak.

– No dobrze, tak.

– Jesteśmy zdeprawowanym gatunkiem. Do pewnego stopnia Lynch ma rację. W sumie, czemu się do tego nie przyznać?

Odwrociłam się, by na nią spojrzeć. Wciągnęła wargi między zęby, zmrużyła oczy, jakby jej twarz zamykała się dla ochrony. Ciekawe, co by powiedziała, gdybym jej się przyznała, że zabiłam tego gościa pod mostem. Żeby rozluźnić atmosferę, zaczęłam udawać, że oddycham jak przez rurę odkurzacza i rzuciłam:

– Luke. Przejdź na Ciemną Stronę Mocy.

Tym razem się nie roześmiała, więc zdecydowałam się na poważniejsze podejście do sprawy.

– Oj, Coleman, nie przejmuj się tym. Od lubienia *Strefy mroku* jeszcze daleko do picia czyjejś krwi. Każdy w jakimś momencie oswaja swojego wewnętrznego seryjnego mordercę. Bo... bo... – powiedziałam, stukając kostkami palców w szybę, by mieć pewność, że mnie słucha – między innymi to uczyni cię taką dobrą w tym biznesie, że aż sama się przerazisz.

Coleman uśmiechnęła się blado, ale z cieniem otuchy.

– Ale po czym poznać, że empatyzujesz z kimś nie z powodu twojego wewnętrznego mordercy, ale dlatego, że ten ktoś wcale nie jest mordercą?

– Chodzi ci o intuicję?

Skinęła głową.

– Przerabiałam to, Coleman. Sama to powiedziałaś przedwczoraj. Czasami masz taką pewność, kto jest czarnym charakterem, że nie możesz spać, póki tego nie udowodnisz, choćby to trwało dziesięciolecia. Ale od czasu do czasu to działa w drugą stronę, tak jak teraz. Po tak długim czasie spędzonym z Lynchem w głębi duszy wiedziałas, że on nie jest mordercą. Nie mogłaś przestać o tym myśleć. Dlatego spytałaś o uszy i dlatego zauważyłaś jego reakcję, choć nie zauważył jej nikt inny.

Znów potaknęła ruchem głowy.

– Więc moim zdaniem powinnaś posłuchać intuicji. Tylko nie mów facetom, że to powiedziałam.

Po tym moim stwierdzeniu Coleman zrobiła się milcząca; być może przez resztę jazdy przetrawiała naszą rozmowę. Pomyślałam, że może chce jeszcze pogadać, więc zaproponowałam, żebyśmy wstąpiły na lunch do Cantiny Emery’ego. Zgodziła się. Kiedy zajechałyśmy z powrotem na parking FBI, zaparkowała koło mojego auta. Powiedziałam jej, że dotrę do knajpy, tylko najpierw zajrzę do hotelu i sprawdzę, co u Zacha.

– Jak on się trzyma? – spytała Coleman, rozglądając się po parkingu, jakby kogoś szukała

albo bała się, że ktoś nas zobaczy.

Kiwnęłam głową na boki.

– Właśnie próbuję się tego dowiedzieć.

– Powiesz mu, że zeznanie Lyncha jest podejrzone?

– W życiu, tym razem już nie chcę mu nic mówić, dopóki nie będziemy miały konkretnych dowodów, że to przyznanie się do winy jest fałszywe. Musimy znaleźć fizyczne dowody i przedstawić je Lynchowi w taki sposób, żeby powiedział prawdę. Dopóki nie zdołamy tego zrobić, Morrison nie musi nas słuchać.

Coleman lekko się skrzywiła.

– Lynch dziś rano podpisał zeznanie i na czwartek ma wyznaczoną rozprawę.

– Trzy dni na odwołanie zeznań, zanim sprawa trafi do mediów i Morrison wyjdzie na jeszcze większego idiotę. Pamiętam, że ten gość najbardziej na świecie nienawidzi wychodzić na idiotę, a tak często mu się to zdarza. Cholera.

– I mimo wszystkiego, co mówiłaś o słuchaniu intuicji, dowody z tego pudełka obciążają Lyncha jeszcze bardziej.

– Nie, wcale nie – odparłam. – Po co interesować się innymi mordercami, zadawać sobie trud drukowania ich historii i przechowywania ich, jeśli samemu jest się sławnym mordercą? To raczej czyni z niego aspiranta do tytułu. Cześć. – Wysiadłam z jej auta.

13 sierpnia 2011, godzina 12.30

Zapukałam w drzwi pokoju sto siedemdziesiąt cztery, a kiedy nie było odpowiedzi, użyłam drugiego klucza, który dostałam, kiedy meldowałam Zacha w Sheratonie. Nie zabił się. Po prostu go nie było. Dokąd się wybrał, jak zamierzał się tam dostać (Zach w żadnych okolicznościach nie zniżyłby się do jazdy autobusem) i co robił? Szybko przeszukałam pokój, ale znalazłam tylko niewielką płócienną torbę podróżną, w której były dwie koszule, wciąż fabrycznie zapakowane, zapasowa para spodni i trochę bielizny. Za laminowane zdjęcie Jessiki wciąż stało oparte o nocną lampkę. W łazience była elektryczna maszynka, szczoteczka do zębów i tubka pasty w podróżnym rozmiarze.

Napisałam liścik na hotelowym notatniku leżącym obok telefonu na biurku, niezbyt długi i serdeczny: *„Byłam tu, szukałam Cię. Oddzwaniaj, idioto”*. I numer mojej komórki. Zdarłam kartkę z notesu, napisałam wszystko jeszcze raz, zamiast „idioto” wstawiając „proszę”. Byłam sfrustrowana. Przy presji ze strony Coleman w sprawie Lyncha, przy moich obawach, że ktoś w końcu odkryje trupa w korycie rzeki i przy podszeptach mojej własnej intuicji, że ktoś w dalszym ciągu będzie próbował mnie zabić, nie potrzebowałam jeszcze i tego. Ale potem pomyślałam: przestań marudzić, przy stracie dziecka twoje problemy są niczym. Przy stracie dziecka wszystko jest niczym.

13 sierpnia 2011, godzina 12.55

Mimo wizyty w hotelu i tak dotarłam do Cantiny Emery'ego przed Coleman i tym razem usiadłam przy barze. Zamówiłam jasne piwo i zaczęłam nasłuchiwać rozmowy toczącej się wokół mnie. Goście rozmawiali o zębach.

Facet z policji miejskiej, którego pozostali nazywali Frank, powiedział, że potrzebuje leczenia kanałowego i spytał, czy ktoś zna dobrego endodontę na północnym zachodzie miasta. Cliff, którego już znałam, powiedział, że słyszał o leczeniu kanałowym, ale nie wie, co to jest. Emery dorzucił, że nie, on ma szczękę jak skała, nie pamięta, kiedy ostatnio był u dentysty. Z poczuciem wyższości dodał, że nitkuje dwa razy dziennie. Cheri powiedziała, że chodzi do Miłego Dentysty, bo podają tam niezłe dragi.

W końcu wszyscy spojrzeli na mnie, jakby ktoś w moim wieku musiał się znać na leczeniu dentystycznym.

– Ja robię sobie wszystkie protezy w Kostaryce – rzuciłam z lekką niechęcią. – Brzmiały jak kastaniety. – Roześmiali się, ale niezbyt pewnie, jakby nie bardzo wiedzieli, która część ma być żartem: kastaniety, Kostaryka czy protezy.

Cheri, stojąca obok mnie przy barze, powiedziała:

– Słyszałam, że pani jest sławna. – Frank i Cliff spojrzeli w jedzenie.

Zadzwoiła moja komórka. Nerw na szyi zaczął mnie mrowić, więc przygotowałam głos z cyklu „co za niespodzianka”, spodziewając się Maksa z informacją, że znalazł ciało. To najlepiej świadczyło, do jakiego stopnia ta sytuacja siedziała mi w głowie jak koszmar senny. Znacie ten koszmar, w którym kogoś zabijacie i najgorsza jest świadomość, że nie możecie cofnąć czasu i biegu wydarzeń? Nie? Cóż, nieważne. Wzięłam głęboki wdech, otworzyłam telefon i niepewnie powiedziałam halo.

– Brigid, tu Laura. Skończyłaś już w hotelu?

– Tak, jestem w barze.

– I jak tam pan Robertson?

– Nie było go. Gdzie jesteś?

– Wpadłam tylko do biura odebrać wiadomości. Już jadę.

Czekając na Coleman, miałam czas porządnie się pomartwić tym, co zrobiłam.

Żałowałam, że nie zadzwoniłam do Maksa zaraz po, zamiast tuszować sprawę. Nie było już odwrotu. Ale gdybym tego nie zrobiła, nie znalazłabym filmu sugerującego, że Peasil wybrał mnie celowo i że to może być w jakiś sposób powiązane z Floydem Lynchem. Mogłam zginąć. Do diabła, Carlo mógł zginąć. Wkurzało mnie, że się tak zapętlałam, to do niczego nie prowadziło.

Lynch. Odtworzyłam w myślach rozmowę z Wilburem i Mikiem Pieczarką, pauzując, cofając się, ale nie byłam w stanie znaleźć motywu dla ich udziału. Wyglądało raczej na to, że odcinają się od syna i brata.

Wyglądało.

I tak w kółko.

Zanim zdołowałam się do reszty, ostrze popołudniowego światła przecięło mroczne wnętrze i zobaczyłam w lustrze, że weszła Coleman. Kiwnęłam na nią, żeby dołączyła do mnie przy barze. Rozmowa w sali przycichła – mężczyźni udawali, że nie patrzą na jej ciało jak z

obrazu El Greca, sunące pomiędzy nimi. Coleman poczuła się niepewnie i przeciągnęła palcami po krótkich lokach, by ukryć fakt, że muska dłonią to znamię na skroni, tak jak zrobiła to przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Może być czy wolisz stolik? – spytałam.

Poruszyła się lekko, jakby próbowała wygodniej ułożyć na sobie majtki albo kaburę, i w końcu siadła na winylowym wyściełanym stołku obok mnie.

– Nie, może być – odparła. – Widzisz, moi rodzice są mormonami i właściwie nigdy nie przyzwyczaiałam się do siedzenia przy barze.

Zamówiła mrożoną herbatę u Emery’ego, który wisiał nad nią nie do końca jak dobry barman, a raczej jak mężczyzna, ciekaw, co jest pod tą jedwabną bluzką. Oparł dłonie na barze i pochylił się w jej kierunku z niemal obleśnym uśmieszkiem. Nawet Cheri, przechodząc, przewierciła go ostrzegawczym spojrzeniem, mówiąc: „uważaj sobie, koleś”, które potwierdziło moje podejrzenie, że są kochankami.

Emery postawił przed nami koszyk tacos i miseczkę salsy.

– Na koszt firmy – powiedział z tym swoim akcentem i szarmanckim zawijaszem dłonią w powietrzu. Jedno i drugie było komicznie autoironiczne i uroczo europejskie. W końcu poszedł sobie, żeby obsłużyć kogoś innego.

– Chyba cię lubi – powiedziała Coleman, wskazując tacos, jakby trochę mi zazdrościła własnego barmana na usługach.

– Nie zna mnie. Flirtuje z tobą.

Emery przyniósł jej mrożoną herbatę, położył łyżeczkę na płóciennej serwetce i przysunął bliżej koszyk z paczuszkami cukru.

Coleman chyba czuła, że potrzebuje się wytłumaczyć z tej herbaty.

– Jestem jeszcze w pracy – powiedziała, wyciskając cytrynę. Musiała myśleć o Barkym. – Masz psa?

– Mamy mopsy.

– To dobre psy?

Nie bardzo wiedziałam, co ma na myśli, bo nigdy wcześniej nie miałam psów, ale odpowiedziałam:

– Jasne, mogą być. A ty?

– Kiedy byłam mała, mieliśmy miniaturowego sznaucera. Duncana. Sypiał ze mną. – Koniec towarzyskiej pogawędki. Coleman była zbyt sztywna, żeby mieć do tego dryg. – To przesłuchanie to był ślepy zaulek. Niewiele w tym było sensu.

– Podobnie jak w zabijaniu z pożądania. Ci ludzie nie rozumują tak jak my.

– Jak mówisz, potrzebujemy czegoś więcej.

– Z przesłuchaniami czasem dopiero później wiadomo, co jest ważne. Po prostu starasz się zachować w głowie jak najwięcej i czasami pojawia się związek. To trochę tak, jakbyśmy byli śmietnikami na informacje i niekiedy życie zależy od powiązania ich ze sobą.

Czyżby Coleman chciała ukryć uśmiech, kiedy oparła łokieć na barze i podbródek na dłoni? Patrzyła na mnie, jakby chłonęła wszystkie mądrości, jakie miałam do zaoferowania, ale w jej oczach widziałam tylko lekko znudzoną cierpliwość. Mogła mnie sobie podziwiać do woli, ale nie była frajerką. Więc skończyłam z tym protekcjonalizmem. Bóg mi świadkiem, że ona sama nigdy nie zaświeciła mi w oczy tym, że jest młodsza, i zasługiwała na ten sam szacunek.

– Przepraszam, oczywiście już to wszystko wiesz. A tak przy okazji, twoja analiza zrobiła na Weissie spore wrażenie.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że poznałam Davida Weissa. Był niesamowity, wiesz, jak...

– Dinozaury? Żartuję – rzuciłam, zanim spróbowała odkręcić swoje słowa. Ale

zauważyłam, że wcale nie czuje się zażenowana, więc może trochę przedwcześnie doceniłam ją za brak poczucia wyższości nad starszszkami. Zignorowałam to. – Wstąpiliśmy do FBI w tym samym czasie. On miał już wtedy doktorat z psychologii i został wytypowany do Wydziału Analiz Behawioralnych. Nazwaliśmy go Sigmund przez...

– Freuda. To takie zabawne.

Nienawidzę się powtarzać. Podobno to wynik stresu. Dopiliśmy piwo i odmówiłam drugiego, kiedy Emery przewinął się przy barze.

– A ciebie jak przezywają? – spytałam, by zmienić temat.

– Królewna Śnieżka. Tyle że nie w twarz.

– Znaczący...

– Niewinna i czysta jak świeży śnieg. – Przewróciła oczami. Ja starannie pilnowałam wyrazu twarzy, pamiętając o podejrzeniach Sigmunda na temat jej i obrońcy z urzędu. – Słyszałam, jak doktor Weiss nazywał cię Osa. Skąd to przyzwisko?

– Dalej będą cię nazywać Śnieżką, kiedy Morrison się dowie, że pracujesz na własną rękę?

Zamiast wprost odnieść się do problemu Morrisona, uciekła się do aforyzmu.

– Czasem trzeba wybrać między trzymaniem się zasad a zrobieniem tego, co należy.

Przyszła pora odegrać się na niej za to, że mi przypomniała, że się powtarzam.

– Gadasz jak magnes na lodówkę. Nic ci tak nie napieprzy w głowie jak poczucie, że jesteś szlachetna.

Odpuściła mi to, znów zmieniła temat.

– Zawsze zastanawiałam się nad jednym. Weiss w swojej książce poświęcił tyle miejsca sprawie Drogi 66, a nigdy nie wspominał o Jessice Robertson.

– Kiedy pisał tę książkę, była zaginiona dopiero od ośmiu miesięcy. Sig kieruje się raczej mózgiem niż sercem, ale zdaje się, że nawet on miał do niej słabość. Wiele osób miało.

– Dlaczego?

– Przypominała dziecko, z daleka mogła uchodzić za trzynastolatkę. Nigdy z nikim nie zadarła, a zapewne zdajesz sobie sprawę, jak rzadka to cecha w takim miejscu jak Biuro, gdzie każdy ma ego większe od kuli ziemskiej. Była jedną z tych wyjątkowych kobiet, które potrafią być bez przerwy radosne, aż nie ma się ochoty ich gnoić. Każdy chciał się nią opiekować.

I dość na temat Jessiki, pomyślałam. To po to Coleman podzieliła się ze mną psem i przyzwiskiem? Czyżby to wcale nie było towarzyskie zagajenie, tylko próba wyciągnięcia mnie na zwierzenia? Nieźle, Coleman. Nie dodałam, że ja mówiłam do Jessiki Mała, a ona do mnie Trenerze.

Coleman chyba wyczuła, że więcej nie powiem i nie naciskała dalej.

– Przyniosłam kopię akt sprawy, część dotyczącą Lyncha. Jest w samochodzie.

Ściszyłam głos i kiwnęłam na nią, żeby zrobiła to samo.

– Wyniosłaś je z Biura?

Zaczerwieniła się.

– Nie wszystko – odparła. – Tylko tę część dotyczącą konkretnie jego, jego zeznań, ciężarówki i tak dalej. Ale jest tam trochę więcej informacji niż w tym skrócie, który dałam ci wcześniej.

Coleman stawała się dla mnie enigmą. W pewnych kwestiach sztywna jak kołek, a jednak...

– No proszę, Śnieżko, ty naprawdę nie działasz według zasad, co?

Coraz lepiej szło jej też ignorowanie moich docinków.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy to omówić u mnie dzisiaj wieczorem, a potem jeszcze raz

przesłuchać Floyda, powiedzmy, jutro. Może nie potrzebujemy więcej dowodów. Może zastanawiał się nad tym, co zrobił. Może nie potrzeba przyciskać go aż tak bardzo, jak nam się zdaje, żeby powiedział prawdę. Tak sobie myślałam... a jeśli to ciało, które woził w ciężarówce, dał mu prawdziwy morderca?

– Prr, dziewczyno. Może trochę się zagalopowałyśmy z tą całą intuicją. Daj mi, co masz, zabiorę to do domu. Lepiej mi się myśli w samotności. Zobaczę, czy jest tam coś, z czym możemy jutro pójść do pana Lyncha i zmusić go do zmiany śpiewki.

14 sierpnia 2011, godzina 5.00

Resztę popołudnia spędziłam na włóczeniu się z Carlem po Walmartach, Home Depotach i takich innych, i na pieczeniu klopsa, którego przygotowałam rano. Wieczorem całą energię, jaka mi jeszcze została, zużyłam na udawanie spokojnej. Pomogło mi oglądanie, jak Schwarzenegger napaść się z Predatorem, co zawsze mnie relaksuje. Carlo nigdy nie widział tego filmu i przyznał się nawet, że mu się podobał. Tak więc, choć chciałam się zabrać do materiałów od Coleman, nie mogłam tego zrobić, dopóki nie zerwałam się ze snu około piątej następnego ranka, zgrzana, jakbym miała uderzenie gorąca, i z martwym facetem w głowie.

W tej sprawie nic nie mogłam zrobić, więc cicho wyslizgnęłam się z łóżka, włączyłam ekspres i poszłam do gabinetu. Z przygotowanym notesem, żeby zapisać sobie wszystkie niezbędne działania, zaczęłam się przedzierać przez zawartość cienkiego segregatora. Lektura była na tyle wciągająca, że oderwała moje myśli od spraw, na które nie miałam wpływu.

Nie był to komplet akt. Brakowało wszystkich zdjęć, których Coleman nie miała czasu skopiować, i wszystkich wcześniejszych informacji na temat morderstw na Drodze 66. Raport zaczynał się od protokołu z zatrzymania Floyda Lyncha o 23.19 dwudziestego szóstego lipca na pierwszej stronie, a kończył na jego podpisanym przyznaniu się do winy na stronie dwieście sześćdziesiątej ósmej. Po drodze były raporty techników kryminalistycznych i lista materialnych dowodów znalezionych w ciężarówce i przy samym Lynchu: plastikowe worki wyścielające kabinę w miejscu, gdzie podczas jazdy leżała mumia. Śladowe ilości natronu użytego do zmumifikowania ciała. Włosy (wyłącznie Lyncha i mumii) mimo użycia worków. Powieść Jeffrey Deavera, tak sfatygowana, że wyglądała, jakby Lynch czytał ją w kółko, nie pamiętając fabuły.

Był też wydruk e-booka pod tytułem *Jak zabijać kobiety i nie ponieść za to kary* autorstwa Anonima, z 2009 roku. I znów dziwny wybór jak na odnoszącego sukcesy seryjnego mordercę, podobnie jak wydruki, które widziałyśmy wczoraj. Zapisałam: dowiedzieć się, czy prawa autorskie są zarejestrowane w Bibliotece Kongresowej, a jeśli tak, to na jakie nazwisko.

Mały telewizor z odtwarzaczem na baterie, a w odtwarzaczu – co mnie nie zdziwiło – film DVD pod tytułem *Striptiz Zombie*, ten sam, który opisał podczas przesłuchania. Marny pornos. Dodatkowa para dżinsów i kilka koszulek. Skarpetki i bokserki. Mała kosmetyczka, którą mógł zabierać ze sobą do toalet na postojach, żeby się umyć. Atlas drogowy. GPS. Komórka. Karty drogowe.

Zatrzymałam się przy nich. Kierowcy ciężarówek musieli prowadzić skrupulatne rejestry wszystkich swoich działań i tras, zawierające nawet takie informacje, jak liczba przespianych godzin, by w każdej chwili można ich było skontrolować pod kątem przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Zapisałam sobie: sprawdzić daty kart. Dowiedzieć się, jak długo kierowca ma obowiązek je przechowywać. Dowiedzieć się, czy Lynch gdzieś przechowuje stare karty. Porównać je z rejestrami GPS firmy, w której pracował, o ile mieli już wtedy taki system.

W nagłym przypływie natchnienia wyjęłam ze swojej torby pocztówki, które dał mi Zach. I rzeczywiście, ostatnia została wysłana w czerwcu, niedługo przed schwytaniem Lyncha. Miała pieczętkę z siódmego czerwca, wysłana była z Las Vegas i przedstawiała główną ulicę nocą. Bingo. Zapisałam: sprawdzić bieżące karty, by wiedzieć, gdzie Lynch był siódmego czerwca.

O siódmej rano moja lista była już dość długa: sprawdzić numery zaprogramowane w jego komórce, znaleźć firmę spedycyjną, w której Lynch pracował od 2000 do 2007, zanim kupił własną ciężarówkę, przesłuchać jego przełożonego w tamtych latach, porozmawiać z osobami, z którymi mógł się kontaktować w miejscach postojowych na swoich trasach, zdobyć historię kart kredytowych i zakupów. Pomyślałam jeszcze chwilę i dodałam: przeszukać śmieci znalezione w porzuconym samochodzie, zdjęć odciski palców z puszek i sprawdzić w bazie danych AFIS. Szanse, że kogoś się w ten sposób namierzy, były bardzo mizerne, jako że większość z tych puszek została opróżniona przez miejscowych nastolatków, ale przecież ktoś pozbiierał je z ziemi i wrzucił do samochodu. A w końcu, przypominając sobie ostatnią rozmowę z Sigmundem, dopisałam: dowiedzieć się więcej o przydrożnej gadzinie, tej NN z przedniego siedzenia dodge'a.

Wysłałam listę w załączniku na prywatny e-mail Coleman, żeby mogła zacząć zbierać informacje, razem z listą pytań, które mogłyśmy zadać Floydowi Lynchowi podczas przesłuchania dziś po południu. Sprawdziła pocztę koło ósmej i odpisała natychmiast:

„Dostałam muszę lecieć spotkanie w areszcie o 3 a przy okazji miałaś racje! W pewnym sensie”.

Wróciłam do akt sprawy i zaczęłam czytać raporty z autopsji, począwszy od NN znalezionej w ciężarówce. Mumifikacja, bla bla, rozległe uszkodzenia ścięgien, bla bla, pośmiertne okaleczenie, bla bla. Nic, czego bym nie wiedziała wcześniej.

Właśnie wybierałam się po dawkę kofeiny i dać Carlowi porannego buziaka, kiedy, po ostrzegawczym jazgocie Mopsów, usłyszałam dobrze znany głos rozmawiający z moim mężem przy frontowych drzwiach. Jak przestępczyni schowałam notes do torebki. Wyszedłam z gabinetu i ujrzałam Maksa Coyote'a stojącego niemal na baczność pośrodku salonu, z kapeluszem w dłoni, ale poza tym w pełnym rynsztunku i z oficjalną miną.

Jak już mówiłam, Max i Carlo byli przyjaciółmi, poznali się na imprezie. Każdego innego dnia Max mógł po prostu wpaść z wizytą na partyjkę kart albo dyskusję o egzystencjalizmie. Zrobiłabym im kanapki i posłuchała żartów zaczynających się od: „Sartre i osioł wchodzą do baru...”

Ale obecność Maksa w naszym domu, o tej godzinie i tak szybko po moich przeżyciach w korycie rzeki, mogła oznaczać tylko jedno. Ktoś mnie widział – wpadłam. Mimo wszystko nie było sensu przyznawać się z miejsca. Wypchnęłam słowa z tchawicy przytkanej przez serce, które podeszło mi do gardła.

– Wpadłeś sprawdzić, czy się dobrze czuję? – zażartowałam.

Max był trochę blady.

– Żałuj, że nie widziałaś, co znaleźliśmy w korycie rzeki dwie godziny temu. Mieszkacie niedaleko, więc pomyślałem, że wpadnę i sam wam powiem.

Poczułam ostrożną ulgę; to nie brzmiało tak, jakby z miejsca skojarzył mnie z tą sprawą.

– Usiądź, Max – powiedział Carlo. – Napijesz się kawy?

Max długo usadawiał się na wysokim, drewnianym taborecie, który wskazał mu Carlo, i powoli odłożył kapelusz na śniadaniowy barek, nie zauważając kamieni, które wyłożyłam tam, żeby wyschły. Tych pozbiieranych w dniu, kiedy zabiłam człowieka, o którym przyszedł mi powiedzieć. Kamieni, które zapomniałam wynieść do ogrodu, tak jak robiłam to zwykle. Dlaczego zostawiłam je na blacie? Starłam się nie patrzeć na te kamienie i starałam się nie dzwonić dzbankiem o bawarską filiżankę Jane, kiedy nalewałam kawę. Patrzyłam na Maksa. Nawet w chwilach największego podniecenia Max był tak powolny i ponury, że w pierwszym odruchu miało się ochotę go pocieszyć, nawet jeśli nie on tu miał kłopoty. Być może w tej chwili wydawał się odrobinę przejęty, ale w jego przypadku trudno było stwierdzić. Choć najwyraźniej nie przyszedł tu mnie aresztować, mimowolnie podwinęłam palce, bo wyobraziłam je sobie

czarne od tuszu do pobierania odcisków.

Max spojrział z powątpiewaniem na filiżankę na spodku, którą mu podałam, jakby jego jedynym problemem było to, czy zdoła przełożyć swój gruby palec przez uszko. Po chwili namysłu objął całą filiżankę i wypił porządny łyk, dramatycznie przedłużając to oczekiwanie na wieści. Miałam nadzieję, że nie będą złe.

Udając, że dzielnie ukrywam chroniczny ból pleców – oto ja, kobieta niezdolna do popełnienia morderstwa, a już z pewnością nie do upozorowania kraksy samochodu – podciągnęłam się na stołek obok niego.

Max przejechał dłonią po idealnie zaczesanych, szpakowatych włosach, jakby mu się rozczochrały, choć oczywiście tak nie było.

– Nie uwierzycie, co wam powiem.

Zanim Carlo zdążył okazać ciekawość, a ja zdążyłam zmusić się do oddychania, Max zauważył kamienie na blacie pomiędzy nami.

– Zebrałaś je tam gdzie zwykle?

Wiedział, że chodzę w tę część koryta. Często zostawiałam jego i Carla w jadalni przy pokerze i filozofii i wracałam, zanim Max poszedł. Musiałam odpowiedzieć uczciwie na to pytanie, bo inaczej Carlo zorientowałby się, że kłamię. Wycelowałam w kamienie palec.

– No pewnie. Popatrz, jakie piękne okazy do mojego skalniaka.

Żadnego: „a widziałaś przewróconą furgonetkę?”, tylko: „Hm”. Max zaczął obracać kamienie w tę i w tę, z zainteresowaniem, jakiego zwykle im nie poświęcał.

– Kiedy tam byłaś?

Zawsze mów tyle prawdy, ile to możliwe, ale nie więcej, niż konieczne. Kłamcy zawsze próbują wszystko upiększać i przez to pakują się w kłopoty. Jak głupia spojrzałam na zegar. Powiedziałam sobie, że chyba najwyższa pora wziąć oddech.

– Przedwczoraj. Czemu pytasz, co się dzieje?

– Nie zdychasz w tym upale?

W co on grał?

– Staram się trzymać pod mostem, w cieniu. Czy to nie zabawne, jaka tu jest drastyczna różnica między temperaturą w cieniu i poza?

– Mówiłem jej, żeby przestała tam chodzić – dodał Carlo bez potrzeby. Sięgnął nad blatem, by odgarnąć mi włosy z czoła i odsłonić blade resztki siniaka. Drgnęłam lekko, zirytowana, że traktuje mnie jak okaz wystawowy. – Zobacz, upadła.

To piękny przykład większej ilości informacji, niż to konieczne. Dzięki, Carlo. Teraz będę musiała jakoś wpleść ten upadek w moją historyjkę.

Max zmrużył oczy, patrząc w miejsce wskazane przez Carla. Miałam wrażenie, że z większą ciekawością niż zwykle, ale może po prostu zżerało mnie poczucie winy. Postarałam się wyglądać bezbronne

– Musiałaś się nieźle huknąć – powiedział.

– Oj tam, nic mi nie jest, bywało gorzej. To wygląda całkiem nieźle. – Zeszłam ze stołka, żeby też wziąć sobie kawy. Skorzystałam z tej akcji, by zapanować nad łomoczącym sercem i ukryć drżenie warg za filiżanką. Starłam się przewidzieć, jakie pytania zada Max i do czego mogą prowadzić: widziałaś kogoś w białej furgonetce? Gdzie jest ubranie, które miałaś na sobie, kiedy się potknęłaś? Czekałam, licząc w myślach dziury w moim alibi. Dlaczego on tak się ze mną bawił?

Żałowałam, że Carlo za chwilę usłyszy to, co usłyszy, ale wciąż musiałam udawać słodką idiotkę.

– No to powiedz nam, co widziałaś. Sądząc po twojej minie, było to coś ciekawszego niż

wściekły ryś.

– Znalazłem w korycie rzeki wywrócony samochód.

Odrobinę wytrzeszczyłam oczy, wytrzymałam jego spojrzenie przez sekundę, dwie, jak zrobiłaby to uczciwa osoba, po czym odwróciłam je, udając brak zainteresowania. Serce mi łomotało. Wzięłam głęboki oddech przez nos, żeby je uspokoić i żeby nie było tego łomotu słyszać w moim głosie. Boże drogi, więc tak się czuje morderca.

– Niecodzienny widok. Kto go znalazł?

– Clifton Davies. Znasz go, prawda?

– Miły chłopak. Poznałam go na twoim przyjęciu, a przedwczoraj widziałam go w tej knajpie, Cantinie Emery'ego. Znasz ten lokal?

– Jasne, byłem tam parę razy. – Ale pokręcił głową, zniecierpliwiony, że odchodzę od tematu. – Clifton wracał z nocnej zmiany i zobaczył sępy krążące nad tym miejscem.

Zaciekawiło go to.

– Czy ten wypadek mógł się wydarzyć po mojej wycieczce?

Max uśmiechnął się drwiąco jak prawdziwy twardziel.

– Nie ma mowy. – To było dla niego wielkie wydarzenie i koniecznie chciał potrzymać mnie w zawieszaniu. – To gdzie zbierałaś te kamienie?

– Tam gdzie zwykle, koło mostu, bo tam je wymywa woda, a poza tym jest tam cień.

– To by wyjaśniało sprawę. Clifton znalazł samochód za zakrętem koryta, na północ od mostu.

– A, masz rację, to wszystko wyjaśnia. Jeśli był wystarczająco daleko za zakrętem, to nie mogłam go zobaczyć. – Za dużo słów, przestań paplać, odwróć uwagę. – Więc dlaczego mnie wypytujesz?

– Jesteś jedyną znaną nam osobą, która chodzi tam regularnie, więc czyni to z ciebie potencjalnego świadka. Ale znając ciebie, gdybyś coś zauważyła, zgłosiłabyś to.

– Oczywiście. Więc co z tą furgonetką? Po prostu porzucona po wypadku?

Maksowi, skupionemu na tym, co widział, błyszczały oczy; wszyscy to czujemy, kiedy odkrywamy śmierć, mimo świadomości, jak nie na miejscu jest ten dreszczyk.

– A skąd. W środku był istny chlew. Śmierdziało pod niebiosa. Facet martwy zdaniem patologa od paru dni, ale może po autopsji da radę powiedzieć coś więcej.

– Boże kochany. – Odwróciłam się w stronę głosu Carla, tak skoncentrowana na tym, co mówię do Maksa, że zapomniałam o Perfesorze, który stał obok i słuchał tego wszystkiego. Powiedział to ściszym głosem, zarezerwowanym dla kościołów i domów pogrzebowych.

– Ledwie kilometr od naszego domu. A Brigid chodzi tam codziennie. – Nie codziennie – zaprzeczyłam szybko.

Twarz Carla zrobiła się surowa i blada. I to wszystko na jedną wzmiankę o zwłokach. Spojrzałam na jego twarz i wyobraziłam sobie jego reakcję na wiadomość, że to ja zamieniłam żywego człowieka w te zwłoki. Nie wspominając już, w jaki sposób. Po raz pierwszy poczułam, że może jednak postąpiłam właściwie. Ale w domu ciągle był Max i dopiero się rozkręcał.

– Zwłoki były rzucone na plecy. Robaki były i sobie poszły, jakby nawet one nie były w stanie znieść upału, patolog powiedział, że było tam z osiemdziesiąt stopni, a że wczoraj korytem płynęła woda, rozkład był przyspieszony. W tym wozie było jak w szybkowarze. Drań się ugotował. Wielkie dziury w ciele w miejscach, gdzie wybuchły z niego gazy.

Gliniarze uwielbiają gadać o tym gównie tak, jak mali chłopcy lubią żaby, to męska sprawa. Ale Carlo zadrzał, przeprosił nas i wyszedł. Max był na tyle grzeczny, by poczekać, aż mój mąż zniknie z salonu.

– Aż mi wszystko podeszło do gardła – wyznał. – Nigdy w życiu nie widziałem czegoś

takiego, może tylko na zdjęciach.

– Więc kto to jest? – spytałam. – Jakiś zgłoszony zaginiony?

– Jeszcze nie mam pojęcia. Nawet gdyby nie był w stanie takiego rozkładu, wyglądałby jak menel. Długie włosy, poszarpana koszulka Wildcats, nylonowe szorty, bez butów. Nie miał przy sobie portfela, nawet dowodu rejestracyjnego i ubezpieczenia samochodu. Ale sprawdziłem tablicę.

No, Max, nie przerywaj teraz. Podaj mi nazwisko, podaj nazwisko. Staralam się, by mój głos zabrzmiał od niechcienia.

– Kradziony?

Max wzruszył ramionami.

– Kto to wie, zarejestrowany na nazwisko Gerald Peasil, ale nie ma żadnej gwarancji, że to nasz trup.

– Paskudne nazwisko – powiedziałam, udając znudzenie całą tą historią. – Czy pan Gerald Peasil był notowany?

– Aresztowany za napaść na prostytutkę przed kasynem Diament Pustyni mniej więcej pół roku temu. I raz za obmacywanie starszej pani w autobusie w Phoenix. I tyle. Ale ja mam wrażenie, że mogło chodzić o narkotyki.

– No, nie wiem, dwie napaści seksualne to może nie być przypadek... Jak myślisz, jaka będzie przyczyna zgonu?

– Na razie wypadek. Mógł zginąć w aucie... – Max wydał z siebie westchnienie zmęczonego stróża prawa. – George Manriquez spróbuje mu zsunąć skórę z palców, żeby pobrać odciski i porównać z odciskami Peasila, ale nie jest pewien, czy choćby to mu się uda. Dobra, muszę wracać do roboty. Zostawiłem Cliftona, żeby dopilnował transportu ciała do kostnicy i odholowania furgonetki. Chciałem tylko zapytać, czy... – Urwał w połowie zdania. Nagle zmrużył oczy i otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś, co nie przechodziło mu przez gardło.

Wcześniej w rozmowie użyłam słowa „furgonetka”, zanim on sam powiedział, jakie to auto. Patrzyłam na niego tak niewinnie, jak się dało, modląc się w duchu, żeby tego nie skojarzył.

– ...czy czegoś nie wiem? – dokończyłam jego zdanie, kręcąc głową.

Zapanował nad wyrazem twarzy, a kiedy Carlo wrócił do salonu, jakby dał temu spokój, ale fakt, że nie powiedział wprost, co mu chodzi po głowie, był niemal gorszy; poczułam się przez to jak podejrzana.

– To co, zostajesz? Mam ci zrobić kanapkę? – spytałam.

– Dzięki, chyba wrócę do siebie i zacznę pisać raport – odparł.

– No dobra, gdybyś mnie do czegoś potrzebował, to wiesz, gdzie mnie szukać. –

Wyszczrzyłam się do niego radośnie.

Przyjrzał mi się badawczo. Ja jemu jeszcze bardziej badawczo. Niedługo później wyszedł.

– Chyba się tam przejdę, zobaczę, co się dzieje – powiedziałam po chwili i ruszyłam do drzwi.

Carlo skrzywił się z lekkim obrzydzeniem, ale nie zaoponował.

– Nie zapomnij laski. – Spojrzał na stojak na parasole. – Gdzie ją masz?

Byłam pewna, że pytanie było niewinne. Przecież nie myślał o mojej lasce jako o potencjalnym narzędziu zbrodni.

– Złamała się. To była najlepsza rzecz, jaką dla mnie zrobiłeś, z tym nożykiem artystycznym, który wmontowałaś na dole. Będę musiała cię poprosić, żebyś mi zrobił nową. – Staliśmy tak przez chwilę, patrząc na siebie, i oboje zastanawialiśmy się: dlaczego wcześniej mu nie powiedziałam, że złamała mi się laska? – Wiesz co, chyba jednak nie będę tam szła. Pewnie i tak cały teren jest ogrodzony.

Carlo poszedł do garażu, mamrocząc coś o truciu mrowiska. Podejrzewałam, że nie za bardzo mi już wierzył; zdaje się, że wyszłam z wprawy. Poza tym musiałam szybko wymyślić, w jaki sposób przedstawić to wszystko Maksowi, kiedy już będzie miał chwilę, żeby przemyśleć naszą rozmowę. Ale teraz przynajmniej miałam nazwisko, jeden mały trop w moim śledztwie. Musiałam się dowiedzieć, kto wynajął Geralda Peasila.

14 sierpnia 2011, godzina 14.30

Miałam parę własnych pytań do Floyda Lyncha, jak na przykład to, czy słyszał kiedyś nazwisko Gerald Peasil. Wiedziałam, że pytanie go o to będzie ryzykowne, ale mogło mnie też przybliżyć o krok do informacji, czy ci dwaj byli powiązani ze sobą albo z mordercą z Drogi 66. A jeśli tak, to jak i dlaczego.

Może Coleman miała rację. Może Lynch przekonywał się powoli, że samotne siedzenie w celi nie jest takie zabawne, jak mu się wydawało. Może dojrzał do mówienia i do odpowiedzi na te pytania. Więc odkładając na bok moje zmartwienie z Makssem, ruszyłam po południu do stanowego aresztu, trochę wcześniej, niż umówiłam się z Coleman, żeby wykraść parę minut sam na sam z Lynchem.

Areszt, kremowy, pudełkowaty budynek z bordowymi wykończeniami, byłby nawet ładny, gdyby przymknąć oko na zwoje drutu kolczastego okalające dach. Broń zostawiłam zamkniętą w samochodzie, przeszłam przez skaner, wpisałam się w książce, pokazałam prawo jazdy i opróżniłam kieszenie bojówek. Kazali mi usiąść w poczekalni. Czekałam więc z niewielką grupką osób w prostym, ale nie do końca dołującym holu, w którym nie było nic, co mogłoby stać się bronią. Były tu tylko krzeselka wytłaczane z niebieskiego plastiku, o dziwo, nawet trochę czystsze niż te w wydziale komunikacji.

Większość osób czekających ze mną stanowiły kobiety, ale było też paru mężczyzn. Ci wszyscy ludzie przyszli tu odwiedzić swoich małżonków, dzieci, wrogów. Wszyscy gapiliśmy się w przestrzeń, nie patrząc, każdy pogrążony w osobistym dramacie. Większość z grupy wstała jednocześnie i gęsiego przeszła przez drzwi do ogólnej rozmównicy, a ja wciąż czekałam na prywatną audiencję u Lyncha.

Minęło jakieś trzydzieści minut, aż nadeszła pora, o której powinna się zjawić Coleman. Potem minęło kolejnych dwadzieścia. Pomijając fakt, że szlag trafił moje plany, byłam zirytowana spóźnieniem sztywnej, poukładanej Coleman. Właśnie się zbierałam, żeby do niej zadzwonić, kiedy nagle zamiast niej pojawił się Royal Hughes.

– Royal Hughes, obrońca z urzędu Floyda Lyncha – powiedział, wyciągając rękę.

Ucisnęłam ją, ale nie podałam swojego nazwiska, bo zostaliśmy sobie przedstawieni raptem cztery dni wcześniej.

– Czy to zbieg okoliczności? – spytałam.

– Absolutnie nie – odparł, błyskając tymi swoimi białymi zębami. – Mieli instrukcje zawiadomić nas, gdyby próbowała się pani zobaczyć z panem Lynchem.

Nie pytałam, jacy oni i jacy my.

– Miałam się tu spotkać z agentką Coleman, więc wszystko jest w porządku.

– Nie jest. Ona nie prowadzi już tej sprawy.

Próbowałam ukryć osłupienie.

– Kiedy ją zdjęto?

Royal Hughes spojrział na zegarek i nie byłam pewna, czy sprawdza datę, czy tylko się niecierpliwi.

– Trzy dni temu, kiedy agent dowodzący Roger Morrison odkrył, że zabrała panią i Davida Weissa na miejsce porzucenia zwłok i próbowała wmanewrować pana Weissa w ocenę

psychologiczną. Powinna była wiedzieć, że takich rzeczy nie robi się bez autoryzacji.

To znaczyło, że Coleman przekroczyła granice o wiele bardziej, niż mi powiedziała. Nie miała uprawnień do prowadzenia jakichkolwiek czynności śledczych, a już z pewnością nie do rozmów z krewnymi Lyncha czy do przesłuchiwania go w areszcie. Dlaczego mi o tym nie powiedziała? I gdzie była teraz, kiedy potrzebowałam złożyć jej skórę za to, że znów mnie oszukała?

– Więc dlaczego się nie zjawiała? Dlaczego nie zadzwoniła, żeby mnie uprzedzić? – spytałam raczej samą siebie niż Hughesa.

Hughes uroczo wzruszył ramionami.

– Może się wstydzi.

– Teraz się wstydzi?

– Proszę stąd po prostu iść, to nie doniosę, że zamierzała się tu z panią spotkać. – Hughes znów spojrzął na zegarek i tym razem byłam pewna, że nie chodzi o datę. Delikatnie chwyciłam go za przedramię, zanim opuścił rękę.

– Pozwoli pan, że o coś zapytam – powiedziałam. – Czy agentka Coleman przedstawiła panu swoje wątpliwości co do zeznań Floyda Lyncha i czy wyjaśniła, skąd się wzięły?

– Profil, uszy – rzucił tonem „tak, wiem, wiem”, nie tyle znudzonym, co znużonym. – Rozmawiała z każdym, kto chciał słuchać. Ale przy naszych zaległościach, kiedy mamy dobrowolne przyznanie się do winy i taką ilość obciążających dowodów, wolimy wydawać pieniądze podatników na inne sprawy.

Pomyślałam o tym, co Coleman chciała mi powiedzieć; co ją tak ekscytowało, kiedy pisała do mnie e-mail. Cokolwiek to było, byłam przekonana, że to nasz „niedymiący pistolet”, który wykluczy Lyncha jako mordercę.

– Wsadzicie na dożywocie człowieka, który tylko pieprzył mumię. I spuścicie z haczyka prawdziwego mordercę.

– Sprawa jest zamknięta, pani Quinn. A na dodatek do wszystkiego pani odeszła ze służby cztery lata temu i to nie jest pani dochodzenie. Więc może proszę iść porobić coś... emeryckiego.

Krew się we mnie zagotowała, więc odgryzłam się najlepiej jak umiałam:

– Może i ma pan rację. To zupełnie inny świat, jeśli agentka broni podsądnego, a nie robi tego jego adwokat.

Za słabo. Hughes, zupełnie nieobrażony, zaczął się ode mnie odwracać. Ale zatrzymał się, kiedy przetestowałam intuicję Sigmunda i rzuciłam:

– Nie mam pojęcia, co ona w panu widzi.

Hughes znieruchomiał, ale nie odwrócił się, dopóki nie powiedziałam tak cicho, by nikt inny nie mógł usłyszeć:

– Jeśli pan i agentka Coleman macie romans, to mogę narobić szumu i oboje będziecie mieli potężne kłopoty.

Zgromił mnie oburzonym wzrokiem i szybko wyszedł z budynku.

14 sierpnia 2011, godzina 17.30

To prawda. Gdyby wyszło na jaw, że agentka prowadząca śledztwo i adwokat obrony w tej samej sprawie chodzili ze sobą do łóżka, mogłoby to doprowadzić do unieważnienia procesu i zwolnienia obojga. Ale nie chciałam się uciekać do takich środków. Jeszcze nie. Wciąż byłam nabuzowana, że Coleman mnie wystawiła i nie przyjechała do aresztu, nie wspominając już o tym, że ukryła przede mną odsunięcie od sprawy. Nasza śnieżnobiała Coleman pieprzyła się z obrońcą z urzędu, ściągała Sigmunda bez upoważnienia, wynosiła akta z biura... Miałam wątpliwości, czy w ogóle można jej ufać; za bardzo przypominała mi mnie.

Ale to wszystko nie było dla mnie wystarczającym powodem, żeby wepchnąć ją pod autobus czy donieść na nią i Hughesa. Wyobrażałam sobie, że Coleman bawi się w jakąś tajną agentkę. Na swoją obronę muszę dodać, że to właśnie dlatego nie przyszło mi jeszcze do głowy, że i ona może być w niebezpieczeństwie.

Najpierw chciałam znać wszystkie fakty, zanim wysunę oskarżenie, przez które straciłaby pracę. Za bardzo się starała postąpić słusznie. Zadzwoiłam na jej komórkę, ale aparat był wyłączony. Napisałam do niej e-mail, że mam dość i jutro wpadnę do jej gabinetu, żeby urwać jej głowę, ale nie dostałam odpowiedzi.

– O’Hari, co się dzieje?

Carlo i ja siedzieliśmy przed kolacją na werandzie od tyłu, przy kieliszku niedrogiego, ale znośnego malbec, i rozkoszowaliśmy się przyjemnym, wilgotno-psim zapachem pustyni, skropionej odrobiną deszczu daleko w górach. Odrobina wiatru zbiła temperaturę do poziomu dwudziestu paru stopni.

Kiedy wracałam z aresztu, udało mi się wreszcie skontaktować z Zachem Robertsonem. Głos miał na tyle pogodny, na ile mógł mieć, i na jego dźwięk bardzo mi ulżyło, więc nie zbeształam go, że wcześniej nie oddzwaniał na moje telefony. Powiedział, że zajmował się załatwianiem kremacji ciała Jessiki i spytał, czy nie zechciałabym rozsypać jej prochów na szczycie góry Lemmon. Zgodziłam się.

– To świetnie – powiedział. – Poczytałem trochę o okolicy i to jest najwyższa góra w pobliżu miasta. Jessica lubiła górskie wycieczki.

Rozmowa lekko utknęła.

– Kiedy jedziesz do domu? – spytałam w końcu.

Milczał przez moment, aż wreszcie odparł trochę jakby niepewnym czy przepaszającym tonem:

– Jutro. Mam lot wcześniej rano.

– I nie zamierzałeś się pożegnać? – Najpierw Sigmund, teraz Zach, pomyślałam. O co chodzi z tymi facetami? – Jak się dostaniesz na lotnisko?

– Ehm, taksówką.

– Pozwól przynajmniej, że cię zawiozę. O której?

– Nie ma potrzeby.

– Nalegam, Zach.

Usłyszałam, że odłożył telefon, więc chyba złapałam go w pokoju hotelowym. Po krótkiej chwili znów się odezwał.

– Lot jest strasznie wcześnie, o szóstej pięćdziesiąt.

– Świetnie. Widzimy się jutro o piątej trzydzieści – odpowiedziałam mu.

Carlo odłożył na kolana biografię Wittgensteina. Czytany przeze mnie Clive Cussler już od jakiegoś czasu leżał na moich. Nie był dość wciągający, by pomóc mi uciec od prawdziwego życia. Mój mąż wyciągnął rękę i lekko nakrył nią moją dłoń.

– Co się dzieje, O’Hari? – powtórzył pytanie.

Więc mu powiedziałam. Och, nie o człowieku, który ma dostać dożywocie za uprawianie seksu z mumią. Nie o seryjnym mordercy, który był moją obsesją przez trzynaście ostatnich lat, który prawdopodobnie wciąż był na wolności i być może właśnie zabijał, jeśli założenia Sigmunda były słuszne. Nie o moich podejrzeniach, że ktoś próbował mnie zabić i w obliczu niepowodzenia zapewne spróbuje znowu. A już z pewnością nie o tym, jak zabiłam Geralda Peasila i jak to zatuszowałam, bo wciąż byłam pewna, że Perfesor nie będzie w stanie żyć z kobietą, która jest zdolna do czegoś takiego.

Pomijając wszystkie krwawe szczegóły, opowiedziałam Carlowi o ojcu, który stracił dziecko i nie może się pogodzić z jego śmiercią. I że nie potrafię przestać czuć się za to wszystko odpowiedzialna.

Carlo słuchał, nie odzywając się, nie próbując naprawiać wszystkiego tu i teraz. Kiedy skończyłam, osunął się lekko w fotelu, jakby przygnieciony ciężarem tej historii, i powiedział:

– Życie jest tak cholernie trudne.

– Dobrze mówisz. Jest do bani.

– A potem się umiera? – Zastanawiał się nad tym przez chwilę i wzruszył ramionami. –

Nie uważam się za Pollyannę, ale muszę powiedzieć, że widywałem już błogosławieństwa wynikające z bólu.

– Uważaj, Perfesorze, to podejrzanie przypomina księżą gadkę.

– Może. – Carlo zakręcił resztką wina w kieliszku i zaciągnął się jego aromatem. – Próby nadania sensu cierpieniom nie są wyłącznie domeną chrześcijan. Jest na przykład Viktor Frankl. I podoba mi się to, co ktoś kiedyś powiedział: we wszystkim jest pęknięcie, i to przez nie dostaje się światło.

Wskazałam jego książkę.

– Wittgenstein?

Pokręcił głową.

– Leonard Cohen.

I tak jak z Sigmundem, który już tak wiele o mnie wiedział, pożałowałam, że nie mogę powiedzieć Carlowi wszystkiego. Czułam, jak słowa rozrastają mi się w piersi i potrzebowałam całej swojej siły, by je tam zatrzymać. Przywołałam szeroki uśmiech na usta i zrobiłam krzyżyk z palców.

– Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam, ostatni raz spowiadałam się czterdzieści pięć lat temu – powiedziałam.

– Przykro mi, kiedy mnie wzięłaś za męża, zrezygnowałaś ze mnie jako spowiednika. Musisz sobie poszukać innego księdza.

– Ty już nie jesteś prawdziwym księdzem, co?

Ton Carla zmienił się, nawet jeśli nie na bardziej poważny, to z pewnością bardziej zadumany, jakbym go zmusiła do wspomnienia.

– Szczerze mówiąc, owszem, jestem. Nigdy nie uda mi się przestać. – Odwrócił do mnie głowę, by móc widzieć moją reakcję, kiedy spytał: – A ty, kotku? Możesz przestać być tajną agentką?

– Mówią na nas „agenci specjalni”.

Uśmiechnął się łagodnie.

– No więc, czy możesz przestać być specjalna?

Oboje wiedzieliśmy, o czym mówi, i żadne z nas nie znało odpowiedzi. Usłyszałam, że w kuchni dzwoni telefon stacjonarny. Carlo wypił łyżeczek wina i powiedział, jak mi się zdawało, z nutką rezygnacji:

– Moglibyśmy pozwolić, żeby się nagrali.

Zostawiłam go i poszłam odebrać. Sądziłam, że to Coleman i nie chciałam stracić okazji do obsztorcowania jej za to, że mnie zwodziła i że wystawiła mnie do wiatru w areszcie. Ale to nie była ona.

– Brigid – powiedział Max Coyote tonem odrobinę bardziej smętnym niż zazwyczaj. – Chciałbym, żebyś jutro przyszła do prosektorium, powiedzmy o drugiej.

– Po co? – spytałam. – Dowiedziałeś się czegoś o tych drugich zwłokach z dodge'a?

– Nie, chcę ci pokazać coś innego – odparł. I rozłączył się.

15 sierpnia 2011, godzina 5.00

Następnego dnia o piątej rano zostawiłam Carla z pierwszą filiżanką kawy, zabrałam ze sobą Mopsy i pojechałam po Zacha. Spodziewałam się, że zastanę go zaspanego czy skacowanego, ale wyglądało na to, że jest w dobrej formie. Od lat nie widziałam, żeby tak szybko się poruszał; trudno by to było jeszcze nazwać sprężystym krokiem, ale naprawdę wyglądało na to, że jednak istnieje coś takiego jak finał i on go doczekał. Znow pożałowałam, że nie mogę uwierzyć, że to Floyd Lynch jest winowajcą.

Po drodze na lotnisko mijaliśmy całodobowe bistro; wpadłam do niego, kupiłam nam po kawie i ciastku i pojechałam dalej.

Ciężko mi było ocenić stan umysłu Zacha, bo był bardzo zajęty pić kawy i trzymaniem obu Mopsów na kolanach. Mops chłopak z zadowoleniem leżał wzdłuż na jego lewym udzie, a dziewczyna siedziała na prawym i wyglądała przez okno. Od czasu do czasu odwracała się i lizała Zacha po nosie, pytając go w ten sposób, czy zgadza się z nią, że jest świetnie. Zwykle Mopsy spały na tylnym siedzeniu, ale dziś jakby wyczuwały, choć to przecież niemożliwe, że ten człowiek potrzebuje stada. Ciastko pozostało niezjedzone.

Zach dopił kawę i wstawił pusty kubek w stojak pomiędzy nami. Po czym, nie zakłócając spokoju Mopsom, zdołał wyjąć z kieszeni portfel, a z portfela wizytówkę z numerem i adresem firmy pogrzebowej Spokój Pustyni. Włożył ją do schowka. Zauważył w nim broń, ale nie skomentował.

– Powiedzieli, że ją będą mieli, znaczy, jej prochy, w przyszłym tygodniu – powiedział, spokojnie przechodząc do rzeczy.

Wyczułam, że dawny Zach jednak jest tam gdzieś w środku, bo zaczęliśmy tę rozmowę już po raz trzeci.

– Na pewno nie chcesz, żebym je przechowała do czasu, aż będziesz mógł wrócić? Moglibyśmy je rozsypać razem.

– Nie, wolałbym, żeby to się już skończyło – odparł. Mówiąc to, bezwiednie zwiął i rozwijał ogon jednego z Mopsów.

Przyzwyczaiałam się do drgania nerwu na szyi, ilekroć Zach wypowiadał zdania w rodzaju „wolałbym, żeby to się już skończyło”.

– Zach, to, że znaleźliśmy Jessicę, nie znaczy... no wiesz, ciągle możesz do mnie dzwonić kiedy zechcesz. Rozumiesz?

Mocno wciągnął powietrze, raz, i to był cały komentarz. Chwilę później podjeżdżaliśmy już pod terminal Międzynarodowego Lotniska w Tucson. Zach powiedział mi, gdzie mam go wysadzić, i nalegał – wręcz błagał – żebym nie wysiadała z samochodu, by uściskać go na pożegnanie. Otworzył drzwiczki, a ja usunęłam Mopsy z jego kolan i przełożyłam je na tylne siedzenie. Wyjął swoją małą torbę z bagażnika i machnął na mnie, żebym jechała. Ruszyłam, a kiedy zerknęłam w lusterko, stał na krawężniku i patrzył za mną.

15 sierpnia 2011, godzina 7.00

Było o wiele za wcześnie, żeby jechać do prosekatorium i dowiedzieć się, czy Max powiązał mnie ze śmiercią Peasila; ta sprawa na chwilę kazała mi zapomnieć o szukaniu Coleman. Rozwijałam i ćwiczyłam historyjkę, którą zamierzałam wcisnąć Maksowi, i oglądałam ją ze wszystkich stron, by mieć pewność, że trzyma się kupy. „Hej, Max, pamiętasz, jak to kiedyś niechcący zabiłam podejrzanego? Zabawne, widzisz, to się znów stało”. Nie, to nie przejdzie.

Jechałam z powrotem do domu zajęta własnymi myślami, ledwie świadoma, że przemieszczam się z tu do tam. Ale jakieś osiem kilometrów przed zakrętem w drogę prowadzącą na nasze osiedle zauważyłam znak Parku Stanowego Catalina i wiedzona impulsem skręciłam tam, żeby wybiegać Mopsy i trochę odprężyć mózg widokiem rozległego nieba. Człowiek przy wjeździe dał mi bilet na deskę rozdzielczą – dowód, że zapłaciłam za zwiedzanie – i zachwycił się Mopsami. Dorzucił:

– Proszę uważać. Może padać.

– Zwykle nie pada tak wcześnie – odparłam.

Pokręcił głową, nie znajdując słów na nieprzewidywalność pustynnych monsunów.

Podjechałam krótką drogą na parking, przypięłam Mopsom zapasowe smycze, które wozilałam w bagażniku, schowałam butelkę wody do kieszeni bojówek, pożałowałam, że nie mam laski, upchnęłam włosy pod bejsbolówkę i – widząc ledwie parę samochodów zaparkowanych obok mojego – wyjęłam ze schowka swojego smitha. Co prawda nikt nie wjechał za mną do parku, ale lepiej było zachować ostrożność, skoro już tak otwarcie wystawiałam się na ludzkie spojrzenia. Ukrywanie się nie leży w mojej naturze.

Przeszłam przez jezdnię do miejsca, które wyglądało na początek głównego szlaku. Mapa parku była prosta: Kanion Romero prosto, Szlak Wokół Kanionu w górę i na lewo i Szlak Obserwatorów Ptaków na prawo. Pomyślałam, że ten ostatni będzie najłatwiejszy dla Mopsów.

By dostać się na początek szlaku, musiałam zdjąć buty i przenieść je przez koryto rzeki Cañada del Oro, to samo, w którym mniej więcej kilometr na północ zabiłam Peasila w nieco suchszy dzień. Po nocnym deszczu korytem płynęła woda, ale sięgała mi najwyżej do kostek. Wydało mi się, że na brzegu widzę kłapek Peasila, ale to były tylko odchody kojota pełne nasion mesquite.

Drogowskaz skierował mnie na węższy szlak, prowadzący przez zarośla, które tu, na pustyni uchodzą za zagajnik: rachityczne drzewka nie wyższe niż Carlo. Niemniej dawały trochę cienia i zatrzymaliśmy się tylko dwa razy, żebym mogła wypić łyk wody z butelki i podać trochę na dłoni Mopsom. Dalej skały tworzyły schody, prowadzące na niewielkie wzniesienie o płaskim szczycie. Schody były trochę za strome dla Mopsów, więc w połowie drogi wzięłam psy pod pachy i w ten sposób dokończyłam wspinaczkę, wdzięczna, że plecy mi dziś nie dokuczają.

Kiedy dotarłam na szczyt, gdzie ktoś ustawił ławkę, żeby można było odpocząć i podziwiać widok, spojrzałam na łańcuch górski rozciągający się na wschodzie. Jak to się często zdarzało o tej porze roku, nad górą Lemmon szybko zbierały się chmury i pełzyły w naszą stronę niczym czarne łapy.

Usiadłam na ławce z drewna i metalu, ustawionej tu jako pamiątka nieznanego miłośnika przyrody, i dałam psom się napić. Oceniałam, że mam raptem parę minut na odpoczynek;

musiałam stąd wracać, żeby zdążyć przed ulewą. Nie chcielibyście być na otwartej przestrzeni w taką pogodę, kiedy pioruny walą jeden za drugim i woda leje się z nieba wiadrami.

Choć sieć szlaków na mapie prowadziła na samą górę i dalej, na drugą stronę Łańcucha Samaniego, z tego miejsca do stoku gór miałam jeszcze dość daleko. Słońce przegrywało bitwę z chmurami, ale odbijało się od wody spływającej parowami i zbierającej się w małych sadzawkach. Refleksy słońca na wodzie przywiodły mi na myśl giganta, który roztrzaskał lustro o szczyt góry i rozsypał odłamki szkła. Ciekawe, co zobaczyłby Carlo, gdyby tu był, może tańczące motyle, i pożałowałam, że ja nie potrafię widzieć świata jak on. Na myśl o popołudniowym spotkaniu z trupem w stanie posuniętego rozkładu uznałam, że raczej nigdy mi się to nie uda.

Kiedy tak patrzyłam na góry, zadumana, jeden ze lśniących szklanych odłamków przesunął się nagle w lewo. Gdybym nie patrzyła w to miejsce, nie dostrzegłabym go, ale patrzyłam, i ujrzałam, że znów skoczył kawałek dalej. Zupełnie jakby był przyczepiony do osoby przeskakującej z kamienia na kamień gdzieś poza wyznaczonym szlakiem. Zupełnie jakby był kawałkiem metalu albo lornetką. Albo lunetką karabinu.

Głupia myśl, co? Ale zmrużyłam oczy i albo zobaczyłam, albo wyobraziłam sobie człowieka połączonego z tym błyszczącym punktem, daleko przede mną. Przemieścił się jeszcze dwa razy, jakby szukał odpowiedniego miejsca. I w końcu zatrzymał się. Zajął pozycję.

Choć może się to wydawać dziwaczne, to – jak mówiłam Coleman – w takich chwilach masz dwa wyjścia: zignorować podszepty intuicji albo ich usłuchać. Podejrzanie, że Peasil dostał zlecenie na mnie od kogoś innego, dodało mojej intuicji trochę pewności. Jeśli miałam rację, zostały mi sekundy na działanie. Strzelec, jeśli oczywiście był to strzelec, znajdował się pod takim kątem, że tu, na tym płaskim szczycie, byliśmy całkiem odsłonięci. Ale gdybyśmy trzymali się przy ziemi, miałam tu wystarczającą osłonę, by zyskać trochę czasu na wymyślenie, jak wydostać nas stąd żywcem. Z drugiej strony pad na ziemię zaalarmowałby strzelca, że zauważyłam jego obecność. Trudno. Jeśli moje założenia były słuszne, miałam do wyboru to albo śmierć. Te wszystkie kalkulacje trwały mgnienie, może z półtorej sekundy.

Nie jestem pewna dokładnej sekwencji kolejnych wydarzeń:

Zsunęłam się z ławki i znalazłam na poziomie Mopsów.

Po górach rozległ się strzał.

Usłyszałam kulę uderzającą w coś z głuchym plaf.

Jeden z Mopsów wrzasnął.

Moja głowa walnęła drugiego Mopsa, który wrzasnął równie boleśnie jak pierwszy.

Ten, który wrzeszczał najpierw, teraz wił się w kurzu.

Wolną ręką wyciągnęłam broń zza paska na plecach i spróbowałam odnaleźć wzrokiem ten błysk światła, który widziałam, zanim padłam na ziemię.

Przez cały czas wrzeszczałam:

– Dostał? Dostał? – nie zastanawiając się, kto ma na to odpowiedzieć.

Nie miałam żadnej osłony oprócz delikatnej ławeczki. Byłam uzbrojona w rewolwer przeciwko karabinowi z lunetą, bo to musiało być to. Trudno to nazwać równowagą sił, ale nic lepszego nie miałam.

Najpierw ocena strat. Zaryzykowałam, że się odsłonię, i przeszłam na czworaka te kilka kroków, gdzie Mops z bolesnym skomleniem rozpaczliwie gryzł się w nogę.

– Cześć, piesku, hej, kochany piesku – wyszeptalam. Cieszyłam się, że jest przytomny, ale zaczęłam szukać krwi. – Och, niech to jasny szlag – rzuciłam. Zamiast rany od rykoszetu, którą spodziewałam się znaleźć, znalazłam kawałek kaktusa cholla, wczepiony w bark Mopsa. Kula widocznie trafiła w pobliski kaktus i zmieniła go w pocisk. Kolce tego kaktusa mają małe

haczyki i utkwily zbyt glęboko, by je wyciągnąć bez wbijania tego świństwa jeszcze głębiej we własną dłoń.

Nie przestając wypatrywać strzelca, zdołałam złożyć na dwie warstwy połą koszuli i wyciągnąć kawałek kaktusa z psiej łapy, choć Mops szarpał się z bólu. Wiedziałam, że wydłubywanie kolców z koszuli potrwa zbyt długo, więc na razie się w to nie bawiłam. Ciągnąc za sobą upartego Mopsa, przeczołgałam się z powrotem pod iluzoryczną osłonę ławki i uwiązałam obie smycze do jej nogi.

Kiedy już oddzieliłam cholernego kaktusa od cholernego psa, mogłam się znów zająć ratowaniem nam życia. To była dla mnie zupełnie nowa sytuacja. W przeszłości przeważnie musiałam się martwić tylko o siebie, a dziś jeszcze miałam na głowie dwie żałosne podróbki psa, które z łatwością zdołałabym prześcignąć, i to z bolącymi plecami. Powiedzmy sobie, że trochę mnie to martwiło. Jeden z psów skomlał.

– Zamknij się, nie zostawię was – powiedziałam. Mamrocząc: – Cholerne, pieprzone gówno – przy użyciu kamienia usunęłam kawałek kaktusa z koszuli, żeby mnie nie rozpraszał.

Kiedy miałam to już z głowy, przeturlałam się na brzuch, pod ławkę, by móc spojrzeć ponad doliną na zbocze góry, z którego padł strzał. Trzymając broń z lufą skierowaną w górę, tuż przy głowie, czekałam.

Usłyszałam kolejny strzał, z innego kierunku, i zaniepokoiłam się jeszcze bardziej na myśl, że zostałam wzięta w dwa ognie. Potem uświadomiłam sobie, a przynajmniej wmówiłam, bo z tym jakoś mogłam sobie poradzić, że drugi strzał dobiegł z Klubu Strzeleckiego w Pima, przylegającego do parku na południe ode mnie. Jakby na potwierdzenie, usłyszałam kolejne szcęknięcie czegoś, co z całą pewnością było pistoletem, nie karabinem.

Leżąc na brzuchu, nie widziałam niczego pożytecznego, więc przeturlałam się z powrotem za ławkę, uniosłam na kolana i wyjrzałam między szczeblami oparcia. Kiedy już wiedziałam, czego szukać, wystarczyło przyjrzeć się okolicy miejsca, gdzie wcześniej zauważyłam strzelca. Pomiędzy błyskami światła odbitego od wody szukałam tej jednej iskry, która przesuwiała się w bok, niczym wolno lecący meteor między nieruchomymi gwiazdami. Nie od razu zobaczyłam błysk słońca w lunetce, ale w końcu go dostrzegłam. Strzelec zszedł trochę w dół zbocza, by być bliżej; lunetka mrugała regularnie, kiedy karabin kiwał się z każdym krokiem.

Światelko przestało się poruszać i myśliwy znów wystrzelił, tym razem nie mając nadziei mnie trafić. Drugi pocisk uderzył trochę dalej niż pierwszy.

Jeśli to był ten sam człowiek, który nasłał Peasila, a teraz sam postanowił się zająć robotą, to może i był mordercą, ale na pewno nie profesjonalnym snajperem, skoro zmarnował strzał w taki sposób. A jeśli popełnił taki błąd i pozwolił mi zauważyć lunetkę, to może popełni i inne. Może źle skalkuluje trajektorię, biorąc pod uwagę dystans, powietrze falujące z gorąca i opadanie pocisku wystrzelonego z tej konkretnej broni. Najprawdopodobniej był to steyr, całkiem przyzwoity karabin nawet w rękach amatora.

Jeszcze raz przepatrzyłam teren i oszacowałam dystans od miejsca, z którego padł strzał. Facet stracił element zaskoczenia, ale nie odpuścił, co świadczyło o jego głupocie albo determinacji; jedno i drugie czyniło go niebezpiecznym. Mogłam leżeć tutaj i dać mu podejść bliżej, dowiedzieć się, kto to jest i zakończyć sprawę. Napastnik miał jednak ogromną przewagę siły rażenia broni i im był bliżej, tym większe było ryzyko, że załatwi mnie i psy.

– Zostań – szepnęłam do Mopsów i trzymając się za krzakami porastającymi bliższy skraj płaskiego szczytu, przeczołgałam się kawałek, aż zobaczyłam opadające zbocze i schody podobne do tych, którymi się tutaj wspierałam. Jeśli szedł do mnie, mógł skorzystać z tych schodów. Uznałam, że najlepiej będzie wziąć psy i zwiewać póki czas drogą, którą przyszedłam,

choć była dłuższa, Kiedy już będę parę kroków poniżej krawędzi, samo wzgórze zapewni mi osłonę. Potem już tylko jak najszybciej dobiec do parkingu, zanim on zdąży przeciąć dolinę i zająć mi drogę, ale o to będę się martwić później.

Spojrzałam w niebo. Przy odrobinie szczęścia burza uderzy gwałtownie, jak to się często zdarza, i zmyje strzelca ze zbocza. Tymczasem jednak działała na moją niekorzyść; chmury zaczęły przesłaniać słońce i błysk lunetki chwilami ginął mi z oczu.

Oceeniłam dystans i wyliczyłam, że jeśli się mylę – jeśli strzelec jest ekspertem, jeśli rzeczywiście ma karabin Steyra i dobrze skalkuluje trajektorię – to pocisk trafi we mnie dwie sekundy od wystrzału. Ale nawet jeśli przeładował broń i był przygotowany, to jeśli trochę się przesunę, będzie musiał na nowo odnaleźć mnie w polu widzenia. Cel świadomy zagrożenia to trudny cel.

Uniosłam się na kolana i jeszcze raz wyjrzałam przez drewniane szczeble ławki, zastanawiając się, gdzie on może być. Plus tej sytuacji był taki, że jeśli ja nie wiedziałam, gdzie on jest, to i on nie znał mojej dokładnej lokalizacji. Gdybym tylko zdołała go sprowokować do reakcji... Odwiązałam smycze od nogi ławki.

– Idziemy – powiedziałam do Mopsów i zaczęłam się podnosić. Nagle zatrzymałam się i znów padłam na ziemię, bo zdałam sobie sprawę, że być może właśnie popełniłam straszny błąd.

– Czekajcie, pieski – rzuciłam z sercem szalejącym w piersi.

Albo słusznie zakładałam, że on nie jest wytrawnym snajperem, albo... wcale mu nie zależało, żeby mnie trafić.

Pomyślałam o drugim strzale, który dobiegł od strony klubu strzeleckiego. A jeśli brało w tym udział dwóch ludzi? Morderca wysłał Peasila, żeby mnie załatwił. Tutaj był kolejny najemnik. Kto wie, ile osób działało na moją zgubę? Może zajęta wymyślaniem, co powiedzieć Maksowi, nie zauważyłam, że ktoś śledził mnie od lotniska. Może tym razem drugi morderca, nie chcąc ryzykować, zachodził mnie od tyłu, schodami, po których się tu wspierałam, by strzelić mi w plecy. Ze szczytu wzgórza spojrzałam w rozległe niebo, dla którego tu przyjechałam, na potężny Łańcuch Samaniego na wschodzie i szeroką dolinę na zachodzie i poczułam się tak zamknięta, tak osaczona, jak chyba nigdy w życiu.

Gdybym pobiegła na wschód, do skraju wzgórza, ryzykowałam, że dopadnie mnie strzelec. Wracając drogą, którą przyszłam, być może szłabym prosto na drugiego drania.

– Drobną zmianą planów – powiedziałam do Mopsów. Serce wciąż łomotało mi w piersi, bo nie mogłam sobie pozwolić na błąd.

Jeszcze raz spojrzałam na zbocze góry i w krótkim przeblasku słońca pomiędzy chmurami lunetka znów zamigotała. Karabin był nieruchomy. To się nazywa impas. Przede mną snajper, za mną nieznane niebezpieczeństwo. Podniosłam się.

– Strzelaj, piczko – mruknęłam, zmierzyłam z rewolweru i wypaliłam.

Trzeci pocisk, wystrzelony w odpowiedzi, trafił odrobinę bliżej niż dwa poprzednie. O kurde. Poczułam garść piachu na nogawce, wyrzuconą pociskiem tak bliskim, że aż mnie przytknęło. Kucnęłam za osłoną ławki i oparłam się o nią, dysząc ze strachu.

Strzelałam nie po to, by trafić snajpera; z tej odległości nie miałam na to szans. Chciałam tylko, by wiedział, że ja też mam broń, żeby on i jego ewentualny towarzysz trochę się zniechęcili do ścigania mnie; teraz istniało ryzyko, że i ja urządzę zasadzkę. Chwyciłam smycze Mopsów, które skomliły, zdenerwowane hukami mojego rewolweru i niepewne, co mają robić.

– Trzymajcie się mnie, pieski – powiedziałam.

W tym momencie nagły podmuch wiatru, może ze czterdzieści węzłów, uderzył we mnie zniemacka i omal nie przewrócił, choć siedziałam na ziemi. Czapka odfrunęła i zniknęła mi z oczu. W następnej chwili wiatr ucichł, jak to się często zdarza z takimi podmuchami.

Zamrugałam, żeby wypłukać piasek z oczu i przyjrzałam się niebu, szybko czerniejącemu od wschodu. Miałam nadzieję, że zapowiada to, na co liczyłam: burzę, jaką nieraz oglądałam, siedząc bezpiecznie na werandzie. Odrobina takiej pogody mogła mi się teraz bardzo przydać.

To było jak efekt specjalny w filmie klasy B: błyskawica i tuż po niej, o wiele za szybko, grzmot tak głośny, że zadrżały mi wnętrzności. No dalej, no dalej, pomyślałam, pomóż mi trochę.

I nagle to się stało. Chmura nad zboczem spadła na ziemię wodospadem deszczu, wyglądającym jak czarna chusta magika, za którą góra zniknęła mi z oczu. To skutecznie wyeliminowało strzelca; teraz musiał się martwić o to, jak ująć z tej góry z życiem. A ja mogłam się martwić tylko tym kimś, kto być może zachodził mnie właśnie od tyłu. Kurtyna deszczu nie dosięgła jeszcze mojego pagórka, ale zbliżała się. Musiałam się ruszyć, i to szybko.

– Idziemy – rzuciłam Mopsom komendę tonem nieznoszącym sprzeciwu i ruszyłam biegiem, nie oglądając się, by sprawdzić, czy pobiegły za mną.

Nie chciałam ryzykować. Jeśli ktoś rzeczywiście mnie śledził, zakładał pewnie, że ruszę szlakiem, zeszałam więc ze schodów na prawo i zjechałam na tyłku po stromym stoku pagórka; Mopsy podskakiwały obok mnie jak dwie piłki. Gdybym ciągle pracowała w Biurze i dożyła chwili, by opowiedzieć coś takiego kumplom w barze, wyliby ze śmiechu.

Kiedy ruszyliśmy na dół, deszcz był już blisko: zimne krople wielkości jagód uderzały w nas w gorącym powietrzu. Nagle wszystkie się połączyły i lunęło jak z cebra. Deszcz naoliwił mi drogę i mocno przyspieszył mój zjazd. Parę razy walnęłam kością ogonową w kamień, ale udało nam się ominąć bardziej zjadliwe kaktusy. Wiedziałam, że ryzykuję, kiedy na dole schowałam pistolet za spodnie na plecach, ale nie miałam innego wyjścia. Schyliłam się i zgarnęłam pod pachy oba Mopsy, by móc biec szybciej.

W dalszym ciągu trzymałam się poza szlakiem, klucząc wśród krzaków, omijając opuncje i kaktusy cholla, które przy jednym fałszywym ruchu mogłyby mnie unieruchomić. Nie widziałam nikogo, nie trafiłam na tego drugiego ewentualnego napastnika, który mógł mnie zaatakować z tyłu. Nic dziwnego. Po pierwsze, w deszczu nie widziałam dalej niż na trzy metry, a po drugie, ten człowiek nie chciałby się ze mną spotkać twarzą w twarz, tak samo, jak ja nie chciałam spotkać się z nim, po części dlatego, że wiedział, iż mogę być groźnym przeciwnikiem, a po części zapewne nie chciał ryzykować rozpoznania. Być może był to ktoś, kogo znałam.

Dzięki odrobinie szczęścia dotarłam nareszcie do rzeki, gdzie zbiegały się wszystkie szlaki, i udało mi się przebrnąć przez nią, nim stała się rwącym żywiołem, który z łatwością porwałby mnie i Mopsy.

Kiedy doszłam do samochodu, rzuciłam Mopsy na przedni fotel; siedziały zdyszane, trochę ogłupiałe ze strachu, z parującymi grzbietami. Zatrzasnęłam drzwiczki i wyrównałam oddech, ale rewolwer zostawiłam na kolanach. Powoli objechałam parking, pomiędzy pracującymi wycieraczkami przyglądając się pozostałym samochodom. Były dwa, w obydwu siedzieli ludzie czekający na koniec burzy. Strzelec miał do przejścia na parking dwa razy dłuższy dystans. Nie było go w żadnym z tych aut. Przyszedł pieszo z innego wejścia na szlak.

Pojechałam do domu i zapewniłam Carla, że całej naszej trójce nic nie jest, po prostu zmokliśmy, bo złapała nas burza. Każde z nas zajęło się własnymi sprawami – w moim przypadku było to wyciąganie upartych kolców cholla z koszuli, co ostatecznie skończyło się wyrzuceniem ciucha.

Mój mózg zajmowało głównie pytanie, kto próbował mnie zabić, i to dwa razy. Wsadziłam do więzienia na dożywocie wystarczająco dużo drani. Kilku skazanych za mniejsze przewinienia mogło już wyjść, a paru z nich groziło mi w przeszłości. Zawsze jednak byłam powiadamiana, kiedy coś takiego miało nastąpić i, jak mówił Sigmund, ostatecznie nie nastąpiło. Wciąż byłam przekonana, że to ma coś wspólnego z Floydem Lynchem i siłą rzeczy pomyślałam

o jego krewnych. Dwóch osiłkach, uzbrojonych i znających teren. Mało prawdopodobne. A zresztą, po co? Żeby nie udowodniła niewinności Floyda? Jeśli wierzyć starszemu Lynchowi, raczej by się ucieszył ze śmierci syna.

Przed wszystkim martwiło mnie bieżące zagrożenie. Jeśli ktoś aż tak bardzo chciał mnie uśmiercić, że próbował dwa razy, najprawdopodobniej spróbuje jeszcze raz albo spróbuje skrzywdzić moich bliskich. Znowu pomyślałam o zagrożeniu dla mojego stada, tym razem wyobrażając sobie grzechotniki w skrzynce pocztowej i trujące przysmaki dla Mopsów wrzucone przez tylne ogrodzenie. Pomyślałam o moim kochanym Perfesorze, porwanym, torturowanym. Wspominałam już, że mam chorą wyobraźnię?

Zadzwoiłam do Gorda Fergusona, byłego agenta tajnych służb, który założył tutaj, w Tucson, firmę ochroniarską dla VIP-ów. Gordo był typem, który potrafiłby zahukać całą drużynę rugby, i jeśli plotki nie kłamały, kiedyś to zrobił. Był mi winien parę przysług, poprosiłam go więc, żeby popilnował Carla i Mopsów tak, by się o tym nie dowiedzieli.

Gdyby życie toczyło się zwyczajnie, Carlo i ja rozegralibyśmy partyjkę scrabble'a przed lunchem. Carlo by mnie ograł. Potem być może zasiedlibyśmy z książkami na całe popołudnie – on z biografią Wittgensteina, a ja z resztką przygodówki Clive'a Cusslera, w której źli ludzie są źli, a dobrzy zawsze wygrywają. Wieczorem rzucilibyśmy monetą, czy oglądamy inteligentny film, czy kino akcji, i niezależnie od wyniku ja byłabym wygrana. Nie mogłam się nie zastanawiać, czy to życie jeszcze kiedykolwiek wróci. Pewnie się oszukiwałam, myśląc, że zdołam je utrzymać. Choćby w tej chwili czułam, jak niepostrzeżenie odsuwam się od Perfesora, jak przygotowuję się, by znowu stawić czoło samotności, choć wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy, że mi ona doskwiera. Odpychanie ludzi było jedyną umiejętnością, w której byłam naprawdę dobra.

Coleman nie odbierała moich telefonów na jej komórkę, więc chwilę przed lunchem zadzwoniłam do Biura. Odebrała Maisie Dickens, wyjątkowo wesoła osobka jak na kogoś, kto stoi na straży tyłu morderstw i nieszczęść. Mogłes sobie patrzeć na zdjęcia masowego grobu, a ona w tym momencie prosiła cię o podpisanie kartki urodzinowej z kaczątkami. Szczerze mówiąc, było to trochę makabryczne.

– Brigid! – pisnęła, kiedy usłyszała mój głos. Maisie wykrzykiwała w ten sposób imię każdego: jakby dowiedziała się, że zginął i była mile zaskoczona, że jednak nie. – Przykro mi, Brigid – powiedziała, kiedy spytałam o Coleman. – Nie ma jej. Nie przyszła dziś do pracy.

– A nie wiesz, gdzie jest?

– Jasne, że wiem. Zadzwonili z ośrodka dla seniorów, gdzie mieszkają jej rodzice, i powiedzieli, że jej mama jest chora i prosi ją o przyjazd. – Maisie wydała z siebie pełen współczucia gulgot. Pewnie miała już naklejony znaczek na kartkę z kondolencjami.

– Zostawiła dla mnie wiadomość?

Sprawdziła.

– Nie, Brigid. Mam jej coś przekazać, jeśli się zgłosi?

– Tylko to, że dzwoniłam.

– Okej, skarbie, przekażę.

Rozłączyłam się. Przetrawienie tych informacji zajęło mi sekundę, ale w końcu zadałam sobie pytanie: co mogłoby być aż tak niecierpiące zwłoki, żeby Coleman nie zostawiła wiadomości albo nie zadzwoniła do mnie po drodze? Nawet jeśli wycięła mi jeden czy dwa brzydkie numery, mimo wszystko była akuratna do bólu. Zadzwoniłam jeszcze raz.

– Maisie, wiesz, gdzie jest ten ośrodek jej rodziców?

– Nie, skarbie, nie mam pojęcia.

15 sierpnia 2011, godzina 14.15

By pokazać, że nie czuję się jakoś przesadnie winna, zjawiłam się w kostnicy piętnaście minut spóźniona. Kiedy zapowiedziałam się, do kogo przyszłam, wprowadzono mnie do prosektorium, gdzie George Manriquez zdążył już otworzyć coś, co z daleka wyglądało jak pastelowobłękitny lew morski, ale śmierdziało o wiele gorzej niż zgniła surowa ryba. Kiedy przystanęłam, żeby przywyknąć do zapachu, usłyszałam, jak George mówi do mikrofonu zawieszonego nad stołem:

– Mężczyzna rasy kaukaskiej, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, waga około sześćdziesięciu sześciu kilogramów w chwili śmierci. Czas zgonu trudny do ustalenia ze względu na zaawansowany rozkład. – Mniej formalnym tonem odezwał się do Maksa: – Przy wilgoci i temperaturze panującej w furgonetce rozkład mógł zachodzić znacznie szybciej niż zwykle.

– A gdybyś miał zgadywać? – powiedział Max.

– To mogło być minimum czterdzieści osiem godzin, maksymalnie cztery dni. Przykro mi, że nie potrafię być tak precyzyjny jak na filmach.

– Ale to nie mogło się stać dawniej niż dwa dni temu, tak?

– Zgadza się. Daj mi trochę więcej czasu na telefon do specjalisty, który oceni aktywność insektów z poprawką na temperaturę w furgonetce, to może będę dokładniejszy.

W końcu George zerknął na mnie, zaciekawiony. Bywałam tu trochę za często jak na kogoś, kto cztery lata temu przeszedł na emeryturę.

Max nie był całkiem bez serca. Dał mi trochę maści mentolowej do posmarowania pod nosem, bo smród rozkładu był tak zawieszisty, że czuło się go jak olej na skórze.

Niemniej zmusił mnie do oglądania całej autopsji i obserwował mnie przez cały czas, od nacięcia torsu w kształcie Y po tę część, gdzie ściągają skalp, wycinając go na twarz, i odcinają czerep piłą oscylacyjną, która brzmi jak borowanie zębów od strony mózgu. Manriquez po drodze rozgniół kciukiem w rękawiczce kilka niedobitków czerwi, jednocześnie mówiąc do nas i dyktując komentarz do mikrofonu. Nawet asystent, który nosił narządy w tę i z powrotem do zważenia i sfotografowania, był trochę zielonkawy. Nikt nie lubi zgniłków. Ale patrzyłam na to z równie stoickim spokojem jak Max.

– Tu jest coś dziwnego – powiedział Manriquez, delikatnie wtykając palec wskazujący w gnijącą dziurę w lewym udzie. – Trudniej mi to stwierdzić przy tak posuniętym rozkładzie, ale jestem prawie pewien, że to nie powstało post mortem. Mówiłeś, że na podłodze furgonetki leżał nożyk montażowy?

Max skinął głową.

– W zasadzie podłogą był sufit, bo samochód leżał do góry kołami, ale rzeczywiście, był tam nożyk.

– Powinienem być przyjechać na miejsce.

– Próbowaliśmy cię ściągnąć.

– To mógł zrobić nożyk montażowy albo jakieś inne ostrze. Nie wydaje mi się, żeby to był wypadek.

– A jesteś pewien, że nie samobójstwo? – spytał Max.

– Dość męczący sposób wybrania się na tamten świat. Jeśli chciał się wykrwawić na

śmierć, byłoby skuteczniej przeciąć sobie tętnicę szyjną. Jest o wiele płycej pod skórą i szybciej się traci przytomność.

– Mógł tego nie wiedzieć.

– Lubił filmy o Hannibalu Lecterze. Czy nie było tam gdzieś sceny, w której Lecter przecina komuś tętnicę udową? – podsunęłam.

Max mnie zignorował i ciągnął swój dialog z Manriquezem.

– Zabójstwo?

– Tak uważam. Być może przypadkowe, w wyniku walki w ciasnej przestrzeni. W każdym razie nie zamykaj sprawy.

– Okej, doktorze. Przetrzyмай go w chłodni, a ja poszukam krewnych, może ktoś zechce odebrać zwłoki. Mogę na chwilę skorzystać z twojego gabinetu? – spytał Max.

Manriquez kiwnął głową, nie przestając dyrygować asystentem, który zaszywał nacięcie grubą czarną nicią; biedak trzymał głowę wykręconą tak daleko, jak się dało i usiłował nie oddychać.

Max kiwnął na mnie, żebym poszła za nim. Przeszliśmy krótkim korytarzem do gabinetu, w którym oprócz prostych mebli – biurka, obrotowego krzesła i dwóch fotelików dla pacjentów, z cienką tapicerką i drewnianymi poręczami – była tylko piñata w kształcie osła wisząca pod sufitem, tak zakurzona, jakby została tu po poprzednim lokatorze. Krótka półka mieściła podręczniki patologii i atlasy anatomiczne, które nie wyglądały, jakby stały tu wyłącznie na pokaz. Na biurku był stary komputer i trochę drobiazgów, jakich można by się spodziewać w gabinecie patologa: notesy, długopisy, pudełko szkiełek mikroskopowych i parę innych laboratoryjnych utensyliów. Poza tym nie było żadnych osobistych akcentów, żadnych dyplomów ukończenia medycyny, żadnych zdjęć rodzinnych na biurku czy ścianach. Jeśli była jakaś pani Manriquez i małe Manriqueziątka, jakieś życie, to być może doktor nie chciał, by miało styczność z jego pracą. Nie tylko ja jestem przewrażliwiona w tej kwestii.

Max wyciągnął sobie jeden z fotelików stojących przed biurkiem i wskazał mi drugi; usiedliśmy pod kątem do siebie.

Wszystkie możliwe scenariusze tak mi się już pomieszały, że nie wiedziałam, o co mogę zapytać Maksa bez pograżania się, ale musiałam zaryzykować.

– Jak dobrze znasz agentkę Laurę Coleman? – zaczęłam.

– Niezbyt dobrze. – Było jasne, że myśli zupełnie o czym innym.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?

– Tego dnia, kiedy byliśmy tutaj. – Nie zapytał, dlaczego chcę to wiedzieć, więc nie mogłam mu sprzedać wiarygodnej historyjki na temat swoich niepokojów. Zmienił temat. – Walka w ciasnej przestrzeni – powtórzył przypuszczenia Manriqueza.

– Doktor powiedział, że to mogło być to.

Max pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i splótł palce.

– Wiedziałaś, że to była furgonetka, zanim to powiedziałem. Wiedziałaś, że tam leży, i skłamałaś. Przez grzeczność nie nazywam tego z miejsca morderstwem i nie zabieram cię do biura szeryfa na oficjalną rozmowę. Powiesz mi, co tam się stało, do cholery, i żadnych kłamstw.

Nie zaskoczył mnie. Podczas jazdy z lotniska zastanowiłam się przytomniej nad kwestią Maksa i doszłam do tego, że trochę na wyrost założyłam, jakie wnioski wyciągnie z mojej wpadki. Owszem, wiedziałam, że samochód jest furgonetką, co oznaczało, że skłamałam, mówiąc, że nie widziałam go w korycie rzeki. Ale od tego jeszcze lata świetlne do stwierdzenia, że była agentka FBI zamordowała niewinną ofiarę i ukryła ten fakt. Max nie miał żadnych powodów, by to podejrzewać. Dlatego powiedział „na rozmowę”, a nie „na przesłuchanie”.

Poczułam się odrobinę pewniej.

– Przyszłam tu, żeby się do wszystkiego przyznać, Max – powiedziałam.

Kostkami palców przytknął dziurkę od nosa i dmuchnął, pewnie po to, by pozbyć się resztek smrodu z prosektorium. Odrobinę maści mentolowej, która została mu na grzbiecie palca, wytarł o spodnie. Ale szybko doszedł do siebie; tylne siedzenia radiowozów śmierdzą równie fatalnie, nieważne, jak często splukuje się je węzem.

– Przestań pieprzyć i gadaj – powiedział tonem Kłapouchego, tyle że zimniejszym.

Słyszałam wystarczająco dużo kłamstw w swojej karierze i sama miałam wystarczającą praktykę. Jeśli uda mi się wpleść w moją wersję dość prawdy, by zdobyć jego zaufanie, a nie założyć sobie stryczka na szyję...

Starannie wszystko zaplanowałam, łącząc prawdę z kłamstwami w – miałam nadzieję – wiarygodną historyjkę. Wyznałam swój stosunek do Carla i wyjaśniłam, że on nic nie wie o mojej przeszłości. Dlatego nie chciałam nic mówić przy nim.

– Ale to prawda, widziałam tę furgonetkę. Widziałam ją dzień przed znalezieniem przez was i nawet zajrzałam do środka. Widziałam zwłoki. Miałeś rację, że o nich wiedziałam. I nawet wyjęłam komórkę, żeby do ciebie zadzwonić, ale jakoś mnie sparaliżowało. Zobaczyłam coś, czego miałam nadzieję już nigdy nie oglądać. A poza tym nie chciałam, by Carlo się dowiedział, że tak blisko otarłam się o przemoc.

Pochyliłam się w jego stronę, imitując język jego ciała, by pokazać, że emocjonalnie jestem z nim; dłonie oparłam lekko na poręczach fotela, przybierając otwartą, ufną postawę.

– Pomyślałam, że ktoś w końcu to odkryje, nawet jeśli ja tego nie zgłoszę. No i Cliff odkrył, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, zanim zdążyłam się zebrać w sobie.

Co było kłamstwem, a co prawdą? Nawet ja nie potrafię już tego odróżnić. Ale wszystko brzmiało tak, jakby naprawdę mogło się dziać, i wyglądało na to, że Max mi uwierzył. A może dodał mnie w duchu do listy podejrzanych. Tak czy inaczej powoli skinął głową.

– Źle zrobiłam, wiem – powiedziałam. – To był wielki błąd, ale nie możesz powiedzieć, że utrudniłam śledztwo. Co najwyżej opóźniłam je o jeden dzień. Zastanowię się, co jeszcze mogłam widzieć w okolicy i spiszę ci raport, jeśli chcesz.

Max odrobinę się rozluźnił, przez co i ja się rozluźniłam.

– Przy tych deszczach korytem płynie rzeka – stwierdził. – Nasi technicy nie mają wielkiego doświadczenia ze środowiskiem wodnym. Ich zdaniem materialne dowody spłynęły z prądem, więc nawet jeśli coś znaleźli, nie mogą zagwarantować, że to ma związek z pierwotnym miejscem zbrodni. O ile punkt, w którym znaleźliśmy furgonetkę, jest pierwotnym miejscem zbrodni.

– Masz rację. To, że patolog tak powiedział, jeszcze nic nie oznacza. On może stwierdzić tylko tyle, że do zabójstwa doszło w furgonetce. Sama furgonetka mogła przyjechać nawet z daleka i tylko została porzucona w korycie. – Teraz, kiedy mnie samej już nic nie groziło, chciałam być taka pomocna. – Jezu, gdzie jest Gary Sinise^[7], kiedy jest potrzebny? Jeśli masz rację i ten denat to włóczęga, to jak mocno będziesz cisnął?

– O, będę cisnął, nie bój się. Wypadek czy morderstwo, moim zdaniem facet był tu przejazdem, albo jest w tym coś więcej. Może to ma związek z tą fabryczką amfy, która w zeszłym tygodniu wyleciała w powietrze w waszej dzielnicy. Może w grę wchodzi narkotyki albo porachunki gangów.

– Tak, to mógł być jeden z tych gości, którzy od lat się prosili, żeby ich ktoś załatwił. – Pokiwałam głową na tyle energicznie, by zasugerować, że sama na to nie wpadłam i że był to pomysł Maksa. Niekoniecznie wypłynęłam już na czyste wody, Max mógł ukrywać przede mną jakieś fakty, mógł mnie testować, by wyciągnąć ze mnie, co wiem. Był inteligentny i szanowałam go. Ale oprócz odwracania uwagi od siebie i okazywania branzowego

zainteresowania może udałoby mi się go skierować na właściwy tor: by spojrzeć na Peasila jako na sprawcę, nie na ofiarę.

– Mam adres, na który zarejestrowany jest jego samochód. Poślemy tam ludzi, zobaczymy, czy znajdą jeszcze coś – powiedział Max. – A ja się przejdę po domach po drodze od rzeki na wzgórze, popytam, czy ktoś widział coś niezwykłego.

Urwał i popatrzył mi w oczy. Ja popatrzyłam jemu. Miewałam do czynienia z bardziej przerażającymi ludźmi w bardziej niebezpiecznych okolicznościach.

– Skończyłeś już ze mną? – spytałam, decydując się na cierpliwy, ale lekko znudzony ton. Uśmiechnął się. Zwróciłam na to uwagę, bo chyba nigdy wcześniej nie widziałam Maksa uśmiechniętego.

– Będziesz w okolicy, gdybyśmy cię potrzebowali, tak? Nie wybierasz się nigdzie?

To mnie trochę zmroziło. Sama aż za często mówiłam coś takiego do „obiektów zainteresowania”. Jego pozorne rozluźnienie to była podpucha. Skinęłam głową i z trudem przełknęłam ślinę, ale dopiero kiedy miałam opuszczoną głowę, żeby nie zauważył.

– Bo może będę musiał jeszcze raz z tobą porozmawiać, kiedy technicy skończą przeszukiwać furgonetkę. Mają tam używanie.

– Mianowicie?

– Znaleźli mnóstwo mikrośladów, piasek z gliną, całe mnóstwo różnych odcisków, trochę włosów. Można by zakładać, że cała ta krew była jego, ale nigdy nic nie wiadomo. Może część należy do napastnika. Trochę z tym papraniny przy takim stopniu rozkładu.

– No więc, czy na razie ze mną skończyłeś? – sprecyzowałam pytanie.

– Prawie. Jeszcze jedno. – Sięgnął do biurka i wziął z blatu tekturowe pudełeczko z zestawem do pobierania próbek DNA. Wyjął patyczek, podobny do dużego patyczka do ucha, ale z wacikiem na tylko jednym końcu.

– Od FBI mamy twoje odciski palców, ale nie mamy DNA. Zechcesz otworzyć?

– Och, Max. – To do tego prowadziła cała ta rozmowa i dlatego przyprowadził mnie do tego gabinetu. Pewnie wcześniej zadbał o to, żeby zestaw leżał na biurku. – Masz nakaz?

– Zamierzałem na razie zatrzymać to między nami, ale jeśli chcesz, żebym poszedł do sędziego, podał mu twoje nazwisko, powód tej prośby i dostał od niego papierek, to jasne, nie ma sprawy.

I co miałam zrobić? Pochyliłam się do przodu i otworzyłam usta. Miałam nadzieję, że żaden z tych włosów i żadna plama krwi nie należy do mnie, a nawet jeśli, to wszelkie te pomieszane ślady zanieczyściły się w jednej wielkiej zupie nierozróżnialnego DNA. Max potarł wacikiem wnętrze mojego policzka, ostrożnie umieścił go w pudełeczku i zamknął je. Długopisem napisał na nim numer zamiast mojego nazwiska. Nie wspomniałam, że to zauważyłam, ale byłam wdzięczna za tę drobną uprzejmość.

Schował pudełeczko do kieszeni koszuli i powiedział:

– Ty i ja wiemy o sobie parę rzeczy, prawda?

Nie musiał tego rozwijać. Widziałam, że pije do pewnej bardzo konkretnej sprawy, do wątpliwych okoliczności, w których zastrzeliłam podejrzanego, i zastanawia się, czy przypadkiem nie złapał samozwańczej mścicielki.

– Może i tak.

– Widzisz, przez takie historie możemy zacząć myśleć o sobie inaczej. Powiem ci coś. Coś, czego być może jeszcze o mnie nie wiesz. Potrafię dużo znieść, zanim się wkurzę. Potrafię na przykład znieść głupotę. A nawet brak szacunku. Przez to, że jestem cichy i powolny, ludzie myślą czasem, że w ogóle się nie wkurzam. Ale wiesz, co mnie potrafi naprawdę zapieniść?

– Co takiego, Max? – spytałam łagodnie, starając się nie dolewać oliwy do ognia.

– Poczucie, że ktoś robi ze mnie idiotę. Jakby myślał, że nie jestem dość bystry, żeby się zorientować.

15 sierpnia 2011, godzina 15.25

Nie mogłam mieć Maksowi za złe podejrzeń, że coś ukrywam, ale powtarzałam sobie, że jest spora różnica między niezgłoszeniem furgonetki a zabiciem jej pasażera, a moje wyjaśnienia, dlaczego wahałam się zadzwonić, były wiarygodne. Mimo to Max z pewnością myślał, że skoro skłamałam w jednej sprawie, mogę kłamać i w innych.

Miałam co najmniej cztery dni, a prawdopodobnie więcej, zanim będzie gotowy test DNA, nawet jeśli Max był w stanie dyskretnie pociągnąć za parę sznurków i przesunąć moją próbkę wyżej w długiej kolejce. Ale potem trzeba będzie zanalizować inne mikroślady, porównać je z próbką, a być może nie będzie żadnych, które powiązałyby mnie z miejscem zbrodni. Na jedno mogłam liczyć: Max ze względu na przyjaźń będzie na tyle uprzejmy, by nie wyjawiać nikomu swoich podejrzeń, dopóki nie będzie miał konkretów. Wiedziałam, że tego mogę po nim oczekiwać.

Więc chwilowo musiałam się skupić na dwóch sprawach: dowiedzeniu się, gdzie mieszkał Peasil, by się upewnić, że nie ma tam nic, co wskazywałoby na moją osobę – na przykład więcej zdjęć podobnych do tych, jakie znalazłam w furgonetce – i na odnalezieniu Coleman, po części dlatego, że byłam na nią wkurzona, że tak wczoraj zniknęła. Ale musiałam się też dowiedzieć, co skłoniło ją do wysłania tajemniczego e-maila: „A przy okazji miałaś rację! W pewnym sensie”. Rację w jakiej sprawie? A jeśli miała dowody, to komu zamierzała je przedstawić, zanim Lynch oficjalnie przyzna się do winy? Została jej doba.

Byłam blisko centrum, więc z kostnicy przejechałam te parę kwartałów do siedziby FBI. Zaparkowałam w podziemnym garażu, by samochód pozostał w temperaturze zdatnej do podtrzymania życia i ruszyłam na szóste piętro schodami, trochę dla treningu, a trochę ze strachu na myśl, że ktoś mógłby mnie dopaść w windzie. Powiedziałam Maisie przez domofon, że idę pogadać z Morrisonem, więc wpuściła mnie bez uprzedzania go. Zrobiła to wyłącznie po starej znajomości.

Spytałam kogoś w jednym z kubików, gdzie jest gabinet Coleman, przeszłam korytarzem i stwierdziłam, że drzwi są otwarte. Nikogo nie było w pobliżu, więc przez parę sekund szperałam po biurku i w szufladach, szukając jakiegoś adresownika albo choćby numeru telefonu zapisanego w podręcznym notesie. Przy okazji niechcący trąciłam komputer i pojawił się wygaszacz ekranu. Jak typowy pracownik biurowy zostawiła włączony sprzęt.

Wystarczyła mi minuta, by wstukać numer rejestracji Peasila w bazie danych wydziału komunikacyjnego i uzyskać jego adres. Mimo wszystko nie byłam dość szybka, żeby uniknąć wykrycia. Agent dowodzący Roger Morrison wszedł do gabinetu akurat w chwili, kiedy wychodziłam z bazy danych.

– Maisie mówiła, że przysłała się ze mną zobaczyć – powiedział i zmarszczył brwi, widząc moje dłonie wiszące nad klawiaturą.

Powoli położyłam ręce na kolanach, ale nawet nie próbowałam wymyślać pretekstu, dlaczego chciałam z nim porozmawiać.

– Tak naprawdę to przysłałam do agentki Coleman – odparłam.

– Po co?

Uznałam, że udawanie niewiedzy będzie najlepszym sposobem na uzyskanie potrzebnych

informacji.

– Chciałam jej zadać parę pytań na temat Floyda Lyncha i jego udziału w morderstwach na Drodze 66.

– Poinformowano cię, że agentka Coleman już nie prowadzi tej sprawy.

Wiedziałam, że być może jeszcze bardziej pogarszam jej sytuację, ale teraz, kiedy stałam twarzą w twarz z Morrisonem, nie mogłam się powstrzymać.

– Stąpasz po cienkim lodzie, Roger. Przyjąłeś zeznanie Lyncha bez starannego śledztwa. Pozostały pytania, na które nie masz odpowiedzi.

To go wkurzyło ponad zwykły poziom nabuzowania. Spróbował nadać klątę.

– Jakie informacje ujawniła ci agentka Coleman?

Nie odezwałam się słowem; zrobiłam tylko swoją najbardziej udaną minę pod tytułem „o czym ty mówisz?”

On też umilkł, a z jego piersi uszło trochę powietrza. Trochę się niepokoił, byłam pewna, bo ciągle tu stał i się tłumaczył.

– Nie wiem, dlaczego o to pytasz i dlaczego muszę ci to wyjaśniać, ale ona złamała procedury. Na razie przesunąłem ją z powrotem do przestępczości gospodarczej. Ma szczęście, że jej nie zawiesiłem.

– Nie martwisz się, gdzie jest? Naprawdę pojechała odwiedzić matkę?

Morrison prychnął drwiąco.

– A kogo to obchodzi? Szczerze mówiąc, uważam, że zaszyła się gdzieś i liże rany, ale to jest FBI, a nie terapia grupowa. Więc zabieraj stąd swojego przypinanego kutasa i wynoś się, zanim każę cię aresztować za używanie rządowej własności.

Rozmowa z Morrisonem przypomniła mi jeden z wielu powodów mojego wcześniejszego przejścia na emeryturę. Na do widzenia powiedziałam mu coś, na co można sobie pozwolić tylko na emeryturze, a i wtedy tylko z uśmiechem:

– Nie potrzebuję przypinanego kutasa, Roger. Wzięłam sobie twojego na pamiątkę.

15 sierpnia 2011, godzina 17.10

Biorąc pod uwagę strzelaninę w górach, konfrontację z Maksem po autopsji Peasila i scysję z Morrisonem, był to paskudny dzień. Na dodatek zaczynałam się czuć jak tajniczka we własnym domu, bo przecież Carlo nie mógł się zorientować, że coś mnie gryzie. Po drodze do siebie zatrzymałam się w spożywczym i przeszłam po alejkach, wrzucając do koszyka przypadkowe produkty, żeby Carlo widział, że byłam w sklepie.

– Świeży imbir? – zdziwił się, kiedy pomagał mi rozpakować zakupy.

A więc to był świeży imbir?

– Nigdy nic nie wiadomo – odparłam i gapiłam się, mrugając, na bulwiasty korzeń, trochę dłużej niż powinnam. Carlo poszedł do mnie od tyłu i objął mnie tak, jak to potrafił, jakby jego ramiona były pasami bezpieczeństwa na karuzeli. Obróciłam się, pocałowałam go, a potem, kiedy nie patrzył, upchnęłam pudełko sody kuchennej do szafki. Kolejna rzecz, o której nie wiem, do czego służy.

Po kolacji (pieczony kurczak, mrożony groszek z mikrofali) wyszłam pod tylne ogrodzenie z kieliszkiem pinot gris, by pokontemplować góry i bagno oszustwa, w które zapadałam się coraz głębiej. Kiedy tak patrzyłam, brązowy królik czmychnął w dal i tylko jego biały ogon nie wtopił się w otoczenie, jak cała reszta ciała. Ten ogon to okrutny żart ewolucji. Wygląda jak cel. Nagle jakiś ruch dalej na prawo przyciągnął mój wzrok i przez chwilę patrzyłam na kojota truchtającego brzgiem parowu. Nie zwracał uwagi na królika. Wyglądał jak duży, beżowy pies niosący patyk. Byłam za daleko, by dostrzec, czy to laska, którą zakopałam, kiedy się zorientowałam, że nie zdołam usunąć z niej krwi.

Wpadłam do domu, mamrocząc „kukawka” do Carla, który spojrzał znad książki, złapałam lornetkę i wypadłam z powrotem. Kojota nie było.

Staralam się o tym nie myśleć. W sumie oceniałam, że na razie trzymam się całkiem nieźle, mimo lęku, że zwierzak wykopał właśnie zakrwawione narzędzie zbrodni i zaniósł je na poboczne drogi, gdzie ktoś je może znaleźć i dostarczyć policji.

Nie. Wszystko zaczęło się naprawdę chrzanić dopiero następnego dnia.

16 sierpnia 2011, godzina 8.00

Cały wieczór czekałam, aż Coleman zadzwoni, napisze e-mail, SMS, skomunikuje się w jakikolwiek sposób, ale się nie doczekałam. Może naprawdę lizała rany po odsunięciu od sprawy, jak sugerował Morrison. Może za bardzo się wstydziła, żeby mi powiedzieć. Może badała jakieś źródło informacji, którego nie chciała ujawnić nawet mnie. Nie mogłam się dowiedzieć, co robi, ale mogłam przynajmniej dowiedzieć się, gdzie mieszkają jej rodzice i sprawdzić tę część jej alibi.

Dziś Floyd Lynch oficjalnie przyzna się do winy przed sądem, a my, o ile wiedziałam, nie miałyśmy nic. Wybierałam się na rozprawę, by wiedzieć, co jest grane, ale jeszcze miałam czas na zacieranie śladów, zanim Max znajdzie dowody, które powiążą mnie z Geraldem Peasilem.

Powiedziałam Carlowi... nie pamiętam już, co mu powiedziałam, ale coś wymyśliłam, i wyruszyłam na północ do San Manuel, ostatniego znanego miejsca zamieszkania Peasila.

Dumałam po drodze: Quinn, a jeśli facet gadał, co mu ślina na język przyniosła? Jeśli był psychicznie chory? Jeśli nie było żadnych ofiar? Jeśli zabiłaś niewinnego człowieka? Popatrz na Floyda Lyncha.

Przyznaję, że wybrałam się tam również po to, by udowodnić sobie, że nie zabiłam niewinnego.

Powtarzając sobie, że przecież widziałam krew w furgonetce, jechałam tak szybko, jak się ośmieliłam i po półgodzinnej jeździe dwupasmową Droga 77 skręciłam na Tiger Mine i minęłam rozpadający się znak, którym San Manuel witało przyjezdnych niemal serdecznie.

San Manuel to nędzne miasteczko, położone około sześćdziesięciu kilometrów od Tucson, kawałek w bok od Drogi 77. Świetnie prosperująca kopalnia miedzi przez jakiś czas czyniła miasto atrakcyjnym miejscem do życia, do tego stopnia, że założono tu nawet pole golfowe. Od kiedy miedź się skończyła, miasteczko jest prawie całkiem wyludnione, a pole golfowe trudno nazwać zielonym. Główna ulica biegnie pomiędzy przygnębiającymi domami z prawej i pozostałościami kopalni z lewej; teren obniża się do mlecznozielonego jeziora, szerokiego na mniej więcej kilometr, oddzielającego miasto od gór Galiuro na wschodzie.

Odnalazłam adres Peasila i, jak zwykle, zaparkowałam samochód spory kawałek dalej, by ewentualni świadkowie nie mogli go zidentyfikować. Wystroiłam się w różowy, frotowy turban, gwiazdorskie ciemne okulary, na nogi założyłam pantofle na ośmiocentymetrowych klinach, żeby wyglądać na wyższą i podeszłam do domu, który wyglądał na taki, gdzie wynajmuje się lokum osobnikom w stylu Geralda Peasila. Zastanawiałam się przez chwilę, co zrobię, jeśli zastanę tu samochód Maksa, ale przed budynkiem nie było żadnego auta. Tablica „Dom do wynajęcia”, stercząca w ogródku cienko wysypanym żwirem, dała mi pretekst, by wejść. Drzwi otworzyła wąsata staruszka, porządnie wypełniająca podomkę w wyjące kojoty.

Żadna z nas nie wymagała formalnej prezentacji, ale kiedy ostrożnie szłyśmy pomiędzy schnącymi krzaczkami lantany na tylną część podwórka, do małej, ceglanej chatki, która zapewne dawała Peasilowi niezbędną prywatność, kobieta przyjrzała się mojemu turbanowi i okularom.

– Pani była chora? – spytała.

Wymamrotałam coś z południowym akcentem.

– Też to przeszłam.

Wymamrotałam kolejne niezrozumiałe zdanie. Może miała problemy ze słuchem i przywykła, że nie rozumie, bo nie kazała mi się powtarzać.

– Ostatni lokator mieszkał tu przez parę miesięcy, ale nie pojawił się od dwóch tygodni. Wisi mi czynsz. Płacił co tydzień – wyjaśniła.

– Coś takiego chyba mi odpowiadało – powiedziałam, stając w drzwiach jednoizbowego wnętrza, które wyglądało, jakby zwalono w nim meble bez ładu i składu. I śmierdziało. Zamknęłam oczy, próbując wyczuć, czy to tylko zepsute jedzenie i rykoszety z toalety, czy może coś gorszego.

– Cóż, chyba trzeba tu posprzątać – powiedziała kobieta.

– Chyba rzadko miewał gości – mruknęłam niby do siebie; chciałam sprawdzić, co uda się z niej jeszcze wyciągnąć.

– Czasem słyszałam hałasy, jakby zapraszał dziewczyny. Raz jakąś kobietę, jakieś krzyki. Nie moja sprawa.

Dla niej to były plotki. Dla mnie wizja lokalna w potencjalnym miejscu zbrodni. Ale ja nie mogłam drążyć dalej w tym kierunku, mogłam tylko mieć nadzieję, że zrobi to Max.

– O, widywałam gorsze rzeczy. Pozwoli pani? Szukam miejsca z dala od tego wszystkiego, żeby dokończyć książkę, którą piszę.

Kobieta się roześmiała.

– Te, jak to mówią, pamiątniki?

Spojrzałam na staruszkę, zastanawiając się, czy Peasil zrobiłby z niej swoją kolejną ofiarę? Tuż przed wyprowadzką? Proszę bardzo, paniusiu, naśmiewaj się ze mnie.

Prawdopodobnie uratowałam ci życie.

– Zechce pani zostawić mnie tu na piętnaście minut, żebym mogła poczuć, czy to miejsce mnie inspiruje? Obiecuję, że niczego nie tknę.

Gospodyni skrzywiła się i odparła:

– Ja też bym tu niczego nie dotykała.

Kiedy zostałam sama, weszłam krok za próg i zamknęłam drzwi. Z torby, przesuwając rewolwer, wyjęłam lateksowe rękawiczki, czepek pod prysznic i papierowe szpitalne kapcie. Czepek schowałam z powrotem, bo przypomniałam sobie, że mam turban; to wystarczy, żeby nie zostawić tutaj swoich włosów.

Pokój, w którym stałam, miał jakieś trzy na trzy metry i służył za salon, kuchnię i sypialnię w jednym. Aneks kuchenny w kącie składał się z kuchenki elektrycznej na składanym stoliku i z niskiej lodówki stojącej obok na podłodze. Drzwi w dalszym końcu prowadziły chyba do łazienki, w której zapewne znajdowała się jedyna umywalka. Mimo śmieci zaścielających podłogę, opakowań po fast foodach i brudnych koszulek, byłam w stanie dość dokładnie przeczesać pokój, bo wiedziałam, czego szukam.

Nie kości. Nie tutaj, jeszcze nie. Domek był za mały, a spojrzenie po drodze na twardą ziemię w nienaruszonym ogródku upewniło mnie, że Peasil nie wykorzystał go jako cmentarza. Teraz szukałam innych rzeczy – rzeczy, które nie należały do Peasila.

Delikatnie przeciągnęłam palcami po fotelu z wyblakłą tapicerką, na poręczach wytartą aż do drewnianej ramy. Odsłoniłam zatłuszczoną roletę w jedynym oknie, by sprawdzić, czy coś nie leży pomiędzy nią i szybą. Obmaciałam spód metalowego stolika telewizyjnego, który służył za biurko i stół do jedzenia. Zajrzałam do pustej lodówki. Poszukałam jakiegokolwiek zakamarka, w którym mógłby być schowany laptop czy telefon komórkowy z jakimiś obciążającymi dowodami.

W końcu znalazłam cudze rzeczy schowane pod brudnym, sflaczałym dmuchanym

materacem, który udawał łóżko. Peasil, kiedy tutaj był, spał na swoich pamiątkach. Schowane były do czarnego foliowego worka i służyły za wyściółkę pod materacem.

Z worka wyjęłam części kobiecej garderoby: skarpetki z dziurami na palcach, sweter, który miał więcej dziur niż całego, brudną białą bluzkę ściaganą przy szyi na sznurek, spódnicę z cieniem geometrycznego wzoru, wyblakłego od częstego prania. I jeszcze jedną spódnicę z czymś, co wyglądało na plamę krwi. Te kobiety były biedne. Bezdomne? Czy to Peasil miał na myśli, mówiąc, że wybiera kobiety, za którymi nikt nie będzie tęsknił?

Kilka cięższych przedmiotów zsunęło się na dno worka. Wysypałam je na podłogę. Krzyżyk zrobiony z dwóch patyczków po lodach zawieszonych na sznurku, zalaminowaną kartę z modlitwą. Na awersie obrazek i imię świętego Judy. Na rewersie modlitwa po hiszpańsku, którą z grubsza rozumiałam: „O święty Judo, patronie spraw beznadziejnych, sławny cnotami i cudami, wierny coś tam tych, którzy proszą cię o specjalne coś tam, wspomóż mnie w pilnej potrzebie”.

Causas perdidas. Sprawy beznadziejne. Zdaje się, że święty Juda nie na wiele się przydał. Wiele kobiet przechodzi przez granicę w nasze strony, wiele głodnych, spragnionych kobiet, osłabionych przez żywioły i wiek, kobiet, które chętnie przyjmą propozycję podwózki ciężarówką i czegoś do picia. Dwustukilometrowy szwedzki bar seryjnego mordercy.

Peasil polował na te kobiety.

Przykucnięta, gotowa zerwać się na odgłos kroków gospodyni, ścisnęłam worek jeszcze raz, by sprawdzić, czy coś w nim nie zostało. Przez dwie warstwy plastiku i rękawiczki wyczułam coś jakby kawałek liny, więc sięgnęłam do środka i wyjęłam długi, siwy warkocz, związany na obu końcach sznurkiem. Na jednym końcu przylepione były strzępki jakiegoś bladego materiału; byłam niemal pewna, że obejrzone pod mikroskopem okażą się fragmentami ludzkiego skalpu. Skrzywiłam się, gdy sobie wyobraziłam, jak to się mogło stać. Kiedy przyjrzałam się uważniej, zauważyłam, że trzy pasma splotu warkocza lekko się od siebie różnią. Jedno było prawie białe, jedno bardziej srebrnoszare a trzecie szpakowate.

Warkocz został spleciony po śmierci z włosów przynajmniej trzech różnych kobiet. Ułożyłam go z szacunkiem na ubraniach. Czułam się, jakbym zostawiała Maksowi liścik: „Szukaj zwłok”.

Spojrzałam na zegarek. Nie odważyłam się spytać Maksa, kiedy się tu wybiera. Mógł mi deptać po piętach. Schowałam wszystko z powrotem do worka i położyłam pod materacem, żeby znaleźli go technicy kryminalistyczni. Kiedy Max odkryje już ubrania, artefakty i włosy wydarte z głów ofiar, przestanie się zajmować mną i spojrzy na Peasila jako na sprawcę, nie na ofiarę.

Kiedy już się odwracałam, dostrzegłam przypadkiem rąbek czegoś czarnego i błyszczącego wystającego spod materaca. Sądząc, że to róg worka, dotknęłam go palcem, by upchnąć pod materac, ale okazało się, że to komórka. Wyjęłam ją i otworzyłam z łomoczącym sercem. Byłam rozdarta, czy schować ją do kieszeni, by móc potem sprawdzić numery, czy zostawić ją Maksowi. Zerwałam się, słysząc jakiś dźwięk za plecami, i przycisnęłam dłonie do brzucha, by ukryć gumowe rękawiczki.

– Skończyła pani? – usłyszałam głos kobiety.

Cholera.

– Prawie.

Widocznie zauważyła, że kuciałam w kącie, bo spytała:

– Słabo pani?

– Nie, wszystko w porządku. Upuściłam komórkę. Proszę mi dać jeszcze parę minut.

Posłuchałam, jak wchodzi za próg i ze skrzypnięciem przymyka moskitierę. Miałam nadzieję, że nie zauważyła szpitalnych kapci. Otworzyłam album ze zdjęciami w komórce.

Zobaczyłam ofiary. Ciała. Zbliżenia rąk, nóg, kości wypychających skórę jak rurki namiotu. I twarze. Twarze, choć nienaruszone, były gorsze. Kiedy widuję ofiary, zwykle już nie żyją. Tak jest lepiej. Te kobiety, jeszcze żywe, patrzyły na mnie. Nie trzeba było widzieć, co zrobił z ich ciałami. Wystarczyło widzieć ich oczy.

Zdjęć było kilkadziesiąt; przeklikałam je szybko, aż znalazłam jeszcze kilka, przedstawiających mnie i zapewne wysłanych Peasilowi na telefon przez kogoś innego.

Nie mogłam tu zostawić tej komórki. Nawet gdybym wykasowała zdjęcia, i tak zostałyby w pamięci i mógłby je odtworzyć jakiś technik. Włożyłam telefon do torby. Kolejne przestępstwo do mojej wydłużającej się kartoteki: kradzież dowodów z miejsca zbrodni.

Wysłałam, nie rozmawiając więcej ze staruszką; przecięłam tyły sąsiedniej posesji, żeby dostać się do samochodu zaparkowanego w ulicy za nią. Zostawiłam wystarczająco dużo dowodów, by Max mógł samodzielnie odkryć, że Gerald Peasil był śmierdzącym draniem.

16 sierpnia 2011, godzina 10.30

Zamiast wracać do domu i udawać, pojechałam prosto do miasta i wpadłam do Brueggera na czarną kawę, którą zagryzłam bułką, żeby kwas nie wyżarł mi żołądka. Jeszcze raz spróbowałam dodzwonić się do Coleman i wciąż żadnej reakcji, żadnej wiadomości. Wczoraj skontaktowała się z biurem, więc dlaczego nie ze mną? Dlaczego mnie unikała?

Otworzyłam komórkę znaną u Peasila i sprawdziłam, na jakie numery dzwonił. Zadzwoiłam pod wszystkie – nic poza usługami w rodzaju żarcia na telefon. Jeśli rozmawiał z kimś bardziej złowrogim niż Pizzeria Magpie, to wykasował numer. Nie potrafiłam się opędzić od myśli, że ten skasowany numer mógłby mnie doprowadzić do mordercy z Drogi 66. Doświadczony spec od technologii cyfrowych mógł wyciągnąć z tej komórki zarówno tożsamość prawdziwego mordercy, jak i dowody, które pozwoliłyby mnie aresztować za zabicie Peasila. Schowałam ją z powrotem do torby z postanowieniem, że poszukam dobrego hakera spoza Biura.

Zmarnowałam godzinę na wydzwanianie pod numery z telefonu, coraz bardziej sfrustrowana niemocą, jakiej nigdy nie zaznałam, kiedy miałam odznakę. Czułam się jak szybkar, ale takie podnoszenie sobie ciśnienia do niczego nie prowadziło, więc koło wpół do jedenastej ruszyłam do budynku Sądu Federalnego, gdzie miano doprowadzić Floyda Lyncha, by oficjalnie przyznał się do winy.

Zaparkowanie w pobliżu sądu było koszmarem, podobnie jak znalezienie sobie miejsca w tłumie na schodach. Tucson nie oglądało takiego seryjnego mordercy od lat sześćdziesiątych, kiedy to młodzieniec o wyglądzie Elvisa, przewany Grajkim z Tucson, porwał licealistki. Pod budynkiem byli wszyscy, na czele z ekipami lokalnych i ogólnokrajowych stacji telewizyjnych, i zabawnie było patrzeć, jak Trzyczęściowy Morrison, prokurator Adams Vance i obrońca z urzędu Royal Hughes walczą o najlepsze miejsce przed kamerami.

Z miejsca, gdzie stałam, słyszałam tylko Morrisona odpowiadającego na pytania reporterów.

– ...dumny ze świetnych lokalnych i federalnych stróżów prawa, wiceszeryfa Maxwella Coyote'a i naszej agentki Laury Coleman, którym udało się schwytać jednego z bez wątpienia najaktywniejszych seryjnych morderców tego stulecia.

– ...zgadza się, wstępne przesłuchania szybko poskutkowały dobrowolnym przyznaniem się do przynajmniej siedmiu morderstw, począwszy od dziewięćdziesiątego ósmego roku. Ostatnią ofiarę znaleziono w chwili jego aresztowania.

Rozglądałam się po tłumie, szukając Coleman.

Zamiast niej znalazłam Zacha Robertsona.

W pierwszej chwili doświadczyłam takiej samej blokady poznawczej jak na widok zdjęć mnie samej, zabranych z furgonetki Geralda Peasila. Mój mózg potrzebował chwili, by zaskoczyć, co widzi, i zdać sobie sprawę, że Zach jednak nie wsiadł do samolotu do Michigan.

Stał niemal całkiem schowany za operatorem z Fox News Tucson. Obserwował mnie.

Zach i ja trzymaliśmy się razem w jednej z tych okoliczności życiowych, kiedy są tylko emocje, jak żywe mięso bez skóry. W takich chwilach poznaje się ludzi jak w żadnych innych. Oboje wiedzieliśmy, co się teraz stanie. Widziałam to w jego oczach, w jego zwiotczałych ustach, lekko uchylonych i dyszących jak u nerwowego psa.

– ...Floyd Lynch miał dwadzieścia sześć lat, kiedy popełnił pierwsze morderstwo.
– ...tak, zidentyfikowaliśmy wszystkie ofiary z wyjątkiem jednej. Niezidentyfikowana była Meksykanką, zapewne porwaną po nielegalnym przekroczeniu granicy. Między innymi dlatego FBI było tak aktywnie zaangażowane w tę sprawę, pomijając oczywiście fakt, że morderca działał w różnych stanach i podlega federalnej jurysdykcji.

– ...zgadza się, wszystkie ofiary były kobietami.

Przedarcie się przez tłum do Zacha stało się absolutnym priorytetem. Zaczęłam się przepychać między stłoczonymi ludźmi, mamrocząc: „FBI, FBI”, co działało na zwykłych gapiów, ale nie na dziennikarzy, którzy twardo trzymali się wywalczonych miejsc i nie ruszyliby się na centymetr, choćbym była samym papieżem, którego pogoniło do toalety. Mimo to brnęłam jakoś naprzód, aż nagle tłum zafalował. Pod schody zajechał samochód z biura szeryfa i wysiadł z niego Max, a za nim skuty kajdankami Lynch.

– ...Lynch dostarczył wystarczająco dużo szczegółowych informacji podczas długotrwałych przesłuchań. Niektóre z tych szczegółów nie były ujawniane opinii publicznej, tak więc nie wątpimy w prawdziwość jego przyznania się do winy.

– Max – zawołałam. Był bliżej Zacha niż ja. Chciałam, żeby wiedział, co się kroi. Max rozejrzał się, słysząc swoje imię, ale mnie nie wypatrzył.

Dwóch wiceszeryfów stanowiących obstawę zaczęło torować drogę w tłumie.

– ...na to pytanie lepiej odpowie pan prokurator Adams Vance.

Morrison ustąpił miejsca Vance'owi, który, ze względu na niższy wzrost, dopasował sobie mikrofon.

– ...tak, uznano go za zdolnego do składania zeznań. Floyd Lynch nie jest niepoczytalny.

– Max! – zawołałam jeszcze raz. Tym razem odnalazł mnie wzrokiem, ale nie wyglądało to tak, jak wyglądałoby jeszcze parę dni temu. Nie ucieszył się na mój widok, nie skinął mi głową, nie pomachał, nie wysunął podbródka, by spytać bez słów, o co chodzi. Wyglądał wręcz na lekko nieufnego, jakbym to ja była niebezpieczna. Powiedział coś do wiceszeryfa stojącego obok. Wiceszeryf spojrział na mnie.

– Zach! – krzyknęłam głośniejszym głosem i wskazałam go palcem. Ale Max odwrócił się już i znalazł poza zasięgiem słuchu, a jego towarzysz nie wiedział, o czym mówię.

Zaczęłam widzieć całą tę scenę jakby na różnych, przenikających się poziomach. Może sprowokowała to twarz Lyncha, ta jego lekko wystająca górna warga. Tak jak reszta tłumu, odwróciłam się, by popatrzeć na niego po raz pierwszy od obejrzenia filmu z przesłuchania.

– ...Floyd Lynch ma dziś o jedenastej trzydzieści oficjalnie przyznać się do winy przed obliczem sędziego Sewalla.

Przypomniałam sobie Lyncha, którego widziałam na miejscu składowania ciał. Ten tutaj bardziej przypominał chore zwierzę, które nie wie, dlaczego psy usiłują je zagryźć. Obok tego wspomnienia pojawiło się inne, o wiele starsze, z czasów, zanim wstąpiłam do Biura. Siedziałam przed telewizorem i czekałam, aż mama przygotuje nam kanapki. Wróciliśmy z „mszy dla skacowanych”, jak tata nazywał nabożeństwo o jedenastej. Zbliżało się Święto Dziękczynienia, a ponieważ to była Floryda, udawaliśmy, że nie jest już tak gorąco i otworzyliśmy okna.

Program, który oglądałam, przerwano dla wiadomości z ostatniej chwili.

Rzadko spotykana transmisja na żywo. Ujęcie na dworze: opancerzony samochód. Ujęcie w pomieszczeniu: mnóstwo fotografów ze sprzętem, w którym lampa błyskowa jest większa niż sam aparat. Wszyscy w garniturach, z wyjątkiem jednego człowieka w białej koszuli i pulawerze.

Dziś nie było ani jednego białego kapelusza; dziś ludzie nie nosili kapeluszy. Nagle pomyślałam: za słaba ochrona i zaczęłam przepychać się szybciej, nie mogąc się zdecydować, czy lepiej najpierw dotrzeć do Zacha, do Lyncha czy zrobić na tyle skuteczną scenę, żeby Max

musiał zwrócić na mnie uwagę.

Z tłumu reporterów wyłonił się jakiś człowiek; tęgi mężczyzna, który podszedł za blisko. Uniósł broń i strzelił w brzuch temu w pulowerze. Mężczyzna w białym garniturze, który parł naprzód, torując aresztantowi drogę wśród reporterów, szarpnął się do tyłu; jego ręce i głowa odskoczyły wstecz, nawet wargi cofnęły się z zębów, jakby każda część jego ciała instynktownie odsuwała się z linii strzału.

Tylko ja wiedziałam, że w pewnym sensie to się dzieje znowu, i nie udało mi się temu zapobiec.

Za późno. Kiedy Lynch był już w połowie schodów, Zach wyrwał się z tłumu, podbiegł i krzyknął:

– Lynch! – Kiedy Lynch się odwrócił, Zach wystrzelił mu w brzuch. Lynch zamknął oczy, otworzył usta w bezdźwięcznym jęku i chwycił się za tułów. I zobaczyłam tę jego wargę podwiniętą na zębach. Max, przestraszony, szarpnął się do tyłu, zupełnie tak samo jak tamten człowiek w białym garniturze.

Nie mogłam już pomóc Lynchowi, więc odwróciłam się do Zacha. Znowu spojrzał na mnie, a na jego twarzy zagościł pierwszy uśmiech od siedmiu lat, uśmiech, który zupełnie go odmienił. Zach uniósł pistolet. Tłum rozwrzeszczał się głośniejsze, operatorzy kamer jednocześnie skulili się i unieśli sprzęt nad głowy, żeby nagrać tę scenę.

Wtedy, dawno temu, po raz drugi w ciągu kilku dni, po raz drugi w historii telewizji, ludzie w całym kraju zobaczyli zabójstwo na żywo i nikt nie umiał tego wytłumaczyć nam, dzieciom^[8].

Wtedy, na posterunku policji w Teksasie, strzał padł z colta cobry .38 z obciętą lufą, ofiarą był Lee Harvey Oswald, a zabójcą drobny oszust z Nevady, niejaki Jack Ruby. W porównaniu z tą bronią dwudziestkadwójka użyta przez Zacha była drobiazgiem. Ale w odróżnieniu od swojego poprzednika, zamiast pozwolić się obezwładnić policji, Zach drugi raz nacisnął spust i strzelił sobie w głowę.

16 sierpnia 2011, godzina 11.40

Kiedy Zach osunął się i pistolet wypadł z jego dłoni, fotografowie i operatorzy rzucili się do przodu, wciąż przykucnięci ze strachu przed kolejnymi strzałami, ale ze sprzętem uniesionym wysoko w nadziei na Pulitzera. Ochrona budynku sądu cofnęła się, tworząc łańcuch połączony ramionami, i zdołała przynajmniej utrzymać przejście dla ratowników medycznych, którzy zjawili się po długich dwóch minutach. Jedna karetka zabrała Lyncha, druga Zacha. Udało mi się prześlizgnąć do tej drugiej; siedziałam przy Zachu, obserwując pracę ratowników. Nie był otrząskany z bronią palną, pistolet widocznie kopnął mu w dłoń i w ogóle był wycelowany za wysoko, więc śmierć nie była natychmiastowa. Chciał mówić. Próbowałam go uciszać, ale ratownik powiedział mi, że przy urazie mózgu lepiej, by zachował przytomność.

– Do...padłem go – powiedział Zach z fizycznym wysiłkiem przekraczającym moje wyobrażenie.

– Tak, dopadłeś. – Spojrzałam na krew na jego koszuli, rozprysk z ciała Lyncha pomieszany z jego własną krwią, płynącą z rany na głowie. Na tej koszuli też wciąż było widać fałdy prosto z pudełka. Założył nową koszulę, żeby zabić Lyncha.

Zach zwilżył językiem wnętrze ust, by móc mówić.

– Tylko śmierć.

Zakładałam, że mówił o wyroku dla Lyncha, ale równie dobrze mógł mówić o sobie, o tym, że tylko to mogło mu dać ulgę. Chwyciłam i pogłaskałam jego dłoń.

– Zach, kochany, dlaczego ze mną nie porozmawiałeś?

Oczy zaczęły mu uciekać w górę, ale wróciły na miejsce. Skrzywił się, jakby nagle poczuł ból.

– Zdechł? – spytał.

Nie wiedziałam.

– Jasne, Zach. Nie żyje.

Coraz trudniej było mu poruszać językiem, ale zdołał wybełkotać:

– Cieszysz się?

– Jasne, że się cieszę – odparłam, choć było to kolejne kłamstwo, bo teraz nie mogłam się dowiedzieć, kto naprawdę zabił Jessicę. – Zach... Zach? Zostań ze mną, Zach.

Zach umarł.

Odsunęłam się, żeby ratownicy mogli robić swoje, ale wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Kiedy Zach raz się na coś uparł, nie dało się go przekonać do zmiany zdania. Dostrzegłam kawałek plastiku sterczący z kieszeni jego koszuli i wyciągnęłam zdjęcie Jessiki. Splunęłam na nie i wytarłam o własną bluzkę, żeby krew nie zaschła na folii laminującej. Pojechałam z ciałem Zacha do szpitala i pomogłam przy formalnościach. Powiedziałam im, jak mogą się skontaktować z jego synem, który, choć nie utrzymywał z nim kontaktu, był najbliższym krewnym i który zapewne będzie musiał zdecydować, co zrobić ze szczątkami ojca. I ze szczątkami Jessiki.

16 sierpnia 2011, godzina 12.35

Weszłam jeszcze na chwilę do łazienki przy poczekalni izby przyjęć, żeby zmyć krew z dłoni, i pojechałam taksówką po mój samochód zaparkowany niedaleko sądu. Jadąc do domu, zastanawiałam się, jak by to było, gdybym mogła porozmawiać o tym z Carlem. Czterdzieści pięć minut później wjechałam do garażu i weszłam do domu, żeby znów dostać obuchem w łeb.

Ledwie zauważyłam, że Carlo nie był w swoim zwykłym pogodnym nastroju. Odsunęłam Mopsy nogą, rzuciłam mu krótkie cześć, nawet nie zauważając, że siedzi przy biurku z głową w dłoniach (a choćby nawet, to przyczyną mogło być nawet podliczanie książeczki czekowej), poszłam do sypialni, żeby zmienić ubranie, zanim zobaczy krew Zacha.

Satynowa narzuta Jane rzucona była na fotel do czytania w kącie, a łóżko było rozebrane do materaca.

Łóżko było rozebrane i nigdzie nie widziałam pościeli.

Pościel musiała być w pralni.

Nawet nie próbując udawać, że zachowuję się normalnie, popędziłam z sypialni do pralni, gdzie rzeczywiście ujrzałam kupę pościeli na podłodze. Otworzyłam pralkę i zobaczyłam moje rzeczy z dnia, w którym zabiłam Peasila. Zapomniałam o nich. I nie były przyklejone do ścianek bębna, jak zwykle po wirowaniu. Były ruszane. Były oglądane.

Poczułam, że Carlo stoi za mną, nie dotykając mnie.

Chciałam opowiedzieć mu o wszystkim, zaczynając, bo ja wiem, jakieś trzydzieści lat wstecz, a kończąc na samobójstwie ojca mojej podwładnej, ale nie byłam w stanie.

– Ty nigdy nie pierzesz – rzuciłam głupio, patrząc na wciąż bladobordową plamę, której wybielacz nie zdołał usunąć z dżinsowej koszuli.

W jego tonie słychać było lekką urazę.

– Próbowałem ci pomóc – powiedział. – Byłaś trochę dziwna po tym twoim... upadku.

Odwrociłam się przodem do niego, nie myśląc już o świeżej krwi na mojej bluzce. W porównaniu z tym, co teraz wiedział, to był drobiazg. Carlo jakby jej nie zauważył. Chciałam unieść rękę do jego twarzy w geście pociechy albo błagania, ale znów wyciekłam sama z siebie i nie byłam w stanie zaryzykować dotyku. Nie musiałam pytać, co wie. Sam z siebie był bardzo pomocny i wskazał pralkę.

– Chciałem przełożyć to pranie do suszarki, ale po tylu dniach samo już wyschło. No i zobaczyłem. Plamy. Nie wiem, czy uda ci się je wywabić.

Mówił o tych wszystkich przyziemnych rzeczach, ale jego oczy błagały mnie o coś innego, coś znacznie większego, o wyjaśnienie, które wymazałoby to, co myślał.

– On... – zaczęłam, być może zamierzając wytłumaczyć, że zostałam napadnięta i zabiłam tego strasznego człowieka w samoobronie. Ale coś mi powiedziało, że to nie jest ważne. Ważne było, że zabiłam człowieka i ukryłam to przed Carlem, i nie mogłam zaprzeczyć, że wygląda to fatalnie.

Odwrociłam się, otworzyłam drzwi szafki i wyjęłam pudełko z workami na śmieci. Wzięłam jeden, wyciągnęłam rzeczy z pralki, łącznie z kapeluszem, rękawicami i butami, i upchałam je do worka. Włączyłam pralkę, nalałam do niej porcję wybielacza, by usunąć wszelkie pozostałości po Peasilu i zamknęłam pokrywę. Potem zabrałam worek do sypialni, dorzuciłam do

niego dwie pary dżinsów, pół tuzina koszulek i całą zawartość szuflady z bielizną. Działalam bardzo metodycznie. Poszłam do łazienki, gdzie w szufladzie z kosmetykami trzymałam leki, i zabrałam fiolkę po środku przeciwbólowym, w której chowałam pigułki nasenne. Carlo nie przyszedł za mną do sypialni. I nie spodziewałam się tego.

Wyszłam do salonu, złapałam kluczyki do auta i torebkę. Spieszyłam się jak mogłam dla dobra nas obojga. Carlo siedział oklapnięty w rozkładanym fotelu, w którym zwykle czyta, i wciąż błagał mnie spojrzeniem o coś, czego nie mogłam mu dać, o kobietę, którą nie potrafiłam być.

– Proszę cię. Powiedz mi – rzucił.

– Wiesz co? – odparłam tak szorstko, jak zdołałam, choć moje serce znów ścisnęło się rozpaczliwie; ból nie pozwalał mi swobodnie oddychać, co odebrało trochę surowości moim słowom. – Ten układ się nie sprawdza.

Odwróciłam się, nie zważając na jego żalony szept, który mógł być błaganiem, żebym nie odchodziła.

I odeszłam. Odeszłam.

16 sierpnia 2011, godzina 14.00

Powinam była zdawać sobie sprawę, że wcześniej czy później to nastąpi, ale wciąż zaskakiwał mnie fakt, że związki kończą się tak szybko. Potrzeba więcej niż roku, żeby się poznać, zbudować zaufanie, a w trzy minuty jest po wszystkim. Na swoją obronę powiem, że może myślałabym przytomniej, gdyby nie to, że Zach właśnie umarł mi w ramionach. Kiedy stałam w pralni, byłam jak bokser, który, wciąż jeszcze półprzytomny po ciosie w brzuch, daje się położyć na deski prawym sierpowym w szczękę. Ta seria mnie wykończyła. Mój umysł co chwila jakby uciekał gdzieś na bok, patrzył na to, co robię, z obojętnym zainteresowaniem i wracał, kiedy był gotów. Wciąż dopadało mnie to uczucie wyciekania z siebie.

Nie do końca zdawałam sobie sprawę z własnego stanu; to dotarło do mnie dopiero po wyjściu z domu, kiedy jechałam już na południe ulicą Oracle, lewym pasem, jakieś piętnaście kilometrów poniżej limitu prędkości. Chevrolet pikap, czerwony i oblepiony wszelkimi możliwymi gadżetami, siadł mi na tyłku. Być może siedział mi na tyłku już od jakiegoś czasu, tylko tego nie zauważyłam. Kiedy nie poprawiło mu to samopoczucia, wyraził swoją troskę klaksonem. Spojrzałam na torbę leżącą obok mnie i przeszło mi przez myśl, żeby wpakować mu kulkę w przednią oponę, ale postanowiłam być powściągliwa – a poza tym byli świadkowie. Kiedy zatrzymałam się na stopie przy skrzyżowaniu z Tangerine, wyłączyłam bieg, wysiadłam i podeszłam do okienka kierowcy pikapa. Było zamknięte; w takim upale musiało być zamknięte, bo klimatyzacja zapewne włączona była na całą moc. Uderzyłam płaską dłońią w przyciemnianą szybę.

Powoli zjechała w dół, odsłaniając schludnie ubranego mężczyznę, który powinien wiedzieć, że nie trąbi się bez powodu na drodze. Patrzył na mnie mocno zaniepokojony.

Pomyślałam, że to dlatego, że pewnie kobieta nigdy nie zareagowała w ten sposób na jego trąbienie.

– Okej, słucham pana. Czego pan, kurwa, chce ode mnie?

Spojrzał na moją pierś, bezwiednie unosząc rękę w obronnym geście. W tej chwili zobaczyłam w jego oczach to, co widział: wariatkę w zakrwawionej koszulce. Bez jednego słowa zamknął szybę, wycofał i objechał mój samochód. Nawet nie zapiszczał oponami.

Kiedy tak patrzyłam, jak odjeżdża, słyszałam własne serce łomoczące w uszach i chrapliwy oddech. Następnym razem się zastanów, na kogo się wściekasz, sukinsynu.

Wróciłam do samochodu i zjechałam na pobocze, żeby przepuścić resztę samochodów. Wyjęłam z worka koszulkę w ekscentryczny wzór z tańczących oszczepów i przebrałam się z tej, którą miałam na sobie. Zwinęłam zakrwawiony ciuch w kulę i upchnęłam pod siedzenie. Włączyłam się z powrotem do ruchu i nie bardzo wiedząc, dokąd jadę i jak tam dotarłam, wylądowałam w centrum pod Sheratonem. Może niosło mnie w stronę ostatniego normalnego spotkania z kimś, kto znał prawdziwą mnie, i chciałam, by to miejsce pomogło mi odnaleźć siebie. W recepcji zapytałam, czy pokój Zacha, numer sto siedemdziesiąt cztery, jest jeszcze wolny.

Recepcjonistka, zerkając na mój worek na śmieci, odparła, że tak. Całe szczęście, że miałam dość przytomności umysłu, by się przebrać. Podałam dziewczynie kartę kredytową, dostałam elektroniczny klucz i zatargałam swój worek do pokoju sto siedemdziesiąt cztery,

zanim ktoś mnie zauważył. Musiałam się gdzieś zatrzymać. Gdybym jechała dalej, mogłabym rozbić samochód, zabić siebie i kogoś jeszcze.

Zach zabrał wszystko ze sobą poprzedniego ranka, kiedy podrzuciłam go na lotnisko. Torbę pewnie zostawił w przechowalni. Przez chwilę zastanawiałam się, co mógł robić przez całą noc – czy pił w jakimś barze, czy po prostu włóczył się bez celu? Czułam jego obecność w tym pokoju, smutną, ale przynajmniej szczerą. Usiadłam na łóżku i zastanowiłam się, co bym zrobiła temu gościowi na drodze, gdyby nie ustąpił. Spróbowałam wziąć się w garść.

Myślisz sobie, że kobiety w pewnym wieku nagle robią się spokojne i pogodne, że cały gniew wyparowuje z nich razem z estrogenami. Że wściekłość nawet na całe życie pełne śmierci, takie jak moje, ulotni się i rozproszy w albumach z wycinankami i wolontariacie przy zbieraniu funduszy na bezdomne zwierzęta.

No cóż, może się oszukiwałam, że potrafię być tą kobietą. Może nie zawsze tak jest, może wcale nie powinno tak być. Znam na pamięć raptem ze sześć wersów poezji i jest wśród nich taki: „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy. Wściekaj się, wściekaj...” czy może „buntuj się, buntuj... gdy światło się mroczy”^[9].

Oto ja, Brigid Quinn, kobieta w pewnym wieku, która się buntuje.

Jak wyrazić moje uczucia w tej chwili, moją nienawiść do człowieka, który złamał tyle losów ludzkich i wrócił po tych wszystkich latach, by złamać i mnie? Ten człowiek, odpowiedzialny za zniszczenie mojego życia i jedyne prawdziwego szczęścia, jakiego zaznałam, doprowadzał mnie do furii.

Byłam wystarczająco wściekła, żeby go zabić.

Zabić go i wgrzyźć się zębami w jego jeszcze ciepłego trupa.

Prr, Quinn. Wypadła nam piąta klepka, co? Mój tata tak mawiał, i mawiał jeszcze: „Za dwadzieścia, trzydzieści lat będziesz się z tego śmiała”.

No pomyśl, tatku. Za dwadzieścia, trzydzieści lat oboje będziemy martwi. Ha, ha. Boki zrywać, co?

Chodziłam po pokoju w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Chciałam nawiązać kontakt z jakąś ludzką istotą, a jednocześnie nie chciałam. Brat, gliniarz w Fort Lauderdale, z żoną chorą na stwardnienie rozsiane? Nie. Siostra w CIA, kto wie gdzie? Nie. Mama? Nie, nie mama. Ale i tak wykreciłam numer rodziców w ośrodku dla seniorów Płaczące Wierzby; ta wędrująca część mojego umysłu znów wymknęła się na zewnątrz i patrzyła z boku, jak wystukuję cyfry.

– Mamo, tu Brigid.

– Wszystko w porządku u ciebie? – rzuciła tonem osoby, która podejrzewa, że na świecie są tylko złe wiadomości, a ja dzwonię ze szpitala i jedyną ruchomą częścią mojego ciała są usta. Może właśnie tak wygląda życie matki, której wszystkie dzieci są stróżami prawa. Zawsze zamiast mówić „halo” pytała, czy wszystko w porządku.

– Jasne, mamo.

– To dobrze, bo czasem na sam dźwięk twojego głosu dostaję zapalenia okrężnicy. Bez przerwy się o ciebie martwię. – Nim zdążyłam zmienić to w coś na kształt dialogu, mówiła dalej:

– Wczoraj wieczorem wygrałam trzydzieści dolarów w bingo.

– Świetnie. Gratulacje.

– A jak tam Carlo?

Głos utknął mi w gardle, nie mogłam mówić. Do cholery, po co do niej zadzwoniłam, zanim nabrałam dość siły, żeby wysłuchiwać, jak to w wieku pięćdziesięciu paru lat wciąż nie potrafię się zachowywać jak dorosła i utrzymać małżeństwa w kupie? I czy pamiętam, że w najlepszym wypadku ona ma przeze mnie nerwowe zapalenie okrężnicy? Ale to było w porządku, bo nie musiałam przynajmniej nic tłumaczyć. Odwróciła się od telefonu i słyszałam,

jak mówi coś do taty, niemal słyszałam niecierpliwe kostki lodu w jego szklance, niemal czułam zapach bourbona. Kiedy znów przysunęła usta do słuchawki, powiedziała:

– Słuchaj, kotku, jest pora obiadu. Tata chce mnie zabrać do jadalni. Możesz zadzwonić później?

– Jasne. Jasne, mammo. – Rozłączyłam się, próbując odzyskać kilka dekad dojrzałości, które gdzieś się zapodziały podczas naszej kilkuminutowej rozmowy.

To by było tyle, jeśli chodzi o rodzinę. Nie ufałam sobie wystarczająco, żeby zadzwonić do Sigmunda; bałam się, że mogę mu powiedzieć rzeczy, które będzie musiał zeznać kiedyś na moim procesie.

Po raz pierwszy rozejrzałam się wokół siebie. Siedziałam na jednym z dwóch podwójnych łóżek. Wolałam sobie nie wyobrażać płynów ustrojowych, które stałyby się widoczne na narzucie pod ultrafioletową lampą. Nad każdym z łóżek wisiała reprodukcja akwareli z kaktusem – jedna z nich przedstawiała opuncję z ciemnoczerwonymi owocami, niemal wybuchającymi z płaskich łodyg. Wyobraziłam sobie te owoce, pękające jak krwawe pęcherze i spływające po ścianie. Na drugiej reprodukcji był saguaro, ten wysoki kaktus z ramionami jak świecznik i z koroną drobnych białych kwiatów na szczycie. Nie powiem, jaką wizję wywołał w mojej głowie ten obrazek.

Choć było to dla mnie najbezpieczniejsze miejsce, nie chciałam tu być. Pomyślałam, że zdołam powstrzymać swój umysł od wyfruwania z głowy na tyle długo, żeby dotrzeć do baru.

16 sierpnia 2011, godzina 17.10

Cała rodzina Quinnów była znana z ostrego picia. Kiedy rodzice urządzali przyjęcia, ja, mój brat i siostra – wszyscy jeszcze mali – krążyliśmy następnego ranka po domu i dopijaliśmy ciepłe resztki whisky z wodą, pozostawione przez gości. Dla Carla ograniczyłam mocne drinki, ale teraz, bez niego, trzeźwość była tylko marnowaniem dobrego alkoholu.

Wisiałam przy barze w Cantinie Emery’ego nad drugą wódką z lodem; wybrałam ją ze względu na niską szklankę, żeby nie musieć uważać na kieliszek do martini. Pierwszy łyk wywołał to miłe mrowienie u podstawy czaszki, które rozeszło się ciepłem w dół kręgosłupa. Przy drugim drinku byłam już dość wstawiona, by sobie przypomnieć, że właściciel jest Węgrem, więc powiedziałam „Egeszsegedre” i kiwnęłam Emery’emu szklanką.

Roześmiał się i odparł ze swoim wschodnioeuropejskim akcentem:

– Wyszło ci prawie jak „wsadź to sobie w dupę”. – Spróbował nauczyć mnie prawidłowej wymowy, żeby zabrzmiało bardziej jak „na zdrowie”. Kiedy udzielał mi tej lekcji języka, przyjrzałam mu się lepiej niż przy pierwszej wizycie. Może nie do końca przerośnięty bobas, ale z pewnością facet, którego ludzie nazywają „misiem”. Nosił swoją nadwagę w taki sposób, że jego brzuch był niemal pociągający.

Kontakt z żywym człowiekiem sprawiał mi przyjemność, więc zapytałam:

– Kiedy tu przyjechałeś?

– Jakieś dwadzieścia lat temu – powiedział. Na moment wszedł w siebie, jakby chciał samotnie pooglądać wspomnienia, a potem wyjaśnił, że wyemigrował z rodziną zaraz po opadnięciu żelaznej kurtyny. O dziwo, w Tucson mieszka wyjątkowo liczna społeczność węgierska, więc łatwo mu było znaleźć sponsora. Potem zapytał mnie, czym się zajmowałam.

– Naruszeniami praw autorskich.

Zrobił powątpiewającą minę.

– Ale Cheri mówiła, że jesteś sławna.

Straciłam ochotę na dalszą pogawędkę. Uważając, by nie patrzeć w lustro biegnące za półkami na całej długości baru, zaczęłam się przyglądać tequili z tarantulą (serio) i czemuś o nazwie Cabo Wabo. Na jednej z półek wisiała poplamiona tekturowa tabliczka z żarcikiem: „Piłeś, nie strzelaj, nie piłeś, wypij” – specjalnie na użytek gliniarzy.

Spojrzałam na słój marynowanych świńskich ratek, stojący parę metrów ode mnie na kontuarze. Przypominał coś, co można zobaczyć w prosektorium po wypadku z dużą liczbą ofiar. Różowe mięso i białe chrząstki ratek napierały na szkło, jakby patrzyły na człowieka; miałam wrażenie, że zaraz wydostaną się ze słoja i popełzną po barze w moją stronę. Było coś... tak jak wtedy, kiedy patrzyłam na kałuże migoczące w słońcu w górach, na obrazki kaktusów w pokoju hotelowym. Zaczęłam sobie wyobrażać coś innego, bardziej złowrogiego, bardziej ohydneho i groteskowego niż oryginał. Nie mogłam oderwać oczu od tego słoja i poczułam, że wódka podchodzi mi do gardła.

Gdyby to nie zakrawało na obłąd, poprosiłabym Emery’ego, żeby narzucił ścierkę na ten słój. Miałam dość tych wizji i brzydziłam się własnych myśli. Poznanie normalnej umysłowości Carla jaskrawo uwidocznilo nienormalność mojej własnej i właściwie dopiero teraz zauważyłam ten kontrast. Jesteś popieprzoną kobietą, Brigid Quinn. Kiedy to wszystko się skończy, wracam

na terapię, pomyślałam. A potem pomyślałam: po co?

Wreszcie oderwałam oczy od słoja, szukając wzrokiem czegoś, co by mi pokazało, że życie warte jest życia. Wazon z samotną czerwoną różą stojący obok kasy kazał mi się zastanawiać, co takiego świętują dziś Emery i Cheri.

Emery widocznie wyczuł mój nastrój, bo zaczął robić coś, co robią doświadczeni barmani: niby udawał, że mnie ignoruje, ale wycierał szklanki na tyle blisko, że gdybym chciała pogadać z nim zamiast ze sobą, usłyszałby mój szept i ruszył do mnie. Był takim barmanem, jakiego potrzebuje każdy gliniarz, kimś, z kim mogłam pogadać teraz, kiedy znów byłam sama. Wyszedł na chwilę do pomieszczenia na zapleczu, pewnie swojego biura, a kiedy wrócił, pachniał dymem fajkowym o aromacie wiśniowego bourbona.

We wtorkowy wieczór w lokalu nie było wielu ludzi, więc ośmieliłam się poprosić Cheri, żeby wyłączyła szafę grającą, z której leciała składanka przebojów pop i country z lat dziewięćdziesiątych. Spełniła moją prośbę.

Skąd wzięła się we mnie ta patologiczna nienawiść do muzyki?

A stąd, że potrafię wymieniwać cały szereg drani, którzy kochają każdy możliwy gatunek, od opery po hip-hop. Stąd, że kiedy gra muzyka, trudniej jest usłyszeć kogoś skradającego ci się za plecami. Stąd, że Paul grał na wiolonczeli i za każdym razem, kiedy słyszę instrument smyczkowy, mam wrażenie, że wykonawca wpycha mi smyczek w gardło. Z pewnością nienawidziłam muzyki na długo przed pewną gorącą letnią nocą jak ta, kiedy słuchałam, jak Katie Smith beczy: „Kiedy księżyc wschodzi nad górami”. Przed tamtą nocą, kiedy straciłam Jessicę.

Poprosiłam Cheri, żeby opowiedziała mi o sobie.

– Przyjechałaś tutaj z jakiegoś innego miejsca, jak reszta z nas?

– Nie – odparła. – Moi przodkowie byli tu ranczerami od prawie dwustu lat. Nigdy nie byliśmy niewolnikami.

W jej głosie brzmiała duma, jakby Cheri chciała, by ludzie wiedzieli to o niej, by widzieli coś więcej niż tylko czarny kolor skóry. Słyszałam o tym, że niewielki procent ludności Arizony stanowili Afroamerykanie, którzy trafili tutaj innymi środkami transportu niż statki niewolnicze.

– Ty i Emery jesteście razem? – spytałam.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Jak się poznaliście?

– Na uniwersytecie.

To przypomniało mi Carla. Nie był to dobry temat, więc go zmieniłam.

– Jak ci idą studia?

– Dobrze. – Powiedziała tylko tyle i nagle posmutniała. Wszyscy kłamią.

Znów zmieniłam temat, zamawiając burrito z guacamole, żeby trochę zneutralizować alkohol, który zaczynał ścinać mnie z nóg. Jadłam tylko tę poranną bułkę.

Krótką rozmowę z Cheri o jej związku z Emerym sprawiła, że myślenie o Carlu było nieuniknione. A ponieważ było to jednak trochę przyjemniejsze niż myślenie o masowej rzezi świń, oddałam się wspomnieniom.

4 marca 2008, godzina 18.28

Stanie w garderobie i przyglądanie się ubraniom od dawna nie kosztowało mnie tyle energii. Ostatecznie wybrałam długą do ziemi, czarną, dżersejową suknię bez rękawów, z głębokim marszczonym dekoltem. Ta kiecka odsłaniała moje stosunkowo jędrne tricepsy, jednocześnie zasłaniając pomarszczone kolana. Włosy rozpuściłam, zamiast ściągać je z tyłu głowy w kok.

Rozległo się pukanie – nie używał dzwonka. Kiedy otworzyłam drzwi, nie trzeba było wyszkolonego oka, by się zorientować, jakie zrobiłam na nim wrażenie. Żrenice mu się rozszerzyły, z boku szyi zaczęła pulsować tętnica. O dziwo, i ja poczułam, że mój puls przyspiesza w odpowiedzi, jakby nasze serca były podrasowanymi silnikami, gazującymi przed wyścigiem. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uprawiałam seks; pomyślałam, że wolałabym iść prosto do łóżka, bo kolacja będzie się dłużyć nie do zniesienia. Kiedy pomagał mi wsiąść do swojego niezbyt wystrzałowego volvo, grzbiet jego dłoni musnął mój nagi bark.

Ale kolacja była zupełnie inna, niż się spodziewałam. O tak, zwyczajowo dzieliliśmy się przeszłością. On przyznał mi się, że był kiedyś księdzem i że wykłada, od kiedy już po czterdziestce wystąpił z zakonu jezuitów. Mówił też o Jane, swojej żonie, z którą przeżył dwadzieścia lat. Opowiadał o niej z przytłumionym przez czas smutkiem, dzięki któremu jakimś cudem jego twarz wydawała mi się jeszcze bardziej atrakcyjna. Ja też opowiedziałam mu swoją historię, a przynajmniej ocenzonej wersję: że pracowałam w agencji strzegącej prawa i porządku, ale w zasadzie siedziałam tylko przy biurku, przeszłam na emeryturę, właściwie nie ma o czym mówić.

– FBI czy lokalna policja? – spytał, ignorując wskazówkę, że nie chcę o tym mówić.

– FBI. Zajmowałam się naruszeniami praw autorskich – dodałam, by uprzedzić kolejne pytania na mój temat, z lekkim żalem, że pierwsze kłamstwo przyszło tak szybko. By odbić piłeczkę, posłałam mu współczujące spojrzenie pomieszczone z zadziornym błyskiem w oku. – To jak, za ciężko było być księdzem? Szamotać się z całym koszmarem tego świata?

– Nie, nie chodziło o to. Moim zdaniem ludzie zasadniczo są dobrzy. Powodem był mój własny problem z Kościołem.

– Od kiedy? – spytałam, po czym wypiliśmy maleńki łysek wina i spojrzałam z uznaniem na przystawkę z miękkich krabów, którą kelner postawił przed nami. Carlo zabrał mnie do bardzo dobrej restauracji.

– Pytasz, od kiedy ludzie są dobrzy?

Skinęłam głową, maczając krabową nóżkę w śmietanowym sosie. Skubnęłam kęs.

– Od zawsze – stwierdził. – Ta historia z grzechem pierworodnym to bzdura – dodał, ale łagodnym tonem, bez tej zapalczowości, z jaką ludzie zwykle dyskutują o sprawach wiary. Napił się łyk swojego manhattana i najwyraźniej nie miał zamiaru rozwijać tematu. Ten manhattan był trochę dziewczynski, ale nikt nie jest idealny. Nagle spytał: – A co, ty masz inne doświadczenia? Sam był całkiem niezły w odbijaniu piłeczki.

– Kto wie, jakie zło czai się w sercach ludzi? – spytałam, cytując czołówkę starego słuchowiska.

– Cię to wie – odparł bezbłędnie.

Oboje roześmialiśmy się; był to jeden z tych momentów, kiedy człowiek zgadza się przyznać, jaki jest stary. Ale potem zauważyłam, że on naprawdę chce usłyszeć moją odpowiedź, i musiałam coś wymyślić.

– Z moich doświadczeń wynika, że... – Już prawie powiedziałam coś dowcipnego, ale przyłapałam się na tym, że chcę na nim zrobić wrażenie, pokazać mu, że nadążam za nim na poziomie intelektualnym. – ...większość dobra to tylko sposób na zamaskowanie prawdziwych intencji.

– Interesujące. Znasz prace Maksa Beerbohma.

Starając się nie robić zażenowanej miny, przyznałam, że nie znam.

Carlo wyjaśnił mi, jakimś cudem bez cienia protekcjonalizmu:

– To pisarz. Napisał historyjkę, która zgadza się z twoim punktem widzenia, tyle że z innym rezultatem. Chcesz posłuchać czy wolisz wrócić do żartów i flirtowania?

Zatkało mnie na moment, co bardzo rzadko zdarza mi się przy mężczyznach. Carlo DiForenza mnie rozpracował i nie miał najmniejszego zamiaru oddawać mi kontroli nad tym wieczorem. Czułam się z tym nieswojo, ale ten dyskomfort był na swój sposób cudowny i po raz pierwszy zdecydowałam się pójść emocjonalnie na całość bez zapewniania sobie asekuracji. To wtedy wymyśliłam przezwisko, które stało się moim ulubionym pieszczotliwym zwrotem: imię postaci ze starej kreskówki pod tytułem *Pogo*.

– Niech będzie po twojemu, Perfesorze.

Uśmiechnął się, by pokazać, że rozumiał aluzję.

– Dziękuję. – Umilkł na chwilę, by w zamyśleniu zjeść wisienkę z koktajlu, po czym kontynuował: – Bardzo zły mężczyzna zakochuje się w niewinnej młodej kobiecie. Deklaruje się ze swoją miłością, ale ona widzi, że on jest zły. Degenerację ma wypisaną na twarzy. Ona mówi, że człowiek, którego pokocha, będzie miał twarz świętego. Mężczyzna idzie więc do sklepu z maskami i znajduje właśnie to: maskę świętego. Ona się w nim zakochuje i zgadza się za niego wyjść. Teraz jednak zaczyna się prawdziwe wyzwanie. Żeby utrzymać jej miłość, on musi dalej udawać. Rozdaje więc pieniądze biednym, jest miły dla dzieci i małych zwierzątek, odwiedza chorych. Wszystko po to, by przekonać żonę, że jest świętym, za jakiego ona go uważa. I każdego ranka, nim wstanie słońce, zakłada maskę na twarz, by ona nie zorientowała się, jaki naprawdę jest. Tak jak mówisz, ukrywa prawdziwe intencje. Tyle że któregoś ranka, po kilku latach małżeństwa, mężczyzna sięga pod łóżko, gdzie jest schowana maska. Znajduje tylko pocięty papier. W nocy maskę pogryzły myszy i on nie ma co założyć. Zaczyna płakać, wiedząc, że to koniec jego wielkiej miłości. Wie, że kiedy żona odkryje, że był tylko hipokrytą, porzuci go. Słońce zagląda przez okno i jego żona jak zwykle przekręca się na bok, by jego twarz była pierwszym widokiem, jaki ją przywita. Patrzy na niego z miłością, nie ze zgrozą, której się spodziewał. Mąż całuje ją ostrożnie, wstaje i ukradkiem zerka na swoje odbicie w lustrze na toalecie. Doznaje szoku, widząc, że jego twarz wygląda dokładnie tak samo jak maska, którą nosił tak długo. Ach, jest pierwsze danie – dokończył i oblizał niecierpliwie wargi, po czym rzucił się na swoje przegrzebki z karmelizowaną cebulą. Chyba nie zauważył, że mięsień na mojej żuchwie stężał na mgnienie, że potrzebowałam chwili, by zapanować nad oddechem i mruganiem rozpędzić łzy, zanim zdołałam wymamrotać coś stosownego na temat mojego strzępiela.

Byłam wdzięczna za ostrzeżenie. W tamtej chwili postanowiłam, że nigdy nie pozwolę, by doktor Carlo DiForenza zobaczył mnie bez maski. I ta taktyka sprawdzała się aż do dziś.

16 sierpnia 2011, godzina 19.55

Zamówiłam trzecią, a może czwartą wódkę. Emery nie nalał mi od razu – stał i patrzył na mnie z pytaniem, które pewnie zadawał nieraz. Odezwałam się, by mu udowodnić, że nie jestem urżnięta; wciąż byłam w stanie w miarę sprawnie poruszać językiem i wargami.

– Co było najpierw? Cheri zaczęła pracę w barze dla glin, czy Cheri zaczęła studiować prawo karne? A może to tylko zbieg okoliczności?

– Wszystko ma swój powód. Siostra Cheri została zamordowana. Pewnie rozumiesz, że ofiary przemocy ciągnie do przemocy.

– To było dawno?

Oczy Emery’ego powiększyły się od smutku.

– A dla ciebie dawno to ile?

– Chciałabym kiedyś z nią o tym porozmawiać.

– Jeśli dalej będziesz do nas wpadać, to kiedyś porozmawiasz. Tylko nie od razu. Jesteś pewna, że chcesz jeszcze jednego drinka?

Zamiast odpowiedzieć, wskazałam różę przy kasie. Emery uśmiechnął się, smutek nagle minął.

– To sprawa między mną i Cheri. Dżentelmen nie zdradza takich rzeczy.

Jakie to uroczko europejskie. Ale nagle poczułam, że już ani minuty dłużej nie mogę słuchać o czymś miłym, normalnym związku, więc zrezygnowałam z wódki i poprosiłam, żeby mi spakowali burrito na wynos. Cheri przyniosła mi je w styropianowym pojemniku i razem z plastikowym widelcem i paroma serwetkami spakowała do papierowej torby.

Rodzina Quinnów przyzwyczajona też była do wysługiwania się pomagierami, dzięki którym łatwiej było pić. Emery powiedział, że poprosi Cheri, by odwiozła mnie do domu, jeśli zdołam jej pokazać, gdzie mieszkam. Wstydziłam się, że nie mogę wrócić do domu, nie chciałam się chwalić, że mieszkam niedaleko, w Sheratonie, więc zasugerowałam, żeby raczej wezwali mi taksówkę. Kierowca zapowiedział się za dwadzieścia minut, więc jednak poprosiłam o kolejną wódkę. O tej porze w lokalu byłam już tylko ja. Gadaliśmy trochę we trójkę – jedna z tych głupich, barowych gadek, która wydaje się błyskotliwą konwersacją, kiedy człowiek jest mocno zniestrzeźwiony.

W takich chwilach nieźle się sprawdzają dowcipy, szczególnie te opowiadane wielokrotnie wcześniej, bo człowiek ma je przećwiczone i prawie się nie zacina. Opowiedziałam jeden stary o facecie, który bał się latać, bo miał lęki, że w samolocie będzie bomba.

– No więc, jego terapeuta mówi: prawdopodobieństwo znalezienia się w samolocie z bombą wynosi milion do jednego. Facet na to, że to i tak za dużo. No dobrze, odpowiada terapeuta. Prawdopodobieństwo, że na pokładzie będą dwie bomby, jest jak miliard do jednego. Więc zabieraj bombę ze sobą.

Trzydzieści lat temu ten dowcip był śmieszny, ale teraz Cheri i Emery patrzyli na mnie, nie śmiejąc się.

– No nie wiem, może bomby w samolotach nie są już takie zabawne – rzucił w końcu Emery pojednawczo, żeby mnie udobruchać, jak to potrafi tylko barman, który niezliczoną liczbę razy bronił się przed atakami wściekłych pijaków. Cheri usiadła na barowym stołku obok mnie i

lekką pogłaskała mnie po plecach. Nie polubiłam jej za to.

– Wszystko jest zabawne – powiedziałam. – Musi być, bo jak nie, to mamy przepieprzone.

Nie wiem, czy powiedziałam coś dowcipnego, czy Emery po prostu był zaskoczony, że coś takiego wyszło z ust kobiety, która wygląda jak ja. Tym razem roześmiał się gromko, aż brzuch mu się zatrzęsł, a miało mu się co trząść.

– No tak, z tym się zgodzę.

Taksówka nareszcie przyjechała, zanim zrobiłam z siebie jeszcze większą idiotkę; Emery i Cheri pomogli mi wsiąść i kierowca zawiózł mnie do hotelu. Po drodze odrobinę wytrzeźwiałam. Zaczęłam obserwować mijane kwartały, bo przemknęło mi przez myśl, że kierowca może być mordercą i właśnie zrobiłam coś strasznie głupiego. Sprawdziłam klamkę, by móc wyskoczyć, gdyby nie skręcił w prawo w Speedway.

Ale kierowca podwiózł mnie, nie próbując zabić, a ja dotarłam do pokoju bez pomocy. Wciąż mając przed oczami słój marynowanych ratek, wzięłam dwa ręczniki z łazienki i powiesiłam je na obrazkach nad łózkami, żeby móc sobie przestać wyobrażać to, co widziałam. O mało nie spadłam z łóżka, a potem zwałam się na nie i tak już zostałam z pokojem wirującym wokół mnie.

17 sierpnia 2011, godzina 6.30

Musiałam zjeść burrito na urwanym filmie, bo następnego ranka go nie było, a kiedy potykając się, weszłam do łazienki, ujrzałam na swoim nosie zaschnięte guacamole. Wciąż byłam ubrana, więc kiedy już umyłam nos, zeszłam do hotelowej restauracji, gdzie mają śniadaniowy bufet, wzięłam sobie stos pieczywa, wielki kubek kawy i zabrałam do pokoju. Kiedy tak jadłam i tarzałam się w resztkach wczorajszej żalości nad samą sobą, włączyłam kanał meteo z prognozą na cały tydzień (upał, upał, upał, deszcz, deszcz, upał, deszcz). Wpatrując się w ekran, dumałam nad tym, w jakim punkcie życia się znalazłam.

Zachariah Robertson, człowiek symbolizujący wszystko dobre, co udało mi się kiedykolwiek osiągnąć i wszystko, czego mi się osiągnąć nie udało, zabił się, będąc pod moją opieką.

Floyd Lynch, najlepszy trop, jaki kiedykolwiek miałam, prowadzący do mordercy Jessiki Robertson, nie żył.

Mimo wszelkich wysiłków, by być idealną żoną, moje małżeństwo legło w gruzach. Max w końcu znajdzie dowody, że zabiłam Geralda Peasila i wsadzi mnie za kratki. Ktoś dwukrotnie próbował mnie zabić i nie miałam powodu myśleć, że nie spróbuje jeszcze raz.

Agentka Laura Coleman, jeszcze parę dni temu tak zawzięcie próbująca dowieść niewinności Lyncha, nie skontaktowała się ze mną od czterdziestu ośmiu godzin i nagle do tego stopnia straciła zainteresowanie, że nie zjawiała się nawet na rozprawie Lyncha. I nikt oprócz mnie nie widział w tym niczego dziwnego. Niczego – jak zaczęło do mnie wreszcie docierać – podejrzanego.

Coś łączyło te wydarzenia, ale wszystko działo się tak szybko, że nie byłam w stanie zatrzymać się na chwilę i przemyśleć choćby jednego z nich, a co dopiero powiązań między nimi.

Czy choć jedna rzecz nie mogłaby pójść jak trzeba? Przełączyłam na lokalne wiadomości i jakby w odpowiedzi na swoje pytanie dowiedziałam się, że po postrzale z ręki ojca jednej z ofiar Floyd Lynch w krytycznym, ale stabilnym stanie leży w Klinice Urazowej w Tucson.

Zdaję sobie sprawę, że życie musi być dość fatalne, jeśli coś takiego można uznać za dobrą wiadomość. Niemniej, wiadomość była dobra. Dopóki Lynch pozostawał przy życiu, była szansa uzyskania odpowiedzi na całe mnóstwo pytań.

Poza tym nie mogłam siedzieć w pokoju hotelowym i użalać się nad sobą. Musiałam znaleźć Coleman, upewnić się, że nic jej nie jest i dokończyć śledztwo w sprawie Lyncha. Przynajmniej tyle byłam winna Zachowi. Najpierw musiałam się dowiedzieć, jak długo Lynch może leżeć w szpitalu.

Ale jeszcze wcześniej musiałam wziąć prysznic. Słodko-kwaśna kombinacja zapachów krwi Zacha z wczoraj, wódki i burrito przypominała mi, że dawno się nie kąpałam.

Wzięłam długie, gorące prysznic, umyłam i wysuszyłam włosy, założyłam czyste ubranie z worka na śmieci.

Co dalej? Zadzwoiłam do Gorda i powiedziałam mu, że już nie mieszkam w domu i że musi wzmocnić ochronę. Nie spytał dlaczego. Dobry stary Gordo.

Kolejny krok był oczywisty – żadnego wyboru. Lynch na razie był stabilny i bezpieczny,

a moje obawy o Coleman rosły tym bardziej, im dłużej o tym myślałam. Nagle uświadomiłam sobie, że nie zadzwoniła do mnie nawet po strzelaninie pod budynkiem sądu. Nawet jeśli była u rodziców, nawet jeśli któregoś z nich było ciężko chore, obejrzałyby relację w wiadomościach i odezwała się do mnie. Zadzwoniłam do Maisie Dickins.

– Maisie, skontaktowałam się wreszcie z agentką Coleman.

– Świetnie. W ostatnim mailu napisałam jej, że jej szukasz.

Nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle, ale musiałam pracować z tym, co miałam.

– Dzięki, to na pewno pomogło. Umówiliśmy się na spotkanie u niej.

– Zdaje się, że zrobiła sobie wolne. I dobrze, uzbierało jej się całe mnóstwo zaległego urlopu.

Bardzo się cieszyłam, że Maisie jest w rozmownym nastroju.

– Rzeczywiście, a tak między nami mówiąc, potrzebuje z kimś pogadać, jak babka z babką.

– Och, czy to ma coś wspólnego z odsunięciem jej od sprawy Lyncha? A słyszałaś, że go postrzelili? To ci dopiero historia. Widziałam, że ostatnio była przygnębiona, ale ze mną nigdy nie rozmawia.

– Cała Laura, wiecznie zgrywa twardzielkę. Problem w tym, że się rozłączyła, zanim podała mi adres, wiesz, chodzi trochę rozkojarzona. Byłam tam raz, ale nie pamiętam, gdzie to było. Wiesz, jak to jest.

Maisie przechodzi klimakterium. Wie, jak to jest.

– Zaprosiła cię? Chyba rzeczywiście potrzebuje pogadać.

– Mhm. Próbowałam do niej oddzwonić, ale nie odbiera, a mam u niej być za pół godziny. Możesz mi podać jej adres?

– To niedozwolone, Brigid. Przecież wiesz.

– Oj, przestań, tak między nami dziewczynami. Czy ja mogę być niebezpieczna?

To było niepokojąco łatwe. Usłyszałam, jak Maisie klika w komputerze i po sekundzie podała mi adres na Elm, w zabytkowej dzielnicy Sama Hughesa, koło uniwersytetu.

– Pozdrów ją ode mnie, dobrze?

– Jesteś kochana, Maisie. Oczywiście, że pozdrowię.

Zamknęłam telefon, wysypałam czyste ubrania na wolne łóżko, a zakrwawione zostawiłam w worku. Już zdążyłam pożałować, że ich wcześniej nie ukryłam, i nie zamierzałam po raz drugi popełnić tego błędu, choćby to miało oznaczać nakładanie drogi. Nawet nie pomyślałam o śmietniku. Za duże ryzyko.

Wzięłam torebkę i worek z ubraniami na parking. Sprawdziłam miejsce, w którym wczoraj zaparkowałam, i wpadłam w panikę. Jeszcze tego brakowało, żeby mi ukradli samochód.

W końcu przypomniałam sobie, że samochód stoi pod barem, bo wczoraj wieczorem byłam zbyt pijana, żeby prowadzić. Zarzuciłam więc worek na ramię i ruszyłam pieszo na prawie dwukilometrowy spacer do baru, czując się jak pierwsza lepsza bezdomna, których sporo krążyło po tej ulicy. Już teraz było goręcej niż w piekle, ale wiedziałam, że wysiłek fizyczny usunie mi z organizmu resztki alkoholu.

Samochód znalazłam cały i zdrowy na małym placyku, gdzie zaparkowałam go wczoraj. Najchętniej ulotniłabym się dyskretnie, ale akurat podjechał Emery; z fotela pasażera beżowego hyundaia patrzyła na mnie Cheri. Skuliłam się w sobie, ale oni, jak dobrze wychowany personel baru, pomachali mi tylko bez okazywania żenującej troski.

Pojechałam na północ, aż do miejsca, gdzie Campbell zmienia się w jedną z tych dróg obrzeżonych na mapie zielonymi kropeczkami, co oznacza, że są tam ładne widoki. Zwykle lubiłam jeździć po tych zakrętach, trochę przekraczając prędkość, by poczuć, jak opony trzymają

się asfaltu, ale tym razem ledwie zauważałam otoczenie. Skręciłam w lewo, w Ina, którą przejechałam krótki kawałek, a potem w Oracle.

W idyllicznym krajobrazie fragmentu gór Catalina, zwanym Granią Puscha, mieści się przechowalnia U-Store-It. W hali magazynowej mam swój boks wielkości mniej więcej połowy garażu, w którym trzymam prywatną kolekcję broni.

Odsunęłam na bok parę pudeł ze starymi dokumentami i z nabojami i upchnęłam worek za sejf stojący blisko tylnej ściany. To ukrywanie rzeczy kazało mi myśleć, że choć nie jestem morderczynią, z pewnością wiele się nauczyłam od morderców. Wiedziałam, że jeśli oficjalnie stanę się podejrzana o zabicie Geralda Peasila, gliny uzyskają z banku historię moich operacji, znajdą tę przechowalnię, za którą płaciłam kredytówką i załatwią nakaz przeszukania. Ale na razie ubrania były tu bezpieczne, dopóki nie znajdę czasu, żeby pozbyć się ich raz na zawsze.

Z myślą o filigranowej trzydziestceósemce, którą miałam w torbie, przekręciłam tarczę zamka i otworzyłam sejf, w którym znajdowało się kilka karabinków, jednolufowa strzelba i sześć drobniejszych sztuk broni. Spośród tych ostatnich wybrałam sobie M1911, czterdziestkępiątkę, która mogła naprawdę zrobić krzywdę; wolałam mieć coś takiego w bagażniku na wypadek, gdybym u Coleman natknęła się na coś paskudnego. Wzięłam też dodatkową paczkę amunicji. Kiedy wyszłam z boks z torebką dużo cięższą niż przy wchodzeniu, rozejrzałam się, by mieć pewność, że nikt mnie nie obserwuje.

W końcu – o wiele spokojniejsza dzięki świadomości, że nie zostanę nakryta z ciuchami, oczywiście pod warunkiem, że mój mąż dochowa tajemnicy – ruszyłam z powrotem do miasta, pod adres na Elm, który podała mi Maisie. Zaparkowałam przed ładną, schludną, małą hacjendą z mnóstwem amarantowej bugenwilli w ogródku. Ale moją uwagę natychmiast przyciągnął nie dom Coleman, a jej toyota prius, zaparkowana na podjeździe przed zamkniętą bramą garażu.

17 sierpnia 2011, godzina 10.50

Czy naprawdę przez cały ten czas była w domu i ignorowała moje telefony? Czułam się trochę głupio, ale wolałam się mieć na baczności. Zostawiłam samochód zaparkowany na ulicy, zdecydowałam się wziąć ze sobą trzydziestkęósemkę, tak na wszelki wypadek, i ostrożnie podeszłam do toyoty, tak jak to robi gliniarz, kiedy zatrzyma kogoś na drodze i boi się, że człowiek ukryty na tylnym siedzeniu może zacząć strzelać. Przez okna nie widziałam nic. Spróbowałam otworzyć drzwiczki, chwytając klamki przez brzeg koszulki.

Dzwiczki od strony kierowcy nie były zamknięte i to zaalarmowało mnie jeszcze bardziej. Żaden gliniarz nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zostawiłby niezamkniętego samochodu na dworze, nawet na własnym podjeździe. Coleman pewnie zamykała swój nawet w garażu.

Wsunęłam pistolet za pasek dżinsów na plecach, żeby móc szybko obejrzeć wnętrze samochodu, i nie znalazłam nic, nawet okruszków z ciastka po śniadaniu w drodze. Otworzyłam bagażnik, również pusty, jeśli nie liczyć składanego ogrodowego krzeselka i paru wielorazowych siatek na zakupy. To, że zdołałam się dostać do bagażnika, było kolejnym złym znakiem.

Nie było tu nic więcej do odkrycia, więc zajęłam się domem. Wszystkie rolety antywłamaniowe były spuszczone, tak dla bezpieczeństwa, jak dla ochrony przed upałem. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz. Jak na razie wszystko było w porządku. By nie rzucać się tak bardzo w oczy, przeszłam przez niską furtkę po prawej stronie na tyły domu, gdzie znalazłam przeszklone drzwi tarasowe, prowadzące wprost do salonu.

Nie pukałam, na wypadek, gdyby ktoś był w środku i nie była to Coleman. Włamałam się – żadna fikuśna technika, po prostu wytłukłam kamieniem jedną z małych szybek drzwi i sięgnęłam do środka, do zasuwki. Jeśli był tu ktoś niebędący Coleman, dźwięk tłuczonego szkła z pewnością go zaalarmował, weszłam więc ostrożnie, z rewolwerem w dłoni, i sprawdziłam cały dom.

W środku było ciepło i trochę duszno, jak wtedy, gdy ktoś wyjeżdża na wakacje i zostawia klimę na trzydzieści stopni. Szybko obeszałam pokoje. Prędko się zorientowałam, że jestem sama, więc poświęciłam parę minut na wycucie tego miejsca i jego właścicielki, bo to wszystko mogło mi pomóc. Coleman urządziła pokoje tak jak pracowała – przepisowo, czy raczej w tym przypadku standardowo. Dom służył wyłącznie do spania, mycia i właściwie niczego poza tym. Białe ręczniki, łóżko z katalogu. Wszystko z wyjątkiem ręczników było w odcieniach brązu i w geometryczne wzory.

Sypialnia była brzydka i pusta, okno wychodziło na ogródek od frontu. Na ścianie wisiała seria zdjęć uśmiechniętej osoby, które nie pokazują niczego, i zdjęcie rodziny, zapewne matki, ojca i brata, upozowanych z nią, jakieś pięć lat młodszą, przy piknikowym stole. To wszystko kazało mi wątpić, czy Coleman zapraszała Hughesa do sypialni. Ludzie z zasady nie uprawiają seksu w pokoju ze zdjęciem uśmiechniętej matki.

W małej garderobie wisiały jeszcze dwa garnitury takie jak ten, który widziałam na niej, i tuzin bluzek z długimi rękawami, z czegoś à la jedwab, o wiele za grubych na Arizonę. Było też trochę cywilnych ciuchów – dżinsy, bawełniane bluzki i złachmaniony szlafrok z szenilowymi, przetartymi lamówkami.

W łazienkowej szafce nic oprócz ogólnodostępnych leków, używała też taniego balsamu

nawilżającego, szamponu i pasty do zębów. Kabina prysznicowa była bardzo czysta, na plastikowej zasłonce nie było nawet zacieków od kropel wody, co dla mnie osobiście było już przesadą zahaczającą o dziwactwo, ale może tylko dla mnie.

Kuchnia była nieskazitelna, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy dzięki kompulsywnemu sprzątaniu, czy z braku użytkowania. Wzięłam sobie kawałek indyczej piersi z lodówki i podjadając, obejrzałam salon.

Ujrzałam w nim samodzielnie składane biurko z suszką na blacie, która kazała mi się uśmiechnąć mimo moich obaw. Coleman była chyba jedyną osobą poniżej sześćdziesiątki, która używała suszki. Na biurku leżał laptop i stosik czarnych segregatorów, których brzegi były ułożone idealnie równoległe do brzegów blatu. To był jedyny „bałagan”, na jaki pozwoliła sobie Coleman. Obok biurka stało tekturowe pudełko, które przywiozłyśmy od Lynchów, zawierające lektury Floyda. Boże broń, żeby Coleman zapomniała je przynieść z bagażnika.

To, czego szukałam, powinno być łatwe do znalezienia, ale w dwóch małych szufladach znalazłam tylko długopisy i ołówki – Jezu, były poukładane jeden przy drugim od najdłuższego do najkrótszego. Dziewczyna miała więcej natręctw, niż sądziłam. Kalkulator, rolka znaczków pocztowych, rolka zwrotek na listy polecone. Puszka sprężonego powietrza do czyszczenia klawiatury. Zajrzałam do większej szuflady poniżej. Zeznania podatkowe poukładane datami. Biuro wciąż nie płaciło agentom tyle, ile byli warci. Paszport wydany sześć lat wcześniej z tylko jedną pieczętką z Cancunu sprzed pięciu lat; w paszporcie podano jej miejsce i datę urodzin: Henderson w Karolinie Północnej, dwunasty maja 1979.

W końcu znalazłam to, czego szukałam, koło telefonu w kuchni na niewielkiej ławce przy końcu kuchennych szafek. Przekartkowałam limonkowy, skórzany adresownik. Nie miała żadnych przyjaciół, zupełnie jak ja. Nieliczne adresy wpisane ołówkiem. Dentysta i lekarz. Salon fryzjerski Eva. Kontakt do kogoś w Karolinie Północnej, być może brata. I mnóstwo pustych stron. Nie miała tu nawet nikogo z pracy. Tylko pod R widniały inicjały RH i numer telefonu. Coleman tak bała się wpadki, że nie zapisała w notesie nawet pełnego nazwiska.

Korzystając z jej telefonu, zadzwoniłam pod ten numer. Royal Hughes odebrał bardzo szybko.

– Tak?

– Kiedy ostatni raz widział pan Laurę Coleman? – spytałam.

– Kto mówi?

– Brigid Quinn.

– Co pani robi w...?

– Gdzie?

– Tam – zrobił unik.

Więc rozpoznał jej numer, kiedy pojawił mu się na wyświetlaczu.

– Kiedy ostatni raz widział pan Laurę Coleman?

– Nie życzę sobie, żeby dzwoniła pani do mnie do domu, agentko Quinn.

– Zaczynam być trochę wkurzona. Kiedy ostatni raz widział pan Laurę Coleman? –

powtórzyłam.

– Na miejscu wskazania ciała przez Lyncha. Już pani mówiłem. Nie powinna pani dzwonić do mnie do domu. Rozłączam się.

Usłyszałam głos w tle.

– Kotku? Możesz dzisiaj zawieźć Billa na lekcję fortepianu?

Nie miałam pojęcia, gdzie mieszkał, ale wykorzystałam swoją przewagę.

– Kłamię pan, i jeśli się pan rozłączy, jestem dość blisko, żeby wytłuc panu te podwójnie szklone okna tyłką do opon, zanim zdąży pan wezwać policję. Będzie się pan tłumaczył żonce.

Kiedy ostatni raz widział pan Laurę Coleman?

Milczał przez moment. Uznał widocznie, że w jego sytuacji lepiej mi się nie sprzeciwiać, a poza tym podwójnie szklone okna są bardzo drogie. Zniżył głos do szeptu.

– Przysięgam na Boga, że nie widziałem jej od tamtego dnia. To się skończyło ponad rok temu. Czemu pani pyta?

– Sądzę, że Coleman została porwana. – No. Powiedziałam to.

Żadnego „o mój Boże” czy „co pani bredzi”, tylko:

– Dlaczego pani tak myśli?

Znów usłyszałam głos w tle, tym razem mniej wyraźnie. Hughes pewnie zdążył wyjść na dwór.

– Jej samochód tu jest.

– Och, do licha ciężkiego, wynajęła inny albo poleciała gdzieś samolotem – odparł Hughes i rozłączył się.

Jak mówiłam, żadnych przyjaciół. Jeśli Hughes tak reagował, to nie mogłam liczyć na lepszą reakcję u Maksa Coyote’a czy Rogera Morrisona, szczególnie biorąc pod uwagę ich aktualne podejście do mojej osoby. Byłam sama.

Założyłam, że posługuje się panieńskim nazwiskiem i rzeczywiście, pod C w adresowniku znalazłam Bena i Emily Colemanów w Ośrodku dla Seniorów Paloma Vista. Był adres i telefon.

Nie zadzwoniłam pod ten numer. Nie chciałam straszyć rodziców. Zadzwoniłam na informację, uzyskałam numer do recepcji ośrodka i poprosiłam o połączenie z kierownikiem.

– Chciałam zapytać o jedną z rezydentek – powiedziałam.

– Przykro mi. Nie udzielamy żadnych informacji na temat naszych rezydentów.

– Jestem członkiem rodziny i chciałam tylko zapytać o zdrowie Emily Coleman.

– Przykro mi. Proszę może zadzwonić na jej bezpośredni numer. Nie udzielamy żadnych informacji na temat naszych rezydentów.

– A może mi pan powiedzieć, czy jej córka była tam w ciągu ostatnich trzech dni?

– Przykro mi. Nie udzielamy żadnych informacji na temat naszych rezydentów.

– Czy ja rozmawiam z żywą osobą?

– Tak, i nie udzielamy żadnych informacji na temat naszych rezydentów.

Dlaczego nic nie może być łatwe? Rozłączyłam się, wzięłam ze sobą adresownik i wyruszyłam do Paloma Vista.

17 sierpnia 2011, godzina 12.30

Skoro mieszkańcy Arizony nie chcą u siebie Meksykanów, to po co nadają wszystkiemu hiszpańskie nazwy? To poniekąd wysyła sprzeczne sygnały. Ośrodek Paloma Vista okazał się skromną, ale uroczą piętrową budowlą z baryłkowanym, ceramicznym dachem i skrzydłami obejmującymi długi, kolisty podjazd. Do małego autobusiku z nazwą ośrodka i słowem ZABAWA! wymalowanym na boku wsiadła grupa pensjonariuszy, prawie samych kobiet.

Zaparkowałam za autobusem, wysiadłam z samochodu i zapytałam grupę, czy ktoś zna Bena i Emily Colemanów. Wszyscy znali. Jedna z kobiet powiedziała, że właśnie jedzą lunch na drugą turę w jadalni, po czym z troską pokręciła głową, jakby moje pytanie ją zasmuciło. Może mama naprawdę niedomagała. Przeszłam przez automatyczne drzwi, minęłam recepcję niezapytana przez młodą recepcjonistkę, kim jestem, i przecięłam ogromny salon, w którym tapicerka foteli nie pasowała do ozdobnych poduszek, a poduszki nie pasowały do dywanów – tajemniczy klucz doboru ozdób znał pewnie tylko dekorator. Za salonem była jadalnia. Ktoś w rodzaju szefa sali przywitał mnie i zapytał, czy przyszedłam w odwiedziny.

– Do Bena i Emily Colemanów – odparłam.

Poprowadził mnie do stolika z czterema nakryciami. Siedziała przy nim para, która, muszę przyznać, nie wyglądała dużo starzej ode mnie. Obydwoje byli wysocy jak Laura – widziałam to, nawet gdy siedzieli – chudzi i z gęstymi, siwymi czuprynymi. Podeszłam ostrożnie, przedstawiłam się jako przyjaciółka ich córki i zapytałam, czy mogę się przysiąść na chwilę, choć widziałam, że jeszcze jedzą. Przeprosiłam, że przeszkadzam w lunchu.

– Nic nie szkodzi. To tylko deser – odparł Ben Coleman, wskazując mi krzesło obok żony. Kiwnął na młodą kobietę czekającą nieopodal. – Zje pani pudding ryżowy?

Podziękowałam za gościnność, ale odmówiłam. Młoda kobieta poszła sobie.

Podczas tej rozmowy Emily siedziała z łagodnym uśmiechem, patrząc wprost przed siebie. Teraz odwróciła głowę niczym królowa na audyencji i uśmiechnęła się do mnie.

– Laura? – spytała.

– Nie, kochanie – odparł Ben. – To jest Brigid Quinn, przyjaciółka Laury.

Zaczęłam tłumaczyć, że moi rodzice szukają dobrego ośrodka dla seniorów, a Laura wspominała, że Ben i Emily są bardzo zadowoleni z Paloma Vista. Chciałam więc zobaczyć to miejsce na własne oczy i zapytać ich osobiście o warunki mieszkaniowe, jedzenie i inne usługi, zanim umówię się z kierownikiem na oficjalne oprowadzanie.

– Są wspaniali – odparł Ben, podczas gdy Emily, tracąc zainteresowanie, kiedy okazało się, że nie jestem Laurą, na nowo zajęła się puddingiem. – Nie każdy ośrodek jest skłonny zadbać o potrzeby Emily, więc tym bardziej mamy szczęście.

Przerwał nam dzwonek mojej komórki; wszyscy w jadalni spojrzeli na mnie, jakby byli kosmitami, którzy dostali sygnał ze swojej planety. Pogrzebałam w torebce i sprawdziłam, kto dzwoni. Był to Max. Zamiast wysłuchiwać, jaką nową torturę wymyślił, by skłonić mnie do przyznania się do winy, odrzuciłam połączenie. Niech się nagra.

Pogawędziłam z Benem jeszcze chwilę, zastanawiając się, jak zapytać o Laurę, ale Ben sam poruszył ten temat. Odrobinę uchylił maski Idealnego Gospodarza, zrobił lekko niepewną

minę.

– Czy mogę zadać pani pytanie?

– Oczywiście.

– Może trochę dziwnie pytać o coś takiego świeżo poznaną osobę, ale nasza córka dzwoni codziennie jak w zegarku, żeby zapytać o mamę. Martwię się, bo nie dzwoniła od trzech dni.

Wczoraj zadzwoniłem na jej domowy numer i zostawiłem wiadomość, ale nie oddzwoniła. – Był coraz bardziej zażenowany. – Nie chcę wyjść na ojca panikarza, ale czy pani miała z nią kontakt?

Roześmiałam się swobodnie.

– Laura? Och, nic jej nie jest. Naprawdę! Wiem, że była bardzo pochłonięta ważnym śledztwem, które doprowadziła do procesu. Wiecie państwo, jaka jest Laura, musi mieć wszystko dopięte na ostatni guzik. Wspominała kiedyś, jak pan mówił jej, że jeśli już coś się robi, to trzeba to robić porządnie.

Ben wyglądał na osobę, która mogła wygłaszać takie mądrości. I nawet się roześmiał, być może próbując sobie przypomnieć, kiedy to powiedział, niemniej bardzo mu ulżyło. Wyłączyłam się z jadalni tak szybko, jak się tylko dało bez wzbudzania jego podejrzeń.

Max, którego wiadomość odsłuchiwałam, jak tylko wróciłam do samochodu, prosił, żeby do niego zadzwonić, bo odkrył coś, co mnie zainteresuje. I chciał jeszcze raz posłuchać o tym, jak to przewróciłam się na plaży i uderzyłam w głowę. A skoro już o tym mowa, to chciał zapytać o tę laskę z ostrzem na końcu, którą zrobił mi Carlo... mam ją jeszcze? W jego głosie było słychać bardzo niemaxową nutę pogrożki. Nie oddzwoniłam.

Zamiast tego wyjechałam z ośrodka i pędząc nie wiadomo dokąd, zadzwoniłam do Sigmunda. Byłam z nim tak szczerą, jak tylko się dało.

– Zdaje się, że narobiłam strasznych głupot i myślę, że agentka Coleman jest w niebezpieczeństwie, a nikt nie chce mnie słuchać – powiedziałam. Wyjaśniłam mu, na jakim etapie byliśmy ze śledztwem w sprawie Lyncha, powiedziałam o zniknięciu Coleman, a nawet o strzelaninie w parku narodowym. Pominęłam tylko sprawę Peasila. Nie uznałam za konieczne o tym opowiadać, biorąc pod uwagę okoliczności tego drugiego zamachu na moje życie. Sigmund wypytał mnie o tę strzelaninę, łącznie z takimi szczegółami jak drugi strzał od strony Klubu Strzeleckiego w Pima. I umilkł.

Pozwoliłam mu pomyśleć, ale w końcu spytałam ciszej:

– Co mam robić?

– Powiedzieć Morrisonowi.

– Morrison nie chce o tym słyszeć. Dzwoniłam nawet do Royała Hughesa. Pamiętasz, co mówiłeś o obrońcy z urzędu i Coleman?

– Miałem rację?

– Tak, miałeś rację, ale nawet on nie uważa, że jest się o co martwić.

Zaatakował mnie z kompletnie niespodziewanego kierunku:

– Pewnie nie było ci łatwo, hm?

– Co?

– Słyszałem, że Zachariah Robertson się zastrzelił. To musiał być dla ciebie niezły wstrząs, Oso.

– Tak, to było straszne, ale nie mam nawet czasu porządnie tego przetrwać. Muszę znaleźć Coleman.

– Oso, dlaczego zostałeś w Tucson?

Nie mówił niczego, czego się spodziewałam, zupełnie jakby mnie w ogóle nie słuchał.

– Czy my prowadzimy tę samą rozmowę? – spytałam.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Zawsze sądziłem, że zostałeś na południowym

zachodzie, żeby być bliżej sprawy, której nie udało ci się rozwikłać. Trochę jak morderca, który nie potrafi się trzymać z daleka od miejsca zbrodni. Ta twoja obsesja nigdy nie minęła.

– Sig, nie analizuj mnie teraz. Nie mam na to czasu.

– Szczerze mówiąc, po naszej ostatniej rozmowie zacząłem myśleć, że możesz mieć objawy stresu pourazowego. Ponowny udział w sprawie Drogi 66 otworzył stare rany. A teraz, po samobójstwie Zacha Robertsona, cóż...

Coś jakby rozregulowało się w moim mózgu, poczułam zawrót głowy, jakby wirował w niej jakiś popsuty mechanizm. Zbyt oszołomiona, żeby czuć gniew, zaczęłam błagać:

– Ale, Sig, przecież zgodziłeś się z nami co do Lyncha, powiedziałaś, że trzeba kontynuować śledztwo.

– I wciąż tak uważam. Mówię tylko, że ten twój lęk, że Laura Coleman została porwana, jest... – Zrobił pauzę, jak ktoś, kto waha się przed zerwaniem plastra. – Brigid, Laura Coleman to nie jest Jessica Robertson – dokończył łagodnie.

Policzki mi zapłonęły.

– Uważasz, że mam urojenia.

– Absolutnie nie ująłbym tego w taki sposób. Przez lata katowałaś się odpowiedzialnością za śmierć Jessiki. Teraz masz kolejną agentkę mniej więcej w tym samym wieku, w jakim Jessica byłaby dzisiaj. Tyle że ta jest, jak by to powiedzieć, niezbyt rzetelna. A może po prostu już cię nie potrzebuje. Nie odpowiada na twoje telefony, więc włamałaś się do jej domu i uznałaś, że została porwana. Oso, ty na nowo odgrywasz historię z Jessicą.

– Chcesz powiedzieć, że nie sposób stwierdzić, co mi się mogło przywidzieć. Łącznie z zamachem na moje życie.

– Chcę tylko powiedzieć, że najwyraźniej jesteś jedyną osobą, którą cokolwiek niepokoi – odparł.

– Masz mnie za paranoiczkę.

– Przestań, Oso. Niczego takiego nie twierdzę. Mówię tylko, że musisz spauzować i zastanowić się przez chwilę. Nie martwię się o Laurę Coleman. Martwię się o ciebie. Martwiłem się już po twoim ostatnim telefonie. Powinienem być tam zostać, żebyśmy mogli więcej porozmawiać o tobie.

– Sukinsyn – rzuciłam i rozłączyłam się.

Statystyki mówią, że w przypadku porwania trop stygnie po czterdziestu ośmiu godzinach i po tym czasie szanse na znalezienie ofiary żywej są znacznie mniejsze. Spojrzałam na zegarek i przypomniałam sobie, że ostatni pewny kontakt, jaki miałam z Coleman, to był e-mail od niej, ten w którym pisała: „A przy okazji, miałaś rację!” To było około ósmej rano, trochę ponad siedemdziesiąt dwie godziny temu.

17 sierpnia 2011, godzina 16.00

Czułam się jak ślepa mysz w labiryncie. Osiągałam jakiś drobny sukces, jak dowiedzenie się, że Coleman jednak nie odwiedziła chorej matki, a potem waliłam w ścianę i nie miałam pojęcia, co dalej. Teraz właśnie byłam pod ścianą. Coleman zaginęła, a ja na dowód miałam tylko jej niezamknięty samochód, fakt, że od trzech dni nie zadzwoniła do matki i to, że okłamała Morrisona. Na dodatek ciągle przysyłała e-maile do biura. Moja intuicja wrzeszczała, że Coleman ma kłopoty, ale skoro nawet Sigmund uważał, że mi odbiło, to Morrison zabije mnie śmiechem.

Czasami pomaga, jeśli mysz nie kieruje się prosto do sera. Zamiast wskoczyć na konia i zacząć się miotać we wszystkich kierunkach naraz, zadzwoniłam do Gorda, by się dowiedzieć, czy Carlo jest bezpieczny. Nie odebrał telefonu i nie oddzwonił do mnie w ciągu dziesięciu minut, więc pojechałam do domu, żeby osobiście sprawdzić Carla, po drodze zatrzymując się, żeby kupić kawę i kanapkę z pieczoną wołowiną i dodatkami.

Na osiedle podjechałam okrężną drogą, via Bowman, zamiast skręcić w ulicę najbliższą domu. Dzięki temu mogłam zbliżyć się wolniej i zatrzymać się trzy domy dalej. Zaparkowałam i czekałam z zapalonym silnikiem i włączoną klimatyzacją, żeby nie zemdleć od upału.

Podjadałam kanapkę i obserwowałam własny dom. Nie miałam nic lepszego do roboty. Przesiedziałam tak cały wieczór, czując obok siebie ducha Jane. Czuwanie nad Carlem dawało mi przynajmniej jakieś poczucie sensu, dopóki nie wymyślę, jak mam dalej szukać Coleman. Więc siedziałyśmy tak sobie, Jane i ja – dwie kobiety w życiu Carla, które przyszły i odeszły.

Kiedy niebo wreszcie pociemniało, w domu zapaliła się lampa przy fotelu do czytania Carla. Moja powieść pewnie leżała na stoliku obok mojego fotela. Próbowałam sobie przypomnieć, co czytałam dzień wcześniej, i nie udało mi się. Byłam przytłoczona, mózg mnie bolał od tego wszystkiego. Po trzech godzinach siedzenia w samochodzie to samo mogłam powiedzieć o swoim tyłku.

Później Carlo pojawił się jeszcze raz, wyprowadził psy na spacer. Poszedł w przeciwnym kierunku; było za ciemno, żeby mógł zobaczyć mój samochód. Czyżby był bardziej przygarbiony niż zwykle? Czy psy były mniej rozbrykane? Sama zaczynałam się czuć jak duch i byłam ciekawa, czy oni tęsknią za mną równie boleśnie jak ja za nimi.

Już dawno wyłączyłam silnik, bo dzięki czystemu niebu ziemia stygła o wiele szybciej. Wypiłam trzy z czterech butelek wody, które miałam ze sobą – teraz smakowała już jak woda z kąpeli. Powtarzałam sobie, że to głupie siedzieć tu całą noc, ale nie byłam w stanie odjechać. A jeśli? – myślałam. A jeśli nie tamto, to co, jeśli? Wyobrażałam sobie najróżniejsze rzeczy. Nie mogłam znaleźć Coleman, ale mogłam przynajmniej zadbać o bezpieczeństwo Carla. Potem pomyślałam, że gdybym sprawdziła okolicę, uspokoiłabym się na tyle, że mogłabym się trochę zdrzemnąć. Poza tym strasznie chciało mi się siku i mogłabym to załatwić w ciemnym parowie za naszą posesją.

Wyjęłam ze schowka małą latarkę. Przeszłam kawałek ulicą, skręciłam w prawo, za posesję sąsiadów i ruszyłam tuż pod wysokim murem z pustaków. Przez całą drogę myszkowałam promieniem światła po ziemi przed sobą, by zaskoczyć węże, zanim one zaskoczą mnie. Nie było węży, ale w pewnej chwili natknęłam się na polującą tarantulę, która wykonała

kilka groźnych pompek, żeby mnie przestraszyć. Udało jej się.

Między ogrodami są cementowe mury, ale ich granice od tyłu zabezpieczone są tylko płotem z cienkich, żelaznych prętów. Żałowałam, że nie mam ze sobą laski, bo szłam po nierównym terenie, ale trzymając się sztachet dla równowagi, dotarłam w końcu do naszego własnego ogrodu. Poświeciłam latarką wzdłuż płotu. Na oko wszystko było w porządku, na ziemi nie było śladów żadnych ludzkich działań. Tył domu, jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, był ciemny i ledwie widziałam zarys tylnych drzwi, które Carlo czasem zapominał zamknąć na klucz. Przyćmione światło w oknie sypialni powiedziało mi, że Carlo czyta w łóżku. I czyżby okno w sypialni było otwarte? Ile razy go za to beształam? Cywile nie mają pojęcia, jak bezpiecznie funkcjonować.

Schowałam latarkę do kieszeni, ulżyłam sobie w ciemności i weszłam na betonowy fundament płotu, który miał powstrzymać kojoty i rysie przed podkopywaniem sztachet. Niezgrabnie przelazłam na drugą stronę. Wylądowałam na żwirowanej pochyłości, ześlizgnęłam się i klapnęłam na tyłek. Zabolało. Do tej pory zdążyłam się już zorientować, że latarka była przesadą. Czyste niebo i księżyc w pełni sprawiały, że ogród wyglądał jak monochromatyczna fotografia – drzewa, mury, żwir, dom, wszystko było niebieskoszare. Widziałam wystarczająco dobrze, żeby bezpiecznie minąć ogrodową sztukę Jane: świętego Franciszka i kamienną fontanienkę dla ptaków.

Szybko sprawdziłam, czy tylne drzwi są zamknięte; ucieczka boczną furtką byłaby pestką, gdyby nie to, że zauważył mnie jeden z Mopsów. Nie miałam pojęcia, że pies (suka?) obserwował przez oszklone drzwi, jak się zbliżam, i teraz rozszczękał się jak głupi, czym ściągnął drugiego Mopsa, który się przyłączył. Ujrzałam, że w sypialni zapaliło się światło.

Kucnęłam za świętym Franciszkiem w chwili, kiedy zapaliła się lampa na werandzie. Nie śmiałam spojrzeć; wytyczałam tylko słuch, kiedy Carlo otworzył drzwi i kazał Mopsom zostać w domu na wypadek, gdybym była kojotem. Zobaczyłam jego cień, kiedy wyszedł i stanął pośrodku ogrodu, czyniąc z siebie łatwy cel dla ewentualnego napastnika. To wszystko stanowczo za bardzo przypominało scenę z którejś z oper komicznych, tak przez niego uwielbianych. Zniesmaczona samą sobą wyprostowałam się i wyszłam zza rzeźby, bo zadbanie o jego bezpieczeństwo było ważniejsze niż moja duma.

– Jezu! – krzyknął i upuścił latarkę. Miał ją w dłoni, ale, tak jak ja, nie zapalił jej.

Oboje spimy nago i nie mogłam nie zauważyć, że jego ciało przybrało ten sam kolor, co reszta ogrodu; w świetle księżycy wyglądało jak zimny, szary marmur albo jak zwłoki na stole sekcyjnym. Jeszcze jeden obrazek, bez którego mogłabym się obejść.

– Skoro już wyszedłeś, to muszę cię o coś prosić – zaczęłam bez powitania czy przeprosin.

Patrzył na mnie w ciemnościach z pięściami zaciśniętymi u boków. Był wkurzony, co często się zdarza zaraz po tym, kiedy człowiek się nieprzytomnie wystraszy. Moje całe jestestwo chciało biec do niego, wziąć go w ramiona i pocieszyć, ale duma nie pozwalała na aż tyle. Czulałam, że mnie odepchnie, że już się ode mnie odciął.

Głosem tak spokojnym, jak to możliwe, tonem, jakim podaje się adres taksówkarzowi, powiedziałam:

– Opuść sobie na razie wieczorne spacerki. Zamykaj drzwi na klucz, nie otwieraj okien. Jeśli Mopsy czekają, nie wychodź z domu tak jak teraz. Siedź w środku. Nawet nie podnoś rolet, żeby wyjrzeć. Jeśli w ciągu dnia do drzwi zapuka ktoś, kogo nie znasz, nie otwieraj.

– Dość tych melodramatów! – Uniósł ręce nad głowę, jakby nareszcie miał dość. – To jest jakieś szaleństwo i od... od tego dnia, kiedy powiedziałeś, że upadłeś, zachowujesz się jak postać z powieści Mike'a Hammera.

To zabolalo, szczególnie ze padlo z ust czlowieka, ktorego kochalam, ale rozumialam jego gniew.

– Mozesz byc w niebezpiecienstwie – odparlam. – Nie chce, zeby to zabrzmialo jak w melodramacie, ale mam na mysl powazne niebezpiecienstwo. Nie wiem, jak inaczej mam ci to powiedziec i teraz nie mam czasu nad tym popracowac.

– Jak dlugo? – spytal.

– Nie wiem. Mniej niz dwadziescia cztery godziny. Musze znalezc kobiete, ktora moim zdaniem zostala porwana. Tylko ja tak uwarzam i jesli teraz odpuszczę, nikt nie bedzie jej szukal i moze zginac. Jesli w ogole jeszcze zyje, najprawdopodobniej zostaly jej niecalo dwadziescia cztery godziny. To jedyna prawda, jaka mnie teraz obchodzi, Carlo. Wróc do domu.

Schylil sie, zeby podniec latarkę i uniosl ja, jakby chcial mnie niu uderzyc, ale sie opanowal.

– I myslisz, ze to wystarczy?

Teraz ja moglam tylko gapić sie na niego i czekac na ciag dalszy.

Próbował mówić tak samo równym tonem jak ja i prawie mu się udało.

– Myślisz, że mozesz tak sobie tu przyjsc, rzucic tajemnicze ostrzezenie i odejsc? Nie tak sie to odbywa w prawdziwym swiecie. Sa w to zaangażowani jeszcze inni ludzie. Ja. – Umilkł, wziął glęboki wdech. – Max tu byl.

W jego slowach o tym, jak odbywaja się sprawy w jego swiecie, tak innym od mojego, uslyszalam echo Paula.

– Kiedy?

– Dzis rano.

– Czego chcial?

– Zadawal mi mnostwo pytan na twój temat. Gdzie jesteś, co wiem o dniu, kiedy tamten czlowiek zginal w korycie rzeki. Zapytal, czy masz jeszcze tę swoja laske, ktora ci zrobilem. Nie byl soba.

– I co mu powiedziales? – spytalam, autentycznie ciekawa. Wymyslilam juz tyle wersji, ze sama nie bylam pewna, ktore znal.

– Prawde.

Puls mi przyspieszil na dzwiek tego slowa.

– Jaką prawde?

– Wszystko, co pamietam. Ze powiedziales, ze laska ci sie zlamala. Ze zachowywales sie dziwnie od dnia, kiedy wróciles znad rzeki i powiedziales, ze upadles.

Powiedziales, ze upadlam. Ten okrezny sposob oskarzenia mnie o klamstwo byl najgorszy ze wszystkiego. Wzbudzil we mnie agresje.

– Gównu wiesz o prawdziwym swiecie – powiedziales.

Nie wygladal na urazonego, moze tylko jeszcze smutniejszego, o ile to bylo mozliwe.

– Myslalem, ze wiem sporo, ale najwyrazniej sie mylilem. Max duzo mi powiedzial. O tym, jak zabilas nieuzbrojonego podejrzanego, kiedy bylas agentka. Okolicznosci byly dwuznaczne, zdaje sie, ze tak to ujal. – Machnal latarkę, jakby chcial rozgonic chmure dymu. – To niewiarygodne, do jakiego stopnia cię nie znal.

17 sierpnia 2011, godzina 21.00

Nie czekając na moją odpowiedź, nie żegnając się, Carlo wrócił do domu i zagonił do środka Mopsy, które próbowały do mnie wybiec. Wyszłam boczną furtką zamiast robić z siebie idiotkę i przełazić z powrotem przez ogrodzenie. Wyglądało na to, że nic złego się tu nie dzieje, a jeśli Carlo posłucha moich zaleceń, powinien być bezpieczny, czy to z ochroną Gorda, czy bez niej.

Usiadłam w samochodzie i zaczęłam myśleć. Wydawało mi się bardziej logiczne, że morderca próbuje uciszyć mnie i nie będzie sobie zawracał głowy moim mężem. Moja nieobecność odciągnie ogień od domu, kiedy ja będę szukać Coleman i próbować się dowiedzieć, kto chciał mnie zabić. Nawet jeśli wszyscy inni uważali mnie za obłąkaną czy złą, byłam coraz bardziej pewna, że te dwa fakty – zamachy na moje życie i zniknięcie Coleman – były ze sobą powiązane.

Gapiałam się na ulicę przed sobą i po raz pierwszy nie byłam w stanie odsunąć od siebie myśli, że Coleman może już nie żyć. Nie miałam żadnych przesłanek, by podejrzewać, że wciąż jest żywa. Bo skoro ktoś próbował zabić mnie, to dlaczego nie ją? Nic dziwnego, że mając głowę pełną takich myśli, nerwowa jak sto pięćdziesiąt, przeraziłam się na widok twarzy w szybie.

– Kurwa! – wrzasnęłam i sięgnęłam na oślep po broń na siedzeniu pasażera, gdzie powinna leżeć, ale znalazłam tylko latarkę. Włączyłam ją i wycelowałam w okno, mając nadzieję przynajmniej oślepić napastnika.

Max zamrugął.

– To ja – dobiegł mnie przez szybę jego stłumiony głos. Otworzyłam okno i mając w nosie sąsiadów i Carla, wrzasnęłam:

– Chcesz się dać zabić?

– Ta latarka chyba nie jest naładowana. – Próbował zachować minę twardziela, ale nie był w stanie powstrzymać uśmiešku. Obszedł maskę samochodu i spróbował wsiąść od strony pasażera, ale drzwi były zamknięte. Począł. Nie miałam wyboru. Przechyliłam się i odblokowałam zamek.

Kiedy już się usadowił, zapytał:

– Dlaczego inwigilujesz własny dom?

Albo wciąż byłam w szoku przez niespodziankę, albo po prostu miałam dość. Jakby skończyły mi się kłamstwa. A poza tym ciemność w jakiś sposób ułatwia szczerość.

– Dlaczego rozmawiałeś z Carlem o mojej przeszłości?

– Byłem zaskoczony, że o tym nie wiedział. Takimi rzeczami człowiek raczej dzieli się z małżonkiem.

– Sam się dziel. Max, ktoś próbuje mnie zabić i boję się o bezpieczeństwo Carla, bo uważam, że ktoś porwał agentkę Laurę Coleman.

– Ta, jasne.

To by było tyle, jeśli chodzi o szczerość. Ale rzeczywiście brzmiało to trochę po wariacku, przesadnie, nawet w moich własnych uszach. Jak zmyślona historyjka.

Nie zapytał, dlaczego mówię o tym dopiero teraz, ale uparcie trzymał się przyziemnych spraw.

– Nie odpowiedziałaś, dlaczego tu siedzisz.
– Przyjechałam, żeby mieć na niego oko. Rozstajemy się.
– Przykro mi. Powiedział mi, że wczoraj nagle wyjechałaś, ale nie wiedziałem, że to na stałe. Dlaczego odeszłaś?
– A co ty tutaj robisz?
– Nie oddzwoniłaś na mój telefon. Podjechałem i zobaczyłem, że obserwujesz dom, więc jakiś czas obserwowałam cię, bo byłam ciekawa, jak długo zostaniesz. Ale kiedy wyszłaś z samochodu, domyśliłem się, że siedzisz tu już od dawna.
– Co mogę dla ciebie zrobić?
– Gerald Peasil.
Mimo szoku zostało mi jeszcze trochę przytomności.
– Kto?
Max niecierpliwie szarpnął głową.
– Nie udawaj, że nie wiesz, o kim mówię. Ciągłe czekam na wynik badania DNA, ale w międzyczasie porównałem znalezione odciski palców z twoimi z bazy Biura.
– No i?
– Żaden nie pasował.
– To chyba oczywiste. – Otworzyłam ostatnią butelkę wody, grając na czas. – Napijiesz się?
Wypił łyk i wstawił butelkę w uchwyt na kubek pomiędzy nami. Nasunęło mi to na myśl lwa i gazelę przy wodopoju.
– Więc pojechaliśmy do jego mieszkania. Znaleźliśmy dowody na seksualną przemoc, z całą pewnością gwałt, być może morderstwo. A raczej co najmniej trzy morderstwa. Właśnie posyłamy tam psy do szukania ciał, bo może Peasil ukrył ofiary gdzieś w pobliżu, w kopalnianych gliniankach czy gdzieś indziej. Znaleźliśmy ubrania, więc psy mają z czym pracować.
– To dobra wiadomość?
– To, że facet wygląda na seryjnego mordercę czy to, że nie żyje?
– Ty mi powiedz – odparłam.
– Nie, to ty powiedz mnie. Wciąż widzę tylko jeden powód, dla którego tego nie zgłosiłaś, i nie potrafię wymyślić nic innego.
Znów napił się z butelki. Obojgu nam zasychało w ustach od napięcia, jakie towarzyszyło tej rozmowie, i oboje udawaliśmy, że to zwykłe pragnienie.
– Powiedziałam ci, Max. Zamierzałam do ciebie zadzwonić i zrobiłabym to, ale się wystraszyłam. – Wiedziałałam, o co teraz zapyta i zastanawiałam się, co powiem.
– Wystraszyłaś, ty? Zabiłaś go, Brigid?
No i zapytał.
– Nie ja.
– Powiedzmy, że jednak.
– Powiedzmy.
– Więc jak...
– Aa, klasyczna technika przesłuchania. Naprawdę sądziłeś, że złapię się na hipotetyczne „jak byś to zrobiła?”
– Warto było spróbować.
To był prawdziwy wieczór szczerości.
– Max, pracowałeś kiedyś przy sprawie morderstwa z popędu seksualnego?
– Tak.

– Z przypadku, pośpiechu czy autentycznego sadyzmu?
– Przecież znasz odpowiedź. Ktoś się robi zbyt brutalny, ktoś inny umiera. Ktoś się dusi w trakcie.

Skinęłam głową w ciemności.

– Ale nigdy przy seksualnym morderstwie z okaleczeniem ciała. Większość ludzi nie ogląda czegoś takiego przez całą karierę zawodową. Takie obrazy nosi się w sobie do końca życia.

– Och, zaczyna się. Wspaniała Brigid Quinn widziała już wszystko. A ja jestem tylko biednym wsiowym wiceszeryfem z Wypizdowa, gdzie nie dzieje się nic, może z wyjątkiem kradzieży bydła. Dajże mi spokój.

– No cóż, mogłabym ci powiedzieć, że kobiece piersi wyglądają dużo atrakcyjniej, kiedy są przyczepione do reszty ciała.

Max skrzył się jak z bólu.

– Jezus, Brigid, czy ty żartujesz na każdy temat?

– A to był żart? Przepraszam, czasami sama już nie odróżniam. – Znowu napiłam się wody i podałam mu butelkę, ale tym razem jej nie tknął. – Więc teraz masz Geralda Peasila – ciągnęłam. – Prawdziwego seryjnego mordercę... jak mówisz.

– I jakież to zbieg okoliczności w tym małym miasteczku, gdzie przez cały zeszły rok było ledwie trzydzieści pięć zabójstw, że mamy Geralda Peasila i Floyda Lyncha w przeciągu paru tygodni, co?

– Rzeczywiście, niezły zbieg okoliczności.

– Można tak uznać. No więc, tylko dlatego, że to małe miasteczko, w którym przez zeszły rok było ledwie trzydzieści pięć zabójstw, zacząłem się nad tym zastanawiać. Zacząłem myśleć, jak połączyć te wszystkie punkty. – Max pochylił się do przodu i swoim grubym palcem zaczął zaznaczać punkty na desce rozdzielczej, wymieniając każdy po kolei. – Ty nie zgłaszasz furgonetki w korycie rzeczki, Gerald Peasil jest seryjnym mordercą, Floyd Lynch jest seryjnym mordercą. Potem zacząłem myśleć o włosach, które znaleźliśmy w mieszkaniu Peasila. Wyglądały jak włosy trzech różnych kobiet, ale we wszystkich odcieniach siwizny, białych, szpakowatych, splecionych w jeden warkocz. Widzisz, to kolejny punkt. Zacząłem myśleć o kolorze, nagle wszędzie zrobiło się strasznie dużo siwizny, i wiesz, może to nie jest zbieg okoliczności, że Peasil napadał na starsze kobiety, a ty jesteś starszą kobietą, i że dwóch seryjnych morderców działa na tym samym terenie. I ty w jakiś sposób jesteś powiązana z obydwojema. – Narysował wyimaginowaną linię, łączącą wszystkie punkty. – A potem pomyślałem o tym, co odkrył patolog: że Peasil miał przeciętą tętnicę, a ty miałaś ten swój kij z ostrzem, który podobno zgubiłaś. Tak powiedział Carlo.

– Złamał się.

– Co z nim zrobiłaś?

– Wyrzuciłam. – Umilkłam. Max też nic nie mówił. – Do śmieci – dodałam.

Odwróciłam się i ujrzałam, że światło księżyca odbija się w oczach Maksa. Kiedy ktoś ma temperament, jak mój ojciec na przykład, przyzwyczajasz się do trzaskania drzwiami i krzyków. A z równowagi wytrącają cię spokojni, opanowani ludzie.

Max nie odwrócił spojrzenia. Widziałam, że jest przekonany, że patrzy na agentkę działającą poza prawem i w tej chwili próby wybicia mu tego z głowy byłyby na nic. Powiedział:

– Oczywiście w tej chwili mam po prostu dużo punktów. Ale mam powiązanie między tobą i Lynchem, i sprawą Drogi 66. Teraz trzeba znaleźć twoje powiązanie z Peasilem. Może nie przez Lyncha. Zaczynam myśleć, że to mogło być przypadkowe spotkanie, że próbowałaś go obezwładnić i sprawy wymknęły się spod kontroli. Nie chciałaś go dziabnąć w tętnicę. Nie

musimy tego nazywać morderstwem, Brigid. Możemy to nazwać samoobroną.

Max, choć próbował udawać, że leży mu na sercu wyłącznie moje dobro, cały czas łowił po omacku. To mi dowiodło, że Carlo, choć twierdził, że mnie nie zna, że mnie już nie kocha, nie powiedział jeszcze Maksowi o zakrwawionych ubraniach w pralce. Gdyby powiedział, Max zabrałby mnie na posterunek. Nie przejmowałam się już nawet, że mogę zostać aresztowana, ale wiedziałam, że kiedy to się stanie, niemal na sto procent będzie po Coleman. A to mi przypomniało, że marnuję cenny czas. Musiałam zakończyć tę rozmowę.

– Ty mógłbyś to nazwać samoobroną? Oboje wiemy, że nie masz mocy mi tego zagwarantować. Gdyby to się stało tak jak sugerujesz, prokurator raczej uznałby to za nieumyślne zabójstwo. I to przy dużym szczęściu. Trudno byłoby udowodnić, że wyszkolona agentka z podejrzaną przeszłością przebiła tętnicę niechcący. Szczególnie jeśli potem zacierała ślady. Nie, założę się, że prokurator uznałby to przynajmniej za zabójstwo drugiego stopnia. Ale ja tego nie zrobiłam, Max. – Starłam się zachować spokojny, nieagresywny, miękki ton głosu. Nie chciałam go doprowadzić do wściekłości, tylko do opuszczenia samochodu. – Jeśli mnie teraz przymkniesz, to skończy się na tym, że będziesz parę godzin pisał bardzo długi i zawily raport. Nie masz żadnych świadków ani fizycznych dowodów. Nie masz nawet narzędzia zbrodni.

Max pochylił się tak blisko mnie, że poczułam wilgotny oddech i burgera, którego zjadł na kolację. Przyjęłam to bez krzywienia się, ale i bez równie agresywnych gestów. Tym samym tonem, jakiego użyłby do wskazania chmury na niebie, powiedział:

– Carlo to dobry człowiek. Dlatego chcę być bardzo ostrożny, zanim zrobię coś, co mu zrujnuje życie.

17 sierpnia 2011, godzina 22.35

Max nie chciał wysiąść z samochodu, dopóki mu nie powiem, gdzie się zatrzymałam. Powiedziałam mu więc, że mieszkam w Sheratonie przy Speedway, w pokoju sto siedemdziesiąt cztery.

Po czym pojechałam do hotelu, zabrałam rzeczy i wyniosłam się bez wymeldowywania.

Pakując do bagażnika swój dobytek w worku na śmieci, przypomniałam sobie o zakrwawionych rzeczach w przechowalni. Kiedy Max robi z tego pełnoprawne śledztwo, z miejsca sprawdzi moje wyciągi z kart kredytowych i znajdzie comiesięczny czynsz za boks w przechowalni. Musiałam w miarę szybko wybrać się na wycieczkę na pustynię z tymi ciuchami, bańką benzyny i zapalkami.

A na razie dom Coleman był dla mnie idealną kryjówką. Był o wiele lepiej wyposażony niż hotelowy pokój. Było w nim jedzenie. Wiedziałam, że nikt tu nie przyjdzie, bo wszyscy mieli ją w nosie. A gdyby jakimś cudem wróciła, dowiem się o tym pierwsza.

Coleman miała też wybitą szybę w tylnych drzwiach, która ułatwiała dostanie się do środka. Weszłam tamtędy, rzuciłam torebkę i worek z ciuchami na kanapę, włączyłam klimatyzację i lampkę na biurku.

I miała komputer. Zabezpieczony hasłem. Najpierw spróbowałam hasła „hasło”, oczywiście, a kiedy to nie zadziałało, kombinacji imienia i nazwiska. I to nie wyszło, więc spróbowałam sobie przypomnieć imię jej zwierzaka. Osiemdziesiąt procent ludzi jako hasło w domowym komputerze ustawia imię zwierzaka, a ona przecież powiedziała mi o swoim w barze. Miniaturowy sznaucer. Duncan.

To też nie zadziałało. Od nowa przeszukałam jej biurko i tym razem znalazłam listę przyklejoną do wnętrza szuflady. Było na niej ze dwadzieścia różnych kont, każde z innym hasłem składającym się z przypadkowych cyfr. Coleman miała doświadczenie w wykrywaniu oszustw, prowadziła sprawy kradzieży danych osobowych. Powinnam była się domyślić.

Na samej górze było hasło dostępu do komputera, 4597358. Czekając, aż sprzęt się odpali, obejrzałam sobie te rzeczy na biurku i w szufladach, które pominęłam, kiedy szukałam adresownika. Znalazłam upominkowy arkusz nalepek ze zwrotnym adresem Funduszu Badań nad Chorobą Alzheimera. Pudełko bezpłatnych kart gratulacyjnych, z geometrycznym wzorem tak nijakim, że mogły służyć i do składania gratulacji, i kondolencji. Podkładkę pod szklankę z wycieczki do Cancunu. Ta podróż to musiało być wielkie wydarzenie.

Weszłam na jej konto pocztowe, by sprawdzić, jakie wiadomości pojawiły się przez ostatnie trzy dni i czy któraś była otwierana. Wśród reklamówek agencji nieruchomości i codziennych biuletynów informacyjnych Biura znalazłam dwa osobiste e-maile w folderze „wysłane”. Pierwszy był ten, który Coleman napisała do mnie rano, „A przy okazji miałaś rację! W pewnym sensie”, a drugi wyszedł po południu, do Maisie, i informował, że Coleman zamierza spędzić trochę czasu przy chorej mamie. Jeśli to nie ona wysłała tę wiadomość, to ciekawa byłam, co jej zrobili, żeby wydobyć od niej hasło i posłużyć się jej kontem.

W poczcie przychodzącej był jeszcze jeden osobisty e-mail, ten ode mnie, w którym lekko ją opieprzałam i pytałam, gdzie się podziała.

Mój list był otwierany.

Przeczytał go ten ktoś, kto z jej konta wysłał wiadomość do Maisie.

Gdybym wciąż pracowała w Biurze i ktokolwiek by mi ufał, łatwo byłoby ustalić adres IP tej osoby.

Odtworzyłam w głowie możliwe scenariusze. Być może porywacz obezwładnił Coleman i skorzystał z komputera na miejscu. Albo zabrał ją gdzie indziej, w bezpieczniejsze miejsce, i zalogował się na jej konto z własnego komputera. Bez dobrego technika nie mogłam tego stwierdzić.

Sfrustrowana odwróciłam się z powrotem do biurka i spojrzałam na schludny stos trzech czarnych segregatorów, które pominęłam wczoraj, bo nie były tym, czego szukałam. Dźwignęłam górny i przełożyłam na blat przed sobą. Trzy segregatory zawierały cały komplet akt ze sprawy Lyncha, nie okrojona, jednoteczkową wersję, którą dała mi Coleman. To był kompletny oryginał, łącznie z pamiętnikami Lyncha i wszystkimi zdjęciami z miejsc znalezienia ciała. Coleman nie powiedziała mi, że ma całość, a wyniesienie tego z siedziby było poważnym naruszeniem procedur.

Ale jeśli miała takie kłopoty, jak podejrzewałam, procedury były jej najmniejszym zmartwieniem. Co takiego wiedziałyśmy, ja i ona? Co było takim zagrożeniem? Musiałam się tego dowiedzieć i przyprzeć do muru Lyncha. Wtedy może on da mi coś, cokolwiek, co pomoże mi ją znaleźć.

Notes, w którym robiłam zapiski, wciąż leżał na moim biurku w domu. Ale wysłałam je też do Coleman w e-mailu, więc teraz wyciągnęłam tę wiadomość z folderu „usunięte”. Spojrzałam na notatki i miałam wrażenie, że zrobiłam je w innym życiu, kiedy jeszcze byłam inną osobą. Zweryfikowałam je z raportami w oryginale akt, z działaniami techników kryminalistycznych, z listami dowodów, osobistych rzeczy. Tyle że tym razem miałam też zdjęcia. Mnóstwo zdjęć ofiar, i na miejscu znalezienia zwłok, i na stole sekcyjnym, łącznie z fotkami zrobionymi przy porzuconym samochodzie.

Gdyby to śledztwo wciąż było otwarte, gdyby Lynch tak szybko nie poszedł na ugodę i gdyby Morrison nie palił się tak bardzo do przyjęcia gratulacji za złapanie siedmiokrotnego mordercy, byłoby tego więcej niż trzy segregatory. Byłyby całe pudła.

Mimo to, mając tutaj wszystko, złapałam drugi segregator i zaczęłam przekładać strony, czytać protokoły z zeznań Lyncha. Na temat kobiety, której ciało Lynch zmumifikował, było niewiele – tylko tyle, że była nielegalną imigrantką z Meksyku. Tak jak powiedział Manriquez, miał tylu niezidentyfikowanych nieszczęśników w chłodni na tyłach kostnicy, że tylko ręce załamać.

Dalej były ofiary z Drogi 66 – całe strony na ich temat – i Lynch podał prawidłowo wszystkie detale, jeśli nie liczyć paru wpadek z zapomnienia. Z wyjątkiem tej jednej, którą nazwał przydrożną gadziną. W transkrypcjach jego zeznań było niewiele o niej i o nocy, kiedy ją zabił. Patrzyłam na zdjęcie tego, co z niej zostało – zwiniętej w pozycji płodowej w samochodzie, zanim ją wyciągnęli i odpadła jej głowa i noga. Przypomniałam sobie, jak Morrison pod budynkiem sądu oznajmił, że wszystkie amerykańskie ofiary zostały zidentyfikowane. Ale oślepiiony blaskiem sukcesu – przede wszystkim sukcesu, jakim było odnalezienie Jessiki Robertson – zapomniał o tej.

– Kim jesteś? – spytałam. – I dlaczego nikogo nie obeszłaś?

Może to było właściwe pytanie. Może ta jedna ofiara mogła mi pomóc, ta jedyna, która nie została zidentyfikowana. Może przydrożna gadzina była w bazie danych, o której mówił mi Sig, i pytając, kim ona jest, zadawałam właściwe pytanie.

Spojrzałam na zegarek. O tej porze roku na Wschodnim Wybrzeżu było trzy godziny później, bo Arizona nie zmienia czasu na letni. W Waszyngtonie była druga trzydzieści w nocy.

Zadzwoiłam do Siga. Odebrał po drugim dzwonku i nie wydawał się zaspany. Poczułam się jak za starych czasów.

– Tu Brigid. Mam pytanie.

– Cześć, Oso. Jak się czujesz?

On naprawdę chciał to wiedzieć, ale mnie ciągle bolały jego insynuacje, że cierpię na stres pourazowy, więc nie odpowiedziałam mu.

– Jak się nazywa ta strona, o której mi mówiłeś? Ta z zaginionymi osobami?

– Miałem do ciebie jutro dzwonić. Kazałem porównać wideo z przesłuchania z taśmami z podsłuchu Jessiki i przeprowadzić analizę głosu, szczególnie tej części, gdzie Lynch i porywacz podwyższają głos, żeby udawać kobietę.

– No i?

– Wynik jest niejednoznaczny, niestety.

– Dzięki. A strona?

– NamUs. Ruszyła jakieś dwa lata po twoim odejściu z Biura. Jedna baza danych skupia wszystkie znane informacje na temat osób zaginionych i dopasowuje do drugiej bazy, osób niezidentyfikowanych. Ludzie mogą się dzięki temu dowiedzieć, czy osoba znaleziona żywa lub martwa pasuje do osoby, której szukają. I mogą dodawać informacje.

– Jaki to ma adres?

– www.findthemissing.org. Ciągłe szukasz agentki Coleman? Bo nie sądzę...

– Nie. Mówisz, że tam są też dane o niezidentyfikowanych zwłokach?

– Tak. Nie wiem, czy osoba, której szukasz, tam jest, ale baza rośnie w tempie wykładniczym i każdy ma do niej dostęp. Nie potrzeba specjalnych uprawnień. Oso?

– Co?

– Jesteś wściekła.

– Naprawdę? – Rozłączyłam się. Nie byłam pewna, czy NamUs mi pomoże. Nie bardzo wiedziałam nawet, co to znaczy „rośnie w tempie wykładniczym”, poza tym że zawiera cholernie dużo informacji.

Świadoma, że może to być kolejny ślepy trop, na który marnuję cenny czas, wpisałam adres.

Kiedy już byłam na stronie, wpisałam wszystko, co wiedziałam o przydrożnej gadzinie, czyli dość niewiele. Kobieta. Rasy kaukaskiej (zakładałam, że nie była nielegalną imigrantką). Poniżej dwudziestu lat, nie, lepiej poniżej trzydziestu, na wszelki wypadek. Czas zaginięcia, od roku poprzedzającego o dwa lata pierwsze znane nam morderstwo. Miejsce zaginięcia... powiedzmy, cała Arizona.

Wskoczyło mi tuzin nazwisk, większość ze zdjęciami. Nie miałam czasu sprawdzać tych wszystkich kobiet. Przeszłam z powrotem na początek, by sprawdzić, jakie jeszcze mam opcje. Znaki szczególne. Czy dało się je zauważyć na zmumifikowanym ciele? Czy patolog w ogóle zwracał sobie głowę autopsją jej ciała, czy tylko zapakował ją do worka i na razie umieścił w lodówce?

By sprawdzić, czy w aktach jest raport z autopsji, złapałam trzeci segregator i otworzyłam okładkę. Tuż pod nią była kremowa książeczka, jakieś piętnaście na dwadzieścia centymetrów, zbindowana na węższym boku, zatłuszczona i zabrudzona ziemią, z oślimi uszami od nieustannego użytku. Część oryginalnych akt czy coś ekstra? Otworzyłam książeczkę. Na pierwszej stronie wypisane było nazwisko Floyda Lyncha, a dalej ujrzałam stronę za stroną najróżniejszych danych. Karty drogowe prowadzone na wypadek kontroli.

Pudełko, które zabrałyśmy z przyczepy Lynchów, wciąż stało na podłodze obok biurka. Otworzyłam tekturowe kłapy i ujrzałam więcej książeczek z kartami drogowymi. Musiały leżeć

na dnie pudła. Coleman poukładała je, przejrzała i wybrała jedną. Przypomniałam sobie jej mail o spotkaniu w areszcie i o tym, że znalazła coś, co ją ucieszyło.

Książeczka, którą wybrała, była z 2004 roku. Już na sam widok tej daty puls mi przyspieszył. W starannych zapiskach było wszystko: kiedy była ważona ciężarówka, kiedy Lynch przeładowywał towar, nawet ile czasu poświęcił na sen i jedzenie. Ale co ważniejsze, były tu trasy i daty, kiedy nimi jeździł. Przejrzałam całą książeczkę, dokumentującą jego ruchy dzień po dniu od początku roku do sierpnia. Było w niej tyle szczegółów, że chyba tylko geniusz stworzyłby takie alibi. Byłam przekonana, że patrzę na prawdziwe dane.

W końcu dotarłam do daty, której szukałam. Pierwszy sierpnia 2004, czyli tego dnia, kiedy Jessica Robertson została zamordowana gdzieś między Tucumcari i Albuquerque, Floyd Lynch był bardzo daleko od drogi stanowej nr 40, zwanej Drogą 66. Był w Teksasie na parkingu firmy Flying J, na drodze nr 10 pod El Paso, osiemset kilometrów na południowy zachód od miejsca zbrodni. Był to twardy dowód, że Floyd Lynch nie zabił Jessiki Robertson, a tym samym nie był mordercą z Drogi 66.

1 sierpnia 2004, godzina 21.14

Zawsze wiedzieliśmy z grubsza, gdzie zostanie porwana kolejna ofiara: na kilkusetkilometrowym odcinku Drogi 66 albo na którejś z krzyżujących się z nią szos. Wiedzieliśmy też mniej więcej, kiedy to nastąpi: między początkiem lipca a końcem sierpnia. Można by pomyśleć, że mogliśmy wytyczyć zagrożony obszar i pilnować przez ten czas całego terenu, ale to był absurd. Syn Sama nie dał się złapać na o wiele mniejszym terytorium, na którym działał. Zamiast tego próbowaliśmy ustalić konkretne odcinki drogi, którymi naszym zdaniem będzie jeździł morderca. Na wszystkich parkingach i zatokach dla podróżnych umieściliśmy ostrzeżenia, by nie jeździć autostopem. Nasz ptaszek zdawał się tylko cieszyć z trudniejszego wyzwania.

Historyczna Droga 66 została przekształcona w Międzystanową Drogę numer 40, porządnie wyasfaltowaną i gęsto uczęszczaną. Z początku, zanim zaczęliśmy go nazywać Nauczycielem, sądziliśmy, że może to być kierowca ciężarówki, który regularnie jeździ tą trasą, czy to długim osiemnastokołowcem przez cały kraj, czy mniejszym dostawczakiem między pobliskimi miastami. Sprawdziliśmy co do jednej wszystkie firmy spedycyjne, które puszczają ciężarówki na tę trasę, i wszystkich pieprzonych kierowców, którzy nimi jeździli. Nie znaleźliśmy nikogo, kogo można by uznać za sprawcę. Przez lata powoli popadałam w obłęd, przez cały rok myślałam o tych letnich miesiącach i o tym, jak go dopaść, zanim znów zabije. Myślałam w ten sposób przez cztery lata, zanim Jessica trafiła do naszego zespołu i wyszkoliliśmy ją do zadania, którego ja już nie mogłam się podjąć.

Baxter z Navy Seals już wtedy nie żył, ale szkoliłam Jessicę osobiście. Nie zaniedbując codziennego kieratu zwykłych spraw kryminalnych, od stycznia do czerwca Sig pracował z nią w każdej wolnej chwili i uczył, jak zdemaskować mordercę, a ja nauczyłam ją wszystkich technik obezwładnienia go, od czternastu punktów nacisku po łamanie obojczyka. Na początku czerwca byłam już pewna, że dziewczyna jest gotowa. Strasznie chciałam złapać tego gnoja.

Wieczorem pierwszego sierpnia 2004 roku, sto osiemnaście kilometrów na zachód od Tucumcari w Nowym Meksyku, siedziałam w furgonetce naszpikowanej elektronicznym sprzętem szpiegowskim, z jeszcze dwoma agentami, którzy umieli się nim posłużyć. Mieliśmy włączoną klimę, ale i tak śmierdziliśmy potem. Pamiętam ten zapach z czasów, kiedy tata zabierał nas na ryby na pomost w Hillsboro. To był pot wyciśnięty nie tyle przez florydzki wilgotny upał, co przez oczekiwanie, aż barakuda chwyci przynętę. I właśnie to robiliśmy tego wieczoru: czekaliśmy, aż ryba złapie przynętę, którą opuściliśmy do wody. Dyndaliśmy Jessicą na wędce. I tak jak na Florydzie, gdzie z końca pomostu rzadko można złapać coś lepszego niż skalara, mieliśmy marne szanse, że ta jedna dziewczyna trafi akurat na mordercę. Ale to działo się już od pięciu lat i nie obchodziło nas, ile czasu i pieniędzy wyrzucimy w błoto, byle tylko nie stało się znowu.

Jessica miała podsłuch i nadajnik GPS. Słyszała nas przez urządzenie udające iPod'a. Pamiętam, jak się śmialiśmy, kiedy zaczęła kiwać głową w rytm muzyki, której nie słyszała. Nasza furgonetka była zaparkowana kilometr dalej, przy bocznej drodze, żeby nikt przejeżdżający szosą nie zauważył jej i nie nabrał podejrzeń. Trzymaliśmy się tylko na tyle blisko, by nie stracić sygnału. Gdyby Jessica została zabrana przez podejrzanego osobnika,

byliśmy gotowi jechać za nią i ostrzec patrol drogowy, który czekał kawalek dalej.

Teraz przypominałam sobie jeszcze jeden zapach z tej furgonetki, doritos o smaku „cool ranch”. Tony Vinzetti, jeden z supertechników wypożyczonych na lato z Oddziału Terenowego w Albuquerque, chrupał doritos, paczkę za paczką, żeby zabić nudę. Jessica też je lubiła i wzięła paczkę ze sobą, żeby podjadać, kiedy będzie chodzić po wyznaczonym odcinku pobocza.

Pewnie pomyślicie, że ubraliśmy ją jak dziwkę, w miniówkę i obcisły top, ale to by było jak powieszenie na niej tabliczki z napisem „przynęta”. Wykorzystując jej drobną posturę, zdecydowaliśmy się na wygląd dziewczyny na gigancie, łatwiejszą ofiarę niż studentki, które czasem podróżowały w grupach, ale nie tak podejrzaną jak prostytutka spacerująca w kompletnej głuszy. Poza tym łatwiej było ukryć kable pod dżinsami i koszulką tylko na tyle obcisłą, by sugerować naiwność. Koszulka była stara, z logo Rolling Stonesów; znacie ten jęzor.

Dla uzupełnienia kostiumu Jessica miała plecak z paroma ciuchami, pod którymi ukryliśmy lokalizator GPS. Na klapie wymalowała lakierem do paznokci pacyfę – ładny akcent. Na kostce pod rozszerzonymi dżinsami miała kaburę z małym pistoletem. Nie trzeba było jej specjalnie ukrywać, bo przecież dziewczyna nie szła na spotkanie mafijnych bossów. Ten, kto ją zabierze, nie będzie jej obszukiwał, a gdyby spróbował, miała go natychmiast obezwładnić i czekać, aż ją dogonimy.

Przypominałam sobie, że te doritos pożerane przez Tony’ego doprowadzały mnie do szału.

– Musisz tak chrupać? – spytałam.

Tony zaczął chrupać jeszcze głośniejsze, o ile to było możliwe.

Zwróciłam się do drugiego technika, w podobnym wieku co Tony, ale dojrzalszego. Nie pamiętam jego nazwiska. Yves Coś Tam Francuskiego przez cały czas oczekiwania nie wyściubiał nosa z kieszonkowego wydania powieści. Emil Zola, *L’Abattoir*. Pamiętam ten tytuł, bo ciągle powtarzałam go szeptem, podobał mi się dźwięk. Zapytałam go, co to znaczy, i wyjaśnił mi, że rzeźnia. Urodził się w Montrealu, zawsze marzył o pracy za granicą. Pamiętam wszystko z tamtego wieczoru.

– Ciebie to nie doprowadza do szału? – spytałam go o chrupanie Tony’ego.

Spojrzał na mnie lekko szklistymi oczami, widziałam więc, że nie do końca wyszedł z książki, być może wciąż myślał po francusku.

– Hej? – spytał.

– Nieważne.

Yves wrócił do świata, który w razie konieczności mógł w każdej chwili odłożyć.

– Tony, przynajmniej possij je trochę, zanim zaczniesz gryźć, co? Zmiękczej je, żeby nie były takie głośne. Jak chcesz usłyszeć Jessicę, kiedy robisz taki hałas?

Usłyszałam odpowiedź Jessiki w słuchawkach: głośne chrupnięcie. Ona słyszała nas tak samo jak my ją.

– Hej, Tony – powiedziała z ustami pełnymi doritos. Przełknęła, więc jej kolejne słowa były bardziej zrozumiałe. – Zróbmy eksperyment. Sprawdźmy, ile trzeba ssać, żeby zmiękczyć jedną chrupkę. Trzy cztery, start. – Rozległo się głośne ciamkanie, jeszcze gorsze niż chrupanie. Nawet Yves się roześmiał. Tego wieczoru wszyscy byli przeciwko mnie, mali dranie. A obaj chłopcy kochali się w Jessice.

Nie mieliśmy pewności, że morderca działa tylko nocą, więc siedzieliśmy tam od późnego popołudnia, kiedy już się trochę ochłodziło i łatwiej było uwierzyć, że ktoś łapie stopa. Godziny się wlokły, przetykane chwilami alarmu, kiedy coś mogło się stać, ale się nie działo. Jessica trochę rozmawiała ze mną, ale przede wszystkim gadała z Tonym o zespołach muzycznych, programach telewizyjnych i celebrytach, których nie znałam.

Nagle powiedziała, że jakiś samochód zwalnia. Przyjrzała mu się.

– Chyba mężczyzna, po dwudziestce, jedzie małą ciężarówką. Mam wsiadać?

Mam przed oczami jej twarz, wyobrażam sobie, jak odwróciła się lekko od ciężarówki, by kierowca nie zauważył poruszających się warg.

– Wsiadaj – powiedziałam. – Niedaleko masz parking, więc jeśli go wykluczysz, możesz zaraz wysiąść.

Zatrzymał się. Jessica odczekała, aż opuści szybę. Wyobrażam ją sobie, jak chwyta szelki plecaka, jakby przygotowywała się, żeby wsiąść do samochodu.

– Podrzuci mnie pan? – spytała głosem małej dziewczynki.

Usłyszeliśmy, że facet mówi:

– A zrobisz mi laskę?

Jessica milczała, wyobrażałam sobie, jak udaje, że to rozważa. Dzięki Sigowi wiedziałam, że szukamy o wiele sprytniejszego człowieka niż ten, kogoś pełnego uroku i pozornej empatii. Szepnęłam:

– To nie on. Nasz nie powiedziałby czegoś tak głupiego, zanim wsiadł do samochodu.

Pogoń go.

– Wal się – powiedziała Jessica i mężczyzna odjechał ze śmiechem.

Szła dalej. Minęło ją kilka samochodów, które uznała za obiecujące, z samotnymi mężczyznami za kierownicą. Z protokołu wynika, że o 21.17 została zabrana przez kolejnego młodego mężczyznę, grzeczniejszego niż tamten. Nazywam go ogólnikowo „młodym mężczyzną”, bo tyle zdążyła wymruczeć, zanim wsiadła do samochodu. Oczywiście nie mogła nam podać rysopisu, nie zdradzając, że ma podsłuch.

We trójkę przez chwilę słuchaliśmy banalnej rozmowy.

– Jak ci na imię?

– Natalie. A tobie?

– Richard. Richard Rogers.

– Och, jasne – szepnęłam, ale chyba nikt oprócz mnie nie uważał, że nazwisko jest zmyślone.

– Czego słuchasz? – wypytywał dalej.

– Ramones.

– To dość stary zespół. Ile masz lat?

– Siedemnaście – odparła po chwili wahania, dzięki której wyglądało to na kłamstwo.

Milczenie.

– To miejsce jest dość daleko od czegokolwiek.

– No i co?

– Co tutaj robisz?

Przewidzieliśmy tę część rozmowy w scenariuszu. Widziałam, jak Tony bezgłośnie powtarza równo z Jessicą:

– W domu zrobiło się nieciekawie. Wyniosłam się.

– Musiało się zrobić bardzo nieciekawie, skoro uciekłaś. U mnie nigdy nie było aż tak źle.

Widocznie miałem szczęście.

Zdanie niewymagające odpowiedzi, więc Jessica się nie odzywała. Jechali w milczeniu przez kilka minut. Nagle on odezwał się ciszej, wolniej, bardziej poważnie:

– Powiedz mi, Natalie, myślisz, że jesteś gotowa na śmierć?

Tony i Yves drgnęli, jakby szpiegowski sprzęt poraził ich prądem. Ja zacisnęłam zęby i zauważyłam, że drży mi kciuk prawej dłoni.

– Spokojnie, Jess. Jesteśmy tu z tobą – szepnęłam. – Przejdź na kolejny poziom. Zaczynaj

go przyciskać.

Jessica była bardzo zdenerwowana. Jeśli to było udawane, to była cholernie dobrą aktorką. Jej głos lekko drżał, przez co wydawała się słaba, była ofiarą.

– Możesz mnie tutaj wysadzić, Richard?

– Jesteśmy na kompletnym pustkowiu – odparł.

– Zatrzymaj samochód. Wypuść mnie.

– Co się stało? – zaczął.

– Boję się ciebie. – Brzmiała bardzo bezbronnie.

Długo milczał i nagle się roześmiał.

– Czekaj, ty pomyślałaś, że ja ci grożę tym gadaniem o śmierci?

– Może się tobą bawić – szepnęłam. – Nie odpuszczaj.

– Chcę wysiąść z samochodu, w tej chwili – powiedziała Jessica.

Mężczyzna nawet nie zwolnił.

– Przykro mi. Ja tylko wypełniam swój misjonarski obowiązek. Jestem z Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. No, wiesz, mormoni. Nie chciałem cię wystraszyć. Naprawdę. No popatrz na mnie. – Zdaje się, że zaryzykował oderwanie wzroku od drogi, żeby mogła mu spojrzeć w oczy.

– Ja cię... ale żeś mnie wystraszył – zaimprovizowała Jessica.

– Przepraszam – powiedział znów i chyba naprawdę był skruszony. – Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wystarczająco ufasz Panu, żeby zapewnić sobie wieczny spokój.

– Super – rzuciła Jessica, wciąż trochę podejrzliwie.

Znów zapadła cisza, wiedziałam, że Jessica czeka na instrukcje.

– To nie nasza rybka. Urwij się od niego, mała – poleciłam jej.

Richard powiedział:

– Zawaliłem, co? Chyba jeszcze nie dopracowałem swojej misjonarskiej gadki. – Był autentycznie załamany, miałam wrażenie, że gdybyśmy go mogli widzieć, tłukłby głową o kierownicę.

– Słuchaj, po prostu wysadź mnie na najbliższym parkingu – odparła Jessica.

– Przysięgam ci, że jestem w porządku. Nie zrobię ci krzywdy, a przydałoby mi się towarzystwo. Człowiek jest trochę samotny, kiedy nikt nie chce z nim rozmawiać o Bogu.

– Współczuję ci, stary. Ale muszę zadzwonić.

– Jakież osiem kilometrów przed nami jest parking Flying J. Ale może chcesz skorzystać z mojej komórki?

– Eee... nie – odparła, nie przejmując się wymyśleniem powodu.

Szepnęłam do niej:

– Nawet dzieciak na gigancie miałby komórkę. Następnym razem powiedz, że jesteś umówiona z koleżanką. – Wyobrażałam sobie, jak ledwie dostrzegalnie skinęła głową, choć nie mogliśmy jej widzieć.

Richard Rogers wysadził Jessicę na parkingu Flying J i pojechał dalej. Kiedy już upewniła się, że nikt nie zauważył zmiany kierunku jej podróży, zaczęła wędrować po przeciwnym poboczu w tę stronę, z której przyjechała. Było jeszcze jasno. Morderca nie zabrałby jej z postoju dla kierowców, gdzie ktoś mógłby go zauważyć, ale mógł pojechać za nią. Kiedy tak szła, trochę rozmawialiśmy.

– Mała, nie zauważyłaś przypadkiem, czy ten chłopak miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i cienki czarny krawat? – spytałam.

– Tacy zawsze jeżdżą rowerem, więc odpieprz się, Trenerze – odgryzła się przyjaznym tonem. Czułam, że uśmiecha się w odpowiedzi na mój uśmiech. Była gorliwa jak ja w jej wieku.

Wiedziałam już, że będzie w tym dobra.

Znów zaczęliśmy się mieć na baczności, kiedy wziął ją do samochodu sympatyczny starszy pan (dla Jessiki przedział „starszy” zaczynał się już przed pięćdziesiątką). Startował do niej, ale nie groził ani nie próbował używać przemocy.

– Zbyt jawnie się przywala. Puść go – powiedziałam. Poprosiła, żeby wysadził ją na poboczu. Nie zwolnił. Poczulałam nerw mrowiący na szyi. Chłopcy wstrzymali oddechy. Facet zaproponował jej piwo.

Usłyszeliśmy jej głos:

– Nie powinnam pić, mam czternaście lat, okej?

Samochód stanął, drzwi otworzyły się i zamknęły, samochód odjechał. Jessica głośno ziewnęła.

– Czy my cię nudzimy? – spytałam.

– Nie, po prostu mi gorąco. Ciepła noc, nie?

Żadne z nas nie odpowiedziało; w naszej furgonetce też było gorąco, może nawet bardziej niż na dworze. Jessice chyba nie zależało na odpowiedzi, mówiła raczej do siebie.

– Miło wiedzieć, że jesteście tam wszyscy, chociaż to ja mam nad wszystkim kontrolę. To trochę jak numer kaskaderski z zabezpieczeniem. – Przeszła jeszcze kawałek. – Jego tu chyba nie ma – rzuciła.

– Och, na pewno jest – odparłam. – Oglądałaś *Szczęki*?

Wszyscy usłyszeliśmy w słuchawkach:

– Na, na. Na, na. Na-na-na-na-na...

Tony i Yves znów się roześmiali. Jessica powiedziała:

– Trenerze, ile ja mam lat według ciebie?

– Koza jesteś – odparłam i przeciągnęłam się, myśląc o hotelu i zażyciu zimnej szkockiej na supeł w plecach. – Powinniśmy się zwijać na dzisiaj. Robi się późno, dziewczyna na poboczu będzie wyglądać podejrzanie.

– Podjedźcie po mnie? Zaraz, żebyście nie musieli nadkładać drogi, może złapię jeszcze jedną okazję do parkingu na drugim końcu.

– Możemy cię zgarnąć, żaden problem. – Szturchnęłam Tony’ego, żeby wyłączył sprzęt nasłuchowy.

Zanim Tony wcisnął guzik wyłączający radio, Jessica powiedziała:

– Jakaś kobieta zwalnia. Założę się, że dostanę kolejną dawkę religii.

– Odeślij ją. Jedziemy po ciebie.

Usłyszeliśmy, że drzwiczki się otworzyły.

– Ona ma klimę – szepnęła Jessica.

Byliśmy zmęczeni, wygłupialiśmy się, zaczynaliśmy się niecierpliwić, siadła nam czujność – może dziesięć wymówek wyjaśniłoby to, co się stało potem.

Uniosłam palec, by powstrzymać Tony’ego przed wyłączeniem radia, i powiedziałam do Jess:

– Ależ jesteś uparta. Okej, kiedy dojedziesz na parking, wysiądź, ale przejdź się kawałek na wschód, żebyś nie była pod latarnią, kiedy cię zgarniemy.

– Dziesięć cztery, Trenerze – szepnęła równie cicho jak przedtem.

– Wyłączam się, bez odbioru.

Obydwie obśmiałyśmy się cicho z policyjnego żargonu i zdjęłam słuchawki. Yves wrzucił bieg i po wyboistym, ubitym piachu wyjechał na szosę. Nie spieszył się, bo Jess była przynajmniej ze trzydzieści kilometrów na zachód od nas i wiedzieliśmy, że nie dogoni nas zbyt szybko. Jakies dziesięć minut później wjechaliśmy na parking dla ciężarówek. Yves i Tony poszli

dokupić więcej śmieciowego żarcia na drogę do hotelu. Wrócili z wielką siatką i zapytali, czy chcę truskawkowych twizzlersów. Odmówiłam, ale wzięłam colę. Yves zatankował furgonetkę. Widać było, że nie może się doczekać dnia, kiedy tankowanie furgonetek nie będzie należało do jego obowiązków.

Przejechaliśmy przez parking, mijając rząd dziesięciu osiemnastokółowców; we wszystkich było ciemno, ich kierowcy spali albo jedli kolację w barze, brali prysznic, sprawdzali pocztę. Na wszystkich postojach były darmowe komputery.

Znaleźliśmy sobie kawałek pobocza tuż przed zjazdem na szosę. Yves zapalił małą latarkę i wrócił do książki. Tony z zamkniętymi oczami ssał twizzlersa. Teraz to ssał, złośliwiec. Ja wyglądałam przez tylne okienko, wypatrując Jessiki, która lada chwila powinna była nadejść.

Ale nie nadeszła. Spojrzałam na zegar na desce rozdzielczej: 22.52.

– Coś jest nie tak – powiedziałam.

Może to przez ton mojego głosu, ale nawet Yves oderwał oczy od książki. Bez pytania zapalił silnik i zawrócił na parking. Tymczasem Tony na nowo włączał radio i GPS.

– Jessica, odezwij się – powiedziałam.

Nic.

– Jessica, jesteś tam?

Nic.

– Masz ją? – spytałam Tony’ego.

– Mam – odparł z ponurą miną. – Jest o wiele dalej, niż powinna być.

– My też przejechaliśmy kawałek drogi – rzuciłam, po głupiemu klóćąc się z ekspertem.

– Jest dalej na zachód niż wtedy, kiedy ostatni raz z nami rozmawiała. Wygląda na to, że pojechała w przeciwnym kierunku.

– Jak szybko się porusza?

– Stoi w miejscu.

– Jest poza zasięgiem radia? Dlatego nie odpowiada?

– Być może.

– Yves, jedziemy.

Yves dodał gazu i wypadł z parkingu, kierując się z powrotem na zachód, do miejsca, które wskazywał GPS, jakieś czterdzieści kilometrów od nas. Przez cały czas mówiłam do Jessiki, z każdą próbą mając nadzieję, że to tylko kwestia odległości, że ta kobieta potrzebowała jechać w przeciwnym kierunku, a Jessica nie mogła nic powiedzieć, żeby nas o tym poinformować. Ufała, że jej pilnujemy.

Aż w końcu coś usłyszałam. Muzykę.

– Co jest, kurwa? – rzucił Tony.

– Kiedy księżyc wschodzi nad góra-a-a-a-mi...

– To albo płyta, albo ta babka potrafi nieźle naśladować Kate Smith – powiedziałam.

– Kogo? – spytał Tony.

– Później ci powiem – odparłam, nasłuchując uważnie, odrobinę mniej nerwowa na myśl o tym, kto może słuchać Kate Smith.

– To jeden z dowcipów Jessiki? – spytał Tony.

– Jeśli tak, to ją zabiję. Bądźcie gotowi wezwać wsparcie – powiedziałam. – Yves, decha. Przyspieszył do jakichś stu sześćdziesięciu i pędził tak, a śpiew nie ustawał:

– Boże błogosław Amerykę, mój ukochany do-o-o-om.

– Zbliżamy się do współrzędnych – oznajmił Tony jakieś piętnaście minut od chwili wyjazdu z parkingu. – Stop – powiedział.

– Niby gdzie? – rzucił zirytowany Yves, który dawno przestał być wyluzowany. – Nic nie

widzę.

Miał rację. Szosa była czarna, a księżycy taki skrawek, że poza snopami reflektorów nie było widać nic. Mimo to Yves zjechał na pobocze. Siedzieliśmy przez sekundę, cichutko, jakbyśmy mogli ją usłyszeć. Ale słyszeliśmy tylko Kate Smith, śpiewającą:

– Urodzony na swobodzie, wolny jak wiatr...

Miałam ochotę powiedzieć Tony’emu, by uciszył tę pieprzoną Kate, ale musieliśmy mieć włączony dźwięk na wypadek, gdyby odezwała się Jessica.

Obok nas z hurgotem przejechała ciężarówka, fala powietrza i huku zabujała furgonetkę. Potem znowu nic. Wysiedliśmy z latarkami, już się nie kryjąc. Wzięliśmy broń, choć sędzę, że tylko ja jedna umiałam się nią sprawnie posłużyć. Ci faceci byli technikami, nie agentami.

Tony przebiegł przez drogę, by sprawdzić, czy czegoś tam nie znajdzie, a Yves i ja przeszukiwaliśmy prawe pobocze. Chyba wszyscy już wiedzieliśmy, co się dzieje, ale nikt z nas nie chciał powiedzieć tego pierwszy.

Wołanie Tony’ego. Spojrzeliśmy w tę stronę, nie widząc nic oprócz blasku jego latarki, ale nie na drugim poboczu – kawałek dalej i dużo niżej, jakby wychodził z parowu. Światło w podskokach zbliżało się do nas, przecinając jezdnię. Tony miał plecak Jessiki. Chciałam się zastrzelić tam, na miejscu, ale wtedy byłabym jeszcze bardziej bezużyteczna niż do tej pory.

Kiedy do nas dotarł, pogrzebał między ubraniami i wyjął lokalizator GPS z dna plecaka. Wyciekło ze mnie wszystko. Urządzenie musiało zostać odkryte zaraz po porwaniu Jessiki, porywacz wyrzucił plecak ze wschodniego pasa. Skoro to było takie łatwe, była to albo uzbrojona kobieta, albo mężczyzna przebrany za kobietę, który zaskoczył Jessicę. Jeśli morderca był tak inteligentny, jak przewidywał Sig, to zorientował się, że Jessica jest podstawiona, nawet jeśli się nie przyznała, i pojechał w przeciwnym kierunku niż ten, w którym szła. Takie założenie było przynajmniej lepsze niż pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

– Jedziemy – rzuciłam.

Wskoczyliśmy z powrotem do furgonetki.

– W którą stronę? – spytał Yves, aż nazbyt chętnie zwalając na mnie całą odpowiedzialność za decyzję. Ruchem podbródka wskazałam kierunek, w którym zwrócone było auto. Ruszył. Tony’emu kazałam nawiązać kontakt radiowy ze wszystkimi okolicznymi siłami mundurowymi.

– Do patroli granicznych. Agentka FBI Jessica Robertson porwana, jedzie na zachód Drogą 66 lub pobocznymi. Pojazd nieznany. Brak kontaktu werbalnego, Robertson jest incognito, prawdopodobnie obezwładniona. – Nie martwa. Nie martwa. – Podejrzany może być kobietą, najprawdopodobniej to mężczyzna przebrany za kobietę.

Usłyszeliśmy trzaski w radiu, wszystkie posterunki ruszały na pomoc, szykowały się do polowania. Kiedy wypytano nas o przybliżony obszar, usłyszeliśmy, że policja zarządza blokady drogowe w promieniu trzydziestu kilometrów. Było to ogromne terytorium i rosło z każdą chwilą. Dziesięć minut jazdy dalej dostrzegliśmy potężny snop światła i zobaczyliśmy dwa poszukiwawcze śmigłowce, oświetlające pustynię wokół nas.

– Przed nami drogowskaz, boczna droga – powiedział Yves. – Miasteczko Dahlia.

Pomyślałam o sprawie sprzed wielu lat; jeśli nawet ci dwaj słyszeli o zabójstwie Czarnej Dalii, to pewnie im się nie skojarzyło.

– Jedź prosto. – Morderca z pewnością chciał jak najszybciej się oddalić i nie ryzykowałby, że zostanie złapany na bocznej drodze... chyba że znał ten teren lepiej od nas, ale teraz nie było czasu o tym myśleć.

Kate Smith beczała: „Śni-i-ić niemożliwy se-e-en”... – kiedy w radiu odezwał się patrol Policji Drogowej Nowego Meksyku.

- Mamy pojazd.
- Położenie – warknął Tony.
- Tuż obok krajowej 285, jakieś półtora kilometra przed roгатką miasta Clines Corner.
- Od północy czy południa, na litość boską?
- Od północy. Północy.
- To zaledwie kawałek od nas – rzucił Tony i posłał mi ponury uśmiech. – Wybrałaś właściwy kierunek.

Podjechaliśmy do sześciu radiowozów błyskających kogutami i otaczających czarnego suva na wąskim poboczu.

– Sprawdziliśmy rejestrację. Wynajęty – powiedział policjant z patrolu, nie tracąc czasu na przedstawianie się.

– Dzięki – odparłam. W zasadzie on tu rządził. – Ktoś jest w środku?

– Jeszcze nie zaglądaliśmy do środka. Wygląda na porzucony.

– Jak blisko są technicy?

– Już jadą.

– Może rozciągniecie trochę taśmy, żeby wasi ludzie nie zdeptali odcisków butów czy opon dookoła?

Zrobił urażoną minę, ale coś mu powiedziało, że to nie jest odpowiedni moment na stawianie się agentom FBI.

Wróciłam do furgonetki i wzięłam sobie parę lateksowych rękawiczek, kazałam Tony’emu i Yves’owi poczekać parę minut, bo być może zaraz pojedziemy dalej, być może to nic ważnego.

Po prostu musiałam zajrzeć do środka i przekonać się, czy jest tam Jessica albo jej ciało.

Podeszłam do suva od strony pasażera i otworzyłam te drzwiczki, żeby nie zatrzeć odcisków palców kierowcy. Zapaliła się lampka kabinowa. W samochodzie nie było nikogo. Zobaczyłam tylko nadajnik Jessiki udający iPoda. Wychwytywał głos Kate Smith, wciąż wyjący z odtwarzacza „Jesteś nikim, póki ktoś cię nie pokocha... póki ktoś nie powie...” Pieprzyć procedury zachowania na miejscu zbrodni: walnęłam grzbietem dłoni w przycisk, żeby ją wyłączyć. W tej chwili zauważyłam zgnieciony chrupek dorito pomieszany z krwią na podłodze przed siedzeniem pasażera. Facet nie marnował czasu. Od razu ją unieszkodliwił, żeby nie miała szans na ucieczkę.

Polowanie objęło cały południowy zachód. Przesłuchiwalismy ludzi, sprawdzalismy dokumenty wypożyczalni samochodów (suva wynajął Elias Smith; nazwisko okazało się ślepą uliczką, było tylko literową zabawą ze słowem „alias”), wyniki badań kryminologicznych błyskawicznie przychodziły z laboratorium w Waszyngtonie, najlepszego w kraju. Odciski palców Jessiki były gęsto rozsiane po całym siedzeniu pasażera i wokół – policyjna odmiana okruszków, rzucanych, by zostawić ślad. Znaleźliśmy też inne odciski, ale żadne nie pasowały do nikogo z bazy AFIS i pewnie żadne nie należały do porywacza, który najprawdopodobniej przez cały czas miał rękawiczki. Płyta, podobnie jak pudełko od niej, znalezione pod siedzeniem kierowcy, były czyste. Cały samochód był pełen mikrośladów, na litość boską, pochodził z wypożyczalni, a morderca z pewnością specjalnie wybrał mocno używany.

Popenił jeden mały błąd: wsadził sobie do ucha słuchawkę iPoda i zostawił na niej DNA, ale było pomieszane z DNA Jessiki i nawet gdybyśmy mieli go w bazie, było tak zanieczyszczone, że trudno by było udowodnić, że należy do niego. Być może nawet słyszał mnie, jak mówię: „Jessica? Jessica, jesteś tam?”

Jeśli tak, to ja osobiście ją wydałam.

Nie przerywaliśmy polowania, ale jednocześnie przez cały czas spodziewalismy się

znaleźć zwłoki upozowane gdzieś na poboczu, tak jak poprzednie. Po tygodniu uznaliśmy, że morderca nie zamierza aż tak ryzykować, że zaszył się gdzieś w ukryciu.

Potem były już tylko konsultacje z ekspertami z Waszyngtonu i rozmowy z Robertsonami, Zachem i Eleną, która jeszcze wtedy żyła i była żoną Zacha. Wszyscy wiedzieliśmy, że Jessica nie żyje, ale Robertsonowie nie poddawali się przez długie miesiące. Przez lata.

A potem oczywiście zaczęły się pocztówki. Potworne cierpienie Zacha podsycali pocztówki słane przez mordercę, zawierające okrutny żart o rzekomej świetnej zabawie. Poza tym nie było już żadnych tropów.

Utrata tajnego agenta zwykle utrzymywana jest w tajemnicy przed mediami. Przez kolejne lata szukałam mordercy, ale go nie znalazłam. O ile wiedziałam, Jessica była ostatnią ofiarą.

Mój pełny raport i nagrania radiowego kontaktu z Jessicą, łącznie z jej ostatnimi słowami do mnie – „Dziesięć cztery, Trenerze” i całą płytą Kate Smith, lecącą trzy razy w kółko, są w archiwach Biura. I to było wszystko, co wiedziałam na pewno, aż do dnia, kiedy zobaczyłam zwłoki Jessiki w samochodzie przy drodze na górę Lemmon.

Karty drogowe Lyncha można było zweryfikować, ale nie było na to czasu. Jeszcze raz przemyślałam kolejność ostatnich wydarzeń: Lynch zostaje schwytyany i przyznaje się do winy... Coleman nabiera podejrzeń... Peasil zostaje wysłany, żeby mnie zabić... Coleman znika – komu jeszcze powiedziała oprócz mnie...? Potem jest drugi zamach na moje życie. Kto chciał nas powstrzymać przed dalszym śledztwem i dlaczego? Kogo chronił Lynch? Skoro to nie on popełnił morderstwa na Drodze 66, to ten, kto je popełnił, ma teraz Coleman.

Nie zdołałam uratować Jessiki Robertson. Nie zdołałam uratować Zacha. Poczucie winy może być świetnym czynnikiem motywującym. Postanowiłam, że nie nawalę w przypadku Coleman. Jeśli Lynch nie powie mi po dobroci tego, co chciałam wiedzieć, to wybiję z niego prawdę książeczką jego własnych kart drogowych.

Ale teraz był środek nocy, nie miałam jak dostać się do szpitala niezauważona, a Lynch niemal z pewnością miał całodobową ochronę pod drzwiami. Gdybym była w stanie spojrzeć na tę popieprzoną sytuację z perspektywy, może ubawiłaby mnie myśl, że Max dał mu ochronę między innymi, żeby bronić go przede mną. Lynch zapewne leżał na intensywnej terapii, blisko dyżurki pielęgniarek, ale oddzielnie od reszty pacjentów. Żaden pacjent nie chciałby się dowiedzieć, że leżał po sąsiedzku z jednym z najsławniejszych seryjnych morderców w historii USA.

Pomartwiłam się przez chwilę, jak mam go znaleźć, nastawiłam sobie mentalny budzik na szóstą i padłam spać na kanapie na ładnych parę godzin. Tego nauczył mnie Baxter z Navy Seals: jak się zmusić do spania, kiedy jest się w strefie działań wojennych.

I nawet coś mi się śniło. Tym razem był to mój nawracający koszmar, jak pieszo gonię samochód, w którym jest Jessica. To nie zawsze jest ten sam pojazd. Czasem to poobijany volkswagen ogórek, a czasami suv, coś ciemnego i drogiego, a ja jestem zła, bo nie potrafię rozpoznać marki. Czasem jestem na ulicach miasta, czasem na wiejskich drogach. Krzyczę do innych kierowców, żeby jechali za tym autem, bo wiem, że nie dam rady biec w nieskończoność. Stałe elementy są trzy: zawsze jest noc, nigdy nie udaje mi się złapać tego samochodu i zawsze słyszę Jessicę krzyczącą: „Trenerze”.

18 sierpnia 2011, godzina 6.00

Obudziłam się o szóstej, wzięłam prysznic, przebrałam się i ogólnie doprowadziłam do porządku, żeby nie wyglądać i nie pachnieć jak wariatka. Nie mogłam się doczekać wycieczki do szpitala, ale leżał zaledwie kilkanaście kilometrów od domu Coleman, a pojawienie się tam przed ósmą byłoby podejrzanym. Żeby zabić czas, przekopałam lodówkę Coleman i znalazłam małe buteleczki pitnego jogurtu z napisem „probiotyk”. Wzięłam sobie trzy i ustawiłam rządkiem, jak te małe flaszeczki wódki, które dają w samolocie. Po kolei zrywałam z nich foliowe kapsle i popijałam, siedząc na cienistej werandzie od tyłu. Telefon miałam przy sobie na wypadek, gdyby Coleman zadzwoniła i powiedziała mi, że to wszystko była jedna wielka pomyłka.

Telefon zadzwonił. Patrzyłam na numer Maksa, który uparcie próbował się ze mną skontaktować. Kiedy skończył, odsłuchiłam wiadomość. Był w hotelu, żeby sprawdzić, czy naprawdę mam tam pokój. Wyjęłam baterię z komórki.

Coleman miała w łazience płyn do płukania ust, dezodorant i trochę kosmetyków do makijażu. Zamaskowałam sińce pod oczami i nałożyłam szminkę o nazwie Ciepły Karmel. Wyszczotkowałam włosy i ułożyłam je w brzydki, siwy kok. Upchnęłam koszulkę w džinsy, ale wyjęłam ją z powrotem. Musiałam gdzieś schować broń.

Bycie małą i nijaką ma swoje plusy. Spojrzenie w lustro upewniło mnie, że idealnie wtopię się w szpitalne tło. Książeczkę kart drogowych, dokumentującą trasy Lyncha w sierpniu 2004, schowałam do torebki i pojechałam do szpitala, zahaczając o McDonalda dla zmotoryzowanych na kawę i bułkę z kielbasą, żeby nie dostać drżączki z braku kofeiny i węglowodanów.

Klinika Urazowa na Campbel ma trzy piętra, a na dachu lądowisko dla latających karettek. Z planu budynku w recepcji dowiedziałam się, że cały parter zajmuje administracja. Zatrzymałam jakąś wolontariuszkę i powiedziałam, że mąż jest w szpitalu po ciężkim wypadku samochodowym. Byłam roztrzęsiona. Kobieta smutno pokręciła głową.

Powiedziałam, że słyszałam, że gdzieś w szpitalu leży niebezpieczny morderca i spytałam, czy powinnam się niepokoić, skoro mąż leży na trzecim piętrze. Odparła, że niepotrzebnie się obawiam o bezpieczeństwo męża, bo morderca zabijał tylko kobiety, a poza tym z tego, co słyszała, w tej chwili nie jest w stanie zabić nikogo. Z taką miną, jakby to było dla niej najważniejsze wydarzenie roku, szepnęła mi w zaufaniu, że wszyscy wiedzą, że Floyd Lynch leży na drugim, bo ciągle kręcą się tam policjanci, ale nikt nie wie, w którym pokoju.

To akurat było łatwe: w pokoju ze strażnikiem pod drzwiami. Kolejny ruch zaplanowałam w windzie. Wsiadłam w holu rozchodzącym się na prawe i lewe skrzydło. Poszłam w prawo, zajrzałam we wszystkie korytarze odchodzące od głównego, ale nie zobaczyłam nikogo, kto nie wyglądałby na personel.

Wróciłam do holu z windą i ruszyłam w przeciwnym kierunku. I oczywiście, mniej więcej w połowie jednego z korytarzy sterczał funkcjonariusz policji miejskiej, ledwie zwracając na cokolwiek uwagę. Wyglądało na to, że był tu całą noc i czekał, aż ktoś go wreszcie zmieni. Trudno było dokładnie stwierdzić, w którym pokoju leży Floyd, bo strażnik stał pomiędzy dwójgiem drzwi, z których jedno było otwarte, drugie zamknięte. Ale gdybym miała obstawiać, postawiłabym na te zamknięte.

Schowałam się do najbliższego pokoju po przeciwnej stronie korytarza, który na szczęście był pusty, więc nie musiałam niczego zmyślać, i znalazłam czystą szpitalną koszulę. Wciągnęłam ją na siebie i zawinęłam nogawki spodni powyżej kolan. Teraz bardziej przypominałam pacjentkę. Wyjęłam z torebki telefon i kieszonkowe lusterko, a samą torebkę schowałam pod szpitalną kreację. Włożyłam baterię z powrotem do komórki, po czym podeszłam do futryny drzwi i przed wykonaniem kolejnego ruchu ostrożnie wystawiłam lusterko, by się zorientować co i jak. Ale zanim zdążyłam schować lusterko i wybrać numer w komórce, puszysta pielęgniarka z proporcjonalnie puszystą czupryną i ze stopami wykrzywionymi na zewnątrz jak u kaczki wyłoniła się z windy z workiem do kroplówki. Wystraszona, że siostra mnie nakryje, schowałam się głębiej w cień pokoju i podeszłam do drzwi dopiero, kiedy przeczłapała dalej. Obserwowałam ją w lusterku, kiedy otworzyła drzwi do pokoju Lyncha i zamknęła je za sobą. Teraz wiedziałam, że nie są zamknięte na klucz.

Odczekałam cierpliwie trzy czy cztery minuty, aż pielęgniarka wyszła z pokoju z do połowy opróżnionym workiem. Kiwnęła głową strażnikowi, który nawet na nią nie spojrzał, i poszła sobie, tym razem korzystając ze schodów obok windy.

Z komórki zadzwoniłam na informację, by uzyskać połączenie z główną linią szpitala, i poprosiłam o przełączenie do pielęgniarskiej dyżurki na trzecim piętrze. Kiedy pielęgniarka odebrała, powiedziałam:

– Dzwonię z Policji Tucson. Mogłaby pani poprosić posterunkowego Joego Btfspka do telefonu?

– Chodzi pani o policjanta, który pilnuje czterysta dwadzieścia sześć? – spytała.

– Taa, właśnie tego. Dzięki.

Po chwili usłyszałam ją w korytarzu:

– Posterunkowy Bit... Panie posterunkowy, ma pan telefon na szpitalny numer.

Zrobił zdziwioną minę, ale dał się na to nabrać. Wychodząc z pokoju, złapałam jeżdżący stojak do kroplówek i podeszłam do pokoju Floyda, trzymając się ściany; ot, pacjentka, która chce zażyć trochę ruchu. Wślizgnęłam się za drzwi, zanim posterunkowy się zorientował, że osoba, która do niego dzwoniła, rozłączyła się. Liczyłam, że poświęci jeszcze chwilę na telefon do biura i próby ustalenia, kto chciał z nim rozmawiać. Kiedy wróci, zastanie drzwi zamknięte i na pewno nie będzie mu się chciało zaglądać do środka.

Lynch leżał na łóżku z lekko uniesionym zagłówkiem, z głową przekręconą na bok, z rękami na kołdrze. Był chudy już wtedy, kiedy go widziałam przy starym samochodzie, ale więzienne jedzenie, a potem całodobowa głódówka uczyniły z niego cień człowieka. Rurki doprowadzały płyny do ciała i odprowadzały z ciała, łącznie z jedną, prowadzącą do worka stomijnego, który mógł być już na stałe, albo i nie, zależnie od powagi rany. Rurka doprowadzała mu tlen do nosa, a w dłoń miał wkłutą kroplówkę, która doprowadzała płyny i potężne dawki antybiotyków, mające zapobiec zapaleniu otrzewnej. Popodłączane do niego monitory pozwalały pielęgniarkom pilnować jego parametrów z dyżurki w korytarzu, a do tego miał przypięte jeszcze dwie maszyny podające środki przeciwbólowe: pompę z morfiną, którą mógł sobie dawkować sam, i znieczulenie zewnątrzoponowe.

Rozpoznawałam te wszystkie sprzęty, bo sama kiedyś byłam w takiej sytuacji. Wiedziałam, że jeśli nie wda się infekcja, Lynch przeżyje. Zrzuciłam szpitalną koszulę, pod którą chowałam torebkę, odwinęłam nogawki dżinsów i wyjęłam książeczkę kart drogowych.

Wyglądał, jakby spał.

– Hej, Floyd – powiedziałam, niechętnie szturchając go w ramię. W tym facecie było coś takiego, że wołałabym go nie dotykać.

Spojrzał na mnie półprzotomie.

– Cso? – powiedział. Pomyślałam, że morfina trochę utrudni mi sprawę. – Coś ty za jedna?

– Brigid Quinn. Już się poznaliśmy. Pracuję z agentką Laurą Coleman.

– Teraz, jak dostałem kulkę, wszyscy chcą mnie odwiedzać – powiedział.

To mi dało do myślenia.

– Kto jeszcze?

– Ojciec tu był wczoraj. Nie obchodziło go, że jestem przypięty do tego strajworka, tylko koniecznie chciał wiedzieć, co zrobiłem z jego pieprzonym psem. Chryste, sądzisz, że to mi będzie dyndało już zawsze?

– Nie wiedziałam, że wolno ci przyjmować wizyty.

– Po prostu tu wlaź. Gliniarz go wyrzucił.

Lynchem szarpnął śmiech przypominający czkawkę, najwyraźniej bolesny.

– Ręka mnie boli – powiedział i zaczął po omacku szukać guzika samoobsługowej pompy morfiny.

Nie miałam zamiaru gadać o jego ojcu ani o jego rokowaniach. Podstawiłam mu pod twarz karty drogowe.

– Musisz na to spojrzeć. Wiesz, co to jest?

Jego oczy odrobinę oprzytomniały, czy to od tajemniczej obecności obcej kobiety w jego pokoju, czy od narastającego bólu. Zwilżył językiem wnętrze ust i oblizał wargi.

– Zaszło mi w ustach.

– To dlatego, że nie wolno ci nic pić. Odpowiedz na moje pytanie, to dam ci posać wacik.

– Gdzie jest strażnik? – Sięgnął po guzik przywołania pielęgniarki, ale byłam pierwsza i nakryłam go dłonią.

– Sekundę. Posłuchaj, Floyd. Ja ci nie chcę zrobić krzywdy. Ty mnie już nic nie obchodzisz. Nie obchodzi mnie, że pieprzyłeś mumie, nie obchodzi mnie twoja kolostomia ani to, czy dostaniesz dożywocie. W tej chwili mam na głowie coś ważniejszego.

Spojrzał mi w oczy, przymulony, wciąż lekko skołowany, ale widziałam, że mnie słucha.

– To są twoje karty drogowe, które dowodzą, że byłeś daleko od miejsca zamordowania Jessiki Robertson. Mam wszystkie książeczki. Nie miałam czasu dopasować ich do wszystkich morderstw na Drodze 66, ale jest prawdopodobne, że cię tam nie było, kiedy ginęły kolejne kobiety. A to znaczy, że kogoś kryjesz. I myślę, że ten ktoś, kogo kryjesz, próbował mnie zabić i porwał agentkę Laurę Coleman, bo zaczęłyśmy wątpić w twoje zeznania. Chcę odpowiedzi na parę pytań i wiem, że możesz mi ich udzielić.

Musiał znów oblizać usta, zanim zdołał się odezwać.

– Dlaczego myślisz, że cokolwiek wiem?

– Pozwól, że na razie to ja będę zadawać pytania. Skąd znasz Geralda Peasila?

– Nie znam żadnego Geralda Peasila.

– To może inne pytanie: kto ma uszy?

Zrobił się tak błąd jak na filmie z przesłuchania. Zaczął skubać wenflon w dłoni tak jak kiedyś skubał kurzajkę. Widać było, że nie chce mówić, ale morfina być może działała na niego jak swego rodzaju serum prawdy.

– On mnie zabije, kobieto. Powiedział, że mnie zabije, jeśli odwołam zeznania.

– On. Chcesz powiedzieć, prawdziwy morderca z Drogi 66.

Potrząsnął dłonią.

– To cholera piecze. Jakby mnie pszczoła ugryzła. – Znów zachichotał. – Kurka wodna, a ja tylko chciałem dożywocie. Chciałem przeżyć. To taka wygórowana prośba?

– Może i nie, ale teraz masz małe szanse. Nie jesteś bezpieczny. Nikt z nas nie jest bezpieczny. Nawet jeśli wrócisz do więzienia, on cię tam dopadnie, bo nie możesz uciekać. Łatwiej jest zabić kogoś w więzieniu niż poza nim.

Chichot nagle zmienił się w płaczliwy bełkot. Tacy jak on, skonfrontowani z prawdą, często się mazgają.

– Ty nie jesteś mordercą, prawda, Floyd? – powiedziałam.

– Nie. Jestem oferma. – Spojrzał na mnie wielkimi, smutnymi oczami, jakby sądził, że może mnie przeprosić. Chwycił moją dłoń, która leżała na opuszczonej, metalowej burcie łóżka, ale szarpnął się do tyłu, jakby przerażony, że napotkał żywe ciało. – Wiesz, jak to jest, kiedy tak strasznie chcesz być kimś innym. Myślałem, że mogę zacząć powoli dorosnąć do tego. Wiesz?

Patrzyłam na niego przez chwilę i naprowadziłam go z powrotem na właściwy tor.

– Powiedz mi prawdę, Floyd.

I oto ten facet, który płakał nad samym sobą, bo nie miał dość jaj, żeby zabijać ludzi, zaczął mówić, jak pijak, który znalazł w barze nowego przyjaciela.

– Poznałem go, znaczy, tego 66, na czacie. Potem daliśmy spokój z czatem i zaczęliśmy do siebie pisać. Korzystałem z komputerów na postojach. On pisał tylko do mnie. Byłem tylko ja. On był, no wiesz, autentyczny. Na początku mu powiedziałem, że nie ma mowy, żeby naprawdę był mordercą z Drogi 66. Wkurzył się. Chciał mi udowodnić, że to on. Powiedział mi o różnych szczegółach, których nie było w telewizji, i wszystko mi się zgadzało. Ja udawałem, że też zabijam kobiety, ale nie zabijałem. Zmyślałem wszystko. Wstydzilem się mu powiedzieć, że jestem tylko trochę... trochę... przymulony... o kurde.

Głowa Lyncha opadła nagle do tyłu, na poduszkę, jakby była za ciężka dla szyi. Powieki mu zatrzepotały. Kiedy poczuł, że wyjmuję mu z dłoni pompę morfiny, wrócił do mnie.

– Ja nikogo nie zabiłem, ale to ciało, które znalazłem... zrobienie z niego mumii to był mój pomysł. Zamówiłem ten szajs przez Internet. Ten cały natron. Nikt inny tego nie wymyślił, tylko ja.

– A co z 66? Co jeszcze o nim wiesz?

– Nicss – wybełkotał. Miałam nadzieję, że nikt tu nie przyjdzie wyrównać mu dawki leków, dopóki z nim nie skończę. – Ja tylko poszyszebowaem trochę więcej... czasu... żeby to zrobić.

– Ocknij się, Floyd. Zabrał cię na górę Lemmon, żeby ci pokazać ciała.

Pokręcił głową i miałam wrażenie, że go to oszołomiło jeszcze bardziej.

– Wygadał się, że je schował w jednym starym, porzuconym dodge'u przy drodze.

Wiedziałem o tym samochodzie i pojechałem sprawdzić... czy może to ten.

– Więc nigdy nie widziałeś jego twarzy.

Floyd pokręcił głową, tym razem ostrożniej.

– Znalazłem ciała i korzystałem z nich, ale męczyło mnie chodzenie taki kawał na górę. – Przespacerował się palcami prawej dłoni po swojej klatce piersiowej i uśmiechnął się do nich.

– Dlaczego po prostu nie zabrałeś któregoś z nich do ciężarówki?

– Próbowalem. Ale się rozpadło, kiedy je ruszyłem. Takie mi się nie podobało.

Cóż, widocznie nawet nekrofile mają jakieś poczucie estetyki.

– Używałeś obu ciał? Tego, które nazwałeś przydrożną gadziną, też?

– M-hm – mruknął śpiwnie.

– On ci nie powiedział, jak i kiedy zabił tę kobietę, prawda?

– Nie-e – odparł tym samym śpiwnym tonem i zrobił ten dziecinny gest, jakby zasował sobie usta. – Milczał jak głaz na ten temat. Po...wiedział tylko, że była inna.

To mnie zaciekawiło. Morderca wypaplał wszystkie szczegóły wszystkich innych

zabójstw, ale nie chciał mówić o pierwszym. W tym pierwszym przypadku nie był tak zorganizowany. Może wiedział, że popełnił błędy, zrobił coś, co pozwoliłoby go powiązać z tą kobietą.

– Inna? W jakim sensie?

– Po pross, inn... – odparł, gubiąc wątek. Szkoda, że nie znałam kodów do pomp; dobrze byłoby mu odciąć dopływ dragów, ale mogłam co najwyżej wyrwać mu wenflon z dłoni, a wtedy na pewno byłby smród.

– W jaki sposób inna, Floyd? Fizycznie? Umysłowo? Powiedz, co pamiętasz, Floyd.

Lynch nie zwracał uwagi na mnie, obchodziło go tylko mówienie prawdy. To musiało być przyjemne uczucie.

– Potem zacząłem czytać, jak się robi mumie i zamierzałem kogoś zabić, przysięgam, że tak, ale nie miałem czasu, żeby do tego dorosnąć. W końcu wydrukowałem sobie jego maile i zacząłem udawać, że to ja zrobiłem to wszystko. Wysłałem parę pocztówek do ojca tej agentki FBI, tak jak on. Nawet pociąłem to znalezione ciało, żeby wyglądało na jego robotę. A potem mnie zgarnęli. Przesłał mi wiadomość do aresztu. Powiedział, że jeśli się kiedykolwiek wyprę, to każe mnie zabić.

– Morderca z Drogi 66.

Lynch przyłożył palec do ust.

– Ćśś. Nawet tego nie mów. – I zachichotał.

Jezu, nie miałam na to czasu.

– Jestem prawie pewna, że on ma agentkę Coleman. Floyd, ona była dla ciebie miła.

Starala się o to, żeby potraktowano cię uczciwie. Pomożesz mi ją znaleźć?

Znów oblizwał wnętrze ust, jakby chciał mówić, ale język zahaczał mu się o zęby.

– Nie wiem nic więcej. Spać mi się chce. Daj mi... – Oczy mu się zamknęły, zuchwa opadła, tak że słyszałam jego oddech. Zastanowiło mnie, że ten oddech jest jakiś marny. Płytki i o wiele za wolny. Nagle zaniepokojona, poklepałam go po twarzy.

Jakby w odpowiedzi na moje dotknięcie rozległo się głośnie pikanie monitora przy łóżku, aż podskoczyłam przestraszona. Zupełnie jakby rozległ się sygnał dźwiękowy na znak, że koniec przesłuchania.

Jakieś dwie sekundy później lekarz i dwie pielęgniarki wpadli do pokoju. Jedna z kobiet spojrzała na mnie, ale potem wszyscy zajęli się zawracaniem Floyda Lyncha z progu tamtego świata.

Lekarz poświecił mi w oczy latarką.

– Słyszysz mnie, Floyd? Brak reakcji. Oddech?

– Płytki, sześć na minutę, tętno przyspieszone, nitkowate.

– Wygląda na przedawkowanie. – Lekarz wpisał kody na panelu pompy morfiny i znieczulenia zewnątrzoponowego, by wstrzymać podawanie leków. – Siostró, proszę sprawdzić jego kroplówkę. A siostra – zwrócił się do drugiej – niech ściągnie ekipę resuscytacyjną.

Jedna z kobiet wybiegła z pokoju, druga została i sprawdziła kroplówkę.

– Sama wieszalam worek, ale nie otwierałam przepływu na maksimum. Teraz jest otwarty. Może coś się przytknęło – powiedziała. Zaczęła majstrować przy regulatorze, starając się przydać w jakikolwiek sposób, dopóki nie zjawi się ekipa ratunkowa.

– Skarżył się, że piecze go ręka – powiedziałam, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Przez drzwi wpadło trzech facetów ze stalowym wózkiem pełnym sprzętu do reanimacji. Nie pytając o wskazówki, jeden z nich chwycił deskę, a dwóch pozostałych uniosło Lyncha na łóżku, by tamten mógł umieścić deskę pod nim. Jeszcze zanim Lynch został porządnie ułożony na desce, pierwszy ratownik złapał z wózka strzykawkę i wbił ją w pierś Lyncha. Pewnie

epinefryna. Nie przyniosła efektu.

Zaczęli ściągać z wózka defibrylator, by spróbować elektrowstrząsów, kiedy do pokoju zajrzał strażnik, trzymając niepewnie komórkę w dłoni; nie dostał instrukcji na taką ewentualność. Zobaczył mnie stojącą pod ścianą i obserwującą całe zamieszanie.

– Kim pani jest? – spytał.

– Jego matką – odparłam i odwróciłam się z powrotem, by patrzeć na heroiczne wysiłki ekipy ratunkowej, choć coś mi mówiło, że jako ostatnia osoba, która widziała Floyda Lyncha w stabilnym stanie, powinnam wiać ze szpitala gdzie pieprz rośnie.

– Odsunąć się.

Pielęgniarki stały bezradnie z boku. Jedna wciąż pukała w regulator łączący worek z rurką kroplówki. Żadna z tych kobiet nie była tą, którą widziałam wcześniej.

Pomyślałam o pielęgniarce, która wchodziła do pokoju tuż przede mną. Przyszła zabrać pusty worek po kroplówce. Nie, nie pusty. Pełen co najmniej w połowie. Nikt nigdy nie zmieniał worka z lekiem, dopóki poprzedni się nie opróżnił. A później Lynch trochę narzekał, że dłoń go pali, jakby ugryzła go pszczoła. I robił się coraz mniej przytomny z każdą minutą rozmowy.

– To jest w worku – powiedziałam, wskazując stojak i worek, z którego płyn wciąż kapał w jego żyłę. – To jest w worku – krzyknęłam i spróbowałam się przedrzeć do jego boku, by wyrwać mu wenflon albo przynajmniej wyrwać stojak. Prawie dotarłam do łóżka. Ratownik, który nie obsługiwał elektrod defibrylatora, przytrzymał mnie.

– Zabierzcie stąd tę kobietę – krzyknął doktor. – Zabierzcie ją stąd.

Kroplówka wciąż kapała. Utrzymanie Floyda przy życiu mogło pomóc mi wykaraskać się z kłopotów, ale nie pomagało mi znaleźć Coleman. I tak uważałam, że powiedział mi już wszystko, co wiedział. Wysłam z pokoju, omijając strażnika zajętego gapieniem się na dramat.

18 sierpnia 2011, godzina 10.40

Człowiek musi sobie ustalić priorytety. W tym momencie cała sprawa sprowadzała się do jednego dylematu: przetrwanie Coleman kontra moja wolność. Na pierwszym miejscu było znalezienie Coleman i choć miałam słabiutki trop, którym mogłabym podążać, trwałoby to za długo – nie mogłam ryzykować jej życia. Pozostała mi tylko jedna opcja: zmusić Maksa, żeby mi uwierzył i pomógł. Szanse były marne, ale musiałam spróbować.

Pojechałam do parku Sabino Canyon w północno-wschodniej części miasta. Można tam zaparkować samochód i wsiąść w tramwaj, który jedzie jakieś pięć kilometrów w głąb i do góry. Jest pięknie, po obu stronach piętrzą się ściany kanionu a dołem płynie prawdziwa, bieżąca woda. O tej porze roku, podczas monsunów, woda miejscami przepływała nawet przez tory tam, gdzie krzyżowały się ze strumieniem. Zapłaciłam swoje dziesięć dolców, wsiadłam do tramwaju i pojechałam na dziewiąty, ostatni przystanek. Nie jechało ze mną wiele osób – był środek tygodnia, a na dodatek piekielnie gorąco.

Wygrzebałam z torebki komórkę – nie swoją, tę, którą zabrałam z mieszkania Peasila. Wsiadłam z tramwaju i usadowiłam się na niskim murku, z którego był widok na kanion i klif za nim.

Kiedy Max odebrał, powiedziałam:

- To jest anonimowy cynk.
- Poznaję twój głos, Brigid.
- Wiem, skończyły mi się sprytnie pomysły. Czy Floyd Lynch nie żyje?
- Tak. Zostałem wezwany na miejsce, bo to ja go tam zawiozłem.
- Został zamordowany – powiedziałam.
- Wiem. Strażnik opisał mi jego matkę. To byłaś ty.
- To nie byłam ja, Max.
- Jest motyw: zemsta. Jest też okazja: byłaś w pokoju, kiedy umarł. Więc jakie było narzędzie zbrodni?

– Nie ja go zabiłam, Max. Powiedz Manriquezowi, żeby zrobił test toksykologiczny zawartości jego kroplówki. To był jakiś opiat. Otruł go morderca z Drogi 66.

– Więc twierdzisz, że narzędziem zbrodni była trucizna.

– Do cholery, Max, posłuchaj mnie. Myślę, że prawdziwy morderca jest zdesperowany. Jakimś cudem dowiedział się, że ja i Coleman badamy ewentualność, że Floyd Lynch złożył fałszywe zeznania. Byłyśmy za blisko. – Szybko opisałam, skąd wiem, jak zginął Lynch: widziałam pielęgniarkę wchodzącą z pełnym workiem, wychodzącą z w połowie pustym. A Lynch skarżył się na pieczenie w dłoni, w której miał wenflon. I tuż zanim przestał oddychać, sprawiał wrażenie, jakby był pod wpływem silnego narkotyku. To musiało być coś o powolnym działaniu, żeby morderca mógł się oddalić od szpitala, zanim ktokolwiek coś zauważy. Byłam ciekawa, czy Max zaczął już namierzać mój telefon.

Max powiedział:

- Nikt nie zgłaszał, że widział pielęgniarkę wchodzącą do pokoju. Nawet strażnik.
- Nawet jeśli widzieli, to będą zaprzeczać. Chronią własne tyłki, Max. Strażnik jest zielony i boi się stracić robotę. Ale to nie jest ważne. Lynch mi się przyznał, Max. Tym razem

powiedział prawdę. Nie on popełnił morderstwa na Drodze 66, ale miał kontakt z facetem, który je popełnił. A im więcej czasu mija, tym bardziej jestem przekonana, że prawdziwy morderca porwał agentkę Laurę Coleman.

– A ja ci mam uwierzyć, bo?

Wzięłam głęboki wdech, wiedząc, że zagrywam swoją ostatnią kartą.

– Bo ja ci mówię, że zabiłam Geralda Peasila.

Umilkł. Wiedziałałam, że mam bardzo niewiele czasu, zanim mnie zlokalizuje.

– Dlaczego? – spytał.

– Miałeś rację. Zaatakował mnie na plaży. Pozwoliłam mu się wciągnąć do furgonetki, żeby się dowiedzieć, ile kobiet mógł już zgwałcić i zabić. Potrzeba by wielu dni, żeby coś takiego wyciągnąć podczas przesłuchania, jeśli to się w ogóle udaje. Walczyliśmy i niechcący go zabiłam. Potem odkryłam, że nie był tylko seryjnym mordercą. Został nasłany specjalnie na mnie.

– I dlaczego mi to teraz mówisz?

– Nie słuchasz mnie. Chodzi o Coleman. Minęło zbyt wiele godzin, od kiedy ktoś ją widział ostatni raz. Nie wiem, jak inaczej mam cię przekonać o powadze sytuacji, więc mówię ci o Peasilu.

– To się do nas zgłoś.

– Nie mogę. Jeśli to zrobię, agentka Coleman może zginąć. Jeśli w ogóle jeszcze żyje.

– Powiesz nam, co wiesz. Rozpoczniemy poszukiwania.

– Jasne. Najpierw będziesz musiał wytłumaczyć wszystko twojemu szefowi, potem jakieś dziesięć godzin zajmie ci przesłuchiwanie mnie, a jeśli mnie nie myli intuicja, nie mamy na to czasu. Zacznij poszukiwania od razu. Ja będę pracować po swojemu. I oddam się w twoje ręce, kiedy ją znajdziemy.

Cisza.

– No to mamy impas, co, Brigid? Nie mam żadnego powodu zarządzać poszukiwań Laury Coleman, tylko twoje widzimisię. Jeśli się nie zgłosisz, to nie mam wyboru, muszę z tym iść wyżej. Nie mogę cię dłużej kryć. – W jego głosie nie słyszałam triumfu, tylko smutek.

– Bardzo mi przykro, Max. Przykro mi, że cię stawiam w takim położeniu.

– Jasne.

– Naprawdę. Posłuchaj, jeśli chcesz mi pomóc szukać Coleman, wyświadc mi jedną przysługę: wstrzymaj psy do jutra rana. Przrzekam ci, że nie ucieknę. Uwierzysz mi?

– Nie. Nie uwierzę.

Miałam nadzieję, że to się uda, ale na wszelki wypadek miałam opracowany plan B, więc nie marnowałam więcej czasu na próby przekonania go.

– Okej. Poddaję się. Jadę do ciebie.

Zbliżał się następny tramwaj. Zanim Max zdążył wyrazić swoje niedowierzanie, rozłączyłam się i oparłam komórkę o tylną stronę murku, gdzie nie mogli jej widzieć spacerowicze, ale gdzie z pewnością znajdzie ją Max. Wiedziałałam, że Max mi nie zaufa – na pewno namierzy telefon i przyjedzie tutaj, zamiast czekać, aż ja się u niego zjawię.

Planowałam, że kiedy już będzie miał telefon, podsunę mu, by odtworzył skasowane numery. Wiedziałałam, że to zrobi, jeśli coś mi się stanie, ale nie byłam pewna, jakie działania podejmie natychmiast. Czy kazał namierzyć mój telefon po cichu, czy natychmiast poleci wyżej z raportem na temat naszej rozmowy? Czy wydadzą nakaz aresztowania? Prawdopodobnie. Być może. Już nawet danie mi tych osiemnastu godzin, o które prosiłam, byłoby potężnym naginaniem procedur. Nie wiedziałam już, czego mogę się spodziewać po Maksie.

Miałam jednak dość czasu, żeby wrócić do domu Coleman i sprawdzić, czy w aktach jest

raport z autopsji przydrożnej gadziny. Dzięki temu mogłabym zawęzić poszukiwania w bazie NamUs i przekonać się, co z tego wyniknie.

18 sierpnia 2011, godzina 13.39

Piętnaście minut jazdy tramwajem w dół kanionu, potem jazda bocznymi ulicami, żeby trudniej mnie było zauważyć. To dało mi trochę czasu na myślenie, na czym stoję po rozmowie z Floydem Lynchem.

Nie był mordercą.

Poznał prawdziwego mordercę na czacie. Wszyscy wiedzieliśmy, że Internet jest rajem dla pedofilów i wszelkiej maści zбочeńców. Wpisujesz w Google „czat dla seryjnych morderców” i dostajesz ćwierć miliona wyników. Wiem, bo próbowaliśmy to wszystko monitorować. Nic się nie da zrobić z taką ilością informacji, a już na pewno nie można odróżnić fantazji od rzeczywistości na tylu stronach.

Coleman i ja zwątpiliśmy w zeznania Lyncha i trafiłyśmy na coś, co zagroziło prawdziwemu mordercy. Do tego stopnia, że naszczuł na mnie Geralda Peasila. Prawdopodobnie poznał Peasila w taki sam sposób, jak Lyncha: podzielił się informacjami i dowiedział się, że Peasil lubi starsze kobiety.

Kiedy to zawiodło, spróbował osobiście zabić mnie w parku, a potem porwał Coleman.

Nawet gdybym zdołała przekonać Maksa, że Coleman została porwana, gdyby Biuro Szeryfa i FBI rzuciły wszystkie siły, by ją odnaleźć, nie było gwarancji, że osiągnęliby więcej niż ja sama. Takie poszukiwania mogły nawet spłoszyć mordercę. To wyglądało tak, jakby wiedział, co robimy i obawiałam się, że zaszyje się jeszcze głębiej. A w ukrywaniu się był świetny. I jeśli jeszcze nie zabił Coleman, zrobi to teraz.

Ale kto wiedział o analizie przeprowadzonej przez Coleman i o naszym śledztwie? Nawet Morrison nie wiedział o wszystkich naszych działaniach. Nawet Royal Hughes. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, kto mógł wiedzieć, że działamy na własną rękę i przekazać tę informację człowiekowi, który na nas dybał.

Kim mogła być ta osoba powiązana z nami obiema, z Floydem Lynchem i Geraldem Peasilem?

Jedyna odpowiedź w ogóle nie była odpowiedzią. Prawdziwy morderca z Drogi 66.

Mełmam te wszystkie myśli z taką regularnością, jakbym miała w głowie tłoki napędzające jakiś silnik. „Kręci się, kręci się, nasza karuzela”, powiedział Peasil, kiedy ganialiśmy się po jego furgonetce. I kręciła się dalej, nie zatrzymała się ani na chwilę. Tajemnica kręciła się w mojej głowie długo po jego śmierci.

Moim jedynym tropem był fakt, że ta pierwsza ofiara, zidentyfikowana tylko jako przydrożna gadzina, była „inna”. Świetnie.

Wczesnym popołudniem byłam z powrotem u Coleman. Weszłam przez drzwi od tyłu, wzięłam sobie z kuchennej szafki pudełko organicznych płatków i wysypałam trochę na biurko, by móc podjadać. Otworzyłam jeden z segregatorów i odszukałam sekcję z etykietą „Ofiary”.

W pierwszej chwili chciałam wrzeszczeć, że tego materiału jest za dużo, a miałam wrażenie, że kończy mi się czas. Żałowałam, że nie mam przy sobie Sigmunda. Ja należałam raczej do tych, co wolą skopać komuś tyłek i wydobyć zeznanie. On by dostrzegł, czym różniła się ta jedna ofiara. On zawsze widział ten brakujący element obrazka.

On nie czułby się pod presją, spanikowany, zaniepokojony. W ogóle by nie czuł.

Wyobraziłam go sobie siedzącego gdzieś, wpatzonego w stronice, mrugającego. I nic więcej.

Odwracałam kartki, nie czytając ich. Słowa tańczyły mi przed oczami – nie byłam w stanie ich przetwarzać, a zegar tykał. W końcu dotarłam do zdjęć i zrobiło się trochę łatwiej. Pominęłam mumię Floyda, chodziło mi o tę drugą NN. Kiedy dotarłam do starych zdjęć z miejsc zbrodni, zrobionych na przestrzeni pięciu lat działania mordercy z Drogi 66, zwolniłam. Zamiast na siłę szukać odpowiedzi, chciałam, by odpowiedź sama do mnie przyszła. Miałam nadzieję, że zauważę jakiś wzorzec podobieństw czy różnic, który pomoże mi ustalić, co takiego wyjątkowego było w NN ze starego samochodu.

Mimo różnic koloru i długości włosów wszystkie ofiary w pewnym sensie były do siebie podobne: młode białe dziewczyny z półprzymkniętymi powiekami, z twarzami zastygłymi w wyraz, który niektórzy nazywają spokojem, a ja nazywam ostateczną rezygnacją, z krwawą, zaschniętą raną w miejscu ucha i oczywiście nagie. Ale zanim to nastąpiło, nie były ofiarami, dowodami w sprawie, rekwizytami w serialu kryminalnym, ale ludźmi, i pamiętałam wszystkie ich nazwiska bez spoglądania na etykiety.

Oto Patricia Stanbaugh, znaleziona dwudziestego szóstego lipca 1999. Miała brata bliźniaka, Patricka, który był dowodem, że platynowy blond jej włosów był naturalny. Leżała nieupozowana, twarzą w dół, wyrzucona w pośpiechu z samochodu. Pierwsza znana ofiara.

Oto Anna Maria Carrasco, znaleziona dwunastego sierpnia 2000. Przedszkolanka w prywatnej placówce, wyruszyła przeżyć przygodę, o której mogłaby opowiedzieć dzieciom. Druga ofiara. Krwawiła bardziej niż pozostałe.

Oto Kitty (naprawdę Kitty, nie Kathryn) Vaught, znaleziona trzydziestego czerwca 2001. Zaręczona, miała ostatni raz zabawić się w podróży. Trzecia ofiara.

Oto Arline Blum, znaleziona dziewiętnastego lipca 2002. Drobną i chudą, była Żydówką, ale miała na kostce tatuaż, *ankh*, staroegipski symbol życia wiecznego. Czwarta.

Oto Mary Sneed, znaleziona czwartego lipca 2003. Była z Arlington w Wirginii i miała największy pogrzeb, na jakim byłam w życiu. Piąta.

Oto, oto... powtarzające się jak litania na nowennach do świętego Antoniego, na które mama ciągała mnie w poniedziałki po szkole. Zapach kadzidła, brzęk trzymanego w dłoni dzwonka, adoracja hostii, płaczliwy śpiew *Tantum Ergo*, mamrotane odpowiedzi w modlitwach o spokój dusz drogich zmarłych. Niemal słyszałam, jak drodzy zmarli odpowiadają.

Zmiłuj się nad nami.

Zmiłuj się nad nami.

Zmiłuj się nad nami.

Nic mi nie przychodziło do głowy, niech to szlag. Ścisnęłam fotografie, jakbym mogła z nich wycisnąć coś użytecznego. Pomóżcie mi, dziewczyny.

W końcu dotarłam do zdjęcia Jessiki. Zniknęła pierwszego sierpnia 2004. To zdjęcie różniło się od pozostałych, zrobiono je wiele lat, nie kilka dni po śmierci, kiedy jej ciało było już zbrązowiałą skorupą. Na tym zdjęciu nie było nic z kobiety, którą znałam.

I wreszcie to, o które mi chodziło. Zdjęcie tej drugiej mumii znalezionej w porzuconym samochodzie. Jedynej ofiary mordercy z Drogi 66, która pozostała niezidentyfikowana, bezimienna. Kim była? Dlaczego nikogo nie obchodziła?

Ty byłaś pierwsza. Teraz już wiemy, że Patricia Stanbaugh jednak nie była pierwszą ofiarą. Ty wciąż masz oboje uszu i morderca nie przeciął ci ścięgien. Zostałaś zabita, zanim ustalili sposób działania, obmyślił podpis. To cię różni od pozostałych. Czy to jest ta różnica, którą miał na myśli morderca? Zbyt oczywiste.

Zostałaś zabita, zanim morderca zorientował się, że mordowanie może mu uchościć na sucho. Może to było nieplanowane, spontaniczne. Może cię znał. Gdybym się dowiedziała, kim

byłaś, może poznałabym i jego.

Przypomniałam sobie George'a Manriqueza z tego ranka, kiedy Zach przyjechał zobaczyć ciało Jessiki. Przypomniałam sobie, jak delikatnie potraktował Zacha. Jak powiedział z westchnieniem, że przeprowadził się tutaj z Florydy, bo chciał trochę zwolnić, ale tylko przerzucił się z haitańskich topielców na meksykańskie mumie. Widziałam, że sprawia mu to ból – był jednym z niewielu ludzi w tej branży, którzy nie ztratili uczuć. Może jego obesła ta kobieta, nawet jeśli była tylko prostytutką. Odnalazłam raport patologa. Rzeczywiście, przeprowadził kompletną autopsję NN.

Brak chorób ustrojowych, które dałoby się stwierdzić. Pozostałe ofiary też były zdrowe.

Przyczyna zgonu: zaduszenie. I tu żadnej różnicy.

Zdjęcie rentgenowskie pokazywało umiejscowienie plomb, na wypadek gdyby kiedyś odnalazły się jej dane dentystyczne. George stwierdził, że stan jej zębów i zuchwy wskazywał na dbałość o higienę i dobre odżywianie. Jak na razie nic nie wskazywało na tanią prostytutkę, a już na pewno nie na ćpunkę. I tu nic nowego – wszystkie ofiary były porządными dziewczynami.

Ciało zostało wrzucone do samochodu i zmumifikowało się w naturalny sposób w suchym, pustynnym upale. Pierwsza różnica.

Żadnych zauważalnych znaków szczególnych, tatuaży i tym podobnych. Przekłute uszy.

Arline Blum miała tatuaż na kostce. Wszystkie ofiary miały przekłute uszy.

Struktura kostna wskazująca na ektomorficzną, osobę o drobnej, delikatnej budowie, jeszcze zanim jej ciało wyszło na wiór.

Kształt czaszki wskazujący na pochodzenie afroamerykańskie.

Przeczytałam tę linijkę jeszcze raz. To była ważna różnica.

Obróciłam się na krześle Coleman do komputera i na nowo weszłam na www.findthemissing.org. Do wyszukiwarki bazy danych wpisałam te nieliczne informacje, które już miałam: płeć, obszar geograficzny, rok zaginięcia. Ale tym razem zmieniłam rasę kaukaską na afroamerykańską.

Po czym poleciłam programowi porównać mój wpis z bazą osób zaginionych. Tego roku zaginęła tylko jedna Afroamerykanka. Żeby mieć pewność, rozszerzyłam ramy czasowe do trzech lat. Była jedyną Afroamerykanką, która zaginęła na tym terenie przez cały ten okres. Było nawet jej zdjęcie z rozdania dyplomów licealnych. I miała nazwisko. Nazywała się Kimberly Maple.

Nie była bezimienną prostytutką. Miała przynajmniej nazwisko. Kimberly Maple.

Coś mi zaczęło świtać, ale szybko odszukałam statystyki demograficzne i wyszukałam populację Afroamerykanów w Arizonie. Mniej niż cztery procent. Jeśli podzielić to przez pół, żeby wyeliminować mężczyzn, i zawęzić do dziewcząt w prawdopodobnym wieku Kimberly, szanse były mniejsze niż jedna na pięćdziesiąt. Kelnerka w Cantinie Emery'ego była czarna i miała krewną, która padła ofiarą zbrodni. Nie były to może dwie bomby w samolocie, ale niewiele brakowało.

Wzięłam telefon Coleman i zadzwoniłam na informację. Tak, w książce figurowała osoba o nazwisku Cheri Maple. Ale dlaczego Emery powiedział, że jej siostra została zamordowana? Dlaczego nie powiedział, że zaginęła? Chyba że Cheri powiedziała mu to, bo wiedziała, że jej siostra nie żyje.

Seryjna morderczyni? Cheri zabiła siostrę i przekonała się, że to lubi, więc robiła to dalej?

Jesteś zmęczona i zdesperowana, powiedziałam sobie. Zatrzymaj się i pomyśl jeszcze chwilę. Kilka razy odetchnęłam głęboko, wyobraziłam sobie Sigmunda. Zawsze odrzucaj pierwsze założenie. Wzięłam zdjęcie Kimberly Maple zrobione na miejscu znalezienia ciała. Pomyślałam, że jeśli naprawdę była pierwsza, tak jak mówił Lynch, to jej szczątki leżały w tym

samochodzie od przynajmniej trzynastu lat. Ile lat mogła mieć wtedy Cheri? Najwyżej ze czternaście. Myślenie, że mogłaby mieć coś wspólnego z tymi wszystkimi morderstwami z dala od Tucson, tak dawno temu, było absurdalne. Nie mogła mieć nawet prawa jazdy, a co dopiero wypożyczyć samochodu. Znów spojrzałam na zdjęcie i patrzyłam, jak moja przeklęta wyobraźnia przemienia jej twarz w twarz Cheri i z powrotem.

Jeszcze raz. Cała sekwencja od początku. Coleman zaczyna podejrzewać fałszywe przyznanie się do winy, kiedy Lynch mówi jej, że wyrzucił uszy ofiar. Idzie z tym do przełożonego i do Roya Hughesa, i Bóg wie, kogo jeszcze, żeby przekonać ich do swojej racji. Wszyscy ją ignorują. A może nie? Czy mordercą mógłby być ktoś z wewnątrz?

Morrison odsuwa ją od sprawy, kiedy Coleman za jego plecami wciąga w to mnie i Weissa.

Sfrustrowana faktem, że Morrison związał jej ręce, wycofuje się, ale przekazuje mi wnikliwą analizę przeprowadzoną na podstawie profilu Sigmunda i nagrań z przesłuchania. Kto wiedział, że dalej prowadzi śledztwo bez autoryzacji? Rozmawiała o tym ze mną tylko w swoim samochodzie, podczas jazdy do Lynchów i z powrotem.

I w barze. Dwa razy. Przeczesałam pamięć, by przyjrzeć się wszystkim osobom, które były w barze podczas tych naszych spotkań. Gliniarze, Cheri, Emery, parę nieznanymi mi osób. Kim byli ci nieznani ludzie? Kto mógł słyszeć nasze rozmowy?

Oczami duszy przepatrzyłam resztę baru: zakurzoną butelkę tequili z tarantulą na górnej półce, różę koło kasy, słój marynowanych świńskich ratek. Dyplomy na ścianie za wsparcie Toys for Tots i paraolimpiady. Zdjęcia ludzi imprezujących w barze. Nikt nie był dość blisko, żeby nas słyszeć, nie licząc paru okazji, kiedy podniosłam głos i goście spojrzeli na nas. Co wtedy mówiłam?

Wciąż byłam na stronie NamUs; kliknęłam raporty policyjne i zdumiałam się, widząc, ile informacji wprowadzono do jej profilu. Nie zrobiła tego policja, bo dziewczyna zaginęła wiele lat przed powstaniem bazy, ale Cheri, która tyle się nauczyła na swoich studiach kryminalistycznych. Rodzice mieszkali na ranchu pod Durango w Kolorado. Kimberly studiowała na Uniwersytecie Arizońskim, robiła dyplom z antropologii. Poszukiwania rozpoczęto po trzech dniach. Do bazy wprowadzono wszystkich przesłuchiwanym w tej sprawie, łącznie z jej wykładowcami, kolegami z roku, współlokatorką, która widziała ją ostatnia, i z jej chłopakiem. Cheri pracowicie wpisała wszystkie nazwiska. Przewinęłam listę w dół, czytając streszczenia ich zeznań. Nie rozpoznałam nikogo, dopóki nie dotarłam do chłopaka.

Który nazywał się Imre Bathory.

Musiał poznać Cheri, kiedy chodził z jej siostrą. Potrafił świetnie okazywać współczucie. Zaprzyjaźnił się z całą rodziną, a uwiedzenie Cheri było polisą ubezpieczeniową. Czy Cheri powiedziała mu o NamUs, o tym, że wprowadziła te wszystkie informacje do Internetu? To, że nie sprzedał baru i nie wyjechał z miasta, było skalkulowanym ryzykiem. Robił wszystko, co robiłby niewinny człowiek. Nie mógł zmienić nazwiska bez narażania się na pytania. Ale mógł je trochę przerobić. Wiedziałam, że *egeszsegedre* to po węgiersku „na zdrowie”, wiedziałam też, że Imre to węgierska forma imienia Emery.

To są właśnie te małe kąski informacji, które zbierasz, bo nigdy nie wiesz, w jaki sposób mogą się okazać potrzebne, dopóki się nie okażą. A skąd miałam pewność, że Emery był ogniwem łączącym te wszystkie kawałki?

Tamtego wieczoru, kiedy upiłam się w Cantinie Emery'ego, widziałam coś, ale wmówiłam sobie, że tylko mi się zdawało. W słoju z marynowanymi ratkami. Grubo zakurzonym, bo nikt nigdy nie chciał tego jeść. Ten słój musiał tam stać od lat.

Powinnam była zaufać własnym oczom, które widziały tam coś innego, co nie było

świńską ratką. Bo czasami urojenia nie są urojeniami.

18 sierpnia 2011, godzina 16.15

Znów przekradając się bocznymi ulicami i wypatrując po drodze gliniarzy, zajęłam na parking przyległy do baru. By nie ryzykować, że zostanę przyłapana w samochodzie, wzięłam swoją czterdziestkępiątkę, butelkę wody i usiadłam na ocienionej ławce na końcu szeregu sklepów. Udając, że dumam nad ulotką biura obrotu nieruchomościami, obserwowałam wejście do baru.

Klienci wchodzili i wychodzili, głównie gliniarze. Emery nie mógł nic zrobić Coleman, dopóki w pobliżu byli policjanci. Ja też nic nie mogłam zrobić. Żałowałam, że nie mogę ich skrzyknąć do pomocy, ale po tylu godzinach mógł już krążyć nakaz aresztowania z moim nazwiskiem i raczej żaden z nich nie pomógłby mi przeszukać lokalu. Więc czekałam.

Kiedy mały parking na wprost wejścia opustoszał, wskazując, że w środku nie ma więcej klientów, był już wczesny wieczór; właśnie minęła pora kolacji, która w Tucson zaczyna się mniej więcej od piątej po południu. Przed wejściem został już tylko jeden samochód, beżowy hyundai, ten sam, którym Emery i Cheri przyjechali do pracy, kiedy przyszedłam po swoje auto.

Podeszłam do samochodu. Zapukałam w bagażnik, raz, mocno. Żadnej odpowiedzi. Jeśli Coleman była w środku, to martwa. Game over. Wolałam sobie powiedzieć, że jednak jej tam nie ma.

Obeszłam maskę samochodu z plecami przy ścianie budynku. Postronni cywile szli i jechali swoją drogą w gasnącym świetle letniego wieczoru, zajęci własnymi sprawami, nie mając pojęcia, co się dzieje w tym miejscu.

Zamiast szarżować na oślep w nieznaną, najpierw szybko obeszłam budynek; chciałam wejść, zanim pojawi się kolejny klient, jakiś policjant, który zniweczy moje poszukiwania, albo cywil, który mógłby się stać niewinną ofiarą, jeśli robi się gorąco. Wszystkie okna były umieszczone wysoko, pod dachem, więc nie mogłam zajrzeć do środka i nikt nie mógł wyjrzeć. Jedyne drzwi na tyłach musiały prowadzić do kuchni. Kiedy po cichu przekręciłam gałkę, okazały się zamknięte na klucz. Niewielki składzik po drugiej stronie małego patio, który chyba przynależał do baru, też był zamknięty. Zapukałam lekko w drzwi, ale nie usłyszałam żadnego jęku ani pukania w odpowiedzi.

Spiesząc się coraz bardziej, obeszłam drugi bok budynku. Nie miałam wyboru, musiałam wejść głównymi drzwiami. Trzymając w dłoni uniesioną czterdziestkępiątkę, wolną ręką pchnęłam grube, drewniane drzwi baru; Emery na szczęście jeszcze ich nie zamknął na klucz. Dobrze było oprzeć się plecami o solidną futrynę, kiedy zaglądałam do sali oświetlonej jedynie lampkami nad kontuarem. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz i zgasiałam pstryczkiem neon „OTWARTE”.

Funkcjonariusz, który odpowiednio długo wykonuje swoją robotę, który widział dość przemocy, rozpoznaje miejsce zbrodni po zapachu. I nie chodzi tylko o metaliczny zapach krwi, o którym się czyta, ani o bardziej oczywisty smród rozkładu. Są pewne zapachowe subtelności. Większość śledczych z wydziałów zabójstw powie to samo: że miejsce, w którym kogoś zabito, ma własny charakterystyczny zapach, nieulatniający się aromat. To coś jakby mieszanka moczu po szparagach i oliwy z oliwek. Zapach istoty ludzkiej, która wie, że zaraz umrze. Podobno jest to zapach przerażenia.

Nikt nie zauważyłby tego w pełnym ludzi, hałaśliwym lokalu – nawet gliniarz. Ja poczułam to teraz, bo byłam sama, w półmroku, nie rozpraszały mnie żadne dźwięki. Poza charakterystycznym dla Emery’ego zapachem fajkowego tytoniu, poza latami smażonej cebuli, poza tysiącami ciał, które się tędy przewinęły, poczułam też zapach stęchłej krwi. I wnętrzności. Gdzieś w tym był też smród benzyny. Trudno to uznać za typowe barowe zapachy.

Były trzy miejsca, z których mógł dolatywać ten zapach: zza kontuaru, z kuchni na zapleczu albo z biura po prawej. Kucnęłam na sekundę, by obejrzeć podłogę pod stolikami, ale nie znalazłam nic, więc podniosłam się z powrotem, by znów poczuć krzepiącą obecność ściany za plecami. Właśnie miałam podjąć ryzyko i przenieść się do pierwszego upatrzonego miejsca za ladą, kiedy nagle usłyszałam gwizdanie z biura, lekko fałszujące, ale wesolutkie *Złote kolczyki*. Kiedy Emery wyłonił się z drzwi, wyglądał na autentycznie spłoszonego widokiem mojej osoby, stojącej w cieniu i celującej do niego z pistoletu.

– Cześć, Emery – powiedziałam.

Kiedy już skojarzył, kogo widzi, w ogóle nie wyglądał na zdziwionego i to sprawiło, że ostatni element układanki wskoczył na miejsce w mojej głowie. Wiedział, że wszystko wiem.

– Cieszę się, że przyszedł – rzucił z szerokim uśmiechem. Mimo przyćmionego oświetlenia sali zauważyłam, że brakuje mu zęba z przodu.

Podeszłam odrobinę bliżej, potykając się lekko ze stresu i zmęczenia, ale mózg już wysyłał ciału instrukcje, by przygotowało mięśnie do walki; mózg miał w nosie, że byłam bez formy.

Kiedy Emery zobaczył to moje potknięcie, jego oczy błysnęły w półmroku. Taksował mnie, oceniał, czy naprawdę jestem niebezpieczna. Ja też miałam wątpliwości.

– Nie wchodź za bar. Stój, gdzie jesteś, z rękami na widoku.

Uniósł jedną rękę, żeby mnie uspokoić, a drugą odepchnął się od dalszego końca kontuaru; stał teraz bez żadnej osłony, w połowie drogi między krańcem baru a drzwiami biura.

– Zabiłeś Coleman? – spytałam. Wiedziałam, że nie powinnam spuszczać go z oka, ale nie mogłam się powstrzymać: zerknęłam na słój marynowanych ratek na dalszym końcu.

Zauważył moje błędzące spojrzenie.

– Jest tutaj – powiedział i przy „tutaj” skoczył w lewo, w drzwi biura, znikając mi z oczu.

– Niech to szlag – mruknęłam, bo zmarnowałam prawie całą przewagę, ale ciągle miałam broń. Ze słabo oświetlonego kantorka nie dobiegał żaden dźwięk, ale dzięki wcześniejszemu rekonesansowi wiedziałam, że nie ma stamtąd innego wyjścia. Musiałam działać szybko i mieć nadzieję, że zostawił strzelbę za barem. Wiedząc, że cienkie panele ścian między nami nie stanowią żadnej osłony, przygięłam się tak nisko, jak zdołałam, i cichutko podeszłam do drzwi biura.

Stałam tuż obok wejścia, myśląc: to proste, utrzymaj się przy życiu, znajdź Coleman. Omiotłam wzrokiem najdalszy, lewy narożnik biura – nikogo. Spowolniłam oddech, by spowolnić bicie serca. Przemknęłam na drugą stronę drzwi i obejrzałam przeciwległą stronę pomieszczenia: biurko, fotel. Emery wciąż nie strzelał.

Moje spojrzenie padło na Coleman zwisającą na fotelu, z krwawą masarnią w miejscu brzucha.

Gniew zastąpił myślenie: wpadłam do pokoju, by zabić albo zginąć, i nagle usłyszałam jęk. Odwróciłam się, włączyło mi się tunelowe widzenie i o mało nie wystrzeliłam. Ujrzałam drugą Coleman.

Wszystkie mięśnie mojego ciała sprężyły się przeciwko temu jednemu, który odruchowo chciał nacisnąć spust, tak jak sprężają się, by cię ratować, kiedy upadasz. Jednocześnie mój mózg zmarnował ułamek sekundy, by zrozumieć tę drugą Coleman, a kiedy to robił, rzeczona druga

Coleman poleciała na mnie jak marionetka ciśnięta przez pokój. Jej ciało walnęło mnie w nogi i obie padłyśmy na podłogę, nieprzygotowane na to zderzenie. Pistolet wysunął mi się z ręki i patrzyłam zdesperowana, jak podnosi go męska dłoń. Nigdy, przenigdy nie wypuszczaj broni.

Miałam nadzieję, że Max wystawił nakaz aresztowania, że mnie szukają, że są już blisko. W tej chwili nie obraziłabym się na porządną szarżę kawalerii.

Człowiek, o którym wiedziałam już, że jest mordercą, wycelował pistolet we mnie.

– Przeturlaj ją – powiedział.

Coleman miała nadgarstki sklezione przejrzystą taśmą, kolejny kawałek taśmy zaklejał jej usta, groteskowo rozplaszczając wargi. Usiadłam i chciałam jej pomóc zrobić to samo, ale z jej gardła wydobył się stłumiony ryk. Spróbowałam zdjąć jej taśmę z ust, ale Emery mi zabronił, bardziej pistoletem niż słowem.

Uśluchałam go przez moment, ale i tak ją zapytałam:

– Gdzie jesteś ranna?

Zaskomliła i wsunęła dłonie między kolana, które podciągnęła do piersi. Zauważyłam trochę krwi na podłodze.

– Przeciąłeś jej ścięgno – powiedziałam.

– Obydwa – odparł, trzymając się w bezpiecznej odległości ode mnie. Widocznie miał w pamięci śmierć Peasila i mimo przewagi, jaką dawała mu broń, wolał być ostrożny.

Ale Coleman była żywa. I miałam zamiar ją uratować, nawet własnym kosztem.

Delikatnie, starając się sprawiać jak najmniejszy ból jej poranionym nogom, przeciągnęłam ją w bezpieczniejsze miejsce, na drugi koniec biura, gdzie oparła plecy o poobijaną, stalową szafkę na akta. Jej oczy błęgały mnie w milczeniu i chciałam jej powiedzieć największe kłamstwo w moim życiu, że nie ma się o co martwić. Chciałam jej powiedzieć cokolwiek, w co by uwierzyła, ale pewnie niewiele by tego było. W końcu, wciąż nie zważając na pistolet w dłoni Emery'ego, obejrzałam się na zwłoki, które w pierwszej chwili wzięłam za Coleman.

Teraz przekonałam się, że była to jedna z tych pomyłek, kiedy wyobrazasz sobie coś tak intensywnie, że widzisz to wszędzie. Spodziewałam się ujrzeć tutaj zwłoki Coleman i ujrzałam. Ale tak naprawdę była to Cheri Maple, równie martwa jak zapach, który mnie do niej doprowadził. Leżała rozpostarta na starym fotelu koło biurka, przodem do mnie. Po jej wyblakłych źrenicach i niemożliwym wygięciu szyi poznałabym, że już po niej, nawet gdyby nie dostała postrzału ze śrutówki prosto w brzuch.

– Musisz zdechnąć, gnoju – szepnęłam głośno. – Ty pierzony gównojadzie.

– Miałem nadzieję, że poczuję się tak jak za pierwszym razem, z jej siostrą.

Wychowywałam ją do tego, że tak powiem. Ale to było o wiele mniej przyjemne, niż się spodziewałam. Może dlatego, że tak szybko poszło, jak przedwczesny orgazm – wyjaśnił Emery, stając za mną i klepiąc mnie po plecach, by sprawdzić, czy nie mam drugiej sztuki broni. Wolną dłonią wskazał mi drugi fotel stojący przed biurkiem. – Proszę, siadaj.

Zastanawiałam się, dlaczego tak mu się nie spieszy, żeby mnie wyeliminować czy choćby unieruchomić. Usiadłam na wprost niego. Nawet w obecności takiego psychopaty jak Emery „udział” Cheri w tej rozmowie był makabryczny.

Ale też pomagał. Widok Laury Coleman leżącej bezradnie po drugiej stronie pomieszczenia i martwej Cheri tuż przede mną sprawił, że znów wyciekłam z siebie, zupełnie tak jak wtedy, kiedy Carlo znalazł moje zakrwawione ciuchy w pralce. Ale tym razem to było w porządku, bo mogłam być równie opanowana, równie wyzbyta uczuć jak morderca przede mną. Właśnie to próbowałam wytłumaczyć Coleman: że wszyscy musimy się stać tym, co chcemy pokonać, i to był bardzo pożądany stan, bo oznaczał, że Brigid Quinn, której potrzebowałam do przetrwania, właśnie się włączyła.

– Dlaczego zabiłeś Cheri? – spytałam, grając na czas, dopóki nie wymyślę, jak nas wydobyć z tego bagna. – Bo widziała, co zrobiłeś agentce Coleman?

– Nie, Cheri nie wiedziała, że trzymam sobie agentkę Coleman w bezpiecznym schowku. A tak przy okazji, miałem sporą frajdę, kiedy rozmawiałem z tobą przedwczoraj przy barze, wiedząc, że siedzi w składziku na patio. To było naprawdę ekscytujące. – Mówił bardziej do siebie niż do mnie. – Nie chciałem zabijać Cheri w taki sposób. Chciałem ją zachować na specjalną okazję. To miała być nasza wyjątkowa chwila. Musiałem ją załatwić za szybko, bo zobaczyła to w chłodziarce. – Kopnął coś i zza biurka wysunęła się noga w ciężkim bucie. Wyglądało to, jakby Emery miał pretensje do trupa, że zepsuł mu zabawę.

Moja determinacja osłabła na sekundę, zanim dotarło do mnie, że Carlo nie nosi traperek.

– Mogę?

– Ależ proszę. Tylko powoli. – Odłożył mój pistolet na biurko i podniósł strzelbę z obciętą lufą, z której zabił Cheri. Celował we mnie, kiedy wstałam powoli, przygotowałam się na to, co zobaczę i przeszłam do bocznego skraju biurka, by lepiej widzieć. Ciało było w zasadzie nietknięte, jeśli nie liczyć odrobiny zaschniętej krwi przy ustach.

– Kto to jest? – spytałam z ulgą, że tego nie wiem.

– Nie mam pojęcia. Trochę trwało, zanim znalazłem bezdomnego, którego nikt nie będzie szukał.

– Był jakiś powód czy tylko tak, dla zabawy?

Emery zrobił urażoną minę.

– Był bardzo dobry powód. Widzisz, że jest z postury bardzo podobny do mnie? Będzie mną, kiedy wysadzę tę budę w powietrze.

Udało mi się nie zareagować, zależało mi na zdobyciu kluczowych informacji.

– A co z dokumentami? Odciskami palców? Historią leczenia dentystycznego?

Emery żartobliwie uderzył się pięścią w policzek.

– Nie ma żadnej historii leczenia dentystycznego. Mam szczękę jak skała. Gliniarze zapamiętali, że tak mówiłem. A do tego na wszelki wypadek miałem dziś w barze mały wypadek... – Uniósł górną wargę, by mi pokazać szczerbę po brakującym przednim zębie. – Nielatwo było wybić sobie ząb i to niby niechcący – powiedział i czubkiem buta uniósł wargę trupa, by pokazać, że i jemu brak zęba. – Z nim było trochę łatwiej, chociaż ząb wpadł mu do gardła i musiałem go wygrzebać. Raczej nie będzie kłopotu ze zidentyfikowaniem mnie, nawet jeśli jego ciało nie zostanie zupełnie zniszczone. Ma taką samą śliczną figurę jak ja, nie sądzisz? – Położył dłoń na biodrze i pozwolił, by brzuch mu obwisł. Teraz, kiedy jego plan wchodził w życie, Emery był w doskonałym humorze. – Co do odcisków palców, to moich nie ma w żadnej bazie, ale jeśli odpowiednio ułożymy ciała, spodziewam się, że ogień z koktajli Mołotowa i tak zniszczy większość dowodów.

Może wcale nie, choć nie była to wielka pociecha w obliczu faktu, że wszyscy będziemy martwi.

– Od jak dawna go masz? – spytałam, by nie przestawał mówić. Musiałam odkryć, jakie mógł popełnić błędy.

– O, jest dosyć świeży. Przykro mi tylko, że nasza młoda agentka musiała tak długo znosić nieprzyjemności, zanim go znalazłem. – Wciąż celując we mnie z obrzyna, wolną ręką otworzył szufladę biurka i wyjął rolkę przezrystej taśmy klejącej. – Wspaniale, co da się zrobić z biurowymi przyborami – powiedział. – Może nawet będą inspiracją dla całkiem nowego MO. Bardzo mi tego brakowało przez kilka ostatnich lat. – Rzucił mi taśmę. – Usiądź na podłodze, o tam, i owiń sobie kostki, z łaski swojej. Nie, nie tak blisko Laury.

Wzięłam taśmę, usiadłam kilka kroków od Coleman i zgodnie z jego poleceniem

spętałam sobie kostki, przez cały czas kombinując, jak zyskać na czasie i ocalić nas obie. Kiedy już wystarczająco się unieruchomiłam, odebrał ode mnie taśmę i okleił mi nadgarstki i dłonie za plecami w taki sposób, że miałam zakryte palce.

– Porządnie cię zapakuję przed wysyłką na tamten świat – powiedział i uśmiechnął się do siebie. – Dowcipkowanie w obcym języku świadczy o sporej inteligencji, nie sądzisz? Myślałem już, że straciłem szansę zajęcia się tobą. A ty sama przyszałaś.

– Poznałeś Peasila w taki sam sposób jak Lyncha? Przez Internet?

Emery potaknął ruchem głowy.

– Myślałem, że Floyd Lynch naprawdę jest mordercą. Był taki przekonujący. Inaczej bym nie ryzykował korespondencji z nim.

– Powtarzał tylko rzeczy, które wyczytał w książkach.

– Drobny błąd, który kosztował mnie utratę tego baru. Ale zawsze mogę kupić inny, w innym mieście. I pod innym nazwiskiem. I zacząć wszystko od nowa. – Emery puścił do mnie oko, zostawiając mnie z wyobrażeniami, co miał na myśli, mówiąc o zaczynaniu od nowa.

Kiedy skończył mnie oklejać, wyniósł obrzyn w najdalszy kąt pomieszczenia, jakby chciał się ze mną podroczyć. Mój pistolet zatknął sobie za pasek spodni na plecach. Po czym wyszedł z biura, pogwizdując Liszta. Słyszałam, że podszedł do frontowych drzwi. Pewnie chciał je zamknąć; nie wiedział, że już przekręciłam zamek.

Spojrzałam na Coleman. Musiałam wiedzieć, co ona wie i jakie mamy możliwości. Przysunęłam się do niej po podłodze i spróbowałam zdjąć jej taśmę z ust, ale nie dałam rady oklejonymi palcami. Użyłam zębów; zwisający pasek taśmy pozostał przyklejony do jej policzka.

– Mów szybko – szepnęłam. – Jesteś przytomna?

Coleman pokręciła głową z zamkniętymi oczami.

– Przepra...

Strzeliłabym ją w twarz, gdybym mogła używać rąk. Oparłam czoło o jej czoło i powiedziałam:

– Popatrz na mnie, Coleman. Wyciągnę nas z tego. Obie przeżyjemy. Więc weź się w garść. Podał ci narkotyki?

Tym razem trzymała się faktów. Wyrzuciła z siebie parę urywanych słów.

– GHB, roofie^[10]. Już mija.

– Jak cię tu ściągnął?

– Czekał pod moim domem – odparła trochę silniejszym głosem. – Użył paralizatora. Nie spodziewałam się.

– Zdarza się. Patrz na mnie. Broń.

– Strzelba, z której zabił Cheri. Tam, pod ścianą. – Spojrzała na obrzyn, potem znów na mnie. – I twój pistolet. Tyle wiem.

Zaczęły jej dzwonić zęby, spojrzenie odpłynęło. Wyglądało mi na to, że wpada w szok.

– Bardzo boli? – spytałam tak obojętnym tonem, jakbym pytała o godzinę.

– Da się wytrzymać – odparła.

Uniosłam ręce i grzbietem dłoni dotknęłam jej policzka.

– Dajesz radę. Świetnie sobie radzisz. Zostań ze mną, mała. Wiesz, gdzie schował paralizator?

Wciąż się trzęsła, ale znów spojrzała mi w oczy, kiedy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Trzymał mnie w jakiejś komórce. – Widziałam, że usilnie stara się wymyślić cokolwiek użytecznego.

– Dlaczego jeszcze żyjesz? – spytałam.

– Powiedział... powiedział, że nie wie, kiedy będzie mnie potrzebował, a moje zwłoki

muszą być świeże.

Kiwnęłam głową. Kiedy usłyszałam kroki w korytarzyku prowadzącym do kuchni, policzkiem przykleiłam taśmę z powrotem do ust Coleman.

18 sierpnia 2011, godzina 19.10

Emery wszedł do biura ze słojem marynowanych ratek i postawił go na biurku. Pieszczotliwie przeciągnął dłonią po szkle.

– Nie chcę zapomnieć tego zabrać – powiedział i kontynuował, jakbyśmy byli w środku rozmowy: – Tak, pierwszy raz jest najlepszy. To jak pierwszy samochód, pierwsza miłość. Pierwszy raz w Paryżu. Ciągłe próbujesz przeżyć ten pierwszy raz na nowo, ale ci się nie udaje. Patrzyłem z zachwytem na Cheri i nie mogłem się doczekać, kiedy to znów nastąpi. Aż do Cheri zabijanie straciło smak. Niesamowite, że tak jest ze wszystkim, nawet z zabijaniem. Przez ciebie musiałem się pospieszyć. – Poglaskał Cheri po włosach, idąc na swój fotel przy biurku, usiadł i nabił fajkę tytoniem o smaku wiśniowego bourbona, którego zapachu już nigdy w życiu nie zapomnę. Zapalił fajkę, pyknął parę razy i wcisnął guzik na czymś, co wyglądało jak wieża stereo. Wszyscy usłyszeliśmy nasze głosy:

– Mów szybko. Jesteś przytomna?

– Przepra...

– Popatrz na mnie, Coleman. Wyciągnę nas z tego. Obie...

Powiedziałam:

– Dobra, zrozumialiśmy. Cały bar jest na podsłuchu.

Emery posłusznie wyłączył magnetofon.

– Słucham cię od dawna, Brigid Quinn.

– Mogłeś nas podsłuchiwać, ilekroć byliśmy w barze. Wystarczyło wcisnąć odpowiedni guzik.

– Och, nie tylko ostatnio w barze. – Podniósł głos, udając żeński falset: – Jessica? Jessica, jesteś tam?

Chciał mi dokuczyć. Ale wspomnienie tamtej nocy, myśl, że włożył słuchawkę iPod'a do ucha i usłyszał, jak wołam Jessicę, umocniło tylko moją pewność, że jedno z nas niedługo zginie.

Celując ze mnie z mojego własnego pistoletu, Emery zdarł taśmę z moich dłoni; zostawił tę na kostkach nóg. Wskazał Cheri.

– Musisz mi pomóc. Ściągnij ją na podłogę, z łaski swojej.

– Wal się – rzuciłam bez złości, bez żadnego uczucia. Powiedziałam to tylko po to, żeby sprawdzić efekt.

Emery lewą ręką podniósł zszywacz z biurka i podszedł do Coleman, leżącej bezwładnie z głową na podłodze. Krzyknęłam, ale nie dość szybko, by powstrzymać go przed przebicciem jej ucha. Drgnęła z bólu, ale taśma na ustach znów nie pozwoliła jej krzyknąć tak głośno, jak by chciała.

– No, szkoda niewielka, ale chyba jasno się wyraziłem, co? – powiedział Emery z cierpliwością, która wydawała się niemal szczerą.

Niezgrabnie, jako że miałam spętane nogi, chwyciłam Cheri w kostkach i pociągnęłam. Jej głowa po drodze walnęła w skraj fotela, ale w końcu zwłoki legły płasko na plecach. Emery wszedł za biurko i obserwując mnie pilnie, przegrzebał zawartość górnej szuflady.

– No dobrze, to się nada. – Wyjął nożyk artystyczny i położył na podłodze obok mnie. – Wiem, że będą robić autopsje ciała i nie byłoby fajnie, gdyby w jednym znaleźli śrut. Więc musisz

go powyjmować.

– Jesteś nienormalny – powiedziałam.

Spojrzał na mnie spod uniesionej brwi, jakby to było oczywiste, i ruchem podbródka wskazał nożyk. Nie wypuszczając pistoletu z dłoni, przesunął sobie fotel przed biurko, by móc obserwować przedstawienie. Pokiwał na mnie palcami.

– Bierz się do roboty.

– To dlatego mnie jeszcze nie zabiłeś?

– Tak, dlatego, a poza tym mam dla ciebie jeszcze parę zadań. I porozmawiamy, bo chcę mieć pewność, że niczego nie przeoczyłem. Za rogiem mam wypożyczony samochód. Bez żadnych walizek.

Grzebanie w trupie było pomysłem obłąkańca, ale przynajmniej dawało mi jeszcze trochę czasu na zastanowienie nad kolejnym ruchem. A poza tym, może i ostrze nie było najlepszą bronią przeciwko pistoletowi, ale zawsze to jakaś broń. Wzięłam nożyk i uklękłam przy ciele Cheri, podziurawionym kraterami, tym bardziej skupionymi, im bliżej środka, tak że centrum jej tułowia było jedną wielką jatką. Jakaś część mojego umysłu zdumiewała się nawet, że nie mam odruchu wymiotnego.

– Co mam robić ze śrutem? – spytałam.

Emery rozejrzał się po blacie biurka i uznał, że czarny, plastikowy pojemniczek na spinacze świetnie się nada. Kiedy nie patrzył, rozpięłam kieszeń bojówek. Emery wysypał spinacze i postawił na brzegu blatu od mojej strony. Uniosłam się, chwyciłam pojemnik, usiadłam z powrotem i zabrałam się do pracy. Sondowałam palcem rany wlotowe, by sprawdzić, które kulki są najbliżej powierzchni. Najpierw zajęłam się właśnie tymi. Kroiłam ciało, któremu stężenie pośmiertne nadało już konsystencję gliny. Nie muszę chyba mówić, że nawet nie próbowałam traktować zwłok, jakby moje działania miały je wyleczyć, ale byłam na tyle delikatna, na ile pozwalał mi nożyk śliski od krwi. Bardzo lubiłam Cheri.

– To jest obłęd – powtórzyłam po chwili, wrzucając pierwszą kulkę do pojemniczka. Krwawą dłonią odgarnęłam kosmyk włosów z twarzy. – W życiu nie wyciągnę wszystkich.

– Wyciągniesz, wyciągniesz. Jest ich może z dziewięć. Ale nawet jeśli którąś przegapisz, to wyjmiesz większość, zmniejszając prawdopodobieństwo, że ktoś zauważy jedną czy dwie zbłąkane śruciny. A przecież nie będą szczególnie staranni, jeśli założą, że wszyscy zginęliśmy od wybuchu.

Znalazłam kolejną tuż przy pierwszej; potem musiałam zacząć dłużyć głębiej. Miałam nadzieję, że nie przebiję niechcący pęcherza czy jelita i nie narobię jeszcze większego gnoju. Zabawne, jaka byłam schludna. W brzuchu Cheri utknęła też część bawełnianej przybitki naboju. Wyczułam ją i miałam nadzieję, że jeśli zginiemy, zostanie znaleziona i George Manriquez będzie na tyle przytomny, by zadać sobie pytanie, skąd się tam wzięła.

– Będę potrzebowała czegoś większego – powiedziałam, unosząc plastikowy pojemnik.

Emery rozejrzał się po pokoju.

– Musi ci wystarczyć. Myślisz, że jestem taki głupi? Że pójdę szukać czegoś do sali i zostawię cię tu z niezwiązanymi rękami?

Zaczęłam grzebać głębiej.

– Jesteś pewien, że nic nie trafiło w ścianę? Dlaczego to nie przeszło przez nią na wylot?

– Nie wiem, broń nigdy nie była moim konikiem. Może dlatego, że zakryłem łufę poduszką, żeby się nie spodziewała.

Może stąd ta bawełna, nie z naboju, a z poduszki. Odwróciłam głowę, by spojrzeć na Coleman; miała otwarte oczy, obserwowała mnie. Przeciągnęła się lekko, jakby chciała rozluźnić skurczony mięsień, który chwilowo sprawiał jej większy ból niż przecięte ścięgna. Żalowałam, że

nie znam jej dłużej i nie wiem, co w tej chwili myśli. Może mogłybyśmy sobie coś przekazać w ten sposób.

Kiedy pracowałam, Emery wziął sobie z biurka butelkę piwa, otworzył ją i napił się, po czym zaczął nabijać fajkę. Nie odezwał się, dopóki nie ubił i nie zapalił tytoniu. W końcu pokręcił z żalem głową nad wspomnieniem Cheri.

– To chyba jedyna muszka w moim winie. – Roześmiał się ze swojego angielskiego żarciku. – Szkoda, że nie miałem czasu na uśmiercenie jej w bardziej przyjemny sposób. – Pyknął fajkę. – Mówiłem, że nic nie może się równać z pierwszym razem, ale zabicie agentki FBI jest niewiele gorsze. To jedna z tych rzeczy, które człowiek chce zrobić, zanim sam umrze.

Chciałam, by mówił dalej.

– Nie spodziewałeś się, że zdołam zabić Peasila.

– Zabiłaś go? – Emery roześmiał się, aż chmurka dymu buchnęła mu przez nos. Czuł się coraz swobodniej, widząc, że jego plan idzie jak po maśle, jeśli nie liczyć paskudnej śmierci Cheri. – Wiesz, nie byłem tego pewny, mogłem się tylko domyślać. To, co podali w wiadomościach, że wjechał do koryta rzeki, nie pasowało do tego, co wiedziałem na jego temat. Jak go zabiłaś?

Emery był szczerze zainteresowany, jakbyśmy byli parą profesjonalistów dyskutujących o swoim fachu. Odruchowo zerknęłam na nożyk, który trzymałam w dłoni, ale nie odpowiedziałam na jego pytanie.

– Zdaje się, że zawałam ci tę część planu, co?

– Tak, ale jestem elastyczny – odparł. – Zresztą pewnie już to o mnie wiesz. Miła jest świadomość, że ktoś cię tak dobrze zna. Czy jest coś, czego nie wiesz?

– Nie, Floyd Lynch powiedział mi przed śmiercią prawie wszystko.

Zdażyłam już odsłonić żołądek Cheri i byłam pewna, że dwie śruciny go przebiły. Nieciekawie się to zapowiadało.

– A, więc jednak umarł. To dobrze. Więc słusznie zakładałem, że jednak zaczniesz mówić. Czy wie o tym ktoś oprócz ciebie? – Emery zmarszczył brwi, kiedy przyszło mu to do głowy.

Posłałam mu tak enigmatyczne spojrzenie, na jakie było mnie stać przy aktualnym zajęciu. Prowokuj go do rozmowy, powiedziałam sobie. Choć Coleman zemdląca na podłodze, wciąż wyglądała na żywą. Utrzymaj ją przy życiu.

– Floyd Lynch nie był geniuszem. Ale całkiem dobrze pamiętał wszystko, co przeczytał. I miał twoje e-maile. Przepisał je ręcznie, żeby wyglądały na jego własne pamiętniki.

Emery prychnął; dym wyszedł bokami jego ust niczym zbląkana myśl.

– Nie mogłem przewidzieć, że będzie wiedział o porzuconym samochodzie, że da się złapać i wykorzysta zwłoki do zawarcia ugody. Wszystko poszłoby doskonale, gdyby ciebie tam nie było, gdybyś nie poparła podejrzeń Coleman. Moim jedynym błędem było założenie, że dasz się łatwo zabić.

Oddzieliłam żołądek, uniosłam go z jamy brzusznej i ułożyłam na klatce piersiowej, mniej poranionej niż brzuch. Cóż, chyba oglądałam więcej autopsji, niż mi się wydawało.

– Nie moglibyśmy włożyć tego żołądka do plastikowego woreczka? – zapytałam, unosząc na Emery'ego obojętne spojrzenie, by się nie zorientował, że wyobrażam sobie, jak wbijam nóż w bok jego szyi, gdzie delikatnie pulsowała tętnica. – Mógłbyś go sobie wziąć na pamiątkę.

Ale Emery wciąż był zamyślony. Przemknął spojrzeniem po martwym mężczyźnie leżącym u jego stóp i po ciele Cheri przede mną. Zamknął oczy na bezpieczną sekundę i wziął głęboki, zadowolony wdech konesera win.

– Zapomniałem, jakie to wspaniałe uczucie – powiedział. – Czy to nie zabawne, Brigid Quinn? – Uśmiechnął się do siebie, jakby rzucenie mi nazwiska w twarz sprawiło mu

przyjemność. – Ty mnie do tego zmusiłaś. Nie bawiłem się w to przez długie lata, dopóki wy dwie nie przyszłyście tutaj i nie zaczęłyście gadać o tym, że to nie Lynch popełnił te morderstwa. Wtedy wszystko zaczęło się rozłazić.

– To jak będzie z tym workiem? – ponowiłam pytanie, dziwnie wdzięczna, że mogę się skupić na tym i nie muszę myśleć o mojej odpowiedzialności za śmierć wokół mnie, nawet jeśli logika Emery’ego była kompletnie wypaczona.

– Nie, Brigid Quinn. Jeśli przeprowadzą autopsję, mogą zauważyć, że Cheri brakuje żołądka. Rozetnij go i wyjmij śrut.

Włożyłam żołądek z powrotem do jamy brzusznej, gdyby miał się rozpaść, i przecięłam ściankę. Emery pochylił się do przodu z zaciekawieniem.

– Wyobrazasz sobie, jak będą szaleć jej rodzice, kiedy się dowiedzą, że stracili drugą córkę? Sam nie będę mógł tego oglądać. Spędzałem z nimi każde Boże Narodzenie, od kiedy zacząłem chodzić z Kimberly. Jeśli ich teraz odwiedzę, będą wiedzieli, że tak naprawdę nie zginąłem. Ale może napiszę e-mail. Widzisz tam jakąś kiełbasę? – spytał.

Myśląc o bólu, jaki zadał Zachowi, zignorowałam jego pytanie i grzebałam w żołądku, szukając przynajmniej dwóch kulek.

– Poczekaj, aż Cheri trochę podrośnie, zanim użyję na niej nieodpartego europejskiego czaru. Oczekiwanie to większa część przyjemności, cokolwiek się robi, nie sądzisz? Przeleciałem ją pierwszy raz, kiedy miała dwadzieścia jeden lat. Rok po zabiciu Jessiki Robertson. Dzisiaj na lunch jedliśmy smażone kiełbaski.

Upuściłam nóż, bo moje dłonie były śliskie od płynów ustrojowych. Chwyciłam rączkę trochę mocniej.

– No więc? – spytał, rozkoszując się moim upokorzeniem.

– Tak, jest tu kawałek pieprzonej kiełbasy – wrzasnęłam. Czerwona mgła zasnuła mi oczy i na sekundę straciłam panowanie nad sobą, ale uwagę Emery’ego odwróciło pukanie do frontowych drzwi.

18 sierpnia 2011, godzina 19.20

Oboje nadstawiliśmy uszu, czekając na powtórne pukanie. Tylko Coleman, wciąż oglupiała od bólu i narkotyków, nie zareagowała. Gdyby nie taśma na kostkach, zaryzykowałabym i rzuciła się do drzwi. Zdążyłam wydać z siebie jeden głośny wrzask, który pewnie i tak nie był słyszalny pod drzwiami, zanim Emery ogłuszył mnie, waląc w twarz grzbietem dłoni. Przewrócił mnie na brzuch i związał jak prosiaka, krępując ręce z tyłu i mocując je do kostek nóg. Jeszcze jednym paskiem taśmy zakleił mi usta, po czym wyszedł do sali barowej, zamykając za sobą drzwi.

Po kilku bezskutecznych próbach krzyknienia przez taśmę opuściłam głowę i oparłam policzek o przesiąkniętą krwią, cienką wykładzinę. Uspokoila przyspieszony oddech tak skutecznie, jak się dało i zaczęłam nasłuchiwać, jednocześnie trąc twarzą o szorstką powierzchnię wykładziny, by odkleić taśmę.

– Chwileczkę – zawołał Emery tak głośno, że wszyscy go usłyszeliśmy. Miałam wrażenie, że wyszedł z sali, i potwierdziło mi się to, kiedy usłyszałam jakieś urządzenie, zapewne zmywarkę w kuchni. Dźwięk zmywarki zagłuszył kolejne kroki, aż dołączyła do niego muzyka, ale puszczone cicho, by osoba przed drzwiami nie zorientowała się, że włączył ją w tej chwili. Nie wiem, co to było, jakaś stara, brzękliwa melodia country. I znów jego głos. – A, dzień dobry. Za chwileczkę otwieramy, musiałem się zająć jednym drobiazgiem. Usterka sprzętu.

Ten ktoś musiał wejść do środka, bo usłyszałam męski głos; ledwie byłam w stanie wyłapać go przez muzykę, kiedy przestałam oddychać i wytężyłam wszystkie zmysły.

– Ja właściwie kogoś szukam.

– W tej chwili jestem tylko ja.

– Nie szkodzi. Mogę pana o coś zapytać?

– Mianowicie?

– Słyszał pan kiedyś nazwisko Gerald Peasil?

Cisza.

– Nie, przykro mi, nie słyszałem. Kto to taki?

– Sprawdzamy kilka numerów z jego telefonu i to jest jedno z miejsc, w które dzwonił. Znów cisza.

– Przepraszam, jestem niegościnnie. Proszę wejść i napić się czegoś, panie...

– Coyote. Wiceszeryf Coyote.

Długa chwila ciszy, podczas której Max zapewne wszedł głębiej do baru.

– Ja jestem Emery Bathory. Już tu pana widziałem.

– To popularny lokal.

– Zapraszam.

– Panie Bathory, nie mam wiele czasu.

– Ja też nie. Ale ugoszczenie pana to obowiązek dobrego gospodarza, no i reklama dla baru. Proszę.

Zmywarka i szafa grająca zagłuszały kroki, więc nie potrafiłam stwierdzić, gdzie są, ale zakładałam, że idą w stronę kontuaru. Wyobraziłam sobie, jak Emery wchodzi za ladę, manewrując starannie, by Max nie zauważył pistoletu za paskiem spodni. Max pewnie stał przy

kontuarze albo siedział na barowym stołku.

- Coś do picia?
- Nie, dziękuję.
- Więc myśli pan, że ten, jak pan powiedział?
- Gerald Peasil.
- Myśli pan, że ten Gerald Peasil mógł tu dzwonić?

– No tak, wiemy, że dzwonił, ale właściwie nie jego szukam. To może być zbieg okoliczności, ale na parkingu za pańskim barem stoi samochód. Należy do kobiety, z którą chciałbym porozmawiać.

- Dlaczego pan uważa, że jest tutaj?
- To niska kobieta z siwymi włosami. Starsza, ale w dobrej formie.

Czyżby Max podpuszczał Emery'ego? Nie, udało mu się odzyskać skasowane numery z komórki Peasila, ale nie miał powodu podejrzewać, że Emery ma jakiś związek z Peasilem, nie mówiąc już o tym, że sam jest mordercą. Pewnie uważał numer Cantiny Emery'ego za jeszcze jeden na liście knajp z jedzeniem na wynos, to była rutynowa kontrola. W najlepszym wypadku mógł podejrzewać, że Peasil kontaktował się z którymś z klientów, i zamierzał sprawdzić ten trop, kiedy zobaczył mój samochód.

Drzwi były ze sklejki. Jeśli były na tyle cienkie, że słyszałam rozmowę tamtych dwóch, to może udałoby się je otworzyć porządnym kopniakiem, gdybym się przyłożyła. Szarpnęłam ciałem, by jakoś doturlać się do drzwi. Udało mi się przekręcić na plecy. Ból przeszył mi kręgosłup i ręce przyciśnięte pod bezlitosnym kątem do podłogi. Przez cały czas starałam się podsłuchiwać.

– Pewnie ma pan na myśli tę drobną starszą panią, która zaczęła tu przychodzić, zdaje się, że z koleżanką z FBI. Wysoka, bardzo ładna młoda kobieta z krótkimi kręconymi włosami.

- Widział je pan tu razem?
- Tak, ze dwa razy. Ale pana interesuje ta starsza?
- Tak.
- Była tu wcześniej. Dlaczego pan jej szuka? Zrobiła coś złego?
- Mam do niej tylko parę pytań w związku z prowadzonym śledztwem.

Trudno było jednocześnie poruszać się i nasłuchiwać, ale udało mi się przeturlać dwa razy i pokonać połowę drogi do drzwi. Za wolno. Znowu przekręciłam się na plecy i podpierając kostkami palców, zdołałam usiąść.

– Więc kiedy tu była? – spytał Max.

– Mielśmy spory ruch, nie wiem, czy uda mi się precyzyjnie określić. Nie siedziała długo. Zdaje się, że spotkała się z tą agentką FBI i wyszły razem. Widocznie zostawiła samochód na parkingu. Może jej pan zostawić wiadomość za wycieraczką. I oczywiście jeśli zjawi się później, przekażę, że jej pan szukał.

Krótką chwilą ciszy i znowu głos Maksa:

- Chyba nie mogła pójść nigdzie daleko.
- Dlaczego pan tak sądzi?
- Jej torebka leży na przednim siedzeniu.
- Co za nieostrożność.

Posuwałam się centymetr za centymetrem, byłam już prawie przy drzwiach i widziałam, że zamek jest po tej stronie, więc Emery raczej nie zamknął ich na klucz. To mogło jeszcze bardziej ułatwić wybite ich kopniakiem. Padłam na bok i podciągnęłam kolana. Wiergnęłam, ale byłam za daleko, żeby dosięgnąć. Podsunęłam się parę centymetrów bliżej. Przypadkiem zerknęłam na Coleman i ujrzałam jej szeroko otwarte oczy – patrzyła w moje, świadoma, co się

dzieje.

– Proszę powiedzieć prawdę, panie Bathory, ona tu jest? Namówiła pana, żeby ją pan...
Miałam tylko jedną szansę. Jeszcze raz podciągnęłam kolana i wywaliłam drzwi.

Max odwrócił się, by spojrzeć, i nawet Emery przez moment był zaskoczony, nim wyciągnął zza paska moją czterdziestkę i strzelił Maksowi w pierś.

18 sierpnia 2011, godzina 19.45

Aax poleciał do tyłu – to normalne, kiedy człowiek dostanie w środek masy kulkę z broni kaliber 45. Padł na plecy, z głową przekrzywioną przy nodze ciężkiego stołu. Poruszała się tylko rosnąca kałuża krwi pod nim.

Emery się wkurzył. Wyjął Maksowi broń z kabury, przeszedł nad jego ciałem, by zamknąć frontowe drzwi, po czym przebiegł kilka kroków z powrotem, do mnie. Leżałam na brzuchu, bo przeturlałam się, żeby ulżyć obolałym rękóm, więc go nie widziałam, słyszałam tylko jego kroki. Przydepnął mi kark i przyłożył lufę do skroni. Poczułam rozprysk jego śliny. Ta część mojego mózgu, która potrafiła wyciec i stanąć obok, usłyszała, że skomle jak pies w kagańcu.

Ale Emery też się bał i tracił opanowanie. Zaskoczyła go wizyta Maksa i słyszałam to w jego chrapliwym wrzasku.

– Zostawiłaś torebkę w samochodzie jako sygnał? – Mocniej szturchnął mnie lufą w skroń. Sapnęłam z bólu. – Kto jeszcze się tu zjawi? – Kiedy zobaczył, że nie mogę odpowiedzieć zaklejonymi ustami, zerwał taśmę.

Powiedziałam tylko:

– No już, strzelaj, popaprańcu. Ktoś w końcu usłyszy któryś strzał i wezwie gliny. Zobaczą samochód Maksa na zewnątrz.

Z o wiele większym pośpiechem niż do tej pory Emery złapał nożyk leżący obok ciała Cheri i przeciął taśmę na moich nadgarstkach i kostkach, kalecząc mnie parę razy, czy to z pośpiechu, czy celowo. Stracił ten swój żartobliwy nastrój i nawet wschodnioeuropejski akcent, który, jak zawsze podejrzewałam, był tylko na pokaz. Powiedział:

– Kończmy z tym.

W sumie znalazłam w Cheri siedem śrucin.

– To wystarczy – powiedział Emery. Nie usiadł; stał sztywno nade mną, spokojnie pykając fajkę. Wiedziałam, że jeśli przeżyję, już nigdy nie zdołam rozdzielić zapachów wiśni, bourbona i krzepnącej krwi. Pistolet, z którego zabił Maksa, leżał przed nim na biurku.

– Powinny być jeszcze dwie – powiedziałam, by zyskać na czasie. Miałam nadzieję, że ktoś zauważy samochód Maksa przed barem i przyjdzie go szukać. Widocznie Emery myślał o tym samym.

– Musi wystarczyć – odparł.

– Jaki jest plan, Emery?

– Pomyślą, że ktoś, kto nienawidzi glin, podłożył tu bombę. Albo że był wyciek gazu i że to wypadek. – Zastanawiał się. Zaczął chodzić po biurze. Mówił szybciej, ewidentnie zdając sobie sprawę, że każde opóźnienie zwiększa ryzyko, ale chciał mieć pewność, że wszystko przemyślał. – Nie, to się nie uda, znajdą dowody, że to była bomba. – Zrobił triumfalną minę. – No właśnie. Pomyślą, że ktoś polował na ciebie, a reszta z nas to tylko przypadkowe ofiary.

Wskazałam nożykiem pocięte ciało Cheri.

– A co z kulką w ciele Maksa? Znajdą ją.

– Może pomyślą, że ci odbiło i zastrzeliłaś Coyote'a, a potem zabiłaś nas, żeby ukryć ten fakt. To był twój pistolet.

– A potem wysadziłam się razem z całym budynkiem? Jesteś na to za bystry, Emery. Wiesz, że się domyślą, że coś jest nie tak z tą całą inscenizacją.

Dumał nad tym przez chwilę, aż w końcu wypuścił ostatnią chmurę dymu i wystukał wygasły popiół o podeszwę buta. Schował fajkę do kieszeni koszuli.

– Wiesz co? Tak naprawdę wszystko jedno, jak zrekonstruują miejsce zbrodni, byle tylko myśleli, że niewinny barman nie żyje. – Wziął mój pistolet i wskazał nim bezdomnego koło biurka. – Musisz mi pomóc poukładać ciała. Najpierw jego.

Przeciągnęłam zeszywniałe mięśnie.

– Chyba nie dam rady.

Zamiast uśmiechnąć się jak zwykle, złowrogo wyszczerzył na mnie zęby.

– Przestań zwlekać. Wiem, że pewnie zdołałabyś mnie teraz zabić, gdybym ci dał okazję. Dasz radę przeciągnąć ciało.

Odłożyłam delikatny nożyk. Klęcząc plecami do Emery'ego włożyłam go do ziejącej dziury, która była kiedyś brzuchem Cheri, i schowałam pod wnętrznościami. Podniosłam się i przeciągnęłam dublera Emery'ego tam, gdzie mi kazał, za kontuar. Emery kazał mi kilka razy przesunąć zwłoki, po czym dał mi zapasową fajkę, żebym włożyła ją do martwych ust. Wzięłam fajkę, ale nie byłam w stanie odchylić zeszywniałej żuchwy.

– Po prostu wsuń ją w dziurę po zębie – zasugerował Emery. To się udało. – Położę jedną z bomb pod jego twarzą – oznajmił, myśląc na głos.

Kiedy ciągnęłam mężczyznę, miał uniesione ręce. Pomyślałam, że cały bar jest pełen odcisków palców Emery'ego; byłoby miło, kiedy już wszyscy będziemy martwi, gdyby jakiś przytomny technik kryminalistyczny pomyślał o porównaniu ich z rzekomymi zwłokami barmana. Ściągnęłam ręce trupa na dół i schowałam dłonie pod jego biodra. Może choć kilka palców ocaleje, zależnie od siły wybuchu. Ale Emery to zauważył. Zawsze wiedzieliśmy, że jest bystrzaczą.

– Ułóż go z dłońmi przy twarzy – powiedział. – Szybko. – Pistoletem zagonił mnie do kuchni, gdzie na blacie ze stali nierdzewnej stało sześć litrowych butelek alkoholu; z każdej z nich sterczał knot ze skręconej szmaty. Zrozumiałam, skąd wziął się zapach benzyny. Emery podał mi jedną z bomb domowej roboty i kazał mi iść z powrotem do sali barowej, gdzie leżał trup. – Wsuń mu to pod szyję. O tak.

W następnej kolejności przeciągnęłam zwłoki Cheri do kuchni i ułożyłam koło gazowego grilla. Po drodze trochę zabrudziła podłogę, choć większość krwi zdążyła już spłynąć w okolice jej nienaruszonych pleców. Spróbowałam się wyprostować, ale plecy przeszył mi nagły bolesny skurcz. To nie był dobry objaw, jeśli miałam wyjść z tego żywa.

Emery nie zauważył mojego bólu, był zbyt zajęty planowaniem kolejnych kroków.

– Odkręcę gaz tuż przed wyjściem. Dodatkowa eksplozja zatrze tę smugę krwi – stwierdził. – Myślę, że ciebie położę koło łazienki. Ważne jest, żeby najbardziej ucierpiały moje zwłoki. – Emery mówił w zasadzie do siebie, jakby rozplanowywał ustawienie mebli. – Coyote może zostać tam, gdzie jest. Agentkę mogę chyba położyć koło niego. – Pokręcił głową. Teraz, kiedy był tak bliski osiągnięcia celu, powoli wracał mu dobry humor. – Pięć osób w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli doliczyć Floyda Lyncha i tego bezdomnego. Zabawne. I pomyśleć, że tak starannie planowałam jedno morderstwo rocznie. To jest taka jatka, że prawie mi wstyd.

Wciąż klęcząc, udawałam, że układam Cheri, a jednocześnie ukradkiem grzebałam w jej wnętrznościach, by odnaleźć nóż. Dokładnie wiem, jak unieszkodliwić rosnącego mężczyznę niewielkim ostrzem, ale nie wiedziałam, jak, do cholery, zdołam się podnieść z podłogi, by to zrobić. Mogłam tylko mieć nadzieję, że adrenalina buzująca w moim organizmie zrobi swoje.

Emery podszedł do blatu przy zlewie, gdzie reszta koktajli Mołotowa czekała w butelkach dzinu Bombay, wódki Grey Goose i crown royala. Bomby z górnej półki. Te miały dłuższe knoty niż inne i wszystkie połączone były jednym pasem materiału, pewnie po to, by mógł je poustawiać daleko jedna od drugiej, mieć czas na zapalenie wszystkich czterech i uciec tylnymi drzwiami, zanim cały lokal wyleci w powietrze.

– Jedną z nich muszę postawić tuż przy jej stopach, żeby je urwało – stwierdził. – Nie chcę, by ktoś zobaczył, że miała przecięte ścięgna.

– To była wódka? – spytałam.

– Co?

– W kroplówce Lyncha.

Odłożył pistolet na blat i podniósł butelkę po grey goose.

– Pomyślałem, że do kupy z tymi wszystkimi narkotykami, które dostaje, tysiąc mililitrów alkoholu płynące prosto do mózgu skutecznie go wykończy, ale da mi dość czasu na ucieczkę ze szpitala. Skąd wiedziałaś?

Zaczęłam odpowiadać, ale Emery, nagle znudzony Floydem Lynchem, przerwał mi:

– Myślałem o tym, co powiedziałaś o kuli w wiceszeryfie. Jeśli ją wyciągniemy, będę mógł zabrać twój pistolet ze sobą i nie będę musiał się martwić, że ktoś go kiedyś namierzy.

Spojrzał na prymitywną bombę w dłoni i zapewne wyobrażał sobie, jak to ma wyglądać, w jakiej kolejności ma podpalić lonty przed ucieczką. Był dość blisko mnie, a ja trzymałam już w garści śliski od krwi nożyk i powoli wyciągałam go z brzucha Cheri; ostrożnie uniosłam jedną nogę i postawiłam ją na ziemi, sprężając mięśnie brzucha i trzymając plecy tak prosto, jak się dało. Przygotowałam się na ból, kiedy rzucę się na niego, by wykorzystać naszą jedyną szansę na przeżycie.

Emery wyjął z kieszeni niezapaloną fajkę i zaczął przygryzać szyjkę, by lepiej mu się myślało.

– No dobrze, bierzmy się do roboty. Masz jeszcze ten nóż, który ci dałem, prawda? – W jego oczach błysnęło samozadowolenie, kiedy zobaczył zaskoczenie w moich i moją dłoń w brzuchu Cheri. Zanim zdążyłam się zerwać, chwycił pistolet leżący na blacie dwa kroki od niego. Jak w dziecinnej grze w kamień–papier–nożyce, pomyślałam: pistolet wygrywa z nożem. Ale i moją, i jego uwagę odwrócił nagle cichy, niedający się z niczym pomylić odgłos przeładowywanej strzelby.

Cza-czin.

Odgłos dobiegł od strony drzwi pomiędzy kuchnią i barem. Emery stał plecami do wyjścia, a ja nic nie widziałam zza jego potężnego ciała. Spróbował się obrócić, ale nie zdążył nawet w połowie, kiedy huknął wystrzał i część jego brzucha bryzgnęła na mnie.

Emery był wielkim facetem. Nie zwał się od razu, ale spojrzał na mnie, a potem na swój brzuch, z którego zaczęła chlustać krew. Zdołał nawet zrobić krok i sięgnąć do mnie, zanim osunął się na kolana i padł na podłogę z twarzą częściowo zwróconą w moim kierunku, w kałuży swojej własnej krwi.

Na wszelki wypadek ja też padłam, tak że moja twarz znalazła się jakieś dwadzieścia centymetrów od jego twarzy. Widziałam, że jeszcze żyje. Wiedziałam, że mam mnóstwo innych zmartwień, ale tej rozkosznej chwili nie mogłam sobie odpuścić.

Zobaczyłam, że cybuch fajki jest tuż przy jego wargach. Widocznie padł na nią i wbił sobie ustnik w gardło. Ale to był tylko kwiatek do kozucha. Strzał wystarczająco go uszkodził. Kaszlał krwią mimo fajki w ustach i wiedziałam, że muszę się ruszyć, zanim strumyk dopłynie do mnie. Spróbował chwycić oddech, jakby chciał coś powiedzieć, ale pomijając już uszkodzone gardło, strzał mógł mu rozwalić dolną część płuc, a to utrudniało mówienie.

– Niech cię szlag, Emery, żałuję, że sama cię nie zabiłam – szepnęłam, wpatrując się w jego lewe oko, zwrócone na mnie.

Jeszcze jedna bańka krwi wypłynęła z jego ust. Palce bezsilnie skrobały linoleum. Ale widziałam, jak z tego jednego oka znika świadomość.

Przez te wszystkie lata wyobrażałam sobie tę chwilę i teraz szło to o wiele za szybko.

– Żałuję, że nie ma życia pozagrobowego, bo mogłabym cię zabijać w nieskończoność – powiedziałam.

Umarł. Mogłabym powiedzieć, że jego śmierć była stanowczo za krótka i za mało bolesna, ale trzeba zachować pozytywne podejście. Uniosłam się i spojrzałam nad jego zwalistym trupem. Zobaczyłam Coleman na podłodze za nim, leżącą na plecach, trzymającą sztywno ręce, tak że lufa strzelby była równoległa z jej ciałem i wciąż wycelowana w moją stronę. Padłam na plecy i teraz wszyscy, żywi i martwi, leżeliśmy plackiem, wszyscy z wyjątkiem Emery'ego wpatrzni w jarzeniówki na suficie.

– Jezus! – wrzasnęłam ze swojej pozycji; poczułam nowy zastrzyk adrenaliny na widok obrzyna wycelowanego we mnie przez osobę, która chyba nie była do końca przytomna. – Ty idiotko, już go miałam. Ale nie. Musiałś mu strzelić w plecy.

Coleman zdołała odkleić większość taśmy ze swoich ust i nadgarstków, zanim przeczołgała się do kuchni, i teraz leżała, bełkocząc coś w rodzaju:

– Zdychaj, kurwa. Zdy. Chaj. Ty kurwo.

Nie wiem, jak długo by tak bełkotała, gdybym nie szepnęła tak łagodnie, jak się dało:

– Lauro, on nie żyje. – Miałam nadzieję, że w hysterii nie przeładuje strzelby jeszcze raz i nie pociągnie na oślep za spust. – Bardziej martwy już nie będzie.

Umilkła, słysząc to, i zaczęła szlochać, ale nie chciała czy też nie była w stanie opuścić broni.

– Możesz to wycelować gdzieś indziej? – poprosiłam.

Nie odpowiedziała ani słowem, ani uczynkiem, więc przeturlałam się poza linię ognia i dźwignęłam się na nogi. Podeszłam do niej. Ręce wciąż miała zablokowane w tej samej pozycji, z której strzelała. Wyjęłam obrzyn z jej dłoni, przełączyłam bezpiecznik i oparłam broń o futrynę. Potem delikatnie opuściłam jej ręce na podłogę.

– Przepraszam – powiedziałam. – Dzięki. Ale załatwiłabym go.

Nie przestając płakać, zaczęła się trząść; po chwili zdołała wykrztusić przez dzwoniące zęby:

– N-n-nie jestem twoją pieprzoną uczennicą.

Chciałam ją chwycić za rękę, ale zauważyłam krew na mojej.

– Ćśśś – powiedziałam. – Nie jesteś niczyją uczennicą. Uratowałaś mi życie. Jesteś w znośnym stanie?

Pokiwała głową na tak, potem pokręciła, że nie.

– Jeszcze tu nie skończyłyśmy – rzuciłam.

Został jeszcze Max.

Max. Przeszłam nad Coleman, pobiegłam do sali barowej i uklękłam koło niego. Wystrzał przewrócił go na stół i zwałił na podłogę. Miał krew na piersi, pod nim też była kałuża. Przycisnęłam palce z boku jego szyi, choć nie spodziewałam się wyczuć pulsu. Nikt nie jest w stanie przeżyć postrzału w pierś z czterdziestkapiątki.

Przez tych kilka sekund, kiedy szukałam pulsu, przypomniałam sobie wszystko, co wiedziałam o Maksie. Niewiele tego było, choć oboje z Carlem znaleźliśmy go trochę czasu. Pokerzysta, filozof. Rdzenny Amerykanin, stróż prawa, mąż, wróg, przyjaciel. Nigdy nie sądziłam, że w obliczu śmierci również cudze życie może przemknąć przed oczami. Chciało mi

się płakać na myśl, że było stanowczo za krótkie, a z tego, co było, znałam tak niewiele. Ale teraz nie było na to czasu. Wiedziałam, że będę go miała aż nadto na myślenie o ostatniej ofercie Emery'ego.

Zmarnowałam jeszcze sekundę na wyrwanie wtyczki szafy grającej ze ściany. Potem skorzystałam z telefonu w biurze Emery'ego, żeby zadzwonić pod 911.

– Ranni funkcjonariusze – powiedziałam i podałam adres. Nie zawracałam sobie głowy tłumaczeniem, co tu zastaną. Trwałoby to za długo, a zresztą i tak wkrótce sami mieli się przekonać.

Szybko oceniłam sytuację i uklękłam przy Coleman.

– Okej, zdaje się, że już wszystko wiemy. Muszę cię zabrać z tej kuchni. Przekręć się na bok, żeby pięty nie zahaczyły o podłogę.

– Nie rozumiem – jęknęła.

– Zaraz ci wyjaśnię.

Coleman, skołowana moimi działaniami, ale posłuszna, przekręciła się na bok. Kiedy uniosłam jej kolana, by jak najlepiej odciążyć kostki, przeczołgała się na łokciu do sali barowej, gdzie oparłam jej głowę na stosiku papierowych serwetek wziętych z lady. Starłam się ją umieścić jak najdalej od ciała Maksa, leżącego we frontowej części baru, ale sala nie była szczególnie wielka. Coleman odwróciła głowę, spojrzała na niego między nogami krzesła i grzbietem dłoni otarła oczy.

– Ty sobie tu chwileczkę poleż, a mamusia skończy fabrykować dowody – powiedziałam.

Znow poczułam skurcz w plecach. Poruszając się jak naspidowany Charlie Chaplin, wróciłam do kuchni. Umoczyłam palce w Cheri, podniosłam obrzyn i zamaskowałam wszelkie odciski palców własnymi krwawymi paluchami, żeby nie było wątpliwości, kto strzelał. Czystym rąbkiem bluzki wytarłam czterdziestkępiątkę, z której Emery załatwił Maksa – na tej broni z kolei nie chciałam żadnych swoich odcisków. Przycisnęłam do kolby palce Emery'ego i położyłam pistolet obok jego prawej dłoni. Jeśli nie był praworęczny, miałam nadzieję, że nikt się tego nigdy nie dowie.

Wiedziałam, że zmarnowałam sekundę, ale kopnęłam człowieka, który zabił Jessicę. W głowę. Nie poprawiło mi to samopoczucia, ale już nic nie mogło go poprawić.

Wróciłam do baru. Nie zważając na zakrwawione dłonie, wzięłam szklanki i otworzyłam butelkę tequili z tarantulą. Nalałam dwie porządne porcje, wychyliłam swoją i wróciłam do Coleman. Po jej zaniepokojonej minie poznałam, że dopiero teraz zauważyła moje przesiąknięte krwią ubranie.

– Masz, pij. – Uniosłam jej głowę i wmusiłam w nią tyle tequili, ile się dało, żeby nie wpadła we wstrząs. – Mamy niecałe dwie minuty na gadanie, zanim zaroi się tu od syren, kogutów i całej reszty. Powiem ci, jak to było. To ja zabiłam Emery'ego. Ty nic nie widziałaś, bo byłaś tutaj i czołgałaś się po pomoc.

– Dlaczego robisz coś takiego? – spytała.

– „Dlaczego” omówimy później. Słuchaj.

Głowa Coleman przeturlała się na boki na poduszce z serwetek.

– Emery był seryjnym mordercą. Nic mi nie zrobią.

– Owszem, zrobią – odparłam. – Wiem, że jesteś w szoku i nie rozumiesz, co z tego wyniknie. Ale ja rozumiem, więc musisz słuchać bardzo uważnie. Śnieżko, strzeliłaś w plecy nieuzbrojonemu człowiekowi. Dobrze, że go zabiłaś, ale zrobiłaś to, prowadząc śledztwo, od którego cię odsunięto. Po drugie: ponieważ nikt nie chciał słuchać twoich podejrzeń wobec Lyncha, Max Coyote nie żyje. Oddział w Tucson spieprzył tę sprawę na całej linii i agent dowodzący Roger Morrison będzie szukał kozła ofiarnego, żeby zdjąć z siebie odpowiedzialność.

Ty będziesz tym kozłem.

– Mam to w nosie.

Pogłaskałabym ją po głowie na pociechę, gdybym nie była cała umazana krwią i czymś, co mogło być zawartością jelit Emery’ego.

– I co będziesz robić? Zostaniesz przedszkolanką albo ochroniarką w jakiejś korporacji? Coleman, skarbie, jesteś w tym naprawdę dobra. Musisz to robić.

Słyszałam już syreny.

– Nie sądź, że robię to z altruizmu czy szlachetności. Moje życie i tak jest już zrujnowane i to go w niczym nie pogorszy. Ja po prostu nie chcę dawać Morrisonowi satysfakcji wykopania cię z Biura.

– Powiem im prawdę.

– Nie powiesz, bo możesz się tylko czołgać, a to znaczy, że pierwsza będę za drzwiami.

To ja im powiem, co się stało, i jeśli podasz im inną wersję, pójdę siedzieć za utrudnianie śledztwa. Stawiam się w idealnej sytuacji przegrana–przegrana, moja droga, więc ty nie masz innego wyjścia, jak wygrać.

– Nie możesz tego zrobić.

Kończył nam się czas.

– Owszem, mogę. A gdyby ci jeszcze było mało zachęty, to im powiem, że się pieprzyłaś z Royalem Hughesem.

W oknach pod sufitem zaczęły błyskać kolorowe światła.

Wiedziałam, że zaraz stawię czoło antyterrorystom, ale najpierw musiałam poświęcić dwie sekundy na jeszcze jedną sprawę. Szybko poszłam do biura Emery’ego i podniosłam z jego biurka słoje marynowanych świńskich ratek. I znów ujrzałam ten mały, kremowy rąbek, przyciśnięty od wewnątrz do szkła; zauważyłam go wtedy, w barze, choć kształtem i barwą niemal zlewał się z resztą zawartości. Wtedy pomyślałam, że to kolejna z moich dziwaczkich wizji.

Rozległ się głos przez megafon:

– Jesteście otoczeni. Wyjdźcie powoli z rękami w górze.

Wzięłam słoje z ratkami do sali barowej, uniosłam go wysoko nad głowę, zamknęłam oczy i cisnęłam nim w kasę na ladzie. Roztrzaskał się pięknie, większość odłamków poleciała za kontuar. Ostro zapach octu wyszedł mi na spotkanie, kiedy wspierałam się na barowy stołek, by popatrzeć na swoje dzieło i przekonać się, że miałam rację: przez te wszystkie lata stały tutaj na widoku.

Pięcioro doskonale zachowanych ludzkich uszu.

Złapałam garść białych serwetek. Podeszłam do drzwi i uchyliłam je ostrożnie, najpierw wystawiając serwetki. Kiedy otworzyłam szerzej, zobaczyłam całą kolekcję radiowozów, od Miejskiej Policji Tucson po Policję Drogową Stanu Arizona. Między samochodami stali ludzie z jednostki antyterrorystycznej, gotowi do akcji, z wymierzoną bronią. Poczułam jeszcze jeden przypływ adrenaliny, którą moje ciało wycisnęło nie wiadomo skąd, gdy spojrzałam w pół tuzina łuf trzymany przez zawodowców i parę tuzinów w mniej profesjonalnych rękach, które w każdej chwili mogły spanikować. Twarze ich wszystkich przypominały mi, jak w tej chwili wyglądałam. Byłam nierozpoznawalna.

– Brigid Quinn, FBI! – krzyknęłam, powoli idąc przed siebie z uniesionymi rękami. – W środku dwoje rannych funkcjonariuszy. Szybko.

18 sierpnia 2011, godzina 23.50

Coleman starała się jak umiała zgrywać twardzielkę, ale była w takim szoku, że nie mogła wiele mówić, i bardzo dobrze. Ja spędziłam parę godzin ze śledczymi i – by oddać diabłu, co diabelskie – z Rogerem Morrisonem, który zjawiał się na miejscu i udawał miłego przed miejskimi policjantami i wiceszeryfami. Ze względu na strzelaninę zgodziłam się przyjść w poniedziałek na rozmowę z ludźmi z wydziału wewnętrznego, choć sprawa była trochę śliska, biorąc pod uwagę, że nie byłam już agentką.

Ale zanim doszło do jakichkolwiek rozmów, i Coleman, i Max zostali wyniesieni na noszach. I oboje dostali tlen. Dobry Boże.

– Max? – spytałam. – Nie wyczułam pulsu.

Ratownik skinął głową.

– Ledwie wyczuwalny. Jest w bardzo ciężkim stanie. Ale żywy.

Na początku tego wszystkiego obiecałam mówić prawdę, więc oto prawda. Niczym podszept demona przez moją głowę przemknęła myśl, że śmierć Maksa bardzo by mi ułatwiła parę spraw. Ale to trwało tylko mgnienie; potem kazałam demonowi stulić pysk. Złe myśli przesłoniła fala radości, że Max nie zginął, po części dlatego, że nauczyłam się szanować tego wielkoluda, a po części dlatego, że nawet kara za śmierć Peasila była lepsza niż ciężar Maksa na sumieniu do końca życia.

Wiem, wiem, nie dostałby kulki, gdyby mnie posłuchał, ale tak czy inaczej ulżyło mi, że to całe umieranie miało jednak jakieś granice. Emery zapewnił mi aż za dużą dawkę śmierci.

Kiedy wreszcie pomyślałam, by spojrzeć na zegarek, okazało się, że godzina pasuje do ciemności. Ratownicy namawiali mnie, żebym wsiadła do drugiej karetki i jechała z nimi do szpitala, ale ja chciałam już tylko wrócić do domu Coleman. Kiedy sądziłam, że jest po wszystkim – jeszcze tylko lanie i wakacje – zauważyłam volvo Carla, zaparkowane ze zgaszonymi światłami daleko za żółtą taśmą. Siedział w środku, pochylony do przedniej szyby i wypatrywał oczy, jakby oglądał film w kinie dla kierowców podczas ulewy.

Choć Morrison miał pełne ręce roboty z utrzymaniem reporterów z dala od miejsca zbrodni, musiał mnie uważnie obserwować.

– Nic ci nie jest? – spytał. Pewnie chodziło mu o to, czy coś z tej rzeźni, jaką miałam na ubraniu, pochodzi ze mnie.

Skinęłam głową, nie odrywając wzroku od Carla.

– Twój mąż – powiedział Morrison. – Wyszedłem do niego, kiedy przyjechał, i powiedziałem, że może zostać, byle tylko nie wysiadał z samochodu.

– Pamiętasz, kiedy to było?

– Tak – odparł Trzyczęściowy. Zanim udzielił mi dokładnej odpowiedzi, zrobił wyjątkowo surową minę na użytek nachalnego reportera. – Proszę pana! Proszę zabrać swoją pieprzoną kamerę spod twarzy agentki. Ona nic nie powie. Zabierzcie stąd tego człowieka. – Kiwnął na najbliższego mundurowego, żeby wyprowadził reportera za taśmę. Spojrzał na zegarek. – Jakies dwie godziny temu.

– Siedzi tam od dwóch godzin? Tak po prostu siedzi? Skąd wiedział, że tu jestem? Morrison wruszył ramionami; wyczerpał mu się już zapas dobrej woli.

– A skąd ja mam to wiedzieć, do cholery? – wypalił. – Byłem trochę zajęty. – Nagle przypomniał sobie, że ja sama też byłam trochę zajęta, bo przyznał się: – Ja do niego zadzwoniłem. Idź już – rzucił takim tonem, jakby puszczał mnie wbrew zdrowemu rozsądkowi.

– Nie. Coleman – powiedziałam. – Powinnam pojechać do szpitala.

– Nie martw się, na pewno nie zostanie dzisiaj sama, a jutro przylatuje jej brat.

– Miło. Rodzina to miła rzecz. Ona jest bohaterką, Morrison. Chcę, żebyś to wiedział.

Cmoknął w powietrze na pożegnanie i wskazał kciukiem volvo.

– Wynoś się stąd. No, już.

Mamrocząc „palant”, cicho i bez energii wyszłam zza taśmy i ruszyłam do samochodu Carla, raz czy dwa chwając się po drodze jak pijana. Carlo wysiadł, bez komentarza pomógł mi się usadowić na fotelu pasażera i wrócił za kierownicę. Mopsy, które siedziały z tyłu, natychmiast zaczęły się gramolić przez szparę między siedzeniami, by dostać się na kolana. Czyjekolwiek. Zablokowałam im drogę ręcznikiem, który dostałam od jednego z ratowników.

– Chyba nie powinienem był ich zabierać – powiedział Carlo i zaczął je przeganiać do tyłu. – Pomyślałem... nie wiem, co pomyślałem.

– Dobrze pomyślałeś. Po prostu nie chcę, żeby się... tym upaprały.

– Wszystko dobrze? – spytał Carlo, mając na myśli to samo co Morrison.

Uniosłam ostrożnie prawy bark, by sprawdzić mięśnie, które sobie trochę naciągnęłam, wlokąc zwłoki bezdomnego. I oczywiście zażartowałam:

– Jasne, po prostu ciężki dzień w biurze.

Nie uśmiechnął się. Siedział obok i po raz pierwszy przez krótką chwilę patrzył na prawdziwą mnie.

– Chyba powinnaś jechać do szpitala. Znaczy... to twoja krew?

Spojrzałam na swoje ubranie, niemal całe zalane krwią – wszystkich, tylko nie moją.

– Nie. I nie jestem w szoku, i nic mi nie jest, co najwyżej jakaś naderwana chrząstka. –

Słyszałam, że zaczynam lekko bełkotać. – Trochę mi tylko niedobrze od adrenalinowego zjazdu.

– Długo patrzyłem, jak się tam krzątasz, i wyglądało na to, że niesamowicie nad sobą panujesz, ale jeśli masz jakieś wątpliwości, powinniśmy pojechać do szpitala.

– Nie dzisiaj.

– Jesteś pewna?

– W tej chwili muszę się tylko umyć.

Wyjechaliśmy z gruntowego parkingu na ulicę i pojechaliśmy na północ, w stronę jego domu. Siedziałam w milczeniu, a przed oczami przewijały mi się koszmarne obrazy niedawnych wydarzeń, jak filmowy zwiastun. Na osiedle mieliśmy trzydzieści kilometrów jazdy, ale nic z niej nie pamiętam. Oprzytomniałam, kiedy Carlo wjechał do garażu. Powiedziałam sobie, że powinnam wysiąść i wejść do domu, ale po prostu siedziałam bez ruchu. Carlo podszedł od strony pasażera i najpierw otworzył drzwiczki z tyłu. Wyjął Mopsy jednego po drugim i postawił je na podłodze, bo było dla nich za wysoko. Nie miałam zapiętego pasa. Carlo chwycił mnie za łokieć, by pomóc mi wysiąść, ale skuliłam się, unikając jego dotyku, więc się cofnął i jakoś sama wywlokłam się z samochodu.

Chwiejnym krokiem weszłam do domu, obtańcowywana przez Mopsy, które wachały krew na moich dżinsach. Miałam dość. Nie chciałam jeszcze bardziej skazić tego domu. Nie zatrzymując się, przecięłam salon i wyszłam tylnymi drzwiami, zamykając je za sobą, żeby psy nie mogły za mną pobiec. Weszłam głęboko do ogrodu, oświetlonego pełnią księżyca.

W życiu niektórych ludzi nie ma miejsca na związek. Bo przy okazji mogą ucierpieć niewinni. Zawsze miałam rację w tej kwestii.

Patrzyłam na wszystkie kamienie, które zebraliśmy z Carlem i które poukładałam w

ogrodzie krętymi liniami, niczym labirynt. Jakimś dziwnym trafem, jakie zdarzają się tylko w takie noce, wśród setek kamieni zauważyłam kawałek różowego kwarcu, znaleziony w dniu, kiedy zabiłam Peasila. Podniosłam go. Cisnęłam nim tak mocno, jak zdołałam, za ogrodzenie. Dzięki pełni księżyca widziałam, że trafił w opuncję i strącił z niej jeden z bordowych owoców.

– Co ty robisz? – spytał Carlo.

Nie wiedziałam, że wyszedł za mną, ale teraz nie obchodziło mnie już, że zobaczy, jaką jestem wariatką. To już nie miało znaczenia i poczułam niemal ulgę, że nie potrzebuję udawać normalnej.

– Muszę się ich pozbyć – powiedziałam. – Muszę od nich uwolnić to miejsce. – Zaczęłam rzucać. Podniosłam małą skałkę granitu przetykanego miką i wyrzuciłam za płot. Potem poszedł kawałek gnejsu. Potem coś, czego nie umiałam nazwać, coś metamorficznego. Nie byłam wściekła ani oszalała, to nie była żadna teatralna demonstracja. Po prostu bardzo metodycznie oddawałam tę przestrzeń Jane. W tamtym momencie wydawało mi się to dobrym pomysłem. Nie potrafię wam powiedzieć, jak długo to trwało ani jak dużo siebie wywaliłam za ten płot, zanim Carlo nie uznał, że pora mnie powstrzymać.

Chwycił mnie za nadgarstek, nie zważając na zaschniętą krew, rozprostował moje palce i zmusił do upuszczenia tego, co akurat trzymałam.

– Dużo tych kamieni – powiedział – a jest późno. Resztę wyrzucisz jutro.

Uśluchałam go. Po drodze do domu zatrzymałam się przy ogrodowym węźu i spróbowałam go odkręcić, żeby splukać krew na dworze, ale Carlo wprowadził mnie do domu i pociągnął prosto do łazienki, gdzie rozpiął mi bluzkę i ściągnął w dół przesiąknięte krwią dżinsy, które zeszywniały mi na skórze. Pozwoliłam mu na to. Dla równowagi oparłam się o brzeg szafki, by nie dotykać jego barków, kiedy podnosił moje stopy. Wstawił mnie pod prysznic i odkręcił wodę. Stałam bez ruchu. Mój mózg wysyłał sygnały, że powinnam się myć, ale ciało nie reagowało. Nagle drzwi kabiny otworzyły się i Carlo wszedł do mnie, również nagi.

Nie wiem, czemu drgnęłam.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział z oczami błyszczącymi jak kafelki kabiny.

W tych ablucjach nie było niczego z kobiety i mężczyzny. Gapiłam się w podłogę, a on mył mnie delikatnie, dwa czy trzy razy pod rząd, zapewne przerażony ilością krwi na moim ciele, a jednak wypełniając jakąś służebną misję. Delikatniej niż inne miejsca przemył myjką różę wytatuowaną na mojej klatce piersiowej, jakby widział ją po raz pierwszy i bał się ją rozmazać. Odchylił mi głowę do tyłu, żeby mydliny nie płynęły mi do oczu przy myciu włosów. Uznał, że wykonał swoją robotę, dopiero kiedy spojrzał pod nasze stopy i przekonał się, że woda nie jest już różowa.

Zakręcił kran, otworzył drzwiczki kabiny i wyszedł, by wrócić natychmiast z ręcznikiem, którym wytarł mnie starannie. A ja wpatrywałam się w obcą kobietę w lustrze nad umywalką. Carlo widocznie znalazł miejsca na moich kostkach, które Emery pokaleczył, kiedy rozcinał taśmę. Wziął maść z antybiotykiem i parę plasterków spod umywalki i opatrzył skaleczenia. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem wyczerpana, dopóki nie ugięły się pode mną nogi. Podtrzymał mnie mimo moich słabych protestów.

– Jest ciepła noc – powiedział. – Chyba nie masz nic przeciwko, żeby się położyć z wilgotnymi włosami?

Nie odpowiedziałam. Jak manekin dałam się zaprowadzić do łóżka. Odwinął pościel po mojej stronie i pomógł mi się położyć. Wyszedł, ale wrócił z wodą w szklance. Otworzył szufladę mojej nocnej szafki, gdzie trzymałam leki, i przeszukał buteleczki, jakby dobrze je znał.

– Nie mogę znaleźć twoich pigułek nasennych – powiedział.

To nie była pora na zaprzeczanie.

– Zostały tam, gdzie nocowałam – powiedziałam i zadrżałam lekko, kiedy poczułam chłód poduszki na mokrej skórze głowy. – Ale w fiolce po aspirynie powinien być zapasik valium.

– Wiem. – Podał mi tabletkę i dołożył drugą, kiedy nie uniosłam od razu dłoni. Na dokładkę przyniósł jeszcze pigułkę na alergię z szafki w łazience i też kazał łyknąć: prawdziwy koktajl nasenny.

Valium zaczęło działać. Carlo spojrzał na mnie jeszcze, zanim zgasił światło. Pamiętam, że w ostatniej chwili popatrzyłam na niego, dotykając palcami różowej satyny narzuty Jane i nie wiedzieć czemu pomyślałam: powiedz moje imię. Nie kotku, nie O'Hari. I najlepiej nie Jane. Nawet jeśli żałujesz, że się ze mną ożeniłeś, proszę, powiedz przynajmniej moje imię, żebym wiedziała, kim jestem.

Nie zrobił tego. Powiedział coś innego. Nieważne co. Światło zgasło. Nie położył się przy mnie, zanim zasnęłam, a rano, kiedy się obudziłam, poznałam po gładkiej pościeli, że ze mną nie spał.

Nieczęsto dostaje się to, czego się chce. Zaskakujące, że na świecie w ogóle jest jakieś szczęście, jeśli zależy od dostawania tego, czego by się chciało.

19 sierpnia 2011, godzina 8.30

Następny dzień wydawał mi się dziwnie normalny, nie licząc tego, że ciągnął się bardziej niż zwykle. Nasza wzajemna uprzejmość przedłużała go jeszcze bardziej. Spodziewałam się, że w jakimś momencie Carlo wymierzy mi *coup de grâce*, ale nie zamierzałam sama kłaść głowy pod topór. Poprzedniego wieczoru widział mnie w dziwnym stanie i pewnie trudno mu było wyczuć, kiedy i jak ze mną porozmawiać, ale też pokazałam mu, że jestem dość twarda, by to znieść. To wszystko było tak potwornie smutne; nie rozmawialiśmy wiele, nie patrzyliśmy sobie w oczy – niby byliśmy we dwoje, a każde samo, a przebywanie pod tym samym dachem tylko pogłębiało tę samotność.

Wiedziałam, że Carlo już zawsze będzie nosił w sobie mój obraz z poprzedniego wieczoru i że ten obraz będzie zabarwiał wszystko między nami. Wiedziałam, jak to jest. Sama miałam w głowie wystarczająco dużo obrazów, których nie mogłam się pozbyć.

Morrison dzwonił, pytał, jak się miewam, potwierdził, że zjawię się w jego gabinecie jutro o dziewiątej. Był bardzo troskliwy i wyglądało na to, że nie będzie mi się dobierał do skóry za zabicie Emery'ego. Prawdę mówiąc, był lekko wystraszony.

Potem zadzwoniłam do Gorda Fergusona, podziękowałam mu za pilnowanie Carla i powiedziałam, że nie będę go już potrzebować. Nie zadawał żadnych pytań, co znaczyło, że już wie wszystko, co potrzebował wiedzieć.

Weszłam na stronę NamUs i odnalazłam dane kontaktowe rodziców Kimberly Maple. Ktoś musiał im powiedzieć, że znalazło się ciało ich córki i że Cheri zginęła. Jeśli nie ja, to kto?

Zadzwoniłam do Chrystal, żony Maksa. Pewnie była w szpitalu, więc zostawiłam wiadomość.

Laura Coleman: tu nie wystarczył telefon. Mimo przygnębienia i obolałego ciała wpakowałam się jakoś do samochodu i pojechałam do tego samego szpitala, gdzie poprzedniego dnia odwiedziłam Floyda Lyncha.

Kiedy wjechałam na piętro, do jej pokoju, zastałam tam jej rodzinę – matkę, ojca i starszego brata, oblegających łóżko niczym policyjny kordon. Chciałam sobie pójść, ale Coleman zauważyła mnie w prześwicie między rodzicami i zawołała mnie do środka. Zostałam przedstawiona wszystkim jako osoba, która uratowała jej życie. Ben Coleman mnie poznał, ale Emily przywitała mnie jak nową znajomą. Brat, Willis, solidniej zbudowany niż wiotka Laura, wcisnął mnie w swój spory brzuch i podziękował za mnie swojemu bogu.

Nie chciałam rozmawiać o tym, kto komu uratował życie. Musiałyśmy jeszcze ustalić parę spraw między sobą, zanim będzie trzeba złożyć zeznania. Ale chyba miała trochę racji, bo choć to ona zastrzeliła Emery'ego, to z całą pewnością już by nie żyła, gdybym nie zjawiała się w barze. Rozumiecie, co mam na myśli, mówiąc o prawdzie? Czasem trudno ją precyzyjnie ustalić.

Coleman poprosiła rodzinę, by zostawili nas na parę minut; poszli sobie do szpitalnej kafejki, obsypując Coleman całusami i dziękując mi jeszcze raz.

– O raju – powiedziałam do niej. – Ależ z ciebie twardzielka. Porządnie pozszywali ci ścięgna?

Rozpromieniła się z dumy na tę pochwałę, bardziej jak agentka, a nie jak córeczka tatusia, którą zobaczyłam zaraz po wejściu do pokoju. Kiwnęła głową i powiedziała:

– Podobno wypuszczą mnie za parę dni i zaczną rehabilitację. Lekarze mówią, że będzie potrzeba dużo ćwiczeń, ale będę mogła wrócić do obowiązków. A po percosecie czuję aż za dobrze.

– A, niezła rzecz. Sama parę razy miałam okazję skosztować.

– Ale nie jestem przesadnie otumaniona. Powiedz mi, co się działo i jak mnie znalazłaś.

Opowiedziałam jej, jak nabrałam podejrzeń, kiedy się ze mną nie skontaktowała, i co robiłam, żeby ją namierzyć. Że najważniejszą wskazówką był dla mnie niezamknięty samochód. Jak włamałam się do jej domu. Jak znalazłam karty drogowe. I jak zginął Floyd. Sporo było do opowiadania. Potem przyszła jej kolej.

– Mówiłam ci, w jaki sposób dopadł mnie Emery i że faszerował mnie narkotykami. Miał mój telefon. Wysyłał SMS-y do biura. Potem dostał się na moje konto Yahoo i... – Urwała zawstydzona. Do tego potrzebował hasła i nie chciała mówić, co jej zrobił, żeby je z niej wyciągnąć.

– A Morrison nie wezwał cię na dywanik, żeby cię osobiście zbesztać, bo był na ciebie wkurzony i pasowało mu, że nie włożyłaś mu w oczy, dopóki Lynch nie przyznał się oficjalnie do winy. Nikt by nie zniósł tego, co ty zniostaś, Coleman. Ja też bym mu podała hasło. – Powiedziała jej, co ustaliłam. – Emery Bathory, Floyd Lynch, Gerald Peasil. Oni wszyscy byli powiązani, a Lynch wiedział wszystko o morderstwach na Drodze 66, bo powiedział mu o tym Emery.

– Jak się poznali?

Powiedziałam jej o spotkaniach na czacie.

– Miałaś rację od samego początku: Floyd Lynch tylko udawał mordercę, a kiedy go złapali, dał się ponieść żądzy sławy. Gdybyś nie znalazła tej książeczki z kartami drogowymi, która pokazywała, że nie było go tam w dniu morderstwa Jessiki, nie miałabym go czym przycisnąć. To go zmusiło do powiedzenia prawdy.

Mózg Coleman, przymulony środkiem przeciwbólowym, skupił się na chwilę.

– Mówisz, że było trzech.

Skinęłam głową.

– Coś w rodzaju luźnego spisku. Głównie wymieniali się opowieściami, dopóki nie zrobiło się gorąco.

– A Emery słyszał każde słowo naszych rozmów w barze.

– I wiedział, że byłyśmy dla niego zagrożeniem. – Ugryzłam się w język, zanim wygadałam, że nasłał na mnie Peasila. – Z rozmów gliniarzy wiedział na bieżąco, co się dzieje. To był świetny sposób, żeby trzymać rękę na pulsie.

Milczała przez chwilę; albo percoset zaczynał działać na całego, albo oglądała oczami duszy filmy z zeszłego wieczoru. Nagle spytała:

– Kto to jest Gerald Peasil?

– Kto?

– Gerald Peasil. Wymieniłaś to nazwisko.

– Coleman, staraj się o tym nie myśleć.

Zatrzymała film i spojrzała na mnie.

– To jest najlepsza rada, jaką potrafi dać Brigid Quinn? Staraj się o tym nie myśleć? Gdybym nie była taka słaba, dałabym ci w dziób.

– Uwierz mi, to działa. – Wyglądałam fałdkę na flanelowym prześcieradle. – To jak, mamy umowę? Kiedy dojdzie do przesłuchania, nie oskarżysz mnie o krzywoprzysięstwo?

– Brigid!

– Czołgałaś się w barze. Nie widziałaś, co się działo w kuchni. Usłyszałaś wystrzał. Może

zemdlałaś. Nie musisz mówić nic więcej.

– Brigid, będziesz miała za duże problemy. Nie jesteś już nawet agentką.

– A ty nie jesteś Śnieżką. Prowadziłaś śledztwo na własną rękę. Złamałaś wszystkie możliwe procedury. A do tego strzeliłaś w plecy nieuzbrojonemu człowiekowi. Bezdomny, Cheri i Emery. W tym barze zginęły trzy osoby i będą pytania. Jeśli zrobi się smród i będzie prawdziwe śledztwo, Morrison może mieć kłopoty. Zwali winę na ciebie, tak odwróci kota ogonem, że to ty poniesiesz wszelkie konsekwencje. Rozumiesz mnie?

Nie dodałam, że ja już i tak mam potężne kłopoty, więc ten jeden dodatkowy nie ma wielkiego znaczenia. Coleman nie musiała o tym wiedzieć. Patrzyła na mnie, a w jej oczach nie widziałam ani zgody, ani buntu.

– Wychodziłam z gorszych sytuacji – dodałam. – To jest nic. A poza tym ja już w zasadzie wypadłam z gry. Ty masz jeszcze wielu drani do złapania.

– Nie rozumiem jeszcze tylko jednej rzeczy.

– Czego?

– Skąd wiedziałaś, że miałam romans z Royalem Hughesem?

Postanowiłam jej nie mówić, że Sigmund wyczuł pismo nosem ani że grzebałam w jej adresowniku, ani że Hughes sam się przyznał w rozmowie ze mną.

– Tak tylko strzeliłam. Ja bym na niego poleciała.

Zastanowiła się nad tym. Po chwili spytała:

– Chcesz wiedzieć, dlaczego przeszłam z przestępczości gospodarczej do zabójstw?

Prawdę mówiąc, nieszczęśliwie. Miałam inne sprawy na głowie. Carla. Maksa.

– Dlaczego?

– Bo ciągle słyszałam o tobie, o sprawach, które prowadziłaś, o bandziorach, których złapałaś. Kiedy się dowiedziałam, że idziesz na emeryturę, pomyślałam sobie, że ktoś musi ich dalej łapać.

– Oj, to słodkie. Prawda jest taka, że przeszłam na emeryturę, bo Biuro miało przeze mnie kłopoty, kiedy zastrzeliłam tego podejrzanego.

– To była polityczna bzdura. Chciałam zająć twoje miejsce, bo strasznie cię podziwiałam. Dlaczego ludzie zawsze robią się tacy w szpitalach i samolotach?

– A, zapomniałam ci powiedzieć jeszcze jedno: wybiłam ci szybę w drzwiach od tyłu, kiedy się włamywałam, więc jak wrócisz do domu, nie przestrasz się, że ktoś cię okradł. Nie wzięłam nic, tylko parę jogurtów. – Otworzyła usta, żeby zadać pytanie, ale ją uciszyłam. – Uwierz mi, Coleman, nie chcesz być taka jak ja.

W końcu zajrzałam na chwilę do pokoju Maksa. Leżał na intensywnej terapii, miał się o wiele gorzej niż Coleman. Jego żona, Chrystal, kobieta, która nie miała nic wspólnego ze swoim imieniem, sterczała po drugiej stronie łóżka i pilnowała swojego mężczyzny jak Pan Bóg przykazał.

Max był ledwie przytomny, ale zobaczył mnie, kiedy podeszłam. Spróbował wziąć głębszy oddech, powiedzieć coś. Widać było, że to boli. Chrystal pogłaskała go po rękę i powiedziała, żeby się nie męczył.

– Powiedzieli, że to był cud, że kula ominęła prawe płuco i nie trafiła w żadną kość, mówili coś o kącie ustawienia ciała, nie dostał prosto w pierś, inaczej obrażenia byłyby o wiele większe. A do tego ma wstrząs mózgu, bo uderzył się w głowę, kiedy upadł.

Max obrócił głowę, więc pochyliłam się nad łóżkiem, by być bliżej. Usłyszałam jego szept:

– Słyszałem, zabiłaś barmana.

– Zgadza się, uratowałam ci życie – odparłam beczelnie. – Trzeba mi było uwierzyć w

sprawie Coleman. To była twoja własna wina.

Chrystal pisnęła oburzona:

– Brigid!

Max chwycił płytszy oddech, żeby mniej bolało; nabrał tylko tyle powietrza, by powiedzieć parę słów, zanim wykończony opadł na poduszkę:

– Dziwię się, że nie zabiłaś mnie. Miałaś... okazję.

Chrystal, która wisiała nad nim po swojej stronie łóżka, wyprostowała się gwałtownie i wybałuszyła na mnie oczy, spodziewając się zapewnienia, że jej mąż majaczy po lekach. Uśmiechnęłam się i poklepałam go po dłoni.

– Tylko dlatego, że dostałeś z czterdziestkiątki. Byłam pewna, że już jesteś martwy, skarbie.

Odpowiedział na mój uśmiech własnym, słabszym.

– Telefon – szepnął. – Komórka Peasila.

– Wiem. Zostawiłam ci, żebyś ją znalazł, a ty odtworzyłeś z niej numer baru Emery'ego. Pokręcił głową, jakby miał coś innego do powiedzenia, a ja mu nie pozwalałam. Wziął kolejny płytki oddech.

– Te... twarze.

Zdjęcia kobiet, które Peasil zrobił telefonem, kiedy je torturował.

– Widziałam je – odparłam.

Max był wykończony tą rozmową, więc odpowiedziałam na pytanie w jego oczach, by nie musiał go zadawać.

– Mimo wszystko to był wypadek, Max. Taka jest prawda, do cholery.

– Dobrze.

Wiedziałam, że później będzie czas, by go zapytać, co miał na myśli. Zamknął oczy i Chrystal wyprosiła mnie z pokoju.

19 sierpnia 2011, godzina 20.00

Nie zgłaszając natychmiast swoich podejrzeń wobec mnie, Max i tak już przekroczył granicę. Miałam nadzieję, że za nią pozostanie przy odrobinie szczęścia. Miałam zamiar przypomnieć mu później, że gdyby mi uwierzył, kiedy mu mówiłam o porwaniu Coleman, nie dałby się postrzelić. Tak jak mu powiedziałam, sam był sobie winien. Chciałam też wspomnieć, że hałas, którego narobiłam, wybijając drzwi kopniakiem, odwrócił uwagę Emery'ego, a i on sam się wtedy odwrócił, więc strzał nie trafił prostopadle. I że zabiłam Emery'ego, żeby ratować mu życie. Okej, to ostatnie nie do końca było prawdą, bo po pierwsze myślałam, że już nie żyje, a po drugie, to nie była moja zasługa. Wzięłam to zabójstwo na siebie tylko po to, by ratować karierę Coleman i choć po części zadośćuczynić za swoje błędy. Ale jeśli kłamstwo mogło posłużyć w dobrej sprawie, nie miałam wyrzutów sumienia.

Pozostało mi jeszcze tylko przetrwać resztę dnia z Carlem – przygotować kolację, jeść, czytać, jakby życie toczyło się tak samo. Ale po wieczornym spacerze Mopsów, w porze, kiedy powinniśmy przebrać się w szlafroki, napić ciepłego mleka i pooglądać jakieś nudy w telewizji, żeby się wyciszyć, nastrój zrobił się jeszcze bardziej napięty. Carlo wziął kluczyki do auta z haczyka przy drzwiach do garażu i oznajmił:

– Chodź, pora na przejażdżkę.

Spojrzałam na zegar nad kuchenką. Była dokładnie ósma, dwudziesta zero zero, okrągła godzina, kiedy zaczyna się działać, jeśli powzięło się jakiś plan i czekało cały dzień, by wprowadzić go w życie. Z gardła wyrwał mi się histeryczny chichot.

– Jezu kochany, tak mówi mafia, kiedy chce cię ukatrupić.

Carlo, raczej ze smutkiem niż z gniewem, odparł:

– Proszę cię, opuść gardę, kochana. Stawką jest nasze małżeństwo. – I otworzył drzwi do garażu, by puścić mnie przodem.

Wsiadłam do jego volvo, nie okazując zbytnej potulności. W milczeniu pojechaliśmy drogą na Golder Ranch, potem skręcił na południe w Oracle i pomyślałam: nie, niemożliwe, że pozwolił mi się snuć po domu przez cały dzień i zjadł moją kolację, żeby teraz wywieźć mnie z powrotem do Coleman.

I nie zrobił tego. Naprzeciw wschodniego wejścia na Targowisko Oro Valley, na skrzyżowaniu Oracle i Tangerine, Carlo skręcił nagle w lewo, w stronę gór, w ciemność Parku Narodowego Catalina. Owszem, urządzaliśmy tu sobie wycieczki i tu do mnie strzelano, ale po raz pierwszy znalazłam się w parku w nocy. Nie wiedziałam nawet, że można tu wjechać po zachodzie słońca.

Nie zapalając długich świateł, Carlo powoli przejechał półtora kilometra serpentyny do parkingu, z którego za dnia widzielibyśmy wszystkie szlaki rozchodzące się ze wspólnego wejścia. Teraz, po ciemku, ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, był pająk wielki jak dłoń, przełazący przez snop świateł, zanim Carlo je wyłączył.

Przez chwilę siedzieliśmy w kompletnej ciemności, nie widząc się nawzajem. Jeśli to był jego show, to niech mówi. Ja byłam zbyt przygnębiona i zmęczona, żeby mu pomagać. Kiedy tak czekałam, moje oczy przywykły do ciemności i choć wciąż nie widziałam profilu Carla, zaczęłam dostrzegać zarys gór na wschodzie, widoczny tylko jako bezgwiazdna sylweta. Dopiero

teraz zauważyłam, że dziś nie ma księżycy; może i był, tylko już zaszedł. Potem, jakby wysączyła się z czerni, ukazała mi się bladoszara smuga przecinająca niebo od prawa do lewa. Carlo powiedział mi kiedyś, że to Droga Mleczna. Właśnie taka jest Droga Mleczna: tyle gwiazd, że właściwie nie widać ich pojedynczo. Można powiedzieć, szersza perspektywa.

– Trudno mi zacząć – zaczął w końcu Carlo.

– Będziesz delikatny. Nie umiesz inaczej.

– Chcę powiedzieć, że kiedy tak długo żyje się kłamstwami, nie bardzo umie się wyrażać myśli tak, by można w nie było uwierzyć. Trudno się zorientować, gdzie jest prawda.

Nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie.

– Muszę ci powiedzieć, że jestem bardzo zmęczona, ciągle jeszcze obolała i nie myślę jasno.

– Tak – odparł Carlo. – Zdaję sobie z tego sprawę. I dlatego robimy to dzisiaj, kiedy jest ciemno, a ty nie zdążyłaś założyć maski. Być może to jedyny moment w naszym związku, kiedy mam nad tobą przewagę i chyba nie jestem z tego dumny.

– Ty nigdy nie chciałeś wiedzieć – powiedziałam, nienawidząc płaczącej nuty w moim głosie. – Robiłam tylko to, czego ode mnie oczekiwałeś.

On też mówił tonem pokrzywdzonego.

– Chyba wiem, o czym mówisz, ale nie to mnie gryzie. Ty mnie gryziesz.

Teraz kiwałam głową, byle tylko mówił dalej. Tak jak z Emerym, kiedy twoje życie jest zagrożone, masz szansę przetrwania, dopóki twój przeciwnik mówi. Większość ludzi nie potrafi jednocześnie mówić i zabijać. Zastanówcie się nad tym. Człowiek zamyka usta, zanim pociągnie za spust. Byłam gotowa utrzymywać Profesora w trybie wykładowcy tak długo, jak chciał, dopóki nie odgadnę, jak będzie wyglądać reszta mojego życia.

Tyle że on pociągnął za spust.

– Wtedy, kiedy rozmawiałem z Maksem, tak naprawdę nie zdradził mi wszystkich szczegółów z twojej przeszłości.

– Nie wiedział zbyt wiele – odparłam.

– Wypytałem go o ciebie. Wiesz, o ciebie.

– I co ci powiedział?

– Tak jak mówisz, niewiele. Podał mi numer kogoś z głównej siedziby FBI w Waszyngtonie. Powiedział, że to psycholog, twój przyjaciel. David Weiss.

W pierwszej chwili nawet się nie zorientowałam, że padł strzał. Ogarnęło mnie to odrętwienie, które przychodzi przed bólem, kiedy jesteś w szoku i uchodzi z ciebie wszystko. Nie sposób było odgadnąć, czego Carlo dowiedział się o mnie.

– Weiss? – rzuciłam i zabrzmiało to jak pisk. Wiedząc z góry, że już nie żyję, powiedziałam: – Obiecałam ci, że wszystko ci powiem. Nie ufałeś mi?

– Nie. Tak. Nie mogłem czekać.

Nagle poczułam, że nie jestem aż taka zmęczona.

– Powiedział ci, że zabiłam tego faceta, tak? Nie tego ostatniego, tylko tego wcześniej, kiedy jeszcze pracowałam w Biurze. Sig wie więcej niż ktokolwiek.

Nie wiedziałam, czy Carlo liczy moje trupy. Prychnął tylko drwiąco.

– Nieważne. Opowiedz mi o tym całym Paulu.

Moja rzeczywistość znów się przechyliła i poczułam, że zsuwam się w otchłań, spadam bez asekuracji. Ale siedzieliśmy tutaj, patrząc przed siebie jak w konfesjonale, i nie miałam wyboru. Powiedziałam mu wszystko. Powiedziałam mu, że wszyscy moi bliscy, rodzina i przyjaciele, byli glinami, co do jednego. Powiedziałam, że podejrzewałam się o odstraszenie każdego cywila, jakiego znałam. Powiedziałam, że z jednej strony bałam się, że odstraszę i jego,

a z drugiej, że nie zdołam. Powiedziałam mu o wiele więcej, niż kiedykolwiek Sigmundowi, włącznie z tym, że Paul był taki niepodobny do mojego ojca i to musiało oznaczać, że jest dobrym człowiekiem.

Powiedziałam Carlowi, jak bardzo byłam przerażona, że mnie zostawi, jeśli się dowie, kim jestem naprawdę.

Kiedy skończyłam, Carlo długo milczał, jakbym mówiła za szybko i jego słuch musiał mnie dogonić. W końcu powiedział:

– Co za cipa.

Oślupiała, zdumiona jego odpowiedzią, odwróciłam głowę.

– Może gdybyś przeżył to, co ja... – wydusiłam.

– Nie ty – odparł Carlo. – Mówię o Paulu. Straszna cipa z niego.

Siedziałam, mrugając, przetrawiając to i zastanawiając się, dlaczego to nie brzmiało jak rozgrzeszenie ani jak pokuta. Jeden idealny mężczyzna mojego życia nazywa drugiego cipą. Nie wiedziałam już, co mam myśleć.

– I ty myślałaś, że jestem taki jak on – powiedział Carlo. Usłyszałam, że fuknął cicho i z oburzeniem. – Na litość boską, przez jakiś czas służyłem jako kapelan więzienny. Udzielałem ostatniego namaszczenia człowiekowi, który dostał nożem w ucho. Odprowadzałem człowieka na egzekucję, kiedy jeszcze używali krzesła elektrycznego i patrzyłem, jak jego ciało się topi. Za kogo ty mnie masz, za jakiegoś maminsynka, za księżula z winem mszalnym zamiast płynu mózgowo-rdzeniowego?

– Nie? – Byłam na tyle przytomna, by zawczasu usunąć pytajnik.

– I słusznie, do cholery ciężkiej. Bo to by było dla mnie obraźliwe.

Ciągle miałam wątpliwości.

– Zaraz, to chyba nie jest jakaś sztuczka, żeby uspić moją czujność? – spytałam.

Zignorował to.

– Nie rozumiem, dlaczego ukryłaś przede mną tyle siebie.

To mnie wkurzyło.

– Ty nie chciałeś wiedzieć! Pamiętasz naszą pierwszą randkę? Opowiedziałeś mi historyjkę o człowieku w masce. Twój przekaz był głośny i wyraźny.

– I niby co według ciebie mówiłem?

– Świadomie czy nieświadomie mówiłeś, że ty jesteś dobry, a ja zła. – Przed oczami stanął mi trup Peasila, pewnie nie ostatni raz. – Że muszę ukryć wszystko, co widziałam, wszystko, co zrobiłam, i udawać, że jestem tak dobra, jak ty.

– Boże drogi, sądzisz, że sobie nie wyobrażałem, czego mogłaś być świadkiem? Mam doktorat z filozofii i religioznawstwa, O’Hari, nie jestem głupi. Po prostu będziesz musiała, jak wy to mówicie, przyznać się do wszystkiego.

– Proszę, Profesorze, nie każ mi mówić prawdy. Z tego nigdy nie wychodzi nic dobrego. Potem nie będę ci się już podobać.

– No cóż, będziesz musiała podjąć to ryzyko, bo nie widzę innej opcji.

– Myślisz, że jest jakaś szansa, że mnie nie rzucisz?

Carlo nie był tak głupi, żeby mnie o tym zapewniać. Wiedział, że to nie pora na kłamstwa.

– To nie jest zdrowy związek.

– Zaczynam to dostrzegać, ale powiem na swoją obronę, że nigdy nie miałam zdrowego.

– Może przy odrobinie psychoterapii i ogromnej dozie szczerości jest szansa. Tak, jest duże prawdopodobieństwo, że cię nie zostawię.

– Zanim zacznę spowiedź życia, zechcesz mi najpierw zdradzić, co ci powiedział

Sigmund?

Milczał chwilę, zastanawiając się, i w końcu pokręcił głową.

– Posłuchaj, możemy to robić powoli, ale na początek... i wybaczyć, że zabrzmiało to jak aforyzm, ale przez całą dobę nie wymyśliłem, jak można to inaczej powiedzieć: musisz zaufać tym, których kochasz. I musisz zaufać ich miłości do ciebie. A żeby wszystko było jasne, może powinienem dodać, że kiedy opowiadałem ci o człowieku w masce, mówiłem o sobie.

W tej chwili, w jednym przeblasku, ujrzałam wszystkich mężczyzn, którymi był Carlo, wszystkie maski, które nosił. Podobał mi się ten Carlo, który teraz mówił do mnie, ten pełen siły mężczyzna, który zmagał się ze mną na moim terytorium. Może dlatego za niego wyszłam: bo zobaczyłam tę jego wersję pierwszego dnia w sali wykładowej. Aż do dzisiaj wszystko, co działo się między nami, było tylko wypróbowywaniem różnych masek. Może ludzie robią to w każdym wieku.

– Daphne – wypaliłam.

– Co?

– Tak naprawdę nie mam na imię Brigid. Zostałam ochrzczona jako Daphne, ale zmieniłam imię, kiedy wstąpiłam do FBI, żeby chłopaki się ze mnie nie śmiały.

– Dobry początek. – Carlo położył dłoń na mojej dłoni i poczułam ten dotyk w trzewiach. Aż do tego dotyku nie zdawałam sobie sprawy, jak niebezpieczny był to moment. Zaciśnięte palce na mojej dłoni i pociągnięcie mnie do siebie z agresją, która unaoczniała mi, jak wielu rzeczy w nim nie doceniałam. Teraz byłam tak blisko, że widziałam jego twarz mimo ciemności. – A teraz mnie pocałuj, kobieto.

Zrobiłam to.

A potem śmiertelnie poważnie, tak niskim głosem, o jaki go nie podejrzewałam, niemal szczerząc zęby, powiedział:

– Kocham cię, Brigid.

Wypowiedział moje imię. Do tej pory nigdy nie nazywał mnie moim imieniem. Tak brutalnie obnażona miłość mężczyzny jest przerażająca, nawet dla mnie. Zadrżałam, odsunęłam się i poczułam, że wilgotnieją mi rzęsy.

– Dlaczego? – zdołałam wykrztusić, wciąż pełna zwątpienia, wciąż bojąc się bliskości.

Zrozumiał. Odkładając powagę na bok równie nagle, jak po nią sięgnął, znów dotykając mnie łagodnie jak zawsze, uśmiechnął się promiennie i wzruszył ramionami.

– Za diabła nie wiem.

Chciałam odpowiedzieć dowcipną uwagą, czymś w rodzaju „tylko mi się tu nie rozczulaj”, ale zamiast tego znów przechyliłam się przez dzielącą nas konsolę i pocałowałam go w bark, tak lekko, że nawet nie ugięłam skóry. Dotyk jego koszuli na mojej górnej wardze był ocaleniem dla prawdziwej mnie, kimkolwiek byłam. Pozwoliłam sobie na bliskość, dzielnie wyszeptałam jego prawdziwe imię:

– Ja też cię kocham, Carlo.

Jego delikatne palce sięgnęły do moich włosów i wyjęły wsuwkę. Biały kosmyk opadł mi na policzek, w miejsce, gdzie mogłam go widzieć.

– Obawiam się, że czuję się trochę stara, kochany – powiedziałam.

Skinął głową. Znów żadnych kłamstw i nawet mi się to podobało.

– Do mnie też to chwilami dociera i pewnie będzie przychodzić i odchodzić, dopóki nie umrzemy. Ale wiesz, co jeszcze powiedział o tobie David Weiss?

– Co?

– Że młodzi mężczyźni, kiedy cię zobaczą, mają sny, nawet nie zdając sobie sprawy dlaczego. Ten twój doktor Weiss to bardzo przenikliwy człowiek. – Objął mnie ramieniem i

trzymał tak przez chwilę.

Wiedziałam, że jeszcze nie wyszłam z Carlem na prostą, wciąż było dużo prawdy do powiedzenia i szczerze mówiąc, musiałam podjąć parę decyzji, w jaki sposób ją powiedzieć. Nie wiedziałam na przykład, jak Carlo zareaguje na wiadomość, że mogę pójść do więzienia za zabójstwo Geralda Peasila. Nie, Max nic nie powie. Prawda?

Pojechaliśmy z powrotem do domu, gdzie znużona padłam na podłogę, by przywitać się z Mopsami. Obwąchiwały mnie, niepewne, roześmiane. Przepełniona pijaną radością życia i chwilowo bezpieczna ze stadem, wrzasnęłam:

– Grupowy uścisk! – Mopsy wskoczyły na mnie. Odwzajemniłam ich napaść czochraniem po głowach.

Mopsy znudziły się i pobiegły gdzieś, zostawiając moje dzinsy najeżone jasnymi, krótkimi kłakami, ale leżałam na podłodze jeszcze parę minut, patrząc na salon z tej wyjątkowej perspektywy. Niestety, pas tapety w amarantowe winogrona pod sufitem wciąż był tak samo paskudny.

– Jane? – szepnęłam. – Jane? Jesteś tu? – Było wpół do jedenastej, godzina po naszej zwykłej porze kładzenia się do łóżka i Carlo poszedł się przygotować do snu, który dawno mu się należał. Tylko Mopsy, chłęczące wodę ze wspólnej miski, zakłócały ciszę. Cóż, ducha Jane chyba nie było w domu. Może nigdy go nie było. Przeturlałam się na brzuch i dźwignęłam się z podłogi. Postanowiłam, że jutro z rana, jeszcze przed oficjalnym przesłuchaniem, zajadę do Crate and Barrel – nie, lepiej do Pottery Barn. Musiałam wybrać nową zastawę, która nie będzie przypominała zabytkowej bawarskiej porcelany. I nową narzutę, nie różową i nie satynową.

Kiedy weszłam do sypialni, zobaczyłam, że Carlo całkiem ściągnął narzutę z łóżka. I dopiero teraz zauważyłam krzesło z jadalni stojące w nogach, na którym pewnie przesiedział wczorajszą noc, pełniąc nade mną straż.

Potrzebowałam zacząć od początku, bo odkryłam, że mogę przeżyć jeden szczęśliwy rok w życiu. Jaki bóg, nawet najbardziej podły, mógłby mi odebrać choćby sekundę? Przypomniałam sobie, jak zaufałam Carlowi w ciemności, jak rzuciłam się bez asekuracji w spowiedź, przyznałam się do istnienia otchłani, która zawsze mnie przerażała. Ale tym razem ktoś czekał na mnie na krawędzi. Ktoś czekał, aż wrócę.

Przypisy

^[1] Miejsca nieudanych akcji FBI, w których zginęli cywile (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

^[2] Modus operandi (łac). – sposób działania.

^[3] United States Marshals Service – jedna z agencji federalnych, odpowiedzialna za egzekwowanie wyroków, ochronę budynków sądowych i urzędników, transport więźniów i poszukiwanie osób ściganych listem gończym.

^[4] (fr). Nie wiem czego, tego czegoś.

^[5] Toys for Tots – program prowadzony przez rezerwistów US Marine Corps, którego celem jest zbieranie zabawek dla dzieci z biednych rodzin.

^[6] Amber Alert – stosowana w USA i w niektórych krajach europejskich procedura alarmowa, podejmowana w przypadku zaginięcia dziecka. Polega na jak najskuteczniejszym informowaniu opinii publicznej (stąd między innymi zdjęcia na kartonach z mlekiem).

^[7] Gary Sinise – amerykański aktor znany z serialu *CSI*.

^[8] Mowa o dwóch zdarzeniach: pierwsze to zabójstwo Johna Kennedy’ego, drugie – zabójstwo jego domniemanego mordercy, Lee Harveya Oswalda. Obydwa incydenty miały miejsce w odstępnie dwóch dni w listopadzie 1963 roku.

^[9] Dylan Thomas *Do Not Go Gentle Into That Good Night*, fragment w przekładzie Stanisława Barańczaka.

^[10] Dwie substancje psychoaktywne, znane jako „narkotyki gwałtu”.

